



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



~~168. d. 8~~



REP. SCAV. 7706
~~PG 7160.K9.A2.W9 (3)~~



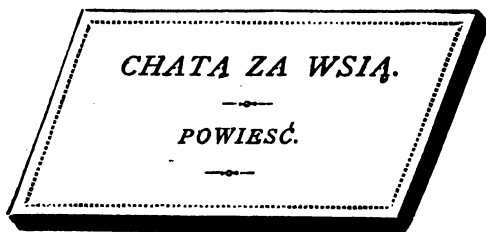
302820356T

WYDANIE JUBILEUSZOWE
J. I. KRASZEWSKIEGO.

WYDANIE JUBILEUSZOWE.

WYBÓR PISM

J. I. KRASZEWSKIEGO.



TOM VIII.

Wydawnictwo na korzyść Jublata.

WARSZAWA.

DRUK JÓZEFA UNGRA.

ulica Nowolipki, Nr. 3.

1879.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 10 Января 1879 г.

CHATA ZA WSIA.

CHATA ZA WSIĄ.

Nieboszczyk Syrokomla—Panie mu świeć nad duszą—w jednym z listów do mnie pisanych, żądał na pamiątkę rysunku; ale chciał, by mu co posłać domowego, swojego, coby kraj przypominało. I poszły naówczas gdzieś schwyconę w podróży *Stare wrota*, jakie niedawno jeszcze u nas widzieć było można, do gumien i do dworów prowadzące. Z tych starych wrot poeta stworzył poemat, a rysunek posłużył mu za ilustrację. Tak samośmy z widoku lepianki na rozdrożu za wioską wołyńską, ozłoconej ostatnim zachodzącego słońca promykiem, ulepili tę—*Chatę za wsią*. Łacno się domyślić czytając, że ona pisana była w tych szczęśliwszych czasach, gdyśmy wieś mieli i na wsi mieszkać mogli, gdy się oczy pasło lasami i zielenią, a o uszy obijały się codzien rozmowy ludu i o życie ludu ocierało się dzień cały. To też *Chata za wsią* cała jest na wzorach z natury, na żywych bytu ludowego materiałach osnuta. Od roku 1852, gdy pisana była, upływa prawie lat dwadzieścia: ludu tego i życia już nie ma. Co było obrazkiem, stało się niemal historią. Zmieniły się stosunki dworu

i wsi, mienia, pracy, obyczaje, mowa—pozostał tylko krajobraz i tło dawniejsze. Powieść drukowana była najprzód w *Bibliotece Warszawskiej*, potem wyszła osobno u M. Wolffa w Petersburgu.

Z tego wydania był dokonany przekład rosyjski w *Bibliotece dla Czenija* drukowany, a w r. 1856 francuzki wyjść miał w Brukselli. Tego ostatniego nigdyśmy w rękach nie mieli; dowiadujemy się o nim z notat pana Estrejchera. Cygański język i obyczaj studyowaliśmy podług źródeł nam dostępnych a mało znanych; za onych też czasów nietrudno było u nas na Wołyniu spotkać się z Cyganami: mieliśmy ich jako kowalów osiadłych po wioskach, i wiele się o nich nasłuchać było można. Rzecz jest całkiem z wołyńskiego bytu wzięta, bo autor naówczas jeszcze w tym pięknym, wesołym i poczciwym kącie mieszkał, od r. 1836 począwszy, aż do 1859, jako gospodarz wiejski, nieustannie na oczach mając wieś, wieśniaków, krajobrazy i życie ówczesne, które już nigdy nie wróci... Z wolą i mimowoli odbiło się ono w tej powieści.

Drezno, czerwiec 1871.

J. I. Kraszewski.

Rzadko człowiek postawiony szczęśliwym losem na wygodniejszém nieco stanowisku, chce zwrócić oko na to; co się niżej niego dzieje; używamy, nie chcemy się uczyć, nie lubimy rozpatrywać. Często wejrzenie takie sprowadziłoby łzę, przypomniałoby ciężkie do spełnienia a konieczne obowiązki; wolimy więc wędrować dalej z głową wzniesioną ku marzeniom lub odwróconą ku sobie, a co pod nogami mijamy. Tak idąc, ileż to przepuścimy mimo siebie prawdziwych życia tajemnic, których w żadnej nie znajdziemy książce, na żadnym obrazie, w najfantastyczniejszym marzeniu!

O! szkoda zaprawdę, bo jeden tylko Bóg z góry patrzy na tysiące ubogich żywiołów, w których jest więcej siły, piękności, energii i cnoty często, niż w cisnących się nam na oczy dramatach, którym chyba świecące ramy dają prawo do ludzkiej ciekawości, zajęcia, pamięci.

Nieraz wpatrując się w odartego żebraka, w ubogie dziecię wioski, które zostało sierotą i żyło spleśniałym chlebem jałmużny, myślałem sobie: Ileżby nauki dla nas wytrysnąć mogło z mikroskopowego wej-

zenia na te pełne bólu, upokorzeń, nędzy i odrzucenia życie nieznanych, nieszczęśliwych, odrzuconych istot ledwie widnych na świecie...

Wiemy doskonale, jak płyną godziny szczęśliwym, bogatym, znaczącym, spowitym w cieniućkie pieluchy od urodzenia, i w brązowanych spoczywającym trumnach; wiemy, jak ich wodzą na paskach, jak musztrują dla przyszłości, jak chodzą, jak się kłaniają, co jedzą, jak się stroją, żenią, zwodzą i rozwodzą, starzeją, głupieją, ziewają i umierają: a któż kiedy wypowiedział formy żywota nędzarza? Przecież przed Bogiem i w oczach badacza ludzi, te dwie egzystencje, z których jedna tak się błyszczy, druga tak kryje niepozorna, równie są wielkimi i znaczącymi. Motyl i najmizerniejszy robak zarówno są potrzebni na świecie, i jedno mają prawo życia. Naturaliści zarówno śledzą obyczaje i instynkta drobnój muszki i ogromnego sępa; czemużby powieściopisarz nie miał też równie prawa opisywać drobnostkowo życia jednej z tych liszek, które pełzną po czarnej ziemi, zdeptane nogą niebaczną, giną niepostrzeżone i niepożądane?

W ogromnej a dziewiczej jeszcze przestrzeni historii człowieka, ileż to zakątów ciemnych, niezbadanych, opuszczonych!

Jak owi pisarze dawni, co mijając drobne twory, szli naprzód poznać się z temi, co im w oko wpadały ogromem, kształtem lub barwą—myśmy też w historii człowieka do zbytku i przesytu namalowali już obrazów uderzających, mijając równie wdzięczne, ale mniejsze, skromniejsze i nie tak łatwe do pochwycenia.

Dopiero dzisiaj postrzegać się zaczynamy, żeśmy w wielki błąd popadli: że wszystkie nasze obrazy

społeczności są niepełne i kulawe, że im brakuje jednej strony, żeśmy wzięli część za całość, i odjęli wszelką ważność temu, co w istocie jest może najważniejsze.

Z innego stanowiska, obrazy te pod względem sztuki, przechodzą i przechodzić muszą jak sztychy wyobrażające mody paryżkie, które się wkrótce śmieszniemi stają. To, cośmy przywykli zwać społecznością wyższą, jest kosmopolitycznym amalgamem prawie wszędzie i zawsze, na którym się więcej odbija barwa uprzywilejowanych stolic mody, niżeli kraju, z którego łona powstaje. Tak niegdyś Ateny, potem Roma, dziś Paryż i Londyn, dają światu konwencyonalnemu, zwanemu wyższym, ton i koloryt. Salon najświetniejszy jest ten właśnie, który się najwięcej zbliża do cudzoziemskiego ideału. W Londynie ideałem bywał Paryż, w Paryżu trochę małpują Londyn, a po całym świecie obie stolice; a nigdzie, tylko u nas małpują wszystko co obce. Wartoż tak upokarzającego szalu rysować wzorki i uwieczniać tak niesłychane zaparcie się siebie, poddaństwo mniemaniej wyższości?—Nie wiem. To pewna, że jakkolwiek życie wyższych towarzystw wielce być może miłe, swobodne w pewnym względzie (bo -na straży wszystkim wybrykom stoi na szyldwachu konwenans), ja tego życia sznurowanego i krochmalnego nie lubię—przynajmniej malować. Musimy w niem żyć—ha! żyjemy; musimy pod klątwą małpować zagranicznych dudków—małpujemy; ale żeby nasze kuse fraczki i kuse zfrancuziałe rozmowy, zasługiwały na malowanie i studyal... *nego! nego! nego!*

Spojrzyjmy niżej! — Brudno — powiecie? Niestety! brudno istotnie; ale jak dla malarza dziedziniec opusz-

czonój chaty daleko jest lepszym przedmiotem do obrazka, niżeli wywoskowany salon z kolumnami, tak i dla powieściopisarza łachman daleko bardziej malowniczy od krochmalnej sukni balowej i wernikso-wanych bóciók eleganta.

Cały ten ustęp ma jedynie na celu wytłómaczyć mnie przed czytelnikami (nie myślę się bowiem uniewinniać przed krytyką, której u nas rzemiosłem hałasować i czernić),—wytłómaczyć się z przedmiotu téj powieści. Darujcie mi, że was wprowadzę między odarty tłum, do ciasnej chatki; że wam dotykać każę łachmanów, i żyć godzinę w towarzystwie ludzi, co nie umieją po francuzku i nigdy się nie uczyli grać na fortepianie! Może też na końcu téj bajki znajdziecie i do waszego życia pożyteczny sens moralny, który często mimowoli nawija się autorowi: bo autor każdy wzoruje z dzieła bożego, a w bożych tworcach sens moralny jest w najdrobniejszym kamyczku. Chodzi tylko o to, żeby kamyczek przemówił, a człowiek zrozumiał.

Była to sobie... wioska (niestety! niestety! znowu na pograniczu Wołynia i Podola), trochę jeszcze wołyńska, już nieco podolska; leżała w dole, co na jakiś jar zakrawał. Po nad nią, na równinie szerokiej, ciągnęły się złociste łąny zbóż niewielkimi czarnymi rzęciętę laskami; środkiem sioła biegła ledwie dojrzana rzeczulka, w dość duży staw zebrana. Chaty poprzyczepiane do ścian wzgórza, w zielonych drzew wiązkach bieleły wesoło, spoglądając z wysoka ku stawowi, który je w czystych wodach odbijał.

Cicho, zielono, spokojnie, dobrze jakoś było w tym rozdole, który w czasie potopu umyślnie wyżłobić musiały wody, kierowane Ręką, co wiedziała, że tu kiedyś ludzie osiedą. I drzewom, i chatom, i ludowi było tam jak u Pana Boga za piecem; kawałek nieba zawsze jasny prawie świecił nad nimi, rzadko maleńki orzeźwiający wiaterek przенiosły tędy opiekuńcze duchy, a burze zawsze szły sobie gdzieś bokiem na lasy i bory.

To też osada, rozkrzewiając się coraz dalej a dalej, posuwała się jarem nad rzeczka, i coraz to nowa chata biała zaświeciła w krzakach leszczyny i tarny,

zarastających boki rozdołu. Na wysokości płaszczyźnie wzgórza, jeden tylko cmentarz nad wioską wyniesiony po nad nią krzyżami górował; to też bardzo był smutny, i nie wiem jak ci ludzie, do tak różnych charakterów śmiejących się przywykli, mogli spać potem na tak opuszczonym rozłogu. Musiało tam dużo wstawać upiórów wygnańców, i po nocy powracać do zacisznych siedzib swoich.

Cmentarz ten, była to jedyna część osady zupełnie brzydka, jeśli go jęj częścią nazwać można. W istocie, łączył się on z nią prawie; chaty czepiając się góry, wychodziły aż ku niemu, rozsypane po nad drogą; na wierzchołku góry były wrota na łąn, a aż do nich przypierał cmentarz. Nie wiem, czyście kiedy przypatrzyli się wiejskiemu cmentarzykowi w okolicy żyznój, gdzie każda piędź ziemi droga? Jak to tam skąpo wymierzono gruntu umarłym! jak im tam ciasno i duszno! Sąsiedzi w strachu, żeby się cmentarz w ich grunta nie worał, opasali go wałem i rowem; ale nikt nie pomyślał posadzić drzewka, coby szumięło i płakało nad mogiłami. Tylko badyle ostów i zieliska, co się wszędzie uczepią, obrosły i stare groby, i przeszłoroczne nawet mogiły; tylko trochę pokrzyw i dziewanny w żółte strojnój dzwonki, gdzie niegdzie zielenieje na tyłą łez użyźnionój roli.

Ale za to co za las krzyżów i krzyżyków! Nie każdego stało na mocny dębowy, na wielki i malowany; ubożsi wystrugali go sobie z kijów, wypitowali z kruchój tarcicy i zatknęli krzywo, niedbale, na niedługo; pierwsza burza je wywróci, kilka lat w próchno zamieni. Tam zółci się jeszcze świeżuchny grób na którym nie miała czasu trawa się zasiać i uśmiechnąć, zielenią: owdzie zamiast pagórka, dół już wklęsły

tylko. Tak to i z żalem, jak z mogiłami bywa: gdzie rósł do góry, wkrótce próżnię tylko zostawia... Na wale, na rowie, jedno wejście, jedna bramka ciasna, ale nią wchodzi umarli, i jeszcze mu za szeroka, nad nią krzyżyk, a wrotka dawno służą za mostek, bo dyle jego rozpadły się i zgniły, leżąc w rowie głęboko.

Jeśli we wsi zaciszniej, wiatru i burzy nie słychać, za to nieboszczyków na tej górze żaden wichur nie minie, żeby nie odwiedził; dużo on tu już krzyżów podrugotał! Miarkujcie, jak to smutno, jak ciężko być musi umarłym, a cóż dopiero żywym!

Bo tuż, przez drożynę tylko, o sześć kroków od wrot, nie widzicie? stoi chatka, przyparta jedną ścianą do góry obrywu, drugą obrócona na cmentarzysko.

Chatka!... ojl.. złe nazwanie—lepianka chyba, i to jeszcze za wiele może—szałas, ale nie szałas jeszcze—stoi to coś, co się nazwać nie może, a jednak to nie jama zwierzęca, to widocznie pomieszkane człowieka. Trudno jest sobie coś nędzniejszego wystawić. Najprzód, że to w bezlesiu, zbudowano ją z kawałków drzewa pozbieranych gdzieś po drodze, może przyniesionych z wiatrem lub burzą, bo większe i lepsze polana nosi dobry wichur, gdy się rozhula. Ale czego to nie dokażą we dwoje: człowiek z nędzą! Za dwie ściany służyła góra wilgotna, którą deszcze wygładziły; dwie drugie zlepiłone jak gniazdo jaskółcze. W istocie, znajdziesz w nich to, co w gniazdku tej przemyślniej ptaszyny: drzewko, słomę, glinę, błoto, zbite razem i misternie zlane w całość, która się trzyma i stoi. Zamiast dachu, narzucono kołków z płotu, i krzywych gałęzi leśnych, i słomy jeszcze, i nie wiem tam czego, a pokryto darnią! Resztę Bóg

dokończył, zasiawszy na tej płaszczyźnie bujne bylice, pokrzywy, dziewanny, trawy i zioła liściowe, które związały krusze pokrycie lepianki. Szumi tam na dachu cały łań chwastów tak dorodnych, tak bujnych, jakby na mogile! Z pośrodku nich wpleciony z chróstu, olepiony gliną, wystąpił dymnik, kawałkiem starej maty przyrzucony, i udaje komin z wielkim talentem—komeanty!

Nie nudźcie się, nie nudźcie, kochani czytelnicy! to coś ciekawszego doprawdy od opisania pałacu w stylu odrodzenia lub willi gotyckiej. Idziemy dalej.

Ściany, żeby się nie obaliły, bo jednakże całkiem im nie wypadało dowierzać (cóż na świecie nie zdradza? kołki nawet!), ściany obwiódł przemyślny budownik przyźbą, która je trzyma i nie puszcza. Górą już się chyla, dołem ani sposobu. Dwa czy trzy drągi krzywe zamiast skarp służą. W tych dwóch ścianach minęliśmy drzwi i okna, niemniej przecię od reszty opisanie warte. Okna? nie wiem czy tak nazwać można te dwa otworki nieregularne, gliną oblepione, w które wstawiono bez ram kilka brudnego szkła kawałków. Jużciż to okna, bo choć nie puszczają powietrza, a światła dają niewiele, ale oszukują przechodzących, zaręczając, że w chacie widno być musi.

Ze drzwi trudniej się było budowniczemu wykręcić, ale wielki to budowniczy nędza: tworzy z niczego; żaden Palladio tego nie potrafił. Cud to prawdziwy te drzwiczki, tylko się im pilno przypatrzcie. Sięgają aż pod sam dach zbytńki, i mówić się zdają: „Niech się wchodzący nie schyla.“ A i one razem z kominem i oknami grają komedję, bo przyszedłszy bliżej, masz ich właśnie po pas! Ale i na takie drzwiczki nie-

mało potrzeba było pracować, niemało! W bezleśnym kraju któżby to tak deskę porzucił, żeby ją można wziąć, nie powiedziawszy nawet: „Bóg zapłać!” A ten, co lepiankę stawiał, widocznie musiał po zapłatę odsyłać do Boga. Oddałbym te drzwi do muzeum, gdyby ci, co szanują starożytne naczynia potłuczone na kawałki, umieli przeczytać z rozbitych drzwi-czek, ile westchnień złamało pierś, co je lepiła. Patrzcie, ile tu sztuczek spojonych misternie, ile klinów, wstawek, kawałków, dziur kołkami pozabijanych, drażków pozamienianych na deszczułki tępą siekierą i słabą ręką. Co tu się zeszło rodzajów drzew zdziwionych, że im przyszło jedną pełnić służbę: sośnina, dębina, osika, brzoza i harda nawet grabina, co tylko młynarzom służyć zwykła, musiała dostarczyć kołków. Było tu pracy, było! ale to dawno, bo deszcz i powietrze jedną szatą szarą pokryły tych wszystkich przybyszów, których nierówność stanu ledwie teraz rozpoznać było można.

Wystawcież sobie taką chatkę, takie schronienie bez nazwiska, przylepione do góry, na wprost cmentarza, na łysym wzgórku, od wsi o staję, a spytacie pewnie: któż tam mógł budować się i mieszkać?

Ten, co zwykle mieszka w lepiankach—ubogi; istota często winna sobie swą nędzę, często niewinna przed Bogiem, choć przez ludzi wyklęta; biedne stworzenie, która śpieszy się umrzeć, żeby odpocząć, bo mu żyć nie ma po co.

Mógłże być stosowniejszy widok dla nędzarza nad miejsce wiekuistego spoczynku?

Wioska, którąśmy widzieli, zwała się Stawisko. Dalej, dalej w jarze, ku górze już nieco, w kłębach zieloności, u rzeczki zakrętu, miała dwór bielejący z daleka; śliczny dwór, nowiuteńki, czyściuchny, a tak posadzony z ręcznie, że z niego widać było co tu najpiękniejszego dał Bóg: wodę, góry, chatki, cerkiewkę, kościółek i lasy w dali. Cmentarza zamtąd ani słychu, ale też po co tam cmentarz?

Kto mieszkał we dworze, dowiemy się później; teraz zwrócimy się do chatki.

Przed laty kilkudziesięciu, nim jeszcze ten wspinały dwór stanął i angielskie ogrody zajęły miejsce warzywnych, do Stawiska przywlokła się raz gromada Cyganów, której naczelnik jak zwykle zajmował się kowalstwem, krewni byli pomocnikami, a rodzina wróżyła i kradła. Że już naówczas coraz rzadszemi stawały się pielgrzymki tych zagadkowych włóczęgów, których pochodzenie i język dotąd nieprzebitą pokryte są tajemnicą, przeto cała swobodna część ludności powybiegała przyglądać się przybyszom, co po secinach lat wygnania jeszcze nosili wypiętnowany na czołach ślad pochodzenia swego, kędyś z ogorzałego Wschodu czy Południa.

W istocie: w twarzach i stroju tych przybłądów było coś tak nie naszego, tak obcego, że obojętny nawet wieśniak zwrócić musiał oczy na tych ludzi innego świata i innego życia, nie umiając pojąć ani ich wygnania, ani dobrowolnej koczującej doli.

Wszystkie baby, nawet te, które miesiły chleb z zakasanemi po łokcie rękawami, powybiegały przed sień, wiodąc ciekawe a przestraszone dzieci za ręce i trzymając je silnie, w obawie, żeby ich Cygani nie porwali; wszyscy starzy wystąpili aż na drogę, a po-

wracający z pola, był to bowiem wieczór letni, zatrzymywali się z pługami wśród ulicy. Banda tych Cyganów składała się z kilkunastu głów i szła powolnym krokiem aż pod karczmę; najdorodniejszy, słusznego wzrostu mężczyzna prowadził wóz, na którym widać było mały, połatany mieszek kowalski, złożony namiot, przenośne kowadełko i inne żelazstwa i manatki. Wśród tych rupieci siedziała średniego wieku kobieta, niewygodnie skurczona, z dziecięciami u piersi.

Istna to była czarownica: czarny włos spadał do koła jej ogorzałej twarzy, o oczach błyszczących i koralowych szerokich ustach; fałdzista wielka chuśta osłaniała ją całą. Na kolanach leżało dziecko nagie zupełnie i ustami przychepione do macierzyńskiej piersi.

Wzrok téj kobiety, na której twarzy widać było znużenie, boleść i smutek, nie odwracał się od dziecka ani na chwilę; zdawała się coś roić o niém, a na resztę świata nie chciała spojrzeć nawet. Mężczyzna, który silną dłoń wiodł za sobą wóz ich podróży, był nadzwyczaj barczysty, ogromnego wzrostu i srogiej i chmurnej fizygnomii. Czarny, z piersią obnażoną i kudłami porośłą kruczemi, okryty ledwie koszulą dziurawą, zasmoloną i zdartymi spodniami, szedł boso, z odsłoniętą głową, której tylko włos kędzierzawy bronił od słońca i wiatru; ale mimo łachmanów szedł tak dumnym krokiem, z tak poważnym wejrzeniem, żeś zaraz poznał w nim wodza gromady, *Romów* (tak się zowią często Cygani).

Koło niego, po za nim, wlokła się reszta rodziny: troje dzieci nagich, różnego wzrostu, od dwunastu do ośmiu lat mieć mogących; chłopak dwudziesto-kilko-

letni; dziewczyna smukła, pięknej kibici, może ośm-nastoletnia, trochę wykwintniej ubrana i oryginalnie ładna; zgrzybiała baba; postarzały, o kiju z kędzierzawym łbem, popychający wóz, krępy a niski człowiek; wreszcie dwie czy trzy jeszcze kobiety, obwieszone kołdrami pasistemi, wlokącemi się po ziemi.

Wszystko to szło cicho, jakby czekając rozkazu wodza i poglądając niekiedy na niego. Wóz zatrzymał się pod karczmą, starszy podniósł głowę i obejrzał się dokoła.

Właśnie na próg gospody wyszło kilku gospodarzy i przodkujący im wójt w wysokiej czapie baraniiej; patrzali oni i milczeli, czekając, z czém się też odezwą podróżni? Cygan tylko okiem ich porachował, i instynktowo, czy po nowiej czapce może, domyślił się pana wójta, podszedł krok ku niemu, i skłonił się nisko:

— Bóg z wami, panie gospodarzów, odezwał się łamanym językiem z ruska, głosem silnym i pełnym szczególnego jakiegoś dźwięku, jakby po za tą mową pożyczaną, inna obca, druga się ukrywała.—Pewnie wy tu jesteście starszym?

— A jakby tak, to cóż? spytał dosyć się szanując i z wysoka Maksym Lach.

— A jakby tak—odparł Cygan, powoli pot ocierając z czoła resztą podartego rękawa—tobym was prosił, żebyście mi pozwolili przenocować we wsi.

— Bał bał a jutroby jakiego konia nie stałol rzekł śmiało wójt, biorąc się w boki.

— Nie macie się co o to obawiać, z westchnieniem i półuśmiechem odpowiedział, Cygan.—Wy koni nie macie podobno, a my nie z tych Cyganów, co na

cudze patrzą. Swojami rękoma na chleb pracujemy. *Ciurachanów* (złodziei) między nami nie ma.

— Ale zkądże u dyaska wiedzieć już możecie, że ja nie mam koni? z zadziwieniem zakrzyknął Maksym Lach, który aż podskoczył.

— Cygan wszystko wie, dobrodzieju! obojętnie mruknął dowódca bandy.

— Toć i lichy... czerwieniąc się, a na swoich oglądając, ciągnął dalej niespokójny pan wójt. Gdyby wam to nie było potrzebne na złe, żeby wiedzieć wszystko, tobyście się nie starali o te wiadomości. Patrzajcie go! jeno do wsi wjechał, już wie, że u mnie koni nie ma. To znachor!

— Jaki to znachor? rzekł powoli ruszając ramionami Cygan. Ot zaraz wam opowiem zkąd co wziąłem, a dziwić się przestaniecie, że tak mądry. Od tygodnia już siedzieliśmy w Piątkówce, o półtoręj mili stąd; chwała Bogu ludzie się tam na Aprasza nie poskarżą; dużo się roboty przez nasze ręce przewaliło. Jakeśmy wychodzili, powiedzieli mi drogę do Stawiska i zalecili do was, panie wójcie; a stary Murynec dodał: „Tylko jemu koni nie podkujecie, bo ich nie ma”. Otoż cały sekret!

Gdy się ta rozmowa toczy, Cyganów reszta znuzona drogą, jak stała, rozłożyła się na ziemi. Starsi pospuszczali głowy, młodsi je podnieśli, przypatrując się wiosce; a dziewczę cygańskie stanęło obok dowódcy w postawie wdzięcznej i zdawało się chcieć czarnymi oczyma zmiękczyć ostro dosyć i nieufnie poglądających wieśniaków.

— No, no! jak ono tam jest, to jest, zawołał Maksym Lach; a wy sobie ruszajcie z Bogiem dalej.

— Ale no, tylko przenocować pozwolenia prosim.

— Jeszcze słonko nie zaszło, dobiejcie się do innej wsi; u nas tu Cyganów nie bywało i bez nich się obejdzie.

Starszy westchnął, zamilkł chwilę, wsparł się na biczysku, podumał, a powolnie głowę podniósł. Podstąpiła dziewczyna.

— A cóż to wam złego mogą zrobić Cygani? odezwała się śmiało, wyraźnie i czysto po rusińsku. Was tu tyle, a nas maleńka kupka: wstydalibyście się obawiać nie wiedzieć czego. W Piątkówce cały tydzień siedzieliśmy, i chwała Bogu nie uciekliśmy z niej, ale nas ludzie pożegnali dobrém słowem i prosili z powrotem.

— Cicho Azaoro, cicho! tupiąc nogą przerwał Cygan: co się tobie w to wdawać? Za wóz mała! a do bab!.. Nie wypędzajcie nas, panie wójcie, a rozmyślcie się: teraz pora robocza, kowal o dwie mile, ciężko wam niejednemu dzień tracić dla naprawy lemiesza lub naradnika, pozwólcie nam przystać; a i my kawałek chleba mieć będziemy, i wy z nas wygodę! Za co u was drugi weźmie złoty albo dwa, ubogi Cygan zrobi za dziesiątkę lub półzłotka, i dzień jeszcze zyszczecie, a to także grosz znaczy. Powietrza wam, ani ziemi, ani wody nie weźmiemy z sobą, a miejsca dużo nie potrzebujemy także. Ot—dodał wskazując—kawałek wygonu, aby namiot rozbić i kociołek powiesić, to dla nas dosyć...

Gdy Cygan słów tych domawiał, gospodarze poczynali kiwając głowami spoglądać po sobie; znać było po nich, że się łakomili na kowala. Sam pan wójt poskrobał się w głowę, kilka razy czapki poprawił, i obejrzał się w milczeniu na swoich, jakby rady szukał.

Aprasz uczuł, że przy nim wygrana, i nieznaczące półuśmiechu prześliznęło mu się po ustach spalonych. Śpiesznie począł mówić dalej, bijąc żelazo póki było gorące... a mówił tak skutecznie, tak zręcznie i trafnie, że wkrótce pomimo wstrętu, jaki wójt miał do Cyganów, zaprowadzono ich na odłóg nad stawem, i tam namiotik rozbić dozwolono.

Cyganom tego tylko było potrzeba: kawałka ziemi do wbicia czterech kołków przenośnego ich domku, miejsca na ognisko i nadziei jakiegokolwiek zarobku. Pierwszego dnia nawet nie rozsypali się po wsi jak to zwykle bywa, kobieta nie włóczyły się po wsiach, Aprasz nie pożyczkał. Ustawiono kuźnię, przyprawiono miech, wbito kowadło i już nad wieczór podkuto konia jednemu chłopowi z wielką jego radością, za bardzo tanią cenę, w której wypłatę wchodził chleb zczerstwiały, obrok dla konia i chuda kura od dawna niepotrzebnie gładząca.

Nazajutrz już robota płynęła do kuźni Cygana; a gdyby się był chciał trzeciego dnia oddalić i namiot swój zwinąć, myślę, żeby go byli chłopci siłą, mocą wstrzymali, tak wiele jeszcze pozostawało do zrobienia, taki ścisk był na wygonie. Prawda, że też *Rom* (Cygane) niesłuchanie był zręczny: konie przedziwnie kuł, kurował i sprawiał, chętnie się wdawał w rozhorwor, nie szczędził rady, a tak wiedział co do kogo przemówić! Na wsi też, jak wszędzie na świecie, temu najlepiej, kto się w porę z sobą popisać umie, i pracą swoją pochwalić, i zalety jej pokazać, a Aprasz celował w umiejętnym pochwaleniu się najmniejszą drobnostką.

— Patrzaj-no—mówił do milczącego i już zawczasu admirującego chłopka—przypatrz-no się, co to za

podkował! Widziałeś ty kiedy w życiu taką? Ot, jaki u twój szkapy róg kruchy i zadzierliwy, a jak ona się tu gładko przylepiła, jakby przyrosła! popatrzaj-no! gdyby rękawiczka! I niezakuty koń nie zakuleje, nie bój się, bo ja nie zagwoźdźę! Podziękujecie, i będziecie Aprasza wspominali.

Słowem wszyscy kowale okoliczni, którzy zwykli byli robić do Stawiska, stracili na raz zajęcie: Cygan wszystkich ku sobie pociągnął. W tydzień wierzono, że nikt na świecie nie włada tak obcęgami i młotem, jak ten cudowny Aprasz; stękano za wczasu myśląc, co to będzie gdy go nie będzie?

Trzeba też przyznać, że postępowanie całej bandy wiele się przyczyniło do tak ochoczego przyjęcia Cyganów. Nie widziano dotąd nic podobnego: szpilka nie zginęła na wsi, kobiety siedziały przy wozach dni całe, ani ich było słyhać. 'Baby same już po leki i po wróżby przywlekały się do nich, ale niełatwo było wymódz oboje: Cyganki były smutne, dzikie, ostrożne...

Po tygodniu, Cygan śpiesząc dalej, chciał zwijać namiot i wóz pakować; ale gdzie zaś! tyle jeszcze złamanych było lemieszów i koni bosych, tyle dla niego zajęcia! Sam wójt go przytrzymawał.

Siedzieli Cygani i siedzieli w Stawisku; a wkrótce tak się dobrze osiedlili, że Aprasz jamę wykopać kazał, darnią ją pokrył, i pod namiotem znalazła się niespodzianie „ziemlanka”. Nikt przeciwko temu nie miał ani słowa, i owszem, cieszo się z kowala włas-

nego, pozbywszy pożyczanych; a z innych wsi nawet szli do Stawisk z naradnikami i siekierami.

Rodzina tych przybyszów składała się, jakieśmy wspomnieli: z samego wodza bandy, z owój kobiety z dziećciem, która się zwała jego żoną, z trojga wyrostków, dwudziestoletniego chłopaka, kilkonastoletniej dziewczyny, oryginalnie pięknego stworzeńka, które miało instynktowe poczucie swego wdzięku, starój baby, posługacza, co przypominał Kalibana poczwarnością, i trzech kobiet nieznanym jakimś węzłem łączących się z rodziną.

Lecz była-li to rodzina? Kto tu ojcem, matką, siostrą, bratem, żoną, mężem?—nie można było z pewnością powiedzieć. Zwali się wszyscy dziwnymi imionami; tylko władza jednego despotycznie rządziła nimi. Dwoje starych nie miało tu powagi swojemu wiekowi właściwej; traktowano ich jak posługaczy, jak dzieci, oni słuchali pokornie. Zresztą nie był to pospolity motłoch cygański, ale coś niby szlachetniejszego grało na ich osmalonych czołach, w oczach czarnych, na mlecznych białkach osadzonych, biła z ich wejrzeń tęsknota, wygnańców, znużenie osieroconych, piętno wyroku dzieci Kaimowych.

Całemi dniami owa niewiasta, żona Aprasza, siedziała z dzieckiem, którego nie spuszczała z kolan, pod rogiem namiotu, milcząca jak posąg, nieruchoma, z oczyma wlepionemi ślepo w drugi róg namiotu, i nie rzekła słowa, nie ruszyła się do jadła, nie zajęła niczem. Czasem mąż zagadał do niej, ale mu nie odpowiadała; przybiegły do niej nagie dzieciaki, nie spojrziała na nie; tylko gdy niemowlę zapłakało, przyciskała je silniej do suchej piersi i dwie prostopadłe zmarszczki przecinały chmurne jój czoło. Stara baba

posługiwała jój w podobném milczeniu, a krępy Kaliban (zwany po cygańsku Cynonem niskim) uwijał się przy kuźni. Trzy kobiety warzyły jedzenie, pilnowały dzieci; młody chłopak z Apraszem stał za kowadłem i pomagał majstrowi, w milczeniu więcej robiąc od niego.

Ostatni, pomimo że w rysach jego twarzy, w oczach i ustach przebijała krew cygańska, wielce się różnił od swojej braci Romów, jak gdyby obcego plemienia pierwiastek, myśli i żądze grały mu w piersi. Włos jego nie miał kruczój czarności i kędzierzawości Aprasza, i spadał w prostych strugach na szerokie ramiona; twarz także była bielsza, oko inaczój wycięte i osadzone, wargi mniejsze i szczuplejsze. Ogół twarzy podłużny, miał coś w sobie typu Rusinów, ale zmieszanego z krwią tułaczy.

Chłopak ten, choć posłuszny rozkazom wodza, choć pracujący z nim razem, nie był mu jednak tak uległy jak inni; często na słowa ostre odpowiadał niemniej żywo, mierzył się wejrzeniem z Apraszem. Starszy w drżącój dłoni młot nieraz podnosił do góry, jakby go chciał uderzyć, i zęby ścinał, i brwi nań marszczył, jak iskry sypały się im słowa... ale po chwili zwada uchodziła, i znowu głuche a przerywane tylko biciem młota następowało milczenie.

Po dniu pracy młody Cygan nie spoczywał z towarzyskami pod namiotem, rzadko sięgał do kocielka ich strawy; z suchym chleba kawałkiem biegł na wzgórze, siadał zadumany, i tam go oblanego rosą wieczorną noc chwytala, sen zaskoczył.

Uparte żony milczenie, częste z czeladnikiem spory, nie uszły oka chłopków, którzy na tę tajemnicę rodzinną dziwacznie spoglądali zaciekawieni i niespo-

kojni. Nawet dla nich, co nie nawykli nic badać i śledzić, czuć było jakiś dramat pełny krwawych tajemnic w węzle, co łączył tych dziwnych włóczęgów. Ta matka, co się zdawała żyć tylko dla dziecka; ten pomocnik, który dawał pracę swoją, a nie chciał oddać naczelnikowi duszy i siebie, ci starzy wreszcie; jak bydłęta spełniający najcięższe posługi, i ta dziewczyna piękna, wdzięczna, zalotna, zdająca się wszystkim a nawet wodzowi panować,—budziły ciekawość i roje domysłów.

Z gromady całej najdobitniej Cyganami byli Aprasz i Aza. Ta mogła mieć lat ośmnaście; i prócz wdzięku świeżej młodości, miała tę piękność nie naszą, dziką, osobliwą, bronzową, ognistą, której próbki widzimy w indyjskich posążkach, w indyjskich malowaniach, zdobiących stare ich poemata. Oczy jój czarne siały ogień, i zdawały się więzić wzrokiem niepokonanym, przed którym każda najśmielsza zniżała się powieka; nos kształtnie zgięty, usta nieco wydatne, policzki jednostajnej barwy ciemnozłocistej, okalały sploty włosów hebanowych, tak obfite, tak ogromne, że niemi i głowa opasana była, i szyja otoczona, a reszty jeszcze splecione, przez ramiona na barki spadały...

Na jój czole, w oczach, ustach i całej postawie szatan czy anioł w kolebce napisał: „Ty będziesz panował!” I szła za swém przeznaczeniem śmiało, pewna jutra; a było coś zadziwiającego w tej nędzy i łachmanach, okrytych purpurowym płaszczem poczucia swój potęgi.

Kibić jój, bo i kibić ma potęgę swoją, wdziękiem przechodziła twarz jeszcze: czuleś pod obcisłymi łachmany, które ją okrywały, że to ciało wykute było ze śpiżu, na wzór jakiś pierwotnych wieków, co się

o ideał postaci ludzkiej otarły. Śliczna jęj nóżka, czarna, ale mała ręka, godne były deptać złociste wezłowia i obwijać się drogiemi tkaninami Wschodu. Na téj piersi lada płócienna zasłona zmieniała się w szatę bogatą, i posłuszna fałdowała się jak najcieńszy rąbek.

A jednak piękność ta nie była powszednią: nie każdyby ją był postrzegł, rzadki się nią zachwyił; potrzeba było poczucia nieśmiertelnych typów piękna, żeby w niej ukryte cudo odgadnąć.

Śmiecie się jeśli chcecie: gmin ją miał za dosyć brzydką młodą Cyganke, a poeta biegłby za nią jak za cudnym zjawiskiem.

Ol umiał się, umiała stroić zalotnica! Białego płótna kawał, pstry rańtuch, pas czerwony, sznur koralu, garść pstrych kwiatów polnych, świecące szkiełka,—wszystko jęj było strojem i wszystko do twarzy. Stawała nad wodą, myślała trochę i obwieszała się coraz inaczéj od stop do głowy w ubogie swoje świecidła; często godzinę tak wdzięczyła się sobie sama, lecz gdy wróciła potém pod szary zakopcony namiot, jaśniała w nim sama jedna odnowioną urodą tak, że Aprasz nieraz podniósł głowę od roboty, ażeby się jęj przypatrzeć, a spojrzawszy, smutnie się uśmiechał czegoś.

Jeden chłopak, dziki ów Cygan, co to z wodzem nieraz się śmiał spierać, ani patrzył na piękną towarzyszkę swoją; zdawało się to w nim raczéj silnym postanowieniem, niżeli dobrą wolą.

Oparta o namiot, w cieniu, błyszcząc tylko czarnemi ognistemi oczyma, Aza śpiewała, lub słowa jak strzałami zatrutemi drażniła i jątrzyła milczącego. Ale te słowa były jak liście, co padną na wodę: woda się zmarszczy, liść płynie, i znowu niebo się w niej przegląda. Tumry—tak zwano chłopaka—nie słuchał, nie patrzył, nie odpowiadał. Czasem się zachmurzył, niekiedy do siebie uśmiechnął, i kuł żelazo jak nieżywy młot, jak posłuszne narzędzie, spoglądając, rybło zajdzie słońce i ogień pod hornem zagaśnie, żeby uciec na góry samemu i z sobą odpocząć.

Aprasz i dziewczyna czasem dzień cały dogryzali mu ostrzonemi widocznie wymówkami, szyderstwem, śmiechem lub łajaniem; on cierpiał, oburzył się czasem na starego, bryzgnął słowem na dziewczynę, lub częściej zmilczał, dobił końca dnia i uciekał. Innego dnia znowu i stary i Aza chcieli go ku sobie pociągnąć piosenką, miódowem słówkiem, długą nauką, lub słodkimi obietnicami: Tumry milczał uporczywie i udawał głuchego.

Wszystko to i wiele innych scen dramatu widzieli nieraz wieśniacy, czekając na swe lemieszce i radła, i pojąć nie umieli, co się tam działo pod tym namiotem wędrownego Tubalkaina. Rozmowy przybyszów gorące, żywe, szybkie, odbywały się wszystkie w tym języku niezbadanym, którego nikt dotąd dobrze nie zrozumiał, nikt się nie wyuczył; bo język ten zmienia się umyślnie, jak wąż barwiąc się coraz inaczej, i jak wąż sunąc pod trawy i liście od ludzi. Któż tam wie, ile krajów, wieków, ludzi i pamiątek stworzyło tę mowę splecioną z dźwięków najdziwaczniejszych! Może w niej brzmią jeszcze wyrazy robotników, co wołali z wierzchołka wieży Babel; może

dźwięczy zakłęcie kapłanów Brahmy lub Ozyrysa może... ale któż to odgadnie?

Był jednak we wsi Stawisku ktoś jeden, co język Romów umiał: Cygan, który za przybyciem swój braci zamknął się w chacie, by ich nie widzieć; ale palony niepokonaną żądzą usłyszenia choć z daleka dźwięków mowy, którą jak sen dzieciństwa pamiętał, nocą się podkradał tajemnie pod szatrę, i godziny całe leżąc na ziemi, pił głos rodzinnego języka, co mu się odzywał to w piosence Azy, to w narzekaniach kobiet, to w rozkazach Aprasza.

Stary Lepiuk w istocie był pochodzenia cygańskiego, ale w nim tylko jego pamięć pozostała, bo się długim życiem przetworzył zupełnie i rzadko kto w twarzy nawet mógł wyczytać ród jego. Ludzie mówili, że dawnemi czasy znaleziono którejś ciężkiej zimy, na drodze między Stawiskiem a Rudnią pod kupą nawianego śniegu, dwoje zmarłych ludzi: był to nagi Cygan i Cyganka. Oboje napadnięci mrozem i zawieją, czując widać zgon swój, ratowali już tylko dziecko, które mieli z sobą; sen śmiertelny ich zmorzył nad drogą skulonych przy kilkoletniem dziecięciu, które ocalało zasłonięone skostniałemi trupami rodziców. Jakiś litościwy gospodarz, okrywszy kożuchem dziecinę, zawiózł ją do wsi, odchuchał, a zmarłych Cyganów pochowano na rozdrożu bez krzyża, i mogiła ich dotąd zasypywana kamieniem i gałęzmi, zowie się: Cygan-Cyganicha. Lepiuk właśnie był owym znajdującym. Ochrzczono go, wychował się w Stawisku, wyrósł na parobka, przejął obyczaj wiejski, mowę, postawę i twarz nawet, zdawało się, że zabył swoich na wieki. Gospodarz, co go uratował, dał mu krewniaczkę za żonę; objął z nią chatę, odziedziczył nazwisko

dochował się dzieci, i wzył się w wioskę jak w swoją.

A jednak, o wspomnień sił! krwi potęgo! cuda nieodgadnione! węzły niestargane! ile razy staremu już Lepiukowi przyszło przechodzić koło mogiły na rozstaju, stał tam długo, i myślał, i wzdychał; a kiedy do wsi przybliżali się Cygani, Lepiuk głowę stracił. Uczuł, że mu się w niej mąci, że stare, zastygłe serce przejechało wzdłuż i w szerz całą pierś, jakby z niej chciało wyskoczyć. Rzucił się do drzwi, zarygłował je sam przed sobą; w nocy nie spał, we dnie chorował. Potem jał od braci Cyganów uciekać, bojąc się ich spotkać, lękając się, by na jego czole nie wyczytali odstępstwa; a nocami wykradał się jak złodziej pod szatrę Aprasza, i stary płakał nad pieśnią, której z początku nie rozumiał.

Język ten jego dzieciństwa był w nim jakby uspio-ny, nie zaś zapomniany; spał on gdzieś w sercu, czy w głowie, a gdy go iskra uczucia dotknęła, przebudził się i powstał. Z razu Lepiuk nic nie rozumiał prawie; był to tylko szum jakiś, szemranie jakieś, jak gdy gwarny tłum jedzie śpiewając pieśń; chwytasz ją już, a jeszcze zrozumieć nie możesz. Potem po jednym—któż wie jaki wyraz spał głębiej, leżał ciężiej przykryty?—z kolei wstawać poczęły słowa, ożywiać się, poruszać, ukazały się jaśniejsze, jedno drugie wiodło za rękę, aż wszystkie do jednego podniosły się, i zaśpiewały starcowi uroczą pieśń młodości.

A stary płakał rzewnymi łzami, i wstydził się swych oczu, i krył z niemi, a boleść i wstyd kamieniem go gniotły. Kochał przeszłość, a bał się do niej powrócić.

On jeden słyszał wśród nocy dziwne rozmowy włóczągów; widywał wybiegającego z szatry Tumrego, wyglądającą za nim Azę, klnącego Aprasza, i czarne oczy jego żony, nieruchomie wlepione w dziecię, którym żyła.

Nieraz, gdy starzy i posługacze usnęli pod wozem na darni, pod namiotem płonął jeszcze ognik i słychać w nim było długo szmer słów, jak iskry z rozżarzonego przyskające węgla.

— Słuchaj Azaoro, to daremnie—mówił raz Aprasz do dziewczyny, która wyciągnawszy rękę, groziła nią po za namiot ku siedzącemu z dala na urwisku gliniastém Tumremu:—trzeba zapomnieć o tym zdrajcy. To krew nie nasza: to krew *Gadziów* (niecyganów) to dziecko mojego brata, ale nie siostry mojej, matka jego była jasnowłosą *Gdzią* (chrześcianką). Daremnie, byle krwi ich kropla zmieszała się tylko z naszą, zwycięża i bierze górę... Wielki duch, *Mroden-oro* (Bóg) skazał nas na wszelakie zniszczenie. Ile razy połączymy się z innym rodem, krew obca zatłumi krew *Romów*. Zostawmy go losowi, który go czeka: niech idzie na złamanie karku, gdy mi odsluży co winien za naukę.

— Al byleście go odepchnęli, to pójdzie! odpowiedziała dziewczyna. Ptaka ziarnem wabią, nie strzałą...

— Małożem go wabił i głaskał? ty i ja?

— Ja może, ale ty nie bardzo; zawsze w nim nienawidziłeś obcego.

— Mamże kochać obcych? szydersko uśmiechając się odparł Aprasz. Dla nas przez nich ani na ziemi kąta, ani kropli wody, ani cienia, ani spoczynku. Powitałże nas kto słowem pocziwém, pożegna dobrém

życzeniem, powie nam kto: bracie?... Wykleci, musimy przeklinać!

— A cóż temu winien Tumry, że się urodził z jasnowłosej matki?

— Winien, nie winien, każdy pokutuje za grzechy cudze; za nasze męczyć się będą wnuki, my za pradziadowskie jęczym...— I kłął nieznanym szatanem.— Słuchaj Aza — dodał — dosyć tych wabień i przyciągań!... On myśli, że się bez niego obejść nie potrafimy i w dumę się wzbija. Znajdziesz innego męża, niech go tam *Bynk* porwie (dyabeł)!

Cyganka uśmiechnęła się, i dwa rzędy białych zębów błysnęły z pod warg rumianych; ale w oku jój nie było uśmiechu... zadrżały jój usta odpowiedzią i zamknęły się milczeniem. W czasie téj rozmowy Cygan po kilkakroć rzucił okiem na kobietę-z dzieckiem, zbliżył się do dziewczyny, i szepnął znowu, wezwawszy *Bynka*:

— Albo ta! albo ta! widzisz ją? i w niej gra krew cudzych ludzi, krew *Gadziów*. Już lat trzy milczy i lży nawet nie puści, i wędruje z nami, a serce gdzieś zostawiła za sobą. Nie! nie! Cyganom się nie bratać z białowłosymi: nasza dola wygnanie, nasz los wieczna włóczęga, a to ślimaki wiecznie do skorupy przykute. Oni się rodzą do jednego miejsca, a skoro je z oczu tracą, mrą powoli...

— Daj jój pokój — odpowiedziała Aza — wypłakała już lży, wyjęczała słowa; pewna jestem, że gdy dziecię od piersi jój odskoczy, ona martwa upadnie...

Aprasz tylko ramieniem ruszył obojętnie, wyrzwał za szatrę, popatrzał na gwiazdy i powalił się na ziemię, jak bryła bez życia.

Aza pozostała na miejscu, patrząc gdzieś daleko.

We dworze w Stawisku mieszkał naówczas młody, świeżo na świat wypuszczony człowiek; imię mu było Adam; a nazwisko... do czegoż wam nazwisko? Puszek ledwie jasny porastać mu zaczynał na wardze i brodzie, dwudziestu wiosen nie pamiętał, budził się dopiero do życia, a już mu ono smakować przestało. Rodzą się tak ludzie w wiekach przeklęctwa, bez sił i ochoty do życia, bez ognia w duszy, bez ciekawości w głowie, bez popędu, bez chęci żadnej, bez zwierzęcego nawet szału. Otwierają oczy gnuśne na świat bezbarwny, i sen obojętny je zamyka; nic ich nie bawi, nic nie rozgrzewa, nic nie pędzi z kolebki pierzem wysłanej na drogę skalistą i krwawą nadziei, pracy i zawodów... Śmierć i życie dla nich równe zupełnie, ludzie bracia obojętni, świat niepotrzebną, spłowiełą dekoracją.

Jednym z takich młodych starców był Adam. Wypieszczono go dzieckiem na martwego człowieka, brakło mu więc teraz ochoty i materyłu do życia. Nudził się śmiertelnie; a że nudy sprowadzają gniew i złość, więc gniewał się i złościł na to, co go otaczało. Cóż winni byli świat i ludzie, że on był tak martwy?

Czasem, kiedy się przypatrzył jak inni wesoło i ochotczo krajali swoją kromkę razowego nawet żywota, zrywał się ze snu i próbował coś począć; ale wnet znużenie odtrącało mu ręce, szerokiemi ziewaniem kończył piosnkę, głowa opadała na piersi i powieki się zamykały. Przychodziły nań także napady myśliwstwa, pragnienie jakiejś krwi chorobliwej, jakaś żądza dziwnej miłości, silnych wzruszeń, bojów, kąpieli ognistej, coby odrodziła, śmierci, męczarni, uczucia... ale te chętki chwilowe przelatowały jak widma i nikły w snach gnuśnych spowite. Adam nigdy nie ko-

chał jeszcze, choć cały seraj dziewcząt ścisnął go kolejno białemi rękoma i oblewał łzami przymusu, choć niejedno może zabiło do niego młode serce.... Bawił się tylko kobietą i nie mógł dotąd odgadnąć, gdzie dla niej bije serce... jak ją kochać można? Nasycony, przesycony, zużyty, odpychał raczej niżeli pragnął nowych prób miłości, przekonany, że był na dnie tego raj, który dla innych wydaje się bezdeennym.

Życie mu się wlekło, wlekło, pełzło tak powoli, że często dzień jak wiek się wyciągnął, a minuta wydała rokiem. I były chwile, że patrzył na wskazówkę zegarka, a nie mógł się doczekać, żeby z miejsca ruszyła.

Jednego wieczoru, po długim ziewaniu, wstał Adam powoli; przyprowadzono mu konia, gotowe były psy i przyjaciele. Odepchnął skinieniem konia, psy i towarzyszy, i poszedł sam pieszo, nie wiedząc dokąd: — żeby się rozchodzić, uczuć, że jeszcze żyje! Los go pędził na wygon ku namiotowi Cyganów. Słońce czerwono świeciło nad zachodem, i ukośne promienie jego, w pasy złote i czarne, jak wschodni kobierzec, stroiły ziemię już w mrokach zacisznych kątków pokrytą rosą srebrzystą... Świat w tych blaskach dziwnych cały się jakoś zdawał odmienny od powszedniego; coś w nim było fantastycznego, uroczego, wspaniałego. Ten wyraz jego oblicza uderzył oko zdrętwiałe Adama; stanął i obejrzał się. Było to właśnie przed namiotem Aprasza.

Przed nim, z rozpuszczonymi włosami czarnemi, siedziała smagła Cyganka, piękna ogniem i młodością: rzekłbyś, że dwa węgle kowalskie płonęły w dzikich jej oczach. Wzrok biednej wygnanki wkra-
dł

się pod powiekę osowiałego chłopca, i Adam zadrzał. Aza spostrzegła to i uśmiechnęła się, aż dwa rzędy zębów jak śnieg białych wypłynęły z pod warg różowych. Zalotnica odrzuciła w tył głowę na ramiona podniosła wzrok, wygięła kibić sprężystą, jak gdyby, ze wszystkimi skarbami swych lat siedmnastu pochwalić się przed nim chciała.

Adam stał, patrzył i poił się; serce mu nawet biło, krew nawet żywiej płynęła: pierwszy raz może w życiu silniej zapragnął — pokochał prawie.

W te suche serca kiedy iskra padnie, to jak pożar na posusze: w okamgnieniu płomień bucha niewstrzymany, niepowściągniony, niszczący. Tak było z Adamem, bo nim się ruszył z miejsca, powiedział sobie: „Ona musi być moja!“ i dodał cicho: „choćbym ją krwią miał zapłacić!“

Ledwie odszedł wolnym krokiem, Cyganka pobiegła z uśmiechem radości do starego Aprasza.

— Słuchaj ojcze — rzekła — słuchaj *dados*, rzuć ten młot, odpoczniej, będziesz mógł użyć wczasu. Dziwne się rzeczy stroją! *Raktora* (dziewczyna) złowiła rybkę!

— A co ci się tam znowu uroiło w młodej głowie? odparł Cygan.

— Co? wiesz? ja się znam na ludziach! Bóg, co nas posłał na wiekuiistą włóczęgę po świecie, dał nam węch jak staremu *szukeli* (psu) szukającemu sobie lekarstwa. My także iustynktem czujemy ludzi, i czytamy w nich lepij, niż oni w swoich książkach. Przed chwilą przechodził tędy koło namiotu *raj* (pan) tutejszj wioski, młody dziędzic wsi, o którym wiesz, co powiadają, że mu woda zamiast krwi w żyłach płynie. I prawda! O biedne chłopię! zdaje się nie

mieć w sobie także i siły do jutra!... A jednak moje oczy go rozgorączkowały. Ol bo też dobrze, dobrze patrzałam na niego, aż zadrżał, aż się zwinął jak wąż, gdy go nogą nastąpisz. I powoli rumieniec trysnął mu na twarz, ręce drgać poczęły; wstrząsł się, poleciał jak szalony.

Klasnęła w dłonie.

— Azaora będzie miała bogate *bucaki* (suknie), złoto na głowie, złoto w warkoczach, pasy czerwone, co zechce!

— O! tybyś się sprzedała, *rakloro*? chmurno zapytał stary Cygan.

— Ja? na wieki, nie... na godzinę, czemuż nie? Wszystko się sprzedaje na świecie, chodzi tylko o cenę. Czego nie kupisz za grosz, można mieć za milion! Serca mu nie sprzedam, ale oko, warkocz i rękę zimną... czemuż nie? czemu nie?

— Wszetecznic! zawołał stary przez zęby—wszetecznic! *Bynka gasina!* (dyable dziecko).

Aza odskoczyła jak piorunem rażona; wzrok jój zapłonął.

— Słuchaj stary! zakrzyknęła groźnie: nie masz jeszcze prawa mnie bezcześcić i *Bynkowi* oddawać; ty nie wiesz co ja myślę. Sprzedam się; ale się nie zwałam, bo to tylko mieć będzie za pieniądź, co daję wszystkim: śmiech, spojrzenie i piosnkę... A ty myślisz, że ja dłużej wytrwam w tych waszych łaćmanach i brudziel! Nie! nie! ja się i wami i sobą brzydzę; ja jestem stworzona na *rani* (panię), do bogactw i dostatku; mnie trzeba sukni, łańcuchów, błyskotek, szkiełek i państwa... A potem — dodała tęsknie się *zamyśliwszy* — gdy ta burza młodości minie, gdy za-

gaśnie co we mnie świeci... ubierzcie mnie w łachmany znowu, pójdę jak pies za wozem posłuszna.

Kowal głową tylko pokiwał, ale w ręku drżały mu obcegi i młot.

— Psia natura! zamruczał — nie może sobie Cygana zwabić, będzie panicza łaskotała. Nie wytrwał Oj młodości! oj młodości!

— Tyś nigdy nie był młodym, odpowiedziała szybko Aza; bo kobiety tylko młode być umieją, a mężczyźni od powicia są starzy. Waszą dolą praca, a naszą śpiew.... Jak śpiewać o głodzie i nędzy?

— Głowa ci się zawraca!

— Zawróciła! krzyknęła tańcząc po namiocie Cyganka. Szaleję, stroję się myślą, śpiewam, bawię. Jutro będę w *khera* (domu, pałacu), jutro będę *rani!* Bywaj zdrów, stary kowalul

Z ociężałym czołem Adam powrócił do domu. W ganku powitały go psy i przyjaciele; on usiadł nie głaszcząc ani ręką, ani słowem, jednych ani drugich. Chmura zawisła nad czołem, oczy nabrzmiały nagle gwałtowną żądzą, i o cudol! chciał, pragnął, kochał! Myślał powrócić nazad, i podać rękę Cygance, i prowadzić ją do swego domu, by chwili żądz nie stracić; ale się wstydził sam siebie, i przyjaciół, i ludzi.

Całą noc walczył jak potępieniec, a ta noc przecię wydała mu się krótką, choć powiek sen nie stulił. Blask słońca oblał go wstydem; począł się śmiać z siebie.

— O! o! panicz pokochał się w Cygance, w czarnej, brudnej Cygance, co siedziała zasmolona w namiocie kowala. Panicz, co mógł mieć na skinienie białą dziewczę ze stolicy, w której bułki i dziewczęta

się sprzedają, zażądał razowego chleba nędzy! To być nie może, niepodobna! wołał do siebie i śmiał się.

Odpędzał myśl, a myśl jak pijawka wpiła się mu gdzieś koło serca, koło głowy, i targała nim bezlitośnie. I rozpadł się na dwóch ludzi, jak to zwykle bywa, gdy nami szarpie namiętność silniejsza od rozumu i wstydu. Jak owi skazani na potarganie dziłkami końmi zbrodniarze, myśmy naówczas rozerwani na dwoje, i jeden z nas szydzi, gdy drugi boleje. W cierpieniu każdej namiętności jest takie człowieka rozdwojenie.

Ku wieczorowi dnia tego wielki gniew opanował pana, i kazał zawołać ludzi, żeby ich spytać, kto dozwolił Cyganom rozgościć się na pustym pod wsią wygonic? Nie śmiał już sam iść do namiotu, ale chciał, żeby namiot przyszedł do niego; i w gniewie, w okropnym gniewie kazał przyprowadzić Cyganów do siebie.

Znowu już słońce zapadło, a Aza siedziała strojna od rana u namiotu, wywdzięczona, uśmiechnięta, a Aprasz z niej szydził niemiłosiernie. Gdy przyszli ludzie po Cyganów do dworu, wójt przestraszony i kilku wylękłych z gromady, Aza aż w ręce klasnęła.

Ludzie patrzali na nią jak na szaloną, bo się obawiali pańskiego gniewu, który dla niej jednej był zrozumiały.

Gniew ten był pragnieniem, bo gniew bywa różny: jest nienawiścią, miłością, żądzą, i jak suknia pokrywa różne postacie.

Aprasz szedł do dworu zadumany, a Aza podśpiewując wesoła, wystrojona, prawie piękna. Ona tak doskonale umiała uczynić się wdzięczną, gdy chciał a tak chciała być teraz piękną i do reszty oczarować paniczal

Ani psów, ani przyjaciół w ganku nie było, tylko sam pan. Aza szła śmiało, prosto do niego, z uśmiechem siły, ze wzrokiem zwycięstwa.

Adam aż uląkł się tych czarnych węgli jój oczu, i zamiast gniewu, blady uśmiech proszący o litość prześliznął się po jego ustach.

— Kto wam tu pozwolił się zatrzymać? Zkądście tu przyszli? spytał po chwili.

— Mój stary nie umie dobrze mówić, szybko występując naprzód poczęła Cyganka: pozwólcie mi się wytłómaczyć... Milcz Aprasz, i dozwól mi się z nim rozprawić — dodała po cygańsku.

To mówiąc, przystąpiła bliżej, przysunęła się pod ganek, przełamała główkę na karczku gdyby ptaszek, podparła ją dłonią, i wlepiając węże oczy w młodzieńca, coś cicho, niezrozumiale, jakby zakłęcie mruczeć poczęła. Adam chwilę popatrzał, chciał się odwrócić, czując, że wzrok Cyganki szarpie mu coś głębiej w piersi, niż dotąd kiedykolwiek czyje wejrzenie i słowo.. ale już było za późno. Zręczna dziewczyna miała go już w sieci: spuścił głowę milczący, bezsilny, opętany...

Nazajutrz Aza była we dworze, a Cygani z kuźnią na wygonie; ale Azy ani poznać! Czarna Cyganka wstała pod dachem pańskim królową bajeczną z nad brzegów Indu, marą z poematów sanskrytu, i brakło jój tylko może kwiatka Lotusu w ręku, by wyglądała na bóstwo Lakszmi, na krewniczkę Wisznu i Brahmy.

Adam u nóg jój leżał, a na ramionach młodziana spoczywały dwie nóżki upięściowane, różowe, dep-

cę poganina, niewolnika. Co było szat bogatych, szat starych po pradziadach i prababkach; co było świętości w domu po bohaterach umarłych, bezdzietnych: wszystko to teraz stroiło dziecko włóczęgów, obwieszane złotogłowami, perłami i muślinami. Najmniejsze puchy otaczały jój ciało, najwdzięczniejsze wonie kołysały się nad nią w powietrzu. Psy i wczorajsi przyjaciele stali w sieni; Adam dni całe, tygodnie, leżał sam u stop czarownicy.

A dzień sam upływał w osobliwszém zajęciu: ona patrzyła, on słuchał. Czasem szyderskim uśmiechem uderzyła go jak sztyletem, to znów połyskała wejrzaniem: rzekłbyś zapaśnik, co walczy z przyswojonym dzikim zwierzem. Adam gorzał; ona się śmiała z niego, i codzień pragnęła więcej, postępowała zachwalój, stając się dumniejszą i dzikszą. W miarę jak była pewniejsza siebie i swego panowania, gniotła go nielitościwiej.

Biedne skarłałe dziecko wielkich pradziadów! Co to był za widok! W tym dworze jeszcze świętą, pocziwą woniejącym stęchlizną, ten dzieciuch wielkich rodziców, w komnacie ubłogosławionój pracą i boleścią ojców, u nóg włóczęgi, którą ustroił w pamiątki poszarpane, w pokalane świętości!! I ściany nie zatrzęsły się nad nimi, i stropy nie załamały się, nie zapadły podłogi!! Tylko wszystka woń przeszłości uniosła się w przybytku tego gdzieś daleko pod niebiosa.

Aza zwycięzka żyła tylko swoim tryumfem; jój nic więcej nie było potrzeba nad widzenie się piękną, nad przeżycie chwili żywotem bogatych, którego nie kosztowała, nad upojenie się jakieś zwierzęce wszystkim co poi. Ten mężczyzna leżący u nóg jój, błądy, schorzały, zmęczony, którego piekła gorączka żądry

bezsilnej, nie wzbudzał w niej nawet litości. Było to dziecią boleści, co przywykło mężczyznę widzieć pracownikiem i mężem; przypatrywała się więc temu karłowi z ciekawą jakąś pogardą. Czasem śmiała się z niego, lub spragnionemu rzucała tylko jak psu kość, uśmiech dwuznaczny.

W nim miłość wrzała z gniewem, ale nie miała tyle siły, aby obojgiem wybuchnąć; paliły go wewnątrz tylko.

Aza latała i bawiła się wszystkimi fraszkami, które próżnowanie, zbytek, przepych, fantazyja nagromadziły w starym domu. Codzień potrzeba jej było nowego stroju, nowego cacka, nowego jakiegoś zajęcia; za wszystko płaciła tylko dziwnym swoim uśmiechem i dziwniejszém wejrzeniem czarnych oczu. Adam nawet zimnego nie dostał od niej pocałunku, — tak dziewczyna dobrze wiedziała, że jej potęgą była żądza zużytego młodzieńca, co mogła w pierwszym uścisku zagasnąć. Dmuchała w tę iskrę oczyma i usty, pielęgnowała ją i żyła, żyła szybko, ogniście, piersią całą, jak się żyje snem rozkosznym, z którego człowiek co chwila lęka się obudzić. Chciała spróbować wszystkiego, dotknąć, spożyć co tylko było pod ręką w tej szybkiej godzinie jej doli; a ile razy łachman zrzucony przypominała sobie, dreszcz ją przebiegał, i jak struś zamykała oczy, by przychodzącego niebezpieczeństwa nie widzieć.

Długo tak trwać nie mogło, a trwało jednak dosyć długo... Dziewczyna paliła zwiędłego panicza na żar i popiół; on się zżymał, ale czując życie w sobie pierwszy raz od dawna, nie wrywał się z niego-

Aza myślała o jutrze, o brudnej szatrze cygańskiej, o starym łachmanie, który zrzuciła jak wąż przyodziewający się na wiosnę, o życiu niedostatku i gólego nieba; myślała, walczyła z sobą...

Tu ją trzymały błyskotki, tam pociągała cygańska swoboda... Cztery ściany malowane zamykały niewolnicę, a przez okno widać było zawsze jedną, smutną, ciemno-zieloną gałąź świerka, co się uwiesił przy dachu dworca. Nie czuła wiatru, który tylko świstał, szumiał i huczał w kominach; nie piła powietrza żywego, które latało około domu; nie biegła ku nieznanemu, jak przywykła: i tęskno, tęskno jój było ku wszystkiemu dawnemu, nawet już trochę ku nędzy.

O! któż ludzką pojmie naturę i ludzkie przeczyta serce? Często najsprzeczniejsze chwycą je żądze i szarpią, a obie tak nam drogie, że żadnej z nich odpędzić nie mamy siły. Tak było z Azą. Tu ją cieszyły i bawiły miękkie poduszki dostatku i strój bogactwa; tam ciągnęła tęsknota po bożym świecie szerokim. Bo to było dziecię *Errumanselów* (Cyganów), wygnaneńców bezdomnych, wyrosłe pod skrzydłami burzy, wykołysane wiatrami, opalone od słońca, myte rosą poranną; i jemu wędrówka jak bocianom rozwijała skrzydła, od gniazda pędząc do gniazda, zawsze w tęsknocie do czegoś nieznanego.

W tydzień Aza płakała: chciała ulecieć, bo czuła, że więdnie, że tęskni, że zamiera; a żal jój było błyskotek, wdzięku, który jój dawały, i życia, którego skosztowała. Kochanek blady, zmęczony, zesłabły, był dla niéj pogardliwą istotą, i brała ją litość nad nim, lecz jeszcze więcej obrzydzenie; po dotknięciu téj ręki wyschłój w próżnowaniu i rozpuście, ocierała dłoń

swoją jak po ślinie ropuchy. Adam milczał, palił się, kochał — ale żył.

Jednego wieczoru pokazał się księżyc z za drzew, i Aza ze drzeniem pobiegła do okna. Gdy jój nocna gwiazda zabłysła, roztworzyła szyby, wlepiła oczy, wychyliła pierś na wieczorne powietrze. Księżyc ten srebrzysty przypomniał jój wszystkie od dzieciństwa wędrówki po świecie, i zdawał się wzywać do nowych.

— Co ci jest? spytał Adam.

— Co? z szyderskim odpowiedziała uśmiechem, ledwie zwróciwszy się ku niemu: albo to ty panie zrozumiesz? Żał mi nędzy, chłodu, głodu i włości mojej; bośmy widać przeznaczeni na wiekuiste błaganie się po świecie... Prawda, że ci to niepojęte, żeby tęsknić można do czarnego chleba, do czarnej doli i do wędrówki bez końca? Mówią ojcowie nasi, że w kraju, z któregośmy wygnani, cześć oddawano ptakowi, który i do was zalata... Patrz, oto jego gniazdo na tém drzewie. *Cierik* ten (ptak) zowie się u was bocianem... Bocian w podaniu cygańskim jest przekętym jak Cygani.

— Coś ja ciebie doprawdy nie rozumiem, dziewczyno! rzekł ziewając Adam.

— Poczekaj, zrozumiesz może. Bocian, jak my, nie ma swojej ziemi. Dawno, dawno, lat temu tyle, ile ziarn w wydmie piasku, co gwiazd na niebie zimowém — wielkie było na ludzi nieszczęście. Ludzie naówczas jeszcze byli wielką jedną rodziną, ale ją już toczyły robaki... i Bogu nie upodobało się stworzenie jego, *Mroden-oro* chciał je zniszczyć całe. Między synami ludzkimi był tylko jeden z rodziną siwo-brody starzec, którego Bóg przeznaczył na odnowienie rodzaju; starzec ten zwał się *Noa-oro*. I ka-

zał mu Bóg budować statek wielki, w którymby się mogły pomieścić wszystkie zwierzęta ziemi po parze i trochę ludzi wybranych. Kiedy się niebieskie otworzyły wrota i wody potokiem łać się poczęły na ziemię, uchodziło co żyło do wielkiego statku, i co żyło zegnało swoją matkę ziemię wejrzeniem żalu i tęsknoty. Nie było oczu, coby nie zapłakały, rozstając się z kątkiem rodzinnym; jeden tylko bocian wszedł do statku z żabą w pysku, nie obejrzawszy się nawet na gniazdo swoje. *Mroden-oro*, co patrzył z wysoka, przeklął go za tę nieczułość i skazał odąd na wieczną tęsknicę. Gdy potem wody osiąkły, bocian rozpoczął wiekuiłą wędrówkę od jednej do drugiej ziemi, bo Bóg tak uczynił, ażeby zawsze jednej żałował i po jednej płakał.. Ten bocian, to Cyganie paneńku — dodała dziewczyna. Tęsknimy zawsze, idziemy wiecznie, i nigdzie nie ma dla nas ojczyzny i spoczynku.

To mówiąc, wstrząsła się Cyganka i rzuciła się ku drzwiom, jakby chciała uciekać; ale Adam rozwartemi zatrzymał ją rękoma.

— Ty musisz zostać ze mną! zawołał.

— A czemuż ty za mną pójść nie masz? odpowiedziała dumnie Cyganka. Tyś mi ani miły, ani potrzebny; jam potrzebna tobie. Ofiarą być nie chcę: bo gdybym nawet wlała w ciebie wszystką młodość moją, jutroby w tych lodach skrzepla i zagasała.

— Ale ty nie pójdziesz! wrzasnął Adam z rozpaczą prawie.

— Nie, nie dziś jeszcze — zimno odpowiedziała Aza. Gdy księżyc dojdzie pełni, *ciomut-oro* (księżyc) wskaże drogę... mówię ci, że wówczas pójde, i pójde.

Tak było we dworze, a pod namiotem Aprasza jak dnia pierwszego, rozlegał się młot, przekłętwa i swary. Niewiasta z dziecięciem u piersi siedziała nieruchoma, chłopcy nago latali po wygonie, Tumry o zachodzie uciekał z pod szatry. Jednemu Apraszowi tęskno było po czarnych oczach Azy, po jój wesołej czy tęsknój piosence, i po szyderczych jój rozmowach.

A ze wsi biedny stary Lepiuk, w którym kipiała krew *Romów*, co noc chodził pod namiot braci, by słuchać choćby dźwięku głosów, które z niego wychodziły, i pić język zapomniany od dzieciństwa. A w jego chacie na przyzbie, zadumana, na łokciu podparta, siedziała wieczorami długimi córka jego Motruna, i czegoś ciągle aż po za wieś poglądała. Motruna miała lat siedemnaście i niepodobna była do dziewcząt wiejskich, tak, że kiedy między niemi szła do cerkwi, to ją poznać wśród nich było można, jak lśniące ziarno hreczki w kupce złotej pszenicy. Zmieszła się na jój licu krew potępionego ludu ze krwią słowiańską, w jój sercu łagodność i miłość spokoju z tęsknotą i wiekuiłą trwogą wygnańców. Była piękną jak Cyganka, a miłą jak Rusinka; i gdy z jój oczu błyskał żar Południa, z ust śmiało się życie Północy, białe i jasne jak śnieg. Córka Lepiuka była jedną z najpiękniejszych we wsi, i jedną z najdumniejszych; jakby wcześniej na czole napisane nosiła, że więcej przecierpi od wielu i mężniej niż rówiennice. Nie lubiła śmiechu, ani tańca, ani nic co weseli dziewczęta; nosiła w sobie przyszły smutek, jakby pączek nierozwinięty. Nigdy jój nikt w taniec nie wywołał, ani pieśni wesołej wyuczył, a najmilszą zabawą jój bywało usiąść na wysokim pagórku

i patrzeć daleko, daleko, jakby ją ktoś z drugiej połowy świata wołał.

Matka jej umarła dawno, ojciec niewiele na nią dotąd patrzył, choć kochał; bracia, że byli jasnowłosi po matce i weseli, i żywi, tęsknicy jej nie rozumieli. Dla niej męką było w chacie wysiedzieć długo; często płakała, czując się przykutą do przyźby, a gdy przyszło iść po wodę, to leciała do najdalszej studni, byle nieznaną jakąś splondrować ścieżynkę.

Jednego wieczoru idąc z wiadrem, Motruna spotkała Tumrego błakającego się po wzgórzach, i raz tylko na siebie spojrzeli — a nie wiem czemu odtąd o sobie nie mogli zapomnieć. Tumry był tyle hardy, że nie chciał zbliżyć się do dziewczyny, która go mogła ze wzgardą odepchnąć; Motrunie brakło mężstwa, żeby go sama zaczepiła. Ale silniejsza od nich obojga wola losu i potęga rodzącego się przywiązania, sprowadzała ich ciągle, stawiając naprzeciw siebie. We dnie często droga wiodła Motrunę około cygańskiej szatry; wieczorem Tumry błakając się, mijał codziennie chatę Lepiuka. W jego sercu rodziły się razem dwa uczucia, które często są z sobą w koniecznym związku: przywiązanie do dziewczyny, i potrzeba, żądza przykucia losu swojego do kątki, na któryby się zlać mogła część miłości wezbranego serca.

Tumry nigdy nie lubił włóczęgi, a teraz bardziej niż kiedy wzdychał do własnej chaty, do własnego ziemi kawałka, z którego by go bicz włóczęgi nie spędzał. Marzył on o domu, o żywocie przy ognisku, o spokojnej śmierci pod swoją strzechą.

Tymczasem rosła w nim zarazem i miłość ku Motrunie, a w sercach obojga choć milcząca, równą już

była. Brakło tylko jednego słowa, jednego skinienia, żeby ten związek tajemniczo poczęty, na wierzch wypłynął. Spotkali się raz za wioską; ona szła z głową spuszczoną z pola, on wybiegł z szatry rzuciwszy młot, na świeże powietrze i ciszę nocną. Nad wsią unosiły się wyziewy dymów szarych, jesienne opary i woń żniwa; tęsknota na siwych chmurach wisiała nad nimi. Spojrzeli ku sobie, ale tak już znajomo, serdecznie, bratersko, jakby lata przeżyli z sobą. Motruna niosła naręcze suchych gałęzi, pod którymi się ugiwała. Tumry pożałował jój znoju!

— Ej! rzekł zbliżając się: gdybyście mi to do waszej chaty zanieść pozwolili, lżejby wam było...

— Ależ wy idziecie w przeciwną stronę?

— Ja nigdzie nie idę.

— A biegliscie?

— At! na powietrze! żeby odetchnąć! Nałykałem się dosyć iskier i dymu.

— Toście się i wy zmęczyli?

— Ej! nie!

To mówiąc, wziął Tumry gałęzie, zarzucił lekko na ramiona, i zrobiwszy w ten sposób znajomość z dziewczyną, poszedł z nią razem ku wiosce. Wieś była niedaleko, ale czas! czas! to niepojęta zawsze zagadka: w krótkiej chwili można całą wypowiedzieć duszę. Co oni tam wypowiedzieli sobie!?... cały żywot i wszystkie nadzieje!

Gdy się zbliżyli do chaty Lepiuka, Tumry i Motruna byli już doskonale znajomi. On wiedział wszystko, co był powinien; ona znała całą przeszłość Cygana. W marzeniach i rozhovorze doszli tak do podwórka, i już Motruna przypomniawszy sobie, że

ojca tu zastać mogą, chciała odebrać swój „oberemek,” a Tumrego odprawić, gdy głos donośny przeklątwem ich obudził oboje. Lepiuk stał oparty o wrotka z fajką w rękę; patrzył, i takim srogim wzrokiem mierzył córkę i jój towarzysza, że w Motrunie serce zastygło ze strachu.

— Ho! ho! zawołał stary: co to ty sobie myślisz, włócząc się po nocku z Cyganami! Patrzącie-no ja! A i tyś śmiały, odartusie, żeś się już do gospodarskiej córki przypytał! Co to się znaczy?

Tumry cały się oblał krwią i zimnym potem, a Motruna już była znikła przez przełaz, uciekając przelekła i zmieszana, gdy się zebrał na odpowiedź:

— A cóż to tak wielki grzech, żeś waszjéj córce pomógł?

— Obejdzie się bez tych posług! drwiąco zawołał stary, ale ze złością źle pokonaną. Ruszajcie sobie swoją drogą, a nie róbcie tu znajomości, bo się czasem poznać możecie z kijem dębowym, który stary Lepiuk trzyma na córkę i na nieproszonych gości.

To rzekłszy, odwrócił się stary cały drżący, i wytrząsając popiół z fajki, mrucał pod nosem:

— Ha! tego mi tylko brakło, żeby się znowu krew cygańska do mojej przyplątała! Ej! *Bynka ciawa!* (dyabli syn), potrzebajcie, już się powąchalil! Ale ja to Motrunie wybiję z głowy! Taki krew krwią: — Cygan jój pachnie! Nie można się wytrzeć z tego cygaństwa; tyle lat pracuję, żeby ludzie o niém zapomnieli, a tu mi ono znowu włazi w drogę. Trzeba wcześniej zaradzić; a to powiedzą, że Cygan stary umyślnie ją swojakowi poswatał. O! o! niedoczekanie wasze!

I biło staremu serce. Wpadł do chaty, gdzie już córka około pieca się zwijała, zasapany od gniewów ledwo hamowanych.

— Słuchaj-no, Motruna! słuchaj! nie odwracaj się i nie udawaj mi, że w garnku głowę chowasz i uszy. Ze mną żartów nie ma. Co tobie do Cyganów? co Cyganom do ciebie? Będzie źle, mówię, że będzie źle; ja tego nie zniosę. Ty gospodarska córka, a Cygany ci pachną.

Chwilę milczała dziewczyna, aż nareszcie podniosła głowę.

— A cóż to tak złego—odezwała się po cichu— że się przyczepił?... Jam go nie prosiła o to.

— To go było odprawić.

Ruszyła ramionami.

— A jak mi i pomógł, to cóż się złego stało?

— Patrzajcie jaka mądra! ona mi tłumaczy! A wiesz ty, głupia głowo, od czego się złe zaczyna, i jak się najlepsze kończy? Nie, dziś się nic nie stało, ale jutro już byłby ci znajomzy i poufalszy, pozajutrobyś tęskniła; a kto wie, możebym cię potem kijem za nim z chaty wyprosił!

Dziewczyna milczała.

— Ej wara!—dodał Lepiuk rzucając się na ławę— wara od takich znajomości! Z Cyganem nam nie ma drużby; on jutro pójdzie w świat jak dziki zwierz,— a jak plamę po sobie na nas zostawi, staremu ojcu na siwe włosy! Nu! nu! Motruno, pilnuj się! ja nie daruję! ty mnie znasz.

W kilka tygodni, właśnie gdy we dworze już królowała Aza, Motruna i młody Cygan zbiegali się na

wzgórzu za wioską, ale ostrożniej, odględniej, tak, że ich ludzkie nie dojrzało oko. Motruna pomimo bojaźni ojca, szła za dolą swoją; Tumry już był w sercu postanowił nie opuścić Stawiska i pozostać tu, gdy Cygani odejdą dalej. W nędzy, niedostatku, upodleniu rzadkie są gwałtowne namiętności: im także potrzeba słońca, swobody, spoczynku; ale gdy trafem zrodzi je serce, co o sobie nie wiedziało, buchają straszne, gwałtowne, niepohamowane. Nic ich już nie złamie, bo cóż zagrozić może temu, co wszystkiego spróbował i doznał? W naszych salonach często wąta miłość nie oprze się wrażeniu, jakie robi suknia wytarta; nie oprze się myśli, że kochać się będzie trzeba w lichym domku, w pracy, bez liberyi i bronzów: tam nic nie przeraża, nawet cielesne męki głodu, chłosty i żebractwa. Nasze przywiązania są jak kwiaty oranżeryjne: nie wytrzymują ani ostrego wiatru, ani przymrozków; chłopska miłość—kwiat rzadki, kwiat co w sto lat raz zakwita, ale przetrwać umie burze, chłód i boleść, i uragać się przeznaczeniu.

Takiem wyjątkowem przywiązaniem był związek tych dwojga istot: w Motrunie przemogło ono nawet bojaźń ojca; w Tumrym nawet myśl, że dwie nędze sto razy są cięższe od jednej. Oboje nie zaklinając się i nie przysięgając, pewni już byli, że zwyciężą i ojca, i ludzi, i nędzę.

Gotowość obojga na wszelkiego rodzaju ofiary była jakby potrzeby ich przecuciem; poczęły się one szybko następując po sobie i nie dając opamiętać się dwom biednym istotom, których miłość podwajała poświęcenie. Nic nie ma skuteczniej podniecającego to uczucie, nad tak zwane w języku starych romansów

przeciwności; niejedna skłonność gwałtowna im winna rozwinięcie swe i siłę. Przeciwność drażni i pociąga człowieka.

Dość długo Aprasz i jego gromadka stali obozem na wygonie pod Stawiskiem; kuli póki było co kuć, a resztę czasu spoczywali, i ośmieleni, kręcili się po wsiach i bliższych osadach. Aza tymczasem królowała we dworze, a Tumry latał za piękną Motruną.

Jednego wieczoru jesiennego, pod otwartém oknem dworu zjawił się stary Cygan z brwią namarszczoną i wejrzeniem surowém. Z okna tęskna, posmutniała, blada i zmęczona wyglądała piękna Cyganka z zalzawioném jakoś okiem. Patrzała ona w księżyc i dumala; Adama przy niéj nie było.

— Słuchaj Aza, a długo to tego będzie? zapytał stary z uśmiechem szyderskim, pełnym gorczy.

— Alboż ja wiem? tęskno odpowiedziała dziewczyna. Mnie tu nic nie trzyma za serce, a odlecieć jakoś trudno. Ot tak jakoś, jak gdy czasem w podróży człowiek trafi na *kaszt* (drzewo), i wysiedzi pod niém na murawie miejsce wygodniejsze, to mu się z niego wstać nie chce. Nie wiem co się dzieje ze mną: chwilami tęsknię do naszej włóczegi, do *Romów* włóczegi; to znowu boję się nędzy naszej, i żal mi tego cichego dachu, pod którym tylu ludzi i porodziło się i pomarło! Kto wie? coś jest co sprzęga miejsce i człowieka: jam już zatęsknić gotowa! tęsknić do was, gdybym tu została, do tych ścian szarych, gdybym od nich odeszła.

— Popsułaś mi się Aza, popsuła; mówisz to nie po cygańsku, rzekł grożąc Aprasz. A nam czas

dalej, bo zgnusniejem, i nie ma już tutaj co robić; wszystek *trast* (żelazo) wykuty.. Kto wie, może ci już żal twojego panicza?

Stary rozśmiał się z gniewem stłumionym.

— A może i żal — odparła dziewczyna spokojnie dumając — choć doprawdy, wierz mi stary, chyba litość tylko i żal. Biedne to stworzenie, któremu świata nie ma jak ślepemu z urodzenia; on już swoje przeżył nim mu broda porosła. A takie to zgnędniały, tak biedne, tak schorowane i nudne! Co on poczynie, gdy mnie nie będzie?

— Co? znajdzie drugą! rzekł stary ruszając ramionami.

— Takięj drugieję nie znajdzie! zawołała trzęsąc głową, Cyganka. Jam go zrozumiała, jam go umiała trzymać na wodzy i podniecać, a kto inny nie potrafi.

— Al myślałabyś z nim zostać! przerwał Aprasz z błyskiem oka, jakby zgadywał dziewczynę.

— Ja? zostać tutaj! tu! Ojczel ej, jak bo wy mnie nie znacie!... żywo obruszyło się dziewczę. Zostać z tym trupem zamkniętą między czterema ścianami, żeby mnie jutro wygnać, gdy dla niego nie będę ciekawością i potrzebą? Oj nie! nie, stary! Zrzucę ja te świecełka i pójdę w świat z wami. Życie mi to dojadło; dzień do dnia tak podobny, jak dwie paciorki; godziny wloką się jak konie kulawe; człowiek czuje, że drętwieje i usypia. A jednak — co powiesz stary? — żal mi będzie i téj chaty; poniosę ztąd z sobą dumę w świat, dumę długą, długą aż do starości może...

— Oj dziewczę! dziwne z ciebie stworzenie! poikiwał głową Aprasz. Jam nigdy nie wątpił prze-

cię, że gdy namiot zwinę a *kakabię* (kocielek) na wóz włożę, ty wylecisz ze dwora i pobiegiesz boso za nami: boś ty prawa *Romów ciał* (cygańska córka). Gorzej podobno z Tumrym!

— No? a co się z nim stało?

— Tydzień jak mu ostatni rok czeladnictwa wyszedł, i porzucił szatrę, nie kiwnąwszy mi nawet głową za *mandru* i *toń* (chleb i sól), za przytułek i naukę.

— Poleciał sam w świat?!

— O! nie: pokochał się tu podobno w dziewczynie ze wsi, i czeka tylko naszego odejścia, żeby tu stałe osiąść. Jemu nigdy nie smakowała wędrownka: ma taki białą krew w sobie, korci go osiąść i drzemać. Ale nie tak mu łatwo pójdzie jak on sobie myśli. Ojciec dziewczyny, sam podobno *Errumansel*, za nic mu córki nie da, i zaklął się na siwy włos swój, że póki żyw, nie pozwoli na małżeństwo. Dziewczyny uprowadzić nie może, bo gdzieżby z nią sam poszedł? Zginie Tumry jak *szukela* (pies).

— A szkoda go, stary! Oj! szkoda nam!

— Szkoda? co za szkoda? Chce przepadać, niech łbem idzie na dno. Nam ciężiej będzie bez jego rąk, ale lżej bez jego złości i uporu. No! i ty Aza gotuj się w drogę. A żebyśmy biedy nie mieli, żeby nas nie gonili: porzuć tam co ci twój panicz podarował, ubierz się w swoje łachmany, i dalej w świat!

— Tak! w świat! w świat! dalej a dalej! powtórzyła Cyganka, kryjąc twarz w ręce splecionę. Zawsze dalej a dalej bez końca, do ostatka, do śmierci i po śmierci nawet...

— El babo! *egaszi!* (kobieto)—krzyknął Aprasz—nie stęka! Wstydzilaś się! Tyle twojego, coś dzień

jaki nędzny odkradła; dosyć stać i w puch wrastać.
W drogę! w drogę!

— Jutro! żywo odpowiedziała dziewczyna, zamykając okno — jutro!

— Tak! pamiętaj! jutro!

Nazajutrz z rana jeszcze Aza była we dworze pana Adama, a już szatra Cyganów znikła z wygonu; już *werden* (wóz) ładowano, dzieci dźwigały kocielki i młoty, podając je staremu, kobiety zwiżyły *plasty* (kołdry, pokrycia), a milcząca matka patrzyła na te przygotowania suchém okiem niemój, obojętnój rozpacz. Stare baby, piszczały i krzyczały, kręcąc się koło niej.

Z wierzchołka dalekiego wzgórza Tumry przypatrywał się tym przyborom z dziwném w sercu uczuciem. Nie żał mu było starego Aprasza i Cyganów, jedynej rodziny na szerokim świecie; a jednak w chwili rozstania, kiedy już miał pozostać całkiem sam z sobą tylko, czegoś biła krew do skroni i rzucało się serce ściśnione. Przyszłość stawała przed nim czarna i pełna strasznych tajemnic, jak jesienna noc burzliwa, w której głębiach świszczą tylko wichry i miotają się szatani. Tumry przecię postanowił tu pozostać: bez kawałka chleba, bez chaty, bez przyjaciela, dla jednej dziewczyny, której ojciec z daleka mu nawet na nią spojrzeć nie dozwalał.

— Co będzie jutro? pytał sam siebie, zasypiając pod gołém niebem u tarniowych krzaków w jarze — co będzie jutro? Umrę z głodu może, będę schwytany jak złoczyńca? Kto wie? lub wywalczę cierpliwością gdzieś róg słomianego dachu i kątek spokojny?

Nadzieja obiecywała niewiele, bojaźń przestraszała marami, ścisnął żal po odchodzących; lecz Tumry nie ruszył się, gdy cygański *werden* zaskrzypiał, tylko oczy zakrył i pograżył się w sennéj jakiegóś zadumie co nie była ani jawą, ani marzeniem, ale czémś do obojga podobném.

Werden (wóz) był już u końca wioski, gdy przez ogrody i pola przyskoczyła ku niemu zdyszana Aza, w dawnym swym stroju cygańskim, zarumieniona pośpiesznym biegiem, milcząca czégos i gniewna.

— Jesteś? rzekł Aprasz z uśmiechem. Zwątpilem o tobie.

— Jak widzisz, stary; ale miéjże litość, ruszajmy co żywiéj, coś mnie nazad ciągnie, obejrzeć się nie mogę; tęskno mi, ciężko mi. Oj! w drogę! w drogę z piosenką cygańską! daleko a prędko!

— *Egaszi!* mruknął przez zęby Aprasz, zacinając konia. No! samaż zanóć piosenkę wesołą, zakryj głowę, zakryj oczy, a jeśli i to ci nie pomoże, nachyl blaszanki, wypij *targimom* (wódki), to ci serce rozpowie...

— A Tumry?

— Psi syn! krew *gadziów!* został tam gdzieś ze swoimi; niech go robacy strawią!

Tak półsłowami rozmawiając, spuścili się Cygani w jar głęboki, i wioska znikła im nagle z oczu. Aza szła żywo przodem; nie oglądając się za siebie, milcząca i jakby lękająca się pogoni, coraz jeszcze przyśpieszała kroku, tak, że za nią reszta bandy ledwie zdążyć mogła.

Nagle droga zatętniała, zakurzyło się, zahuczało, i mijając wóz Aprasza, konny jakiś przyskoczył do

śpiewającej Cyganki, która nie krzyknęła nawet, gdy ją za ramię pochwycił.

— Co to jest? odezwał się głos drżący i ochryply Adama — co to jest Aza? powiedz mi, co to jest?

— Co? odwracając się obojętnie zawołała Cyganka — a co ma być? idziemy dalej!

— Ty idziesz z nimi?

— Chciałeś może, żebym w téj klatce waszój została?

— Ale ty nie pójdiesz!

— Ja! a dla czego?

— Bo ja cię nie puszcę.

Uśmiechnęła się dziko dziewczyna.

— Jakiem prawem?

— Tyś mi obiecała zostać!

— Nigdy! nigdy! A po cóżbym tam została? dodała zatrzymując się. Żebyś mnie za pół roku, czy za tydzień wypędził, albo rzucił jak ogryzioną kość któremu ze swoich lokajów, jak było z innymi?

Adam osłupiał.

— Ja ci dam — rzekł zdyszany — ja ci dam co zechcesz...

— O! o! kręcąc głową poczęło dziewczę: a jeśli zechcę ślubnego pierścionka?

— Ty szydzisz!

— Widocznie; ale gdybym go zażądała?

— Tego żądać nie możesz, bo wiesz, że ci dać nie mogę...

— Ja też nie chcę ni ciebie, ni twego pierścionka, ni domu, ani nic w świecie... Ty myślisz — dodała goręcej, z okiem jak żar płonącym — ty myślisz, że ja bym wyżyła tam w twojej *khera* (domu), w téj klatce, zamknięta jak niewolnica? O! to życie nie dla

mnie: dla was pieszczochów, dzieciuchów, starców bez... krwi i serca... Dosyć mi było spróbować... Bywaj zdrów panie! Aprasz! zacinaj *grami* (konia)!

Cygański *werden* zaskrzypiał, Cyganka puściła się przodem, a pan Adam pozostał jak wkuty do ziemi, 'blady, gniewny, bezsilny, przewracając w głowie myśli suche, jak liście jesienne, żółte, zimne i nieżywe...

Nareszcie ziewnął szeroko, zawrócił konia, i stępo, coś mrużąc pod nosem, pociągnął powoli ku staremu dworowi swojemu.

Tumry pozostał sam jeden, zmuszony w początku ukrywać się przed Lepiukiem, który wyszpiegował, że chłopak od swoich odstał i około wsi się błąka. Szczęściem dla zbiega, kowal był taką dla wioski potrzebą, że o jego bytności i ochocie osiedlenia dowiedziawszy się kilku gospodarzy, wpadło na myśl, by go w Stawisku zatrzymać. Widzieli oni, że Tumry był prawą ręką Aprasza i bardzo zręcznym rzemieślnikiem; uśmiechało się im, że go u siebie trzymają: poszli więc do pana do dworu z prośbą i powiedli z sobą chłopaka.

Ale pan Adam klął właśnie wszystkich Cyganów świata, i poprzysiągł zemstę całemu plemieniu *Romów*. Poselstwo przyszło nie w porę; odprawił je więc klątwą i gniewem, tak, że Tumry cały drżący wyszedł ze swymi opiekunami.

— Po wszystkiém! po wszystkiém! zawołał na progu. Nadzieja stracona: albo się powiesić, albo uciekać.

— Cyt no, cyt! rzekł stary wójt, kładąc mu rękę na ramieniu: kiedy ludzi nie znacie, nie mówcie nic naprzód, nim się stanie. Pan łaje, i klnie, i pędza zawsze w początku; ale go tylko ponudzić trochę, niechaj się wysapie, zapomni gniewu. Niech mu wierzchowca okuć nie będzie komu, to się to wszystko polepi. Tymczasem poparobkowałibyście u mnie i poczekali cierpliwie.

Tak się stało jak wójt radził i przewidział. Pan Adam przebolał wkrótce i gniew, i tęsknotę, a dla Francuzki guwernantki, którą odmówił komuś w sąsiedztwie, trzydziestoletniej już awanturnicy, zapomniał Cyganów i Cyganek; bo niepiękna i niemłoda już wdowa (która jednak nigdy zamężną nie była), poznawszy dobrze pana Adama, wiodła go na pasku aż do ołtarza. Wójt więc wkrótce potrafił z łatwością wyrobić pozwolenie zamieszkania Cyganowi w Stawisku.

Lepiuk, który na to wszystko z boku patrzył, starał się o ile mógł przeszkadzać; rady jednak przeciw panu i całej wiejskiej gromadzie dać sobie nie umiał. Dowiedziawszy się o tém, o mało z gniewu nie pękł. A tu mu i jego własne cygaństwo zawadzało, że głośno przeciw Tumremu mówić nie mógł; ustał miał zamknięte, gdy najwięcej chciał się odezwać.

— A! rzekł w duchu—pozwolili mu osiąść, niechże sobie siedzi; ale zje kaduka, żeby za mego życia do Motruny się przybliżył. Nie chcę więcej cygańskiej krwi w moim rodzie!

Gdy przyszło na chatę i kuźnię wyznaczyć miejsce we wsi, Lepiuk tak potajemnie i otwarcie zabiegał, że dwór, ekonom i gromada, niby ognia się bojąc, niby brzydząc się Cyganem, odepchnęli go aż za wieś

pod cmentarzysko, i tam na pustce pozwolili się budować. W początku panowie gospodarze zobowiązali się jednak dopomódz pospołu ze dworem do postawienia chaty; ale gdy przyszło do rzeczy, Tumry przekonał się, że nie będzie miał pomocników nad dwie ręce swoje. Słowa nie rzekł, otrzymał czego chciał: szmat ziemi, pozwolenie zamieszkania; więcj domagać się nie śmiał, ażeby i tego nie stracić.

Smutne to było miejsce, gdzie mu się wskazano budować; wygnanie raczej, niż ludzka sadyba, naprzeciw mogilnika, ode wsi daleko, głosu ludzkiego nie słyhać; ni zkąd ognia, ni zkąd wody, ni cienia, ani kawałka ziemi; ale wyгнаńcowi, co nigdy nie miał nic swojego, i to jeszcze dobrém było. Tumry położył się spać na gołej ziemi, i całą noc przedumał, jak tu tę chatę skleić. Na nikogo rachować nie mógł, nikogo poprosić: Lepiuk mu wszędzie szkodził.

Nazajutrz obłany rosą, wstał biedak rano rozglądając się w pustce swojej; dojrzał obrywu góry, do której mógł się jednym bokiem lepianki uczepić, i uśmiechnął się z radości. Głina do obmazania ścian była tuż blisko; ale z czego dach zrobić i ściany?

Po godzinie rozmyśłów poszedł do wójta, który z pługiem i chłopcem ciągnął na swój sznur.

— A co, panie majster? spytał żartobliwie stary.

— A cóż, panie wójcie? odparł Tumry: coś mi się widzi, że ani dwór, ani gromada nie ma ochoty chaty dla mnie wykuć; od dnia do dnia zwlekają, i nic z tego nie będzie.

— Nie wiem, nie wiem... mruknął Lach powoli; ale niewiele i ja na tę zbieraną robotę rachuję. A cóż myślicie?

— Myślę się sam budować!

— Z kim? jak? najmem?

— Toż wiecie, że grosza przy duszy nie mam; ale ręk dwoje nie na żarty!

— Bylebyście sobie jeden klocek położyli sami, jak zobaczą ludzie, że się sami bierzecie, nikt wam i palcem nie kiwnie.

— Czy tak, czy tak, wszystko jedno,

— A jakże sobie sam rady dać potrafisz?

— Powoli sklecę lepiankę; nie będzie to *khera*, ale *bukunia*, dodał Cygan po swojemu (nie dom, ale buda na ustroniu).

— Któż drzewo ci zwiezie?

— Ja je zniosę.

— Oho! ho! rzekł wójt: coś poczynacie pleść od rzeczy.

— Dostańcie-no mi tylko kwitek do lasu na materiały, i podarujcie choć starą *towez* (siekiere).

— Siekiery ci nie pożaluję... to mi później odrobiecie za nią—rzekł wójt. Mam właśnie tępicę, ale jeszcze niezbitą i wcale niczego: warta od siebie rzucając więcej złotych. A kwit i jutro mieć możecie. Ale czyż taki doprawdy myślisz się sam brać do dzieła?

— A cóż? rzekł Cygan—nie mam czego czekać, poprobuję.

Nazajutrz rano, naprzeciw cmentarza kopał już drewnianą łopatą o suchym chleba-kawałku Tumry, odrzucając twardą glinę, zbijając chwasty i oczyszczając kilkołokciowe miejsce na „ziemlanke” swoją. Człowiek zostawiony sam sobie, przygnębiony i zmuszony do pracy, wiele może: daleko więcej, niżeli wyobrażamy sobie! Prawda, że na każdym kroku szafuje siłą podwójną ciała i duszy, ale wyszafowana powra-

ca mu we trójnasób. Cudem prawie licha kletka Cygana, jedną siekierą i dwiema dokonana była rękami. Każdy kawał drzewa potrzeba mu było lub na plecach dźwigać z lasu, albo zaprząwszy się do niego „samotużkiem,” ciągnąć powoli przez jary i góry; każde bierwiono samemu ociosać, domyślić się budownictwa, stworzyć całe rzemiosło nieznanne. A ile razy stępiło się stare toporzysko, musiał Tumry, nie mając kowalskich narzędzi, iść mil dwie do kowala, i służyć mu dwa dni za pomocnika, by tym kosztem znowu siekierę nastalić i poprawić. Tymczasem gdy go nie było, przejeżdżający drogą, przechodzący ze wsi, kradli mu w pocie czoła nagromadzone drzewo, słoła psuła robotę, góra namokła osuwała się, źle spojone kłocce rozchodziły się i spadały, i nie wiem ile razy runęła budowa, nim ją lichemi beleczkami i łatami pokryć potrafił, zamiast krokwi liche pozatykawszy kluczyny. Bóg tylko jeden policzył, ile tam kropel potu upadło na ziemię, ile pracy poszło marnie, ile się spotrzebowało wytrwałości i siły!

Ale nieraz same niepodobieństwa jątrzyły człowieka, by je przemógł; wzmagały w nim ochotę, budziły myśl, podnosiły meztwo. Śmieli się ludzie poglądając na tę, powoli wychodzącą z ziemi, lichą i niepołączoną lepiankę, która przy całej swój biedocie jeszcze była cudem przemysłu i pracy. Tumry tak się przywiązał do dzieła swojego, tak się z niem zjednoczył i spoił, że nie miał spoczynku, póki go nie dokończył. Dwa razy tylko w dzień odbiegał roboty, żeby wyskoczyć przeciwko Motrunie, spojrzeć ku niej, uśmiechnąć się do niej z daleka lub przemówić słowo.

Rzadko się to jednak wiodło, bo stary Lepiuk stał na straży i zbliżyć się im nie dawał; a nada-

remnie usiłując wygnać Cygańczyka ze wsi, wciąż po-przysięgał, że gdyby Motruna dziewczką umrzeć miała, nie da jęj za przybłądę i włóczęgę. Motruna nie drażniąc ojca, milczała cierpliwie; ale gdy do nięj przyszedli w swaty, pomimo groźb i łajania, odprawiła z niczém. Lepiuk kłął, bił, rzucał się, ale to nic nie pomagało. Dziewczyna wszystko znosiła, odpowiadając jedném słowem: „Nie chcę.“

Jednego poranku, gdy Tumry około najcięższęj części swojęj chaty był zajęty, starając się na nięj postawić coś, coby belki i dach zastąpić mogło—ujrzał w brzasku i w mgłach wschodnich, zbliżającego się ukradkiem Lepiuka, który podparłszy się na grubym kijski, zamyślony stanął przy drodze, i żarzące się gniewem oczy wlepił w pracującego chłopaka.

— Buduj, buduj, zamruczał nareszcie półgłosem po długim milczeniu: na głowę twoją, na głowę! Nie-doczekanie twoje, żebyś ty tu mieszkał!

I ze złością dodał głośnieję:

— Co ty sobie myślisz, klejąc ten chlew, słyszysz?

— Co myślę? że w nim będę mieszkał, odparł spokojnie Tumry, nie przerywając roboty.

— Czegoś ty się na swoję biedę przywłóki? do-dał stary—po co? Mało ci było świata? słyszysz? he?

— A cóż ja wam zawadzam? rzekł Cygan. Powie-trza nie wydecham, wody nie wypiję, chleba nie od-jem, stanie ich dla nas wszystkich.

— Ale dla czego przyszło ci do głowy przyczepić się do naszęj wioski?

— Albo wam to co szkodzi?

— Ej! dyabełby cię porwał! nie udawaj głupiego—podchwycił Lepiuk—bo ja nie myślę gadać długo. Ot w dwóch słowach: jeżeli sobie ztąd pójdiesz gdzie

cię oczy poniosą, zapłacę ci za robotę i kupię ten chlew; słyszysz? bylebyś się wyniósł nie oglądając; a jak nie...

— To co, panie gospodarzu?

— To co! powiem ci tylko, że się tu cało nie osiedzisz!

— Czémże ja wam szkodzę?

— Hol hol! ty lepiej wiesz za co mam ząb do ciebie; nie potrzeba mówić długo. O Motrunie myśleć tobie wara, z tego nic nie będzie, a ciebie dyabli wezmą.

Tumry umiął, ciosając coś powoli około brzozonej krzywój belki.

— Słyszysz? dyabli cię wezmą! powtórzył Lepiuk, którego zimna krew Cygana jątrzyła.

— Kto to może wiedzieć, kogo *Bynk* pochwylił zimno odpowiedział chłopak: zobaczymy!

— Zobaczymy!... I nie chcesz ztąd iść? Mów!

— Nie pójdę, to darmo; nie pójdę, panie gospodarzu...

Lepiuk stuknął kijem o ziemię, zgrzytnął zębami, odwrócił się i odszedł szybko.

W tydzień potem, gdy się już kletka do ukończenia zbliżała, Tumry ze stępioną siekierą, puścił się wedle zwyczaju do sąsiedniego kowala i bawił trzy dni. Powracając, marzył i rozpamiętywał o spotkaniu swém ze starym Lepiukiem, o jego groźbach i swoich nadziejach. Wtém na zawrocie drogi, gdzie się ukazy-

wało Stawisko, ujrzał na spokojném niebie wieczoru wstęgę sinego dymu, unoszącą się w powietrzu... Tknęło go coś, bo ogień zdawał się pochodzić z miejsca, gdzie stała rozpoczęta chata jego. Przyspieszył kroku, i wkrótce stanął wryty, postrzegłszy, że praca jego była już garścią dymiącego się popiołu. Na ziemi widać było żarzące się jeszcze opadłe głównie, stos rumowisk i niedogasłe pożaru ognisko.

Nie miał siły zbliżyć się Turmy, tak mu pogorzeliśko to odjęło odwagę, taką boleść uczuł w piersi. Pierwszy raz od dzieciństwa dwie łzy puściły się mu z oczu czarnych, paląc twarz do nich nieprzywykłą. Stał i patrzył z załamanemi rękoma, przygnębiony, nie wiedząc co począć, nie myśląc, jak obłąkany.

Ale ta rozpacz niema, straszna, która przejść mogła w szal i zemstę, gdyby z niej łzy nie trysły, trwała tylko chwilę. Cygan podniósł głowę, westchnął, otrząsnął się, i odzyskując przytomność i mężstwo, żywym krokiem posunął ku zniszczonej lepiance.

Myśl jego zwróciła się znowu ku wytrwaniu i pracy.

— Com raz zrobił, potrafię i drugi, rzekł w duchu; może łatwiej, może lepiej, a na swoim postawię. Niech się Lepiuk wścieka, bo to jego sprawa, ja się nie dam wykurzyć jak pszczoły z ula i komary z izby.

To mówiąc, zbliżył się pod samo pogorzeliśko, ciekawem szukając okiem, coby z niego jeszcze ocalić było można; ale ogień nie oszczędził ani patyczka, drzewo spłonęło wszystko, i trocha węgla a popiołów dymiała tylko jeszcze. Obejrzał się Cygan smutnie, i padł na ziemię pod gliniastym obrywem, który od ognia wypalony na czerwono, kruszył się i sypał; zwiesił głowę i utonął w zadumie.

Wtém usłyszał idących drogą ludzi i sunący się po ziemi przewrócony pług, za którym szedł wójt.

Stary z dala ujrzał przy pogorzeliśku Cygana, przystanął, usta otworzył, ale nie śmiał zaczepić, czując co się tam w duszy jego dzieć musi.

Tumry sam zerwał się raźnie i przystąpił do niego.

— Dobry wieczór, panie wójtcie.

— Oj! niebardzo wam dobry! odrzekł gospodarz powoli z wyrazem litości: coście się to darmo napracowali! Wszystko jedna skra wzięła i z dymem poszła.

— Skra temu niewinna, ale ręka czyjaś, odpowiedział Cygan z westchnieniem. A no, cóż robić, toć się dla tego; nie obwieszę...

— A cóż myślicie?

— Co? rzekł Tumry spokojniéj: jutro do lasu, i znów się buduje.

— Czyś ty oszalał a gdzież ci starczy siły?

— O! o! jeszcze jój jest dosyć, zawołał Cygan. Myślę tylko jak się zabezpieczyć, żeby mi znowu mój przyjaciel węgla nie napalił, nim kuźnię postawię... udając żart dorzucił chłopak.

Wójt ostrożny zamilkł, nie wywołując zwierzeń, ani się rozpytując na kogo padało podejrzenie, choć w tém wątpliwości nie miał, że Lepiuka Cygan posądzać musi.

— I doprawdy—zagadując ozwał się po chwili—myślicie się na nowo budować? doprawdy?

— A nie daléj, tylko jutro, głosem stanowczym rzekł Tumry. Siekiera ostra, odpocząłem trochę przy kowadle, pójdę w las.

— Ha! szczęść Boże! popędzając woły zamruczał

wójt, z poruszeniem ramion znaczącem. Tęgi z was chłopak; co za szkoda, że Cygan!

Ostatnich słów nie dosłyszał już Tumry, który powrócił na popielisko, drżącą je rozgarnął ręką, i wyjąwszy z zanadru kilka kartofli, rzucił je w prysk na wieczerzę, którą one i kawał chleba suchego składać miały. Ale spaliły się kartofle, tak się Cygan zadumał znowu, nie myśląc o jedzeniu; a gdy ranek świtał na niebie, wstał złamany i zbity, topór zarzucił na ramię i skierował się ku lasowi.

Szczyściem dla niego, porąb, z którego mu materiał na chatę wyznaczono, nie był bardzo daleko, choć go dwa jary i wzgórze od nadanego gruntu oddzielały.

Na ścieżce, którą szedł, widać było ślady tylko co zmarnowanej pracy, przypominające Cyganowi krwawy znój jego wczorajszy i dzisiejszy. Gdzie niegdzie zeschłe walały się gałęzie; po ziemi kłody ciągnięone powyrzynały pasy wyslizgane; tam i sam rzucona wić dębowa zerwana, kawał sznura, odciosany kołek, zatrzymywały idącego Tumrego, który je zbierał powoli, myśląc zużytkować. Wczorajszy żal przepalił się już w jego sercu; zastąpiła go silna wola pracy, tłumiąca najskuteczniej boleści.

Tak dumając, spuścił się w jar, nie patrząc przed siebie, gdy go głos znany ocucił.

— Dobry dzień Tumry, dobry dzień!

O kroków parę przed nim stała z dwojaczkami w ręku piękna Motruna, której czerwone oczy o niedawnych łzach świadczyły.

— Dobry dzień, z uśmiechem rzekł zbliżając się Cygan. A co słyszać?

— Chyba nic nie wiecie? Byliście koło chaty?

— E! nocowałem tam przy ogniu, udając obojętną wesołość odezwał się chłopak. A cóż? spaliła się, trzeba myśleć o drugiej.

— Znowu tak samo? a to wy się zarznieciel z li-
tością i wejrzeniem głębokiem rzekła córka Lepiuka.

— Nic mi się nie staniel zawołał Cygan ochoczo:
bądźcie spokojni; trzeba swojego dopiąć... nic nie pomoże.

— A wiecie z czego chata spłonęła? badawczy
wzrok rzucając na Tumrego, spytała dziewczyna.

— Wiedzieć nie wiem, ale domyślić się łatwo:
twój ojciec musiał ją spalić.

Mostruna smutnie spuściła głowę.

— Wiesz? rzekła po cichu, i oglądając się: zawczo-
raj Hryhor Skorobohaty przysłał znowu swatów do
mnie; ojciec wziął mnie do komory i zagroził, jeśli
ich odeszłę, ale nic nie pomogło; powiedziałam, że
nie chcę... Wieczorem jak szalony wyleciał gdzieś,
wziąwszy z sobą krzesiwo z kaletką. Tknęło mię za-
raz, że to będzie nieszczęście; poszłam płakać na
ogród... aż w godzinę widzę dym na górze przy cmen-
tarzu, a tu i ludzie powybiegali, patrzą, wołają: „Pali
się chata cygańska!“ Musiałam skryć się, bo na
mnie patrzali wszyscy, a ja aż ryczałam z płaczem...
Nieprędko powrócił ojciec, trzęsący się czegoś, gniew-
ny, położył się nie jedząc wieszery, nakrył ko-
zuchem i do dziś dnia choruje!

Mostruna ciężko westchnęła.

— Oj! na biedę to naszą—dodała po chwili—przysta-
liśmy do siebie; na biedę i niedolę... ale tak nam są-
dzono! Duszy nie odebrać kto ją raz dał komu...
Już i to nie na los, kiedy ojciec 'nie błogosławi,
ale przeklina...

— Słuchaj! rzekł Cygan, biorąc ją za rękę cały

wzruszony: jeśli tobie strach mojej doli i ojcowskiej kłatwy, powiedz słowo Motruno... Ja choć Cygan, mam sumienie... gubić ciebie nie chcę... pójdę ztąd!

Motruna czarne oczy podniosła na niego, ocierając je z łez fartuchem.

— Duszy nie odebrać, kto ją raz dał, powtórzyła—nie czas nam się powracać! Wola boża! sądzono!

— Niech ci Bóg płaci za pocziwe słowo, odparł, silniej coraz przejmując się Tumry. Nie pożałujecie tego, coście dla mnie zrobili. Pokażę wam, że cygańskie ręce żelazne i siła żelazna: nie dadzą mi tu rady ani bieda, ani ludzie... Widzisz Motruno, znowu szedłem z toporem do lasu. Pocznę ehatę nową, i da Bóg prędkiej ją i lepiej dokończę niż pierwszą; nie przepadniemy!

To mówiąc chciał ją uścisnąć, ale Motruna spojrzawszy nań tylko, jakby przełęczniona, rzuciła się ścieżynką na pola wiodącą.

— Bracia na łanie czekają na obiad, trzeba śpieszyć. Twój bochenek chleba pod kamieniem, gdzie zawsze.

I kiwnęła mu głową, oglądając się długo, nim znikła w krzakach kaliny.

Cygan powstał chwilę w miejscu, a potem zapomniawszy chleba, puścił się w las na robotę. Doświadczenie dawało mu teraz wprawę, której nie miał, rozpoczynając pierwszą swą lepiankę; lepiej potrafił wybrać drzewo, ociosać, zręczniejszą się do kłód grubszych zaprzęgał, i ścieżki wypatrywał mniej strome, gdy je ciągnąć przyszło. Wszakże nie na wiele przydała mu się ta umiejętność: sił jego podwoić nie mogła, ani lepianki pokazniejszą uczynić. Znowu ją poczęt

kleić z takich samych kawałków, równie niezgrabnie, przedź tylko trochę; a podzielił tak pracę, że wprzód wszystko, wyrąbał w lesie, co mu potrzebném być mogło, i w bezpieczném miejscu ukrył, potem dopiero rozpoczynając ściąganie materiału na grunt przeznaczony.

W kilka tygodni stos drzewa leżał już naprzeciw cmentarza, a Cygan opaloną górę skopywał znowu na ściany lepianki. Przechodzący ze wsi zastanawiali się, kiwając głowami i nie wierząc oczom swoim; tak im się upór i przemyśl Cygana niepodobnemi do prawdy wydawały. Stare baby szeptały między sobą, z daleka palcami wskazując ziemiankę rozpoczętą:

— Niedarmo Cygan! On coś zna!

Posądzano go o pomoc szatana, a myśl ta przyjęła się łatwo u wszystkich; nawet biedna Motruna, choć głową potrząsała słysząc o tém, zalekła się trochę. Ale serce, które wytłómaczy co zechce, rozpedziło tę bojaźń chwilową.

Stary Lepiuk leżał tymczasem ciągle chory, nie wstając z tapczana, i przekleństwami okrutnemi ścigał córkę, ile razy mu się nawinęła na oczy. Nie śmiał on nawet dotąd nikogo zapytać o Cygana, tak go jątrzyła myśl sama, że mógł, pomimo spalenia chaty, pozostać.

Któręś niedzieli nareszcie przyszli do niego w gości dwaj sąsiedzi, i siedli przy chorym, rozpytujać go, co mu jest, a radząc po swojemu: to Żydówki znachorki, to baby, co zamawiać umiały. Lepiuk słuchał tylko, nic nie odpowiadając. Po godzinie jakoś się trochę rozruszawszy, posłał po flaszkę wódki; wychylił kilka kieliszków—błysnęły mu oczy, wstał z tapczana.

— A co tam słyhać na wsi? zapytał ochrypłym głosem.

— Co ma być słyhać! rzekł Skorobohaty: co zawse. Pańszczyzną pędzą a pędzą, ludzie stękaają, chleba niewiele, a biedy dosyć.

— Czemóż bo nie powiecie—przerwał mu drugi— o Cyganie? ta to jest czego posłuchać!

Lepiuk się wstrząsnął i drżącą ręką sięgnął po wódkę, której trzeci kieliszek wychylił.

— O Cyganie? o Cyganie? pomruczał, oglądając się w około. A no! gadajcie, kiedyście o téj bestyi już mówić zaczęli. Czy jeszcze jest we wsi?

— I jest, i nie słyhać, żeby się wynosił, rzekł Skorobohaty. Wszyscy mówią, że coś zna, i to pewna. Myśleliśmy, że jak mu się spaliła ziemiłka, plunie do licha i Stawisko porzuci; a on już drugą począł stawiać!

Lepiuk się zerwał z tapczana, klnąwszy nieprzytomny z wielkiej złości po cygańsku, czego się strzegł, i chyba w największym gniewie wyrwał mu się ten głos stariej natury:

— *Bynka ciawa!* (dyabli syn).

Zaledwie słowa te usłyszał, ochłonął i usiadł znowu, patrząc przerażony, czy go zrozumiano. Trząsł się cały, ale uśmiechem nadrabiał.

— A to prawda—skreślił nagle—że Cygan twardy! Drugiby i nie pomyślał próbować! Napatrzyłem się ja, jak belki z lasu samotkiem ciągnął, lub na plecach nosił: myślałem, że mu oczy ze łba wylizą, a krew nosem buchnie; ale nie! jeszcze się drugi raz zaprzęgił do swego! No! no! uparta natura!

Słowa te wyrzekł szybko, chcąc widocznie omamić udanym spokojem swoich gości; ale nazbyt był gniew-

ny, więc nie sposób mu było zdobyć się na malowaną obojętność.

Oczy mu latały pod brwią, zapalone niecierpliwym rozdrażnieniem, pierś szybko się wznosiła, dłoń miała jak w febrze.

— Ej! połóżcie się lepiéj! rzekł wstając Skorobohaty: nie jesteście jeszcze zdrowi, to zaraz wiadać; z chorobą nie ma co żartować. Komu jak komu, a nam starym najmniej.

Pożegnali go gospodarze i odeszli. Lepiuk się położył mrużąc. Wieczór przeszedł w milczeniu posępném; noc nadchodziła i spać się już kładziono w chałupie, gdy stary począł jęczeć i stękać.

Przybiegła córka, ale ją odepchnął z przekleństwem i silnym głosem zawołał starszego syna. Zaświecono łuczywo, wszyscy się zerwali na nogi, synowie, najmicy, kobiety i dzieci.

— Co tobie ojczy? spytał starszy, przybliżając się.

— Co? rzekł powtarzając pytanie zwyczajem ludu Lepiuk: ot pora przyszła umierać... i żebyż porał ale bez pory skończyć muszę! Niechaj Janko jedzie po księdza... a ty słuchaj, co ci powiem.

Obejrzał się po izbie, brew zmarszczywszy.

— Won baby! zakrzyknął.

Kobiety usunęły się do sieni i alkierza, on sam pozostał z synami.

— Wiecie—zawołał — że Motruna pokochała się z tym Cyganem... Jam mn chatę spalił. Nic nie pomogło: buduje się, słyszę, i siada czyhać na nią. Ja sam jestem cygańskiego rodu — dodał ciszej, oglądając się po izbie — ale nie chcę krwi cygańskiej więcej, żeby nas palcami ludzie więcej nie wytykali. Nie puszczajcie Motruny za Cygana, choćby wam po

nogach łąziła płacząc, choćby umrzeć miał! Słyszycie! słyszycie?! Jeżeli się uprze niepocziwa, to ją ożogiem z chaty wygnajcie jak psa, i ani szmaty na koszulę, ani grosza nie dawajcie wyprawy! Ja tak chcę, słyszycie!

— A jak dwór pozwoli? spytał starszy syn cicho — co mam robić?

— Co ja każę. Zechce iść na zgubę i hańbę, niech idzie; ale to nie będzie wasza siostra, ani córka moja... Precz z nią!

Długo tak jeszcze mówił stary, a Motruna przytulona do nieszczelnych drzwi alkierza, słuchała płacząc, lecz nie śmiejąc odezwać się; z jękiem powtarzała tylko jak nieprzytomna:

— O dolaż moja, dolał o dola nieszczęśliwa!

O północy nadjechał ksiądz, a nadedniem stary Lepiuk w gorączce, nieprzytomny, z krzykiem i miotaniem się zmarł, cygańskimi wyrazy niezrozumiałe jakieś nęcąc pieśni, opowiadając dzieje i wiodąc rozmowy. Przytomnych dreszcz przebiegał, tak straszliwie męczył się w ostatniej godzinie, nie znajdując w uścich słów innych nad pierwsze wyrazy dzieciństwa... Może czuł, że się wydaje sam z pochodzeniem swoim i utajoną naturą, a nie mógł się powstrzymać, bo własna mowa zdawała się go jątrzyć i w coraz większy szal wprawiać.*)

Nareszcie sił zabrakło na walkę, oczy stanęły słupem, usta okryła piana, oddech wyrwał się z piersi rozbitej ciężki, głośny, przerażający... Lepiuk skonał.

*) Ten fenomen, że człowiek umierający zawsze prawie powraca do języka, którym mówił w dzieciństwie, był wielokrotnie sprawdzony. Trentowski umierając, mówił ciągle po polsku.

P. A. 1871.

Krzyk rozległ się w chacie natychmiast i płacz pobudził sąsiadów. Motruna jedna pozostała w alkierzu skulona i przybita do ściany, płacząc łzami bez jęku, jakby się jeszcze obawiała ojca, i powtarzając swoje: „O dolaż moja, dolaż“

Ledwie ją bracia i bratowe potrafiły zagnać do pracy; bo w życiu wieśniaka i najsrozsze cierpienie nie uwalnia od niej: nie ma się kim wyręczyć. Bóg tak dał biednym, by zajęciem boleść osłodzić.

Tymczasem nędzna za wsią lepianka znowu się powoli podnosić zaczynała. Stały już słupy, zarzucały się ścianki mizernemi kołkami, które glina pokryć miała; a krzywe uszaki oznaczały miejsce ciasnych drzwiczek i małego okienka. Tumry nadźwigawszy się drzewa, spokojniej teraz na placu już się krzątał, pilnując swego dobra ostrożniej. Trochę słomy rzuconej na pochyło wspartych żerdziach, zasłaniało go od deszczu i stanowiło tymczasowe jego schronienie. Wybiegał on czasami w jar poblizki, czatując tam na przechodzącą w pewnych godzinach Motrunę; ale od dni kilku widzieć jęj nie mógł. A że z ludźmi wiejskimi, oprócz wójta, mało się spotykał, nie domyślał się więc ani choroby, ani śmierci Lepiuka, przypisując bojaźni ojca ostrożność Motruny.

Dnia jednego ku wieczorowi robił Cygan około belki, gdy z dala słyszeć się dały śpiewy i płacze, postępujące drogą ku cmentarzowi. Niejeden pogrzeb; tak przeszedł już mimo jego chaty; Tumry tylko w czasie obrzędu rzucać musiał pracę i z odkrytą głową

stał wsparty o ściankę swojej kletki, szanując przypomnienie śmierci, wielkiej *Mutes-oro*, którą i *Romowie* nawykli z przestachem spotykać.

Siekiera jego przestała ciosać; Tumry odstąpił kroków kilka, zamyslił się, ręce na piersi skrzyżował. i oczy jego z zabobonną trwogą zwróciły się ku wozowowi, po nad którym już poczynały powiewać wierzchołki różnobarwnych chorągwi, a między nimi porzecz czarny śmierci z trupiami głowy i łzami. Orszak postępował powolnie i rozwijał się na drodze. Szli bratczycy, diak, ksiądz, nareszcie dwa siwe woły wielkie, wolno stąpając ciągnęły prosty wóz na górę, a z nim białą trumnę wieśniaczą, na której bochenek chleba w starym ręczniku spoczywał—ostatni chleb pożegnania! Za wozem tuż ujrzał Tumry idących dwóch braci Motruny i ją samą, zawodzącą boleśnie. Serce na chwilę bić mu przestało, wlepił oczy, poblądł, domyślił się, że *Mutes* zabrała mu nieprzyjaciela. Dziekie dziecię włóczęgów nie uczuło ani politowania, ani żalu: jakieś uczucie radości i nasyconej zemsty, pogañskie, poruszyło jego sercem; ale razem z niemi przyszedł wstyd, i Tumry schował się za węgiel lepianki, by nie stać zwyciężonym na oczach. Motruna ani spojrziała na chatkę ukochanego, przed którą zastanowił się wóz żałobny, bo przez bramę cmentarzyska wjechać nie mógł, a trumnę wniesiono na barkach do przygotowanego wprzód dołu.

Przez cały ciąg smutnego obchodu, Cygan nie słyssał ani śpiewu, ani narzekania: tak silnie miotała nim nadzieja odrodzona doścignienia celu, pochwycenia Motruny... „Stary nie żyje—powtarzał zadumany—stary nie żyje, bracia nie będą mi się sprzeciwiali,

wójt mi dopomoże: ona moja! Bylem chaty dokończył, ona moja być musi!“

Ani się spostrzegł, jak sucha ziemia zasypała zwłoki starego Lepiuka; zaskrzypiał wóz, rozeszli się ludzie; i znowu milczenie głucho, przerywane tylko krakaniem wron zbierających się na słoć, zaległo puste wzgórze. Niepokój pędził go do pracy; pochwycił siekiere i wybiegł z za węgła, rzucając okiem ku mogilnikowi. Nikogo już tam nie było, tylko naprzeciw wrot żółta świeża mogiła, a po drodze ślady świeżych kół i stop ludzkich świadczyły o obrzędzie, który bez nich mógł się dla Cygana snem wydawać.

Nie spostrzegłszy nikogo, już podnosił toporzysko, gdy go ktoś z cicha pozdrowił. Odwrócił się przerażony. Wójt z twarzą zafrasowaną stał niedaleko na kiju oparty.

— A cóż tam Tumry? odezwał się stary: pracujecie, pracujecie, ani myślicie spocząć?

— Póki sił, panie gospodarzu: „co się zaczęło potrzeba skończyć“ mówi cygańskie przysłowie i cygańska natura.

— A ot i my tu przyszli nie w porę z temi odwiedzinami — dodał Lach kiwając głową, — i przyprowadziliśmy sąsiada, któremu nocką może niebardzo rad będziesz.

Cygan trochę się zmieszał, ale chciał udać, że nie wie kto umarł.

— A któż to zmarł? spytał obojętnie.

— Niby to nie wieciel odparł wójt. Toż Lepiuk, i bez czasu! Gryzł się, gryzł podobno Motruną i nie wytrzymał.

Cygan milczał z głową spuszczoną.

— A tak—dorzucił wójt—i umierając swego nie darował, bo synom, słysząc, surowo przykazał, żeby Motruny za was nie dawali.

Tumry wzdrynął się cały, podrzucił głową.

— Co mówicie? zawołał—doprawdy?

— Najpewniej... słyszałem od sąsiadki, która słuchała z sieni, jak synów uczył przed śmiercią. No! a co myślicie teraz?

— Cóż? rzekł powolnie chłopak: nie zląkłem się ojca, nie przelekne i synów. Co Bóg da, to da, a ja swoje robić muszę.

— Ej! porzucilibyście, odparł wójt. Chatę sobie budujcie, kuźnię stawcie, ale gospodarskiej córce dajcie taki pokój; bo bracia nie pozwolą, a i gromada za nimi... chybabyście ją gwałtem porwali.

— A któż gwałtem bierze żonę! zawołał Tumry. To u was niewidziana rzecz, i gdzieżbym ją poprowadził? Nie mówmy lepiej o tém, panie gospodarzu.

Wójt poczuł, że go nie przekonał, i ramionami ruszył tylko w milczeniu.

— Toć wola twoja, nie gadajmy... nie chcecie dobrej rady, to jak sobie pościelesz, tak się wypisiz... co mnie do tego! Ot księżyc wschodzi, czas do domu, dobranoc!

— Dobranoc! odpowiedział Cygan, i znowu wziął się do swojej roboty.

Słońce już było zaszło, księżyc w pełni wypłynął powoli na niebo, ostatki wieczornych brzasków i światła nocnego mieszając się z sobą, stanowiły zmrok przejrzysty,—a Tumry z nadchodzącą nocą nie przewał ciesielki. Praca była mu potrzebą, bo myśleć nie dawała, płakać i trapić się. Spoczywać też nie mógł obok téj świeżej, zółciejącej mogiły, którą oczy jego

spotykały wszędzie, która mu się mnożyła w około i w tysiącznych przedstawiała kształtach.

Całą tę noc pierwszą spędził zapalczywie rąbiąc co napadł, przy świetle pełni na czystém niebie, co chwila się wstrząsając za każdym wierzby niedalekiej szalestem, bo szmer ten śmiechem mu się zmarłego wydawał. Zimny dreszcz przelatywał mu po plecach, gdy myśl pobudzona szalem uczucia, wywołała Lepiuka z mogiły, a z nim tysiąc nieboszczyków wstających na pomoc.

Nawet cisza nocy, wśród której każde uderzenie jego siekiery rozlegało się z dziwném brzmieniem rozchodzącém się daleko, przerażała Tumrego. Pot lał się z niego strumieniem, siły się wyczerpywały, oko mgłą zachodziło, wśród której żółte skakały mogiły. On rąbał, siekł aż do brzasku; a gdy słońce zarumieniło wschód chmurny, rzuciwszy nareszcie siekiere, padł na ziemię bezprzytomny.

Nocna pora zniszczyła niemal cały zapas drzewa, porąbanego w nieforemne kawałki.

Gdy się obudził, słońce piekło skwarne, a z dala huczała nadchodząca burza. Poprzedzający ją wicher szalał na wzgórzu, i on to chłodząc pierś jego, przewał mu sen dziwny, znużenia i gorączki. Tumry z dreszczem i spaloną wargą obejrzawszy się po niebie, zaledwie potrafił zwlec się pod słomiany swój daszek, na garść zeschnięj trawy, na której upadł znowu, czując, że żelazna ręka choroby ciśnie mu pierś i głowę.

Wypadki wczorajsze, pogrzeb, rozmowa, nocne szaty—wszystko mu się mieszało w kłębek różnobarwnych nici, nierozpętany, który ręka *Nasuo-oro* (choroby) targała i miotała bezlitośnie.

— Umierać! to umrę! zawołał Cygan, waląc się na ziemię. Tak lepiej niż się męczyć.

Wkrótce Tumry stracił znowu przytomność. Myśli jak burza na niebie wiły się mgliste, jasne, czarne, piorunowe, i poczęły przebiegać rozpaloną głowę; czas, miejsce, wszystko znikło z przed niego, a pozostało niewysłowione, dziwne, a zarazem rozkoszne cierpienie, coś nakształt snu utkanego z wspomnień ziemskich i widzeń niebieskich. Była tam i nędzna młodość, i śpiew Romów, i wykrzywione ich twarze, i taniec Azy, i stukot młota Aprasza, i dymy cygańskiego kółła, i skrzyp ich wozu, i Motruna, i stary Lepiuk, pogrzeb, mogiła, noc, pożar chaty, i postacie, jakies nieznanne, straszne i wdzięczne, i przecucia niewysłowione, i wszystko czém brzmi życie i czém mówi śmierć nadchodząca.

Zdawało mu się, że umiera, a umrzeć nie może.., że leży martwy w jednej trumnie obok Cygana Lepiuka, a w pierś jego wbijają krzyż i wbić nie mogą, bo krew buchająca wypycha.

Po widzeniach tłumnych, ciszej się jakoś poczęło robić w jego duszy, jak gdyby już umarł; ustąpiły dręczące widma, szaro zawlókł się widnokrąg i spokój mogiły skrzydłem go chłodnym otoczył.

Otworzył oczy: zdawało mu się, że śpi znowu, bo ujrzał przed sobą płaczącą Motrunę, która dzbanek do ust jego nachylając, śledziła w nim ostatki życia. Kropla wody orzeźwiła go wreszcie, mgły gorączki rozchodzić się poczynęły, pojaśniało mu w oczach,

ruszył się, podniósł powoli. Nie był to sen: piękna Motruna klęczała przy nim oblana łzami, i mówiła do niego, ale słów jej jeszcze zrozumieć nie mógł. Brzmiały mu one w uszach jak pieśń jakaś dzwieczna, którą napróżno silił się schwycić.

— Tumry, Tumry—wołała dziewczyna—co ci to jest? Odpowiedz mi? co ci się stało?..

— Co mi się stało? Nie! Był pogrzeb, potem rąbałem noc całą, potem usnąłem, śniłem burzę, mogiły, i nie wiem jak spałem długo.

Dziewczyna klasnęła w dłonie.

— A toż trzeci dzień jak mego ojca pochowano! zawołała. Tyś chory, tyś trzy dni leżał bezprzytomny...

— Chory! może... słabo odpowiedział Tumry—ale cóż zrobić chorobie? Głód i sen ją przemoże, lub ona człowieka; na to tylko *Mroden-oro* lekarzem..

— Ja pójdę do dworu—przerwała dziewczyna—do pani... Juścić nie dadzą tak umrzeć człowiekowi bez pomocy: oni się znają, oni poradzą..

Tumry nic nie odpowiedział, ale wzrok obłąkany, bezsilny i bezmyślny, którym rzucił na Motrunę, przeraził ją do reszty. Zerwała się.

— Oto woda! oto chleb! zawołała—a ja polecę do dworu. Jeśli nic zrobić nie zechcą, sama powrócę. Niech bracia zabiją mnie jeśli chcą, ja ciebie tak nie opuszczę.

I rozplakane dziewczę wprost przez jary i krzaki puściło się ku pańskiemu dworowi, myśląc a frasując się, jak i do kogo z prośbą swoją przystąpi? Ani się spostrzegła biedna, jak ją ten los, który często tak rozumny bywa, że mu w pewnych razach wcale inne

wartoby dać nazwisko, zaniósł w piękny ogród otaczający dwór pana.

Mieszkał tu jeszcze pan Adam, ale już żonaty, gdyż wykradziona guwernantka, *Madame Le Roux*, szybko poprowadziła sprawę małżeńską, i ani się obejrzał kochanek jak mężem został. Wielkie zmiany zaszły we dworze, w którym już nie pan, ale pani panowała, silną dłońią chwyciwszy męża i wszystko, co ją otaczało. Pan Adam był, co najdziwniejsza, zawsze zapalonym kochankiem i pierwszym jej sługą, choć kilka miesięcy upłynęło już od pierwocin szczęścia jego. Tę stałość winien on być niepospolitą znajomości serca ludzkiego, z jaką umiała nim kierować żona. W istocie była to najlepsza ze wszystkich guwernantek, jakie kiedy z Francji do nas przybyły, gnane biedą lub nadzieją. Wiele doświadczywszy na świecie, napatrzywszy się ludzi z bliska, pani Le Roux, a drudzy mówili panna Le Roux, doskonale świat i człowieka znała. Co dla drugiej zdawać się mogło niepodobieństwem: ujarzmienie i ustalenie takiego jak pan Adam człowieka—dla niej było igraszką. Potrafiła go zaciekawić, przyciągnąć, utrzymać i rządzić nim, najpospolitszej do tego używając sprężyny:—miłości własnej; na inne bowiem uczucie rachować tu było niepodobna. Adam ubóztwiany, czuł jakby mu się z wdzięczności na czulsze sentymenta zbierało, i dawał się prowadzić zguśniały, gdzie mu iść kazało. Przypomnijmy sobie, że nasza powieść dzieje się przed kilkudziesięciu laty, a może odgadniemy, jak wyglądała Francuzka. Był to szczytek kobiet sentymentalnych, które strojąc się na nótę wieku, bez uczucia grały nieustanną egzaltację i rozczulenie. Pani Adamowa wiecznie krążyła w tych sferach d'Arlinecour-

towskich, z Ipsiboe i innemi heroinami, na świat spoglądając okiem, które wszędzie widzieć chciało co wyczytało w książce. Romans był jój zajęciem, namiętnością, pokarmem; łowy uczucia całego życia celem. W sercu wszelako spokój panował największy, bo cały ów szął był sprawą zabałamuconej głowy. Zimna, wyrachowana, ostrożna, grała egzaltacyę poświęcenia, męczeństwa, a po świecie tak szukała książkowych awantur, jak Don Kichot ciemnych niewinności i uciśnionych heroin.

Nieszczęściem mało znajdowała pokarmu pani Adamowa w coraz bardziej prozaicznych czasach, których rzeczywiste oblicze z całą swoją poezyą niepostrzeżone przed nią się usuwało.

Właśnie w chwili gdy zapłakana Motruna wpadła do pańskiego ogrodu, chodziła pani Adamowa z książką rozczulającą o przypadkach jakiejś nieznamym, po ścieżce nad wodą, wzdychając, choć się jój bardzo poziewać chciało. Szelest liści rozbudził ją z odrętwienia. Z razu sądziła, że z krzaków wystąpi rycerz, przyklęknie, załamie ręce i wynurzy swe płomienie przed pięknym zjawiskiem, za które siebie poczytywała; zdziwiła się więc mocno, ujrawszy zapłakaną większą dziewczynę, która biegła ku dworowi z oznakami przestraszenia i niepokoju.

Ale że Motruna była pomimo swego stroju więkskiego wcale piękną, a boleść dodawała jój jeszcze wdzięku i wzniosłości, przeto pani Adamowa, przeczuwając w tém wszystkiém jakąś romansową awanturę, trochę nawet podejrzewając męża, co ją przestraszyło, wstrzymała dziewczynę. Pobyt jój w Polsce wyuczył ją tyle języka ludu, że go zrozumieć już

mogła; przystąpiła więc ku zapłakanéj i spytała jéj, czego i dokąd tak leci?

Motruna, która pani szukała, na nią tylko rachując, ze złożonemi rękoma poczęła jéj opowiadać najprzód o Cyganie, potem o sobie, potem nagłona zapytaniem, odpowiedziała całe smutne a krótkie dzieje poznania, pokochania, śmierci ojca i choroby Tumrego.

Francuzka słuchała z natężoną uwagą, chwytając łakomie wyrazy, szczęśliwa, że nareszcie w żywym świecie znalazła kochanków, miłość prześladowaną i caluteńki romans, wprawdzie w zgrzebnéj koszuli, z bohaterem Cyganem, z heroiną chłopką, ale zawsze niezmiernie dla zgłodniałej wrażeń łakomy.

Chwyciła za rękę dziewczynę, składając książkę, zapomniawszy nawet o miejscu, w którym czytać przestała, i ożywiona pobiegła z nią do dworu. Pan Adam drzemał po obiedzie; obudził go stukot szklanych drzwi i tak szybkie opowiadanie żony, że z początku, rzucając oczyma to na nią, to na zapłakaną Motrunę, nic a nic zrozumieć nie mógł.

Przyszedłszy trochę do przytomności, znudzony zawsze i obojętny, pozwolił na wszystko, czego piękna Fanny wymagała po nim. Posłano natychmiast wóz po Cygana, konie po doktora do miasteczka, ruszono wszystkich ludzi, którzy pluli i kłęli zmuszeni krzątać się dla włóczęgi,—i nim słońce zaszło, Tumry leżał na folwarku, a w głowach jego łóżka siedziała Motruna, stała pani Adamowa i doktor.

W chorým oprócz gorączki pokazało się wyczerpanie sił pracą—skutki długiego cierpienia i niedostatku; ale natura potężniej jeszcze walczyła w nim z ca-

łym młodości zasobem, by go podźwignąć. Potrzeba mu było najwięcej spoczynku, pociechy i posiłku.

To wszystko znalazło się we dworze, a pani Adamowa zajęła się zaraz losem dwojga kochanków, zaprzysięgając, że musi ich połączyć.

Pani Adamowa, która już wówczas dla odżywienia męża podróżą, a raczej dla zobaczenia Francyi i ukochanego Paryża, wybierała się za granicę, nie patrząc na to, że chata Cygana nie była ukończona, że świeżo zmarł był ojciec Motruny, zaprzątnięta była z właściwą sobie żywością połączeniem kochanków.

Jak tylko doktor uspokoił ją o zdrowiu Tumrego i zapewnił, że żyć będzie, rozkazała natychmiast przywołać do dworu braci Motruny. Przyszli oni smutni, zafrasowani, nie wiedząc co począć, poniekąd domyślając się o co chodzi, bo cała już wieś wiedziała, że Cygana do dworu przeniesiono, i że nim się sama pani opiekowała. A że do traktowania z nimi nie czuła się zdolną pani Adamowa, ani pan Adam, wysłano ku nim totumfackiego, przybyłego do Stawiska jakoś wkrótce po pobraniu się nowożeńców, kapitana Harasymowicza.

Słówko o panu kapitanie nie zawadzi. Był to ranny w kampanii którejś przeciwko Turkom, mężczyzna w sile wieku jeszcze, zdrowy, olbrzymiego wzrostu i pięknej postawy. Mały majątek, jaki posiadał w sąsiedztwie, złożony z dwóch chat tylko, puszczał dzierzawą, a sam przebywał to tu, to owdzie, włóczęg się od komina do komina, z jednymi polując, z drugimi

grając w karty, z innymi pijąc i hulając ochoczo. Był to *natus* sekundant do wszystkich pojedynków, pretendent do każdej młodej wdowy i gość przy wszystkich imieninach: jedném słowem rodzaj pasorzyta, któremu mienie własne choć niewielkie, dawało trochę niezawisłości i dozwalało głowę podnosić do góry.

Oprócz tych zajęć, kapitan handlował chartami, strzelbami i wszystkiém, co miał; a miał zawsze ładne rzeczy, jak gdyby umyślnie dla facyendy. On i pani Le Roux znali się od lat kilku, a złośliwi ludzie nawet mówili, że w bardzo czułych byli stosunkach. To pewna, że zaraz po przeniesieniu się pani Adamowej do Stawiska i on się zjawił, zajął kwatery w oficynie, rozgospodarował się, charty sprowadził, i zdawało się, jakby tu miał zamieszkać. Pan Adam mówił nawet o powierzeniu mu majątku na czas podróży za granicę. Niedołęztwo pana Adama, który rad się każdym wyręczał, dało pole kapitanowi do schwycenia rządów majątku, dworu i opanowania Stawiska. Zręczny przytém umysł, charakter silny i przewaga jaką mu otrzymać było łatwo nad gospodarzem, codzień go mocniej na tém stanowisku ubezpieczały.

Z panią porozumiewali się jedném wejrzeniem, i jak służba mawiała, znali się jak łyse konie; a we dworze tak osiodłali znużonego pana Adama, że wydawał się w własnym domu rezydentem na łasce. Pieszczono go za to i pochlebiano mu co wlaźło, a wlaźło co chcieli.

Kapitan miał wysokie rozumienie o swych zdolnościach, urodzie, zręczności i w ogóle przymiotach, któremi go obdarzyła natura; nic mu się nie wydawało trudném. Wyszedł też do Lepiuków z miną gro-

mowladcy, z cybuchem, którego jeden koniec krył się pod wąsem, a drugi włókł prawie po ziemi, w bok ręką się wsparł, i był pewien, że tylko rzeknie słowo a przekona ich.

— Nól rzekł siadając na ławce w ganku naprzeciw dwóch chłopaków: wiecież czego was zawołano do dworu?

— Nie, jaśnie panie! nisko się kłaniając, odpowiedzi chłopcy.

— A zatem—dodał kapitan uśmiechając się—chciecie, żebym wam powiedział o co chodzi. Słuchajcież.

— Słuchamy! szepnęli podnosząc głowy chłopcy.

— Pani i pan chcą, żebyście waszą siostrę Motrunę dali za tego Cygana, który tu na kowalstwie osiada; to ich wola i tak być musi.

Lepiuki spojrzeli po sobie i zamilkli. Starszy wystąpił po chwili z nowym pokłonem aż do ziemi, i odezwał się, dusząc czapkę:

— Toćby my to jaśnie panie nie sprzeciwiali się temu, kiedy taka wola pańska, ale jest przeszkoda wielka.

— Jaka? co za przeszkoda? ofuknął kapitan.

— A cóż poradzić z nieboszczykiem, który tego nie chciał i zaklął nas, żebyśmy Motruny za tego włóczęgę nie dawali. Słowo ojcowskie, słowo boże; synowi słuchać, nie rozbierać.

Kapitan, który moralność pospolitą zawsze uważał za doskonałą rzecz dla gminu, ale nieobowiązującą dla siebie, uśmiechnął się wzgardliwie.

— Co tam ojciec! rzekł machając ręką. Ojciec umarł, a wy róbcie co wam każą.

— Kiedyż myśmy się ojcu obiecali, odparł Lepiuk.

— Jakżeście mogli obiecywać, co nie w mocy waszej dotrzymać? zawołał głośniejsz kapitan. Dziewczyna tego chce, dwór pozwala i rozkazuje, cóż wy możecie przeciwko temu?

— Motruna nie może tego chcieć, kiedy wie, że ojciec nie pozwolił, przerwał młodszy Lepiuk.

— Cicho! wrzasnął kapitan, stukając fajką z energicznym gestem. Nie wdawać się w rozprawy. Słyszycie rozkaz, słuchać i po wszystkiem. Tak pan chce, tak być musi.

Bracia jakby naradzając się, spojrzeli na siebie, trochę przestraszeni zapalczywością pana Harasymowicza.

— Ale jaśnie panie... ośmielił się starszy.

— Tu nie ma „ale,” przerwał wścisz; nic, nic, posłuszeństwo i po wszystkiem. Dacie Motrunie co się należy, wyprawicie wesele...

Lepiuk młodszy podniósł głowę, jakoś zadraśnięty rozkazem zbyt absolutnym kapitana; rumieniec wybił mu się na twarz, ręka zadrżała.

— Kiedy taka wola panów, a my przeciw temu nic nie możemy, to cóż gadać? Ale dla nas święta wola ojca, który umierając mówił, że jeśli Motruna pójdzie za Cygana, on się jój wypiera za córkę, a my za siostrę. Niech państwo robią co chcą, ale wesela nie sprawimy i z chaty nic nie damy, choćby nas nie wiem jak karać miano.

To rzekłszy, umilkł Lepiuk zagryzłszy wargi, a kapitan hardością niespodziewaną uniesiony, aż podskoczył z ławy.

— Co ty śmiesz mówić! zakrzyczał—łajdaku jakiś! Będziesz się ty woli pańskiej sprzeciwiał! A wiesz ty czém to pachnie?

Lepiuk ani drgnął, ani się ruszył, ani okazał zmieszaniem, tylko zimne oczy zwrócił na kapitana i stał milczący; ale widać było w nich tak silną wolę, tak nieprzełamany opór, że Harasymowicz uczuł się zbitym z tropu, i nie wiedząc co począć, zabelkotał tylko:

— Ruszajcie, a com mówił, to się zrobić musi. Z tobą zaś będzie inny porachunek, dodał grożąc Lepiukowi. Idźcie precz!

Bracia skłonili się i poszli, a kapitan ochłonawszy nieco, wszakże nie swój trochę, wcisnął się powoli do salonu.

Naprzeciw niego wybiegła z iskrzącymi ciekawością oczyma pani Adamowa.

— A co, kochany kapitanie? spytała wdzięcząc się.

— Nic, chłopci jak zwykle chłopci: trochę się upierają, ale musi się tak zrobić jak chcecie.

— Mówisz, że się opierają?

— At! plotą, że ojciec umierający zakazał im dawać tę dziewczynę za Cygana, że się jój wyprą... głupstwa plotą. My zrobimy jak pani każesz...

— Jak to! mówisz, że się nie godzą?

— Ale któżby ich pytał!

— Są więc z ich strony przeszkody?

— Dzieciństwo! wola twoja, pani, jest tu wszechwładną.

— Ale ja nie chcę jój nadużywać, wolę środki łagodności!

Kapitan ruszył ramionami.

— Co tam środki łagodności! U nas jest jeden tylko środek powszechny na wszystko: kij. Ten działa lepiej i skuteczniej niż najwyszukańsze argumenta! Będą się sprzeciwiali, każemy ich ochłostać i kwita.

Czuła Francuzka wzdrygnęła się, upadła na krzesło i twarz zakryła rękami białymi.

— Ach! barbarzyństwo, kapitanie! Chyba żartujesz! Ja tego nie chcę, ja tego nie pozwalam! ja się oburzam na samą myśl przemocy.

— No, to rób sobie pani co chcesz, odparł kapitan ruszając ramionami; a ja się do niczego nie wdaję.

— Pan bo się musisz wdawać, -i musisz robić jak ja każę, zawołała niecierpliwie Francuzka, tupiąc nogami. Zawróć tych ludzi i staraj się ich ująć łagodnością, datkiem, pieniędzmi, czém chcesz, ależ przecię nie kijem!

— Ale zmiłuj się pan! tego się nie podejmuję! oburzył się rezydent. Dziś ich zawracać, a toby dopiero nosa do góry zadarli! Jutro się pomówi z nimi, bądź pani spokojna.

Tak się w pokoju zakończyła rozmowa nadejściem pana Adama, który ziewając wsunął się przez przeciecie godziny herbaty. My przenieśmy się na wieś z powracającymi Lepiukami.

Koło karczmy oczekiwało na nich kilku poważniejszych z gromady, wiedzących już, że ich zawezwano do dworu, a ciekawych jak tu sobie państwo postąpią. Usposobienie ludzi, jakkolwiek Cyganowi niezbyt w początku nieprzychylnych, skłaniało ich ku Lepiukom raczej; przeczuwali bowiem, że przeciw nim będzie dwór, i oburzali się na to wtrącanie się w domowe ich sprawy. Ztąd i Cygan, będący przyczyną wdania się panów, coraz im bardziej obmierzał. Nie mieli z niego posługi żadnej dotąd, a tu im zagrażało, że się z nimi bracić będzie, co dla wszystkich nie-

miłém było. Nim Lepiuki powrócili ze dworu, w kupce oczekujących już żwawo rozprawiano o tém małżeństwie i jego skutkach.

— Co to? mówił Skorobohaty, poprawiając pasa i podskakując jak miał zwyczaj na jednej nodze—co to? lada przybłęda, wołekita, będzie nam z przed nosa brał gospodarskie córki i na naszej ojcowiznie osiadał! Tego u nas nie bywało! Co tu panu do tego, co my robimy z naszymi dziećmi? albo to nie krew nasza, o którą tylko pan Bóg spytać może?

— A to prawda! ciszej dodał tchórzliwy Symiacha. Ale nie gadajcie—bo tak głośno! jeszcze kto posłysz! Cyt! cyt! A ot i Lepiuki: chodźmy z nimi do ich chaty, bo tu przed karczmą niezdrowo; zaraz dworaki doniosą, że już się wieś buntuje, i bieda będzie.

Skorobohaty ruszył tylko ramionami, ale przyjąwszy radę, posunął się ku chacie Lepiuków, do której i oni ze spuszczonei głowami powolnie zmiierzali.

— A co? zapytał ciekawie: czy taki o Motrunę?

Bracia radzi zasięgnąć od doświadczonego zdania, opowiedzieli mu całą swą rozmowę z kapitanem i ostatni wyrok jego. Starszy powtórzył, co mu trochę uniosłszy się zwiastował.

— Dobrześ powiedział, chłopcze, rzekł Skorobohaty: tak się i należało, i tak róbcie; dwór się pomiarkuje, ta *chrancuzka* się złęknie, a kapitan... *oj! oj! sławny buben za horami!* Alboż to pan! nic z tego nie będzie...

— No! a jak się uprą? rzekł młodszy Lepiuk.

— To niech ją wydają do trzystu dyabłów! gorąco podchwycił stary; niech ją sobie wydają za kogo chcą; a jeśli Cygan ją weźmie, cała wioska wyprze się i jój

i Cygana, nikt do nich słowa nie przemówi, nikt im ręki nie poda, nikt ich znać nie zechce. O! co będzie...

Spojrzał Skorobohaty po gromadzie: wszyscy widocznie poklaskiwali mu i potakiwali.

— Tak! tak! niechaj siedzą w chacie pod mogiłkami, a do wsi się nie pokazują nawet, bo ich psami wyszczujemy!

— Psubrat Cygan—podchwycił drugi—będzie sobie dziewczki u nas wybierał! ho! ho!

Stanął więc na tém, że bracia jeszcze mocniej w oporze swoim podtrzymani przez gromadę, zaprzysięgli siostry nie wydać po dobrej woli, i wrócili do chaty nic nie mówiąc Motrunie, ale chmurni jak noc.

Ona przeczuła co się tam działo na wsi: widziała jak szli do dworu, dostrzegła narady ze Skorobohatym, domyśliła się co za wyrok padł na nią; ale udawać musiała, że o niczym nie wie, że się tém ani zajmuje. Jako na najmłodszą, spadły na nią najcięższe domowe posługi; bratowe gromiły ją nieustannie: milczała i płakała. Ciężko nawet było teraz wyrwać się do dworu dla widzenia się z Cyganem, bo jój nie spuszczano z oka; a gdy przyszło na pańszczyznę, posyłano inną, żeby nie miała zrzeczności zajrzeć na folwark.

Nazajutrz wieczorem znowu posłano po obu Lepiuków, a kapitan z instrukcją nową wyszedł ku nim prawie uśmiechnięty.

— No! rzekł: musieliście się namyślić od wczoraj. Nie ma co wody warzyć. Motruna musi pójść za Cygana, a zatém przygotujcie jój ucziwe weselisko...

Lepiuk się pokłonił do ziemi, gdyż wieśniak wo-

łyński kłania się nawet gdy słuchać nie chce, z nabożu.

— Niech sobie państwo robią co chcą, odezwał się z pokorą i jakąś rezygnacją zastanawiającą: my ani wesela nie sprawim, ani możemy na to się zgodzić, co ojciec zakazał; to już ja panu wczoraj mówiłem.

Kapitan spojrzał w oczy chłopcu, i zdziwił się, spotkawszy w nich toż samo wejrzenie zimne na pozór, ale niewypowiedzianie potężne, które go wczoraj tak zastanowiło. Czytał w niém bezwładny opór człowieka, który już przygotował się na wszystko, i czeka co z nim uczynią, nie myśląc się dać pożyć na groźbie, ani prośbie, ani boleści. Nie ofuknął się tym razem pan Harasymowicz, ale rozśmiał, choć go to niepospolicie podrażniło.

— Gdyby to moja była sprawa—odezwał się powoli—wiedziałbym jak począć. Wasi państwo aż nażbyt są dobrzy i łagodni; nie chcą was siłować, wola ich! Powiem wam więc od państwa, że pani bierze na siebie i koszt wesela, i posag Motruny, i jeszcze obiecuje wam wasze posłuszeństwo wynagrodzić, ale żąda, żebyście tak zrobili jak ona każe.

Lepiuk schylił się znowu do ziemi.

— Bardzo dziękujemy państwu... odezwał się nieporuszony—ale kiedy taka była wola ojca!

Kapitan już się zżymał, świerzbiał mu cybuch w rękę.

— No! pani wam daje parę wołów, byleście tak zrobili jak się jój podoba... Słyszycie!

Lepiukowie spojrzeli po sobie, starszy się zgiął, westchnął i rzekł:

— Cóż my poradzim, kiedy ojciec tego nie chciał!

— A cóż w stu tysięcy dyabłów! zakrzyknął kapitan: więc i to odrzucacie?

— Wola pańska i bozka! westchnął starszy.

Napróżno kapitan prosił jeszcze, fukał, groził, gniewał się, ofiarował pieniądze: nic nie pomogło. Lepiukowie zostali przy swoim i odeszli przygotowania na wszystko co los przyniesie.

Gromada jednogłośnie oświadczyła się za nimi, i trudno wyrazić, jakie uczucie pobudził w niej ten tak mało na pozór znaczący wypadek. Im silniej nalegał dwór, tém uporniej obstawali przy swoim bracia, a cała ta sprawa wywołała w Stawisku niechęć ku panom i gorszą jeszcze nienawiść do Cygana.

Nareszcie pani Adamowa przekonana, że inaczej niż siłą nie zwycięży, rozkazała Motrunę zabrać do dworu, posłała na zapowiedzi, i wbrew woli wszystkich, zajęła się weselem, przyspieszając je z powodu wyjazdu za granicę, który natychmiast miał nastąpić.

Smutneż to zaprawdę było wesele! Napróżno zastawiono wódkę, piwo i sute przyjęcie: nikt ze wsi nie przyszedł, bracia ani się pokazali, żadna dziewczyna nie chciała być druhną, żaden parobek swatem i marszałkiem; wszystkich urzędników wesela musiano wybrać z ludzi obcych i dworskich. Upór zacięty gromady był nie do pokonania.

Nikt prócz państwa nie pobłogosławił biednej dziewczynie. Płatka nie dano jej z chaty ojcowskiej; bracia pochowali się, żeby się z nią nie spotkać. Widząc to Tumry, i przeczuwając jakie ich czeka życie, chciał uciec i wyrzec się swego szczęścia; ale lży Motruny, bojaźń wystawienia jej na późniejszą zemstę rodziny, sama w ostatku miłość, przemogły.

Dziewiczy wieczór zszedł bez pieśni prawie; koro-
waj upieczono we dworze bez tych obrzędów, jakie
towarzyszą zwykle mieszaniu i przygotowywaniu sym-
bolicznego placka; w cerkwi pustka, w siole jak wy-
miótl, a wieczorem na tańcach sami dworscy, hałastra
pijana. Nikogo krewnego, nikogo swojego, nikomu
przytulić, pocieszyć i ośmielić sieroty. Motruna za-
lewała się ciągle łzami: tak ją już przerażała przyszłość,
którą widziała przed sobą. Cygan siedział zadumany,
przełękły swym losem, jak żywy posąg smutku; tylko
czarne oko z pod brwi nawisłej błyskało.

Na tém, jak myślicie zapewne, powieść nasza skoń-
czyłaby się powinna. O nie! w książkach tylko wesele
wszystko zamyka: w życiu od niego się dopiero po-
czyna historia ludzi; za niém idą pierwsze rozkosze,
cierpienia, nadzieje, zawody, rozczarowanie, praca
i cały szereg znanych wprzód tylko z nazwiska uczuć
i wypadków. Właściwiej daleko bohaterowie powin-
niby się żenić w pierwszym rozdziale; ale w ten spo-
sób smutniejszą choć może więcéj zajmującą byłaby
powieść, odarta z chwil nadziei, zamknięta w rzeczy-
wistości. Dopóki miłość (a miłość, niestety! nie z na-
tury malowana, ale tak prawdziwa jak pejzaż Bouche-
ra lub Watteau), była jedynym przedmiotem powieści—
ostatnią jéj kartą ślub być musiał. Dziś wcale ina-
czej: — przedmiotem powieści jest życie samo, ze
wszystkimi objawami swemi i w całej swéj nieprze-
branéj różnitości; miłość i wesele w niém chwilą i je-
dną tylko kartą w opowiadaniu.

Wracamy do Motruny i Cygana.

Nazajutrz po ich pobraniu się, państwo Adamowie ruszyli za granicę, zostawując rząd majątku kapitanowi, i co z nimi się stanie, nie bardzo się już troszcząc. Francuzka sądziła, że dopełniła do czego się czuła obowiązana, czuła parę łącząc na wieki węzłem nierozzerwanym; nie przyszło jój na myśl nawet, że nazajutrz po ślubie może im chleba zabraknąć.

Tak było w istocie. Chata Tumrego stała niedokończona; drzewo nawet przygotowane na nią popsuł był owój nocy po pogrzebie, kiedy nim dziwny strach owładnął. Pani zostawiła im tylko jedną krowę, bracia nic nie dali, a małżeństwo nazajutrz po weselu nie wiedziało gdzie się podziać i czém się dalej żywić.

Kapitan, który pozostał w Stawisku, po odjeździe dziedziców wcale nie myślał się kłopotać losem nowożeńców. A że izba, w której przytulono Cygana, była potrzebna, i nie było ktoby się zaopiekował sierotami, oddano im najgorszą krowę z obory i rozkazano szukać sobie schronienia na wsi.

Tak ledwie skrzypki ucichły, biedni zostali bez dachu, bez przytułku, nie wiedząc gdzie się podziać, i całą wieś mając przeciwko sobie. Ani pomyśleć nie można było zapukać do drzwi chaty: niktby ich nie przyjął. Ze dworu wypędzony Cygan, wziął Motrunę za rękę, która maleńkie zawiniątko niosła tylko pod pachą, i w milczeniu wyszli, kierując się ku cmentarzowi.

Kawałek wczorajszego korowaju całym był ich zapasem. Tumry unikając dla żony przechodzenia przez wioskę, wyszukał instynktem ścieżkę po za ogrodem, i jakkolwiek była niewygodna, wołał się nią

puścić, niż spotykać się z ludźmi, coby z nich sztydzili. Szedł ze spuszczoną głową i zadumany, myśląc jakby tu sobie poradzić. Chacie brakowało dachu, części ścian, drzwi, okien, pieca i całego gospodarzkiego sprzętu; nie mieli ani grosza, ani mąki, ani chleba, ani nawet dzbana, którymby wody zaczerpnęli... Co począć? od czego zacząć? gdzie tę krowkę zamknąć? czém ją karmić?

Motruna płakała, i po cichu łamała ręce, niekiedy przypominając przeklęstwo ojcowskie. I szli tak nie śmiejąc się odezwać jedno do drugiego, pod górę drożyną, aż ku poczętj chacie zagrodnika.

Zdawało się, że oboje radzi byli przedłużyć drogę, oddalić chwilę stanowczej rozmowy; ale ścieżka krótsza niż inne, zawiodła ich wprędce przede drzwi cmentarza i lepianki.

Tumry w milczeniu przywiązał krowę do słupa, a Motruna wsparła się o ścianę, oczy nieprzytomne wlepiając w cmentarz, na którym jeszcze żółciała ojowska mogiła.

Jéj lzy bolały nieszczęśliwego Cygana, który czuł, że z jego przyczyny płynęły. Choć bezsilny i sam cierpiąc, wymógł na sobie uśmiech i odwagę.

— Nie płacz! rzekł do niéj po cichu, przybliżając się: płacz nie pomoże, potrzeba myśleć co z sobą zrobimy. Ja chatę dokończę przed zimą, tymczasem choć jedną izbę zamknę za dni kilka; ale żyć nie będzie z czego, trzeba najprzód krowę sprzedać.

Motruna gotowa się była zgodzić na wszystko, choć w sercu żal jéj było tego stworzenia, które czémś więcej dla niéj było niż datkiem pieniężnym: było zajęciem, towarzystwem, nadzieją.

— Szkoda krówek! szepnęła: ale cóż robić? Jak trzeba, to mus...

— Czémże ją przekarmimy, a czém wyżyjemy samil! Wszak to jesień!

— Poszłabym do braci...

— Do braci? podchwycił Cygan brew marszcząc: nigdy! nigdy! Gdybyśmy konali z głodu, ręki do nich nie wyciągniemy; trzeba sobie wystarczyć. Nie mów mi o tém... Czasu nie możemy tracić; idź z krówką do miasta, sprzedaj ją, wiesz co na gospodarstwo potrzeba; ja muszę z chatą śpieszyć... Tylko śmiało Motruno! niech się ludzie wściekają, a ja im pokażę, że coś wart!

To mówiąc, Cygan z zapalem jakimś pocałował ją w czoło, rzucił z siebie opończę, porwał siekiere, oczy mu się zaiskrzyły, chwycił się do roboty. Motruna patrzyła na to, i odwaga powoli wstępowała jej do serca. Dumiała chwilę, potem odwiązała krówkę od słupa, otarła oczy fartuchem, i z niejakiem wahaniem, żegnając męża w milczeniu, skierowała się drogą ku miastu wiodącą.

Cygan tymczasem jak w gorączce rwał się do roboty. Od czego tu począć? jak sobie dać rady? Opały ręce, czuł rozpaczliwie niemożność, to znów pragnienie pokazania swój siły podniecało go i utrzymywało. Robota w takim usposobieniu szła szalenie szybko, a ręce dźwigały ciężary, które chyba dusza pomagała im podnosić, bo w zwykłym stanie nie byłby się nawet o nie pokusił. I był to widok zajmujący tego człowieka z czołem chmurnym, z usty zacisnionymi, oblanego potem, miotającego się jak cyklop wśród nawału bierwion i drzewa różnego, które w silnych dłoniach jego chrzęściało. Siekiera gorzała

mu w rękę, trzaski leciały świszcząc w powietrzu, a wola dokazywała cudów; co chciał, robił z taką pewnością, z takim jakimś przecuciem skutku, że się ani zawahał przed niepodobieństwem. Nie pomyślał nawet o spoczynku, o jadle, o wytchnieniu; a im więcej pracował, tém praca stawała mu się lżejszą. Ani się spostrzegł, jak noc chmurna nadeszła i nagle ściemniło mu się zupełnie.

Powlókł okiem po niebie osłoniioném, dobył krzesiwa, naniecił ognia z trzasek i odłamów, i nuż znów do dzieła! Wiatr rzucał mu w oczy dym gorący, migąło światło rozdmuchywane i gasnące na przemiany: Tumry na nic nie zważał, a sama robota podnosząc go coraz bardziej na duchu, potęgowała w nim wszystkie władze, przechodzące zwykłe normalnego stanu granice.

Szło mu o zarzucenie jakiego takiego stolowania na maleńką izdebkę, w której chciał żonę swą ukryć; z rana nie było jeszcze belek, musiał je pozaciągać, a łąty i koły wsparte na nich wieczorem, zastępowały jako tako brakujące daszek. Zarzucił je Tumry słomą, ziemią, trzaskami, czém miał; okienko niezaszklone zasuwa naprędce wystruganą obwarował; lecz drzwi nie było zrobić z czego...

Gdzie tu dostać lada jakich choćby desek lub tarcicy? Zadumał się Tumry, zadumał, ale nic w głowie znaleźć nie mógł: na drzwi rady nie było.

Północ już nadchodziła i kury piałły na wsi, a księżyc rozbiwszy chmury, półtwarzą wychylał się ku ziemi, gdy Cygan siadł znużony, myśląc i przemyślając nad drzwiami. Gdyby nawet mógł kupić tarcic, jak tu je przywieźć? Wójt przyjaciel, teraz trzymając z gromadą, nie pomógłby już biedakowi.

Sen wreszcie zamknął powieki spracowanego, ale i we śnie drzwi nie dały spoczynku. Ciało zasnęło, dusza pracowała jeszcze, latając po świecie myślami niespokojnymi. I jak się często zdarza silnie zaprzętym pragnieniem jakimś, we śnie dopiero Tumry znalazł drzwi swoje. Przed samem cmentarzyskiem, naprzeciw w rowie leżał zbutwiały i przepróchniały mostek, nieużyteczny zupełnie, bo wrotka cmentarza teraz położone w poprzek, miejsce jego zajmowały. Tumry mógł zabrać kilka desek zgniłych, nie czyniąc szkody nikomu.

Na tę myśl serce mu zabiło, obudził się, oczy przetarł: potrzeba było zaraz to spełnić, by po dniu kto kradzieży nie dojrzał; i choć się lękał zbliżyć do świeżej mogiły, wola gorąca popchnęła go gwałtownie — poszedł ku cmentaryzkowi.

Księżyc jakby go śledził, zakryty na chwilę, ukazał się znowu, zajaśniał i pomógł biednemu, który wlaższy pod drzwi leżące, namacał kilka desek, zgarznął je, pochwycił i uciekł, czując jakby go cmentarne gonilo powietrze.

Długo potem jeszcze dyszał niespokojny, ale radość ze zwycięstwa dodawała mu odwagi; położył się nareszcie, pokrywając sobą wilgotną zdobycz swoją, i usnął.

Zbudził się ze dniem, a przypomniawszy, że miał już z czego zbić drzwiczki, porwał się znowu do roboty. Ale zaledwie ciosać zaczął i przymierzać deski, czoło się jego zasepiło: ujrzał na nich głęboko wyrznięty krzyż, rok i jakieś znaki, po których kradzież jego łatwo poznać było można. Ręce mu znowu opadły.

Odrąbać tych znaków nie było podobna; spróbował je zgładzić, ale wilgoć przejadła deskę na wylot prawie, i krzyż choć zdarty, plamą czarną w głębi drzewa wychodził ciągle. Jakiś zabobonny strach na widok tego niezagładzonego godła owładnął Cyganem; chwycił wszystkie deski znowu, przebiegł drogę z nimi i zarzucił je pod mostek.

Chwilę tylko jednak trwało wahanie, bojaźń, niepewność; założył siekiere na ramię i puścił się w las. Żywěj duszy nie spotkawszy na polu, wbiegł w zarośla szumiące jesiennym suchym szelestem, rozglądając się w nich i nie wiedząc co począć. Myśl pracowała w nim tak żywo, że wszystkie deski, jakie gdzie spotkał w życiu, przychodziły mu na pamięć, widział je ze wszystkimi ich szparami, sękami, ćwiekami w nich sterczącymi, ale żadna nie mogła mu na te nieszczęsne drzwi posłużyć.

Szedł tak sobie dalej a dalej, wiedziony instynktem jakimś, bez drogi, ścieżki, gdy go przestraszył głośny śmiech dający się słyszeć tuż blisko. W każdym spodziewając się nieprzyjaciela, Tumry stanął gotując się do obrony i brwi nasrożył; obejrzał się — pod sosną siedział mały człowieczek.

Dobry to był znajomy Cygana: zwano go we wsi głupim Jankiem; nieokreślone stworzenie, pół waryata, pół mędrca, postać osobliwsza i człowiek nie jak drudzy. Głupi Janek mógł mieć lat dwadzieścia kilka, ale znacznie wydawał się starszym. Twarz miał bladą, żółtą, schorzałą, wykręconą, jakby od wielkiej choroby, i żaden włos jój nie zarastał; oczy ciemne, małeńkie, sterczały wśród niej, jak dwie tarnki okrągłe. Małego wzrostu, rąk bardzo długich, nówek cienkich i nieproporcjonalnie krótkich, co się jeszcze dziwniej

przy rozrostłej i olbrzymiej głowie wydawało, Janek podobny był bardzo do tych poczwar leśnych, któremi wyobraźnia ludu zasiewa puste ostępy i bory. Od dzieciństwa za bezsilnego i na nic niezdatnego uznany w chacie, Janek włóczył się i robił co chciał: albo na piecu i za piecem wysypiając się na grochowinach, lub po lesie wałęsając się — co wolał. Znały go we wsi wszystkie psy i dzieci, bo jedne, zawsze za nim ujadły, a drugie go prześladowały nietościami; krewni, siostry, bracia, wszyscy nim poniewierali, a często mizerny kawałek chleba, który wyprosił, gorzko mu wymawiano, choć niesprawiedliwie, bo Janek spełniał dobrowolnie najcięższe posługi. Nosił wodę, dźwigał drwa, zbierał grzyby, obijał konopie, i podejmował się ochotnie czego kto inny zrobić nie chciał. Janek nawet mimo głupoty, którą mu przyznawano, wcale nie był głupi; ale że się śmiał prawie ze wszystkiego, co widział i słyszał, ruszano nań ramionami i nazwano szalonym. Dziwne położenie biednego karła nie rozjątrzyło go wcale przeciwko ludziom; owszem, wesół był zawsze, uśmiechnięty dla każdego, do rozmowy, chociaż szeplecił i trudno mu z nią szło, gotów; chętny do pomocy każdemu, od niejednego rozumnego wart był więcej. Ale we wsi, jak na szerszym świecie, gdy kogo raz głupim okrzykną, niechże się z tego wypłaczę! — Janek pozostał głupim, i może temu winien był swoją swobodę.

Spotykali się oni z Cyganem w lesie nieraz, a biedny włóczęga uczuł dla podobnego sobie biedaka jakieś politowanie; rozpoczynał z nim rozmowę, pokazywał mu gdzie jakiego drzewa trzeba było szukać w lesie, dawał czasem parę grzybów. Tumry oswoił

się powoli z głupim Jankiem, i już go nie liczył za nieprzyjaciela.

— Al! odezwała się poczwarka siedząca pod starym dębem, z uśmiechem, który podobniejszy był do skrzywienia niż do wesołej miny. Dobry dzień, panie młody! Czegoż to w lesie szukasz?

Cygan potarł czoło, wstyd mu było powiedzieć, ale Janek mógł pomódz.

— Może kalinowego stołu? może cisowego proggu do chaty? mówił dalej chłopak, i począł śpiewać jakąś piosnkę weselną o kalinowym moście. Zanócił piszczącym, schryplym głosem, przerwał i zbliżył się do Cygana.

— Gadajże kochanku! rzekł przymilając się. Czego ty taki zadumany? co to tobie? A to brzydko nazajutrz po weselu patrzeć po lesie, jakbyś już gałęzi szukał! No! czego tobie trzeba? może ja ci pomogę?

— Podobno ani ty, ani nikt, chyba dyabeł, rzekł chmurno Tumry.

— E! fe! kochanku, Cyganku, serduszko, gołąbku! począł Janek. Na co tobie tego szlachcica wzywać w takiem ciemném miejscu? Ja się go i na polu boję! O! lepiej powiedz czego tobie braknie, już ja ci pewnie pomogę i bez niego.

— Gdzie tam! rzekł Cygan: chatę jak chatę, polepię jakkolwiek; ale drzwi, pęknię, nie mam z czego zrobić! Deski nie upiłuję, ani kupię jęj, ani nawet ukrasć.

— A tybyś ukradł!? śmiejąc się i grożąc spytał Janek. Cyganku, kochanie, nie dziwuję się, że tego jegomości wspominasz! Fe! gołąbeczku! na co tobie cudze brać, kiedy i tak poradzić sobie można?...

— Jakim sposobem? spytał Cygan.

— Wszak to, co niczyje, z tego wzięwszy człowiek nie kradnie.... rzekł, zamyślając się z udaną powagą, głupi Janek.

— A zapewne.

— Otoż tu w lesie jest stara buda — szepnął pochuteńku chłopak — bardzo stara, tylko że się nie wali. Kiedyś w niej mieszkał leśniczy jakiś, ale się na drzwiach powiesił; od téj pory opuszczono chatę, a drzewa z niej nikt nie weźmie pewnie: może tybyś był odważniejszy? Jabym go nie ruszył, ale kiedy chciałeś dyabła (nie mówiąc złego słowa) prosić o tarciczkę, toż i tę wziąć możesz.

— A gdzież to? zapytał gorąco Cygan.

— Chodź, ja cię zaprowadzę — odpowiedział Janek, schwycił kij ogromny, wyższy od siebie, i nuż sadzić przez pnie i krzaki.

Choć niezgrabny i krótkonogi, Janek tak był wprawny do chodu i tak się dobrze znał z lasem, że Cygan ledwie go mógł napędzić. Niekiedy obejrzał się, uśmiechnął, przystanął, i znowu dalej. Po drodze to grzyba chwycił do torby, to krzak jagód wyrwał z ziemi, to się zaczął na wiewiórki przebiegające od drzewa do drzewa. Tumry nie spuszczał go z oka, szedł w milczeniu.

Kręcili się po lesie około godziny, aż nareszcie w gąszczy zapustów młodych, Janek pokazał z daleka palcami Cyganowi coś nakształt zrujnowanej chaty. Trudno było poznać teraz, czém to dawniej było, bo dach opadł, ściany się porozsuwały, postarzały kłuczyny, komin pleciony się rozwalił, a zielska i trawy objęły w swoje władanie tę dawniej ludzką siedzibę. Pod jedną z jój ścian jakoś przysłonią od deszczu,

stały nieforemne drzwiczki, na których wisiała jeszcze reszka sznura przegniętego. Cyganowi aż oczy pojaśniały; rzucił się ku temu skarbowi, schwycił go, ale drzwi ledwie dotknięte, w rękę mu się rozsypały.

— Otoż masz! krzyknął Janek: szkoda naszych nóg, Cyganeńku! i to próchno!

Nie było to jednak próchno całkowite: kilka się tarciczek choć podziurawionych przydało. Tumry podziękował swemu doradcy, zarzucił je na plecy i zawrócił.

— Cóż to ty myślisz sobie sam wziąć wszystko? odezwał się towarzysz: a mnie to gołąbeczku nic nie dasz?

— Albo byś ty dźwignął? uśmiechając się z politowaniem odparł Cygan.

— Dajże mi połowę, a spróbuj! odpowiedział głupi Janek.

Zdziwił się niepomału Tumry, ujrzawszy jak nieodłączne to na pozór stworzenie, lekko, zręcznie i bez trudu niosło swoje brzemię, podśpiewując.

Ani się spostrzegli, gdy rozmawiając stanęli nad brzegiem lasu. Tu Janek deski swoje porzucił, ukłonił się słomianym kapeluszem Cyganowi i szepnął:

— Ruszaj sobie kochanku sam; bo jakby mnie z tobą ludzie zobaczyli, powiedzieliby, żeśmy obadwaj czarownicy, a mnieby może i chleba za to w chacie nie dali. Bywaj zdrów! Ot patrzaj, że i głupi Janek na coś się zdał. Cha! cha! jaki ja wielki pan, co jeszcze drugiemu świadczył! Gwałt! gwałt! a to cud!...

Wziął się w boki: „Cha! cha!” i śmiejąc się do rozpuku, poleciał do wsi co miał tchu.

Motruna z krówką swoją powoli szła do miasta i płakała biedaczka; płakała, aż za łzami świata jój widać nie było. Droga wiodła przez wioski, przez wielki gościniec; ludu na nią wiele, a każdy co przechodził, zwracał oczy na piękną, młodą, ustrojoną kobietę, która z chudą krówką szła płacząc. Żydzi zwłaszcza domyślając się, że bydłę było na sprzedaż, a łyzy dowodziły potrzeby pozbycia się, kilka razy Motrunę zatrzymywali. Dawano jój coraz mniej za staruszkę, której chude boki i najeżona sierść niebardzo zachęcały, — i tak dowlekła się do miasteczka.

Wiatr trochę łyzy osuszył, myśl się rozkołysała widokiem bożego świata, potrzeba było pomyśleć o przyszłym gospodarstwie, i Motruna stanęła na targu, zadumana co pocznie.

Tu ją zaraz obścąpili Żydzi, Żydówki, Żydzieta, wieśniacy, i targ się rozpoczął na bydłę, którego niepozorność a zatém i taniość zwabiła wszystkich uboższych. Ani się obejrzała, jak przybito ręce, jak wyliczono pieniądze, wzięto postronek i krówka z oczu jój zniknęła. Na dłoni miała młoda gospodyni trzydzieści kilka złotych; ale järke to było mało na tyle potrzeb, na cały dom! Poszła kupować, zapomniawszy płakać; ale nowa bieda gdy się to wszystko zebrało: i garnuszki, i wiadro, i dzbanek, i sito, i dziezka, i niecuki — niepodobna jój było zabrać tyle sprzętu.

Musiała szukać kogoś, coby z targu jechał na Stawisko do domu i powracał próżno: ledwie więc pod noc zwłókłszy co kupiła, ruszyła ku domowi. Jechali wołami, najęty chłopak był pijaniuteńki; po drodze góry wielkie, noc ciemna, jeden Pan Bóg strzegł i prowadził. Z każdego pagórka wóz staczał się z łośkotem, i zdawało się, że w kawałki poleci; ale stawał

jakoś szczęśliwie w dolinie i woły szły dalej powoli, choć gospodarz ich, wsparłszy głowę na nowój dzieźce, usypiał szczęśliwie.

Dobrze już dniało, gdy wóz się zastanowił naprzeciw cmentarza. Motruna ujrzała Tumrego zbijającego drzwi i z dumą poglądającego na swoją lepiankę. Młoda kobieta oczom swym wierzyć nie chciała: cudem się zapełniły ściany, zapełniła ściel, przygotowały nawet drzwiczki! Stała, złożyła ręce i zlekła się nawet trochę, bo pomyślała, że kto wie — Cygan czarownikiem być może. Czary to były woli i odwagi...

Zniesiono co kupiła Motruna, ale na rozmowę, na pociechę, na spoczynek, nie było chwili czasu: on musiał tworzyć swój szalas, ona myśleć o chlebie i wodzie, bo tych dotąd nie było w chacie. Trzeba było iść po wodę do dalekiego źródła, żeby się z kim ze wsi nie spotkać, zamiesić choć placek, bo na chleb pieca jeszcze nie było, i zwarzyć choć garść kartofli przywiezionych z miasta.

Cygan tymczasem siekiery z rąk nie puszczał i gnał się z robotą. Drzwiczki wreszcie prawie całe się zlepiły, choć więcej w nich było sztuki niż w najmisterniejszego snycerza pracy, około wytwornego sprzętu. Stare deski rozpadały się za dołknięciem, dziur w nich było mnóstwo; musiał je Cygan łątać, zabijać, sztukować i wiązać, gdzie kołkiem, gdzie znów listewką, a nawet sznurkami; wszystko mu było dobre, byle trzymało. Ale co za zwycięstwo, gdy na wrzeczadkach osikowych skrzypnęły raz pierwszy drzwi chaty Cygana, gdy je zamknął i zasunął, gdy pomyślał, że je z niczego prawie utworzył! Za te drzwi

oddalby był całą chatę, taką mu w sercu sprawiły uciechę.

Uśmiech jego wywołał wesela trochę na smutną twarz Motruny. Siedli w kątku nowej izby, na kupie mchu, którym mieli resztę szpar pozatykać, rozłamali pierwszy kawałek chleba pod ścianą swój chałupki, i Cyganowi łyż strumieniem polali się z oczu.

Zobaczył przyszłość przed sobą.

Jest w człowieku siła, na której rzadko kto się poznał: rzadko kto użyć jej umiał, siła czarodziejska, która dokazuje cudów; która podbija pod swą władzę wszystko, co ją otacza, pęta żywioły przeciwne, walczy zwycięzko z czasem, przestrzenią, zniszczeniem; której potęgą wznoszą się dzieła olbrzymie, stają się cuda niepojęte. Tą siłą jest wola.

Słówko, ale co w tém słowie! Jakie skupienie władz wszystkich! jakie spotęgowanie człowieka! Rozbierz wolę, a znajdziesz w nich treść i istotę najwyższych przymiotów ludzkich. Tą jedną sprężyną pociągnięone, wchodzą w ruch i działanie siły nieznane, uspięne, nadziemskie, których nic nad nią poruszyć nie zdoła. Ustaje woli działanie, a zmienia się cały człowiek: słabnie, osuwa się, upada, niknie!... Wola nie jest wyłączną potęgą geniuszu, talentu, rozumu; każdy ją mieć może, kto ją w sobie wyrobił, i od najlichszego robaka ziemi, każdy nią cudów dokaże. Całe życie praktyczne stoi na woli; brak jój czyni niewolnikiem *), jak posiadanie jój władcą. Na téj osi obra-

*) Wyraz cudowny, malujący nie-wolę, to jest człowieka bez woli.

cają się koła losów niewidzialną kierowane dłonią, ale poruszane jedną siłą woli.

Nie wiem, czy więcej się dziwić potrzeba olbrzymim piramidom egipskim, celi pustelnika wykutęj dłonią drżącą w twardej skale, czy chacie Cygana zlepionęj niczém z niczego?

Zmierzcie siły i ich skutki, a otrzymacie wypadek sprawiedliwy, bo wielkość dzieła rachuje się władzą jego twórcy. Drobnny, niewidzialny otworek, który wyrzył robaczek w drzewie, dla mnie przynajmniej jest tak zadziwiającą budową, jak tunel pod Tamizą zło-biony ręką i myślą ludzi tysiącą. Ciężar, jaki mrówka dźwiga na swój *tumulus*, złożony prawie z mikroskopijnych okruchów, wzbudza większe podziwienie we mnie, niż obelisk luksorski przyciągniony do Paryża. Tak samo i w sprawach ludzkich: bylebyś wpatrzył się w ten świeatek maluczki, na który mało kto oczy obraca, znajdziesz w nim i piramidy, i dzieła olbrzymie, i cuda stworzone jedną tylko wolą, może bardziej zdumiewające niż to, czemuśmy codziennie dziwić się przywykli.

Naprzeciw cmentarza w Stawisku wznosiła się już chatka, dzieło jednéj silnéj woli, zdumiewające ogromem, choć liche z pozoru. Nikt nie pomagał dźwigać drzewa; nikt go prócz Cygana nie ciosał i nie spajał, nikt nawet dobrém życzeniem nie wsparł osamotnionego robotnika; a jednak sklecił tę lepiankę, po każde polano drzewa chodząc z osobna do lasu, każdy dyl dźwigając na plecach pod górę, i za wyostrzenie siekiery pracując u kowala, bo mu inaczej niż czasem swoim zapłacić nie mógł.

W kilka tygodni po weselu i po opisanych wypadkach, chata Tumrego była prawie na dokończeniu.

Wielką w tém pomocą stała się dla niego żona, bo jój widok zagrzewał go, zachęcał, a pracowite dłonie niejedno polano przywlekły pod cmentarzysko. We dwojgu praca już lżejszą stała się Cyganowi; a gdy wieczorem uznojony upadł na lichój ławie odpocząć, miał ku komu zwrócić oczy, miał już przemówić do kogo.

Motrunie przywykłej do domowego gospodarstwa, które się dostatniem w porównaniu do nagich ścian ich chałupki nazwać mogło, ciężko było oswoić się z tym bytem, dla którego utrzymania wszystko niemal stworzyć było potrzeba z niczego. Tak mało zdaje się znajdziesz w ubogiej chacie wieśniaka, a jednak ile tu niepostrzeżonego sprzętu, drobnostek, które powolnie nabywać, robić, dostawać musil! W chałupie Tumrego, prócz kupionych przez Motrunę na targu najpotrzebniejszych rzeczy, nic a nic nie było. Cygan obchodził się upieczonym kartofiem i zaczerpniętą w dłoń wodą. Począwszy od wiadra—sprzętu pierwszej potrzeby—przy którym jeszcze czerpak być musi lipowy, ileż to brakło co chwila! Stół, ławy, niecki, cebry, dzieżkę dostać musieli, bo się bez nich obejść nie mogli we dwoje. Jednym też chlebem żyć było trudno, a ogród zasadzać za późno.

W początku myślała Motruna, że wieś i bracia, którzy się tak nieprzyjaźnie ku nim stawili, dadzą się przekonać i nakłonić do przebaczenia; ale zaraz piérwszych dni przekonała się, że albo wiele na to czasu byłoby potrzeba, lub nigdy może dokonać się to nie da. Wieśniak ma to do siebie, że w raz powziętém uczuciu i myśli trwa uparcie. Nie ma on czasu na rozmyślanie, na rozbiory tego, co uczuł i przedsięwziął; czyn zajmuje mu niemal życie całe; raz więc

stanąwszy na drodze, zbić się z niej nie daje niczém. W sercu jego rozbudzone wzruszenie dzień jeden podaje drugiemu dniowi, a myśl, z którą usnął z wieczoru, wstaje z nim nazajutrz rano.

Bracia Motruny stanęli właśnie na gościńcu, z którego ich nie sprowadzić nie mogło; owszem, dwór wdaniem się swoim przyparł ich jeszcze do niego; a cała wieś, oświadczając się za nimi i pośmiertną wolą starego Lepiuka, niepodobnym prawie czyniła dla nich cofnięcie się.

Jakkolwiek kowal był bardzo wiosce potrzebny, zarzekli się wszyscy, że Tumrego nie użyją, choćby o mil kilka z naradnikami chodzić mieli. Bracia Motruny zerwali z siostrą zupełnie, i z dala nawet nikt nie spojrział litościwie na tych wygnańców z pod cmentarza, których lepianka powoli się nakrywała i kończyła.

Przejeżdżając drogą, każdy z ciekawością poglądał na chałupę Cygana; ale skoro znajomy zobaczył Motrunę w progu, popędzał konie, żeby ją minąć, odwracając twarz ku cmentarzowi, bez powitania i dobrego słowa. Najodważniejsi nawet z gromady, starym zwyczajem trzymali z gminą i słuchali jej wyroku.

Dni tak upływały, a żywa dusza nie przestąpiła progu, i nie słyszeli głosu nad swój własny; a gdy długa noc jesienna nadeszła z wichrem i burzą, tulili się do siebie z zabobonnym strachem, bo obojgu w téj pustce na myśl przychodził rozgniewany Lepiuk i sąsiednia jego mogiła.

Pracy tak było wiele, a znój tak nieustanny, a przyszłość tak straszna, że oboje nie mieli jeszcze czasu boleć nad dniem dzisiejszym. Toć-to jedyna ulga

wielkiej nędzy, że ona przed sobą daleko nie widzi. Szczęśliwi dręczą się jutrem, płacąc za pomyślność dzisiejszą nispokojem o przyszłość; biedny w opasanym zewsząd dolą swą dodniową widnokregu, na nią już tylko boleje. Tak i z nimi było.

Tumry zwłaszcza w znoju kończąc swą chatę i poczynając kuźnię, ani się oglądał na nadchodzące—głód i zimę. Motruna, czasem myślą wybiegła po kobiecemu naprzód, ale ją odciągnęła troska powszednia. W istocie, przyszłość była groźna, a nawet dla najędzniejszych zastraszająca. Dwór pusty z kapitanem Harasymowiczem na gospodarstwie, nie mógł być żadną pomocą; wieś odsunęła się od nich całkowicie, bo nawet Maksym Łach unikał ich teraz; do postawienia kuźni więcej jeszcze potrzebował Cygan pomocy niż kiedy, a z kąd było wziąć żelazo, młoty, kowadło i pierwszy narząd rzemieślniczy?

Jakkolwiek przywykł Tumry po cygańsku obchodzić się lada czém, wszakże i miech, i cęgi, i młot, i kowadło były konieczne. Na horno, potrzeba było cęgły, i Cygan sam zbudować go nie umiał. A bez kuźni jakaż znów dla nich przyszłość? i z kąd wziąć chleba kawałek?

Podtrzymywała go nadzieja, że gdy warsztat swój postawi, gdy ludzie zobaczą tuż blisko to, czego dotąd daleko szpukać musieli, powoli zaczną się udawać do niego z pilniejszą robotą choćby ukradkiem, a za przykładem śmielszych pociągną i bojaźliwsi.

Wiele jeszcze jednak potrzeba było do tego.

To, co pozostało Motrunie ze sprzedaży krówki, wychodziło powoli na kupno najpierwszych potrzeb do życia: mąkę, krupy, omastę i nieustannie odkrywające się jeszcze nowe w domu niedostatki. Ani pomy-

śleć mogli o przysposobieniu kuźni i potrzebnych do niej narzędzi z téj odrobiny, którą jeszcze mieli, bo ta musiała być obrócona na pilniejsze wydatki.

Cygan jeszcze jednak nie tracił serca, nie postradał odwagi, a praca nie dawała mu czasu na próżne narzekania i rozpaczę. Choć chatka jako taką zlepiona była powierzchownie, jeszcze w niej ściel musiał zakładać i lepić, ze szczątków szkła połapanych na śmieciakach jakie takie porobić okienka, postawić ławy, stół, łódeczko. Krzątał się więc nieustannie latając do lasu, a w domu ciosając i przybijając od świtu do nocy. Ledwie im pozostawała chwilka na południową strawę i odpoczynek z rozmową wieczorną.

Motruna także miała co robić. Trzeba było chleb upiec, zgotować jedzenie, i na to wszystko nanosić wody, co najgorsza. Najbliższe źródło było w jarze nad drogą do wioski, o dobre staje od chaty, u brzegów stawu, a do niego trzeba było schodzić ścieżynką pogliniastym biegnącą obrywem, którą lada deszczyk prawie nieprzebytą czynił dla ślizgoty; cóż dopiero, gdy nią z ciężkimi wiadrami na plecach powracać musiała, drapiąc się pod górę Motruna! Po wodę zaś najmniej dwa razy na dzień zejść było potrzeba. Szczęściem jeszcze, że mało kto chodził do téj studzienki, i biedna Motruna nie spotykała tam kobiet, których milczenie lub ucieczka byłyby ją boleśnie dotknęły.

W kilka tygodni po przeniesieniu się do ubogiej lepianki, nic o tém nie mówiąc mężowi, zajętemu jeszcze kończeniem lichój budowy swojej, Motruna postanowiła spróbować szczęścia i zakochać do serca rodziny i braci. Nie widziała ich od chwili, w której przeciwko ich woli opuściła chatę ojcowską, i wi-

docznie unikali nawet przejeżdżania drogą przez cmentarz wiodącą, kołując dalej na pańszczyznę i w pole.

— Nie jużciż ja im już obca? mówiła sama w sobie. Wszakże chowaliśmy się pod jednym dachem, jedną pierś ssali. Czyżby tak odepchnąć mnie mieli na zawsze? Swój połaje, pogniewa się, ale połajuje. Jak im opowiem będę naszą, taki serce się im otworzyć musi, i pomogą, i przebaczą!

Takimi zagrzewając się myślami i dodając sobie otuchy, której w istocie jój brakło, Motruna ku wieczorowi dnia jednego, gdy Tumry zabawił się w lesie, wzięwszy wiadro na plecy na przypadek, aby się miała czém przed nim wymówić, zeszła niby ku studni. Tu w krzakach schowała naczynie i nosidła, a sama choć tęskno i bojaźliwie, pociągnęła w drogę ku dawnej chacie ojcowskiej.

O! biło jój biło biedne serce, gdy ten dach słomiany ujrzała, dziś całkiem obcy, a dawniej tak dobre, tak serdecznie znajomy! Każda tu na dachu mchów plama, każdy snopek świeży i żółty, każda kluczyna usunięta na stodółce, tak przypominały dni, w których patrzyła na nie spokojna i szczęśliwa może! Toż samo stado wróbli świegatało na płocie i w bzach ogródka, i dym z komina tak się zwiwał jak dawniej, i wrotka tak były na bok leżące otwarte; wszystko jak było, wszystko—a jednak ten dom tak do serca przyrosły, już nie jój, już obcy, już cudzy.

Strach ogarniał zbliżającą się do niego Motrunę, a łzy kręciły się w oczach, bo całe dzieciństwo i młodość wybiegły przeciwko niej za wrotka, powitać wracającą wygnankę, i niosły w ręku pęki niezabudek... Ale prócz tych mar, nikt więcej nie wyszedł.

Wahała się czy przejść próg chaty, czy się ośmie-

lic zajrzeć tam, i przemówić do dawniej swoich, dziś cudzych ludzi? A nuż nie zastanie braci, tylko ich żony, które zawsze krzywem okiem patrzyły na nią, choć z serca starała się im pomagać, i zastępowała je w pracy około chaty i na dworskiem! Wspierała się na płocie biedaczka i zapłakała gorzko, tuląc oczy fartuchem, i stała tak długo zadumana, nie wiedząc co począć, gdy uczuła się trąconą w ramię.

Serce jój zabiło, otworzyła oczy—a nuż to brat? a nuż to siostra? Nie... był to stary kot czarny, który ją poznał z daleka, wskoczył na płot i łasił się Motrunie.

— A! pocciwy burek! zawołała: choć on nie zapomniał Motruny. Dziękuję ci, dziękuję!

Kot nie sam przecię przypomniał sobie rękę, która go dawniej karmiła: wkrótce otoczyły ją kury nadbiegające z podwórka, zwiedzione, sądząc, że im ziarna posypie, i para szarych gołębi zaczęła się kręcić nad głową.

To powitanie istot, co tak mało mają zwykle pamięci, poruszyło biedną wygnankę, sierotę, i do łez ją rozczuliło. Witaa się ze wszystkimi, głośno wywołując nadane im nazwiska; a gromadka krzykliwa kręciła się dokoła, coraz głośniej szczebiocąc. Nie ośmieliło to jednak Motruny wstąpić do chaty, która stała zawarta, i nikogo z niej dotąd widać jeszcze nie było.

Dzień był przecię sobotni, i pewnie żadnej we dworze ani w polu roboty, bo całe dwa dni lał deszcz, a od południa dopiero przesychać zaczynało. Już miała odejść przejęta strachem, gdy znajomy skrzyp drzwi od izby dał się słyszeć, i wyszedł z nich starszy brat, widocznie tylko co przebudzony, bo przecią-

gał się jeszcze. Na gwar ptactwa sądząc, że może jastrząb zwija się w okolicy, przyłożył rękę do czoła i spojrzął; a z za wrot postrzegł głowę Motruny, i stanął, widocznie zafrasowany. Jedną już ręką chwycił za skobel od drzwi, jakby chciał nazad powracać, a drugą rzucił zniechęcony. Walczył z sobą, to uciekać myśląc, to odprawić siostrę kilku słowy; ale brew jego namarszczona nie dobrego nie zwiastowała.

Motrunka wyciągnęła ku niemu rękę:

— Bracie! bracie!

— Nie ma tu tobie ani braci, ani siostry, ani rodni, odparł surowo jak sędzia gospodarz: tyś już nie tutejszal Precz Cyganicho od drzwi i progu naszego, precz! Po co ty tu? Może wypatrujesz dla męża, którego dyby konie nasze wyprowadził?

— Maksymie! na miłość bożą! godziź się tak siostrę przyjąć! Odpędź, nie przyjm, ale nie łaj tak boleśnie! Co wam zrobił mój mąż? com ja wam winna?

— A ojcaście zapomnieli? zawołał Maksym groźno. Kto go zabił, jeśli nie wy dwoje? i kto potem szukał we dworze pomocy i opieki przeciw nam? No! niechże i teraz dwór was ratuje i dwór wam pomaga! My tobie nie bracia!

— Maksymie! choć dobrém słowem pożegnaj! My z głodu poumieramy: ty nie znasz naszej nędzy! Z waszej namowy cała wieś na nas, chleb nam z gęby wyrwaliście. Nie chcecie mnie za siostrę, ja wam się nie narzucam, ale przestańcie prześladować!

— Nie, nie! krzyknął Maksym: będziemy was męczyli, aż sobie precz ztąd w świat, za Cyganami, braćmi waszymi, pójdziecie. Obchodziła się wioska tyle lat bez kowala, obejdzie się i dalej, a my was nie chcemy mieć na oczach.

Motrunie ta nielitosna mowa odezwała się aż w sercu, i ścisnęła je gniewem prawie.

— Prześladowajcie nas Cyganami—zawołała, podnosząc się—a i wyście 'synowie Romów! Prześladowajcie nas, a lepsi jesteście sami, co odpychacie krew waszą na zgubę i głód, byle wam z oczu uszła!

— Precz mi jędzol! bo cię psami wyszczuję! krzyknął Maksym, wypadając z chaty na próg.

— Psy lepsze od ciebie, rzekła Motruna, bo mnie wszystkie znają za panią, kiedy ty wyparłeś się siostry.

— Boś ty się wyparła ojca i jego woli; przerwał Maksym.

Motruna spuściła oczy obeschłe z łez i gorejące, wstrzęsła się, i wzdardliwe rzucając wejrzenie na brata, odstąpiła o kilka kroków od chaty. Kot, kury, gołębie, nadbiegły w téj chwili; stary kasztan, pies podwórzowy, który się wśród wrzawy obudził, zszedł z przyźby; wszystko poszło za dawną karmicielką.

Maksym znikł już za drzwiami.

Burek zeskoczył z razu z tynu, i ocierając się o Motrunę, kilka kroków włókł się za nią powoli; ale widząc, że minęła wrota i kierowała się ku drodze, przystał, usiadł, łapki pod siebie podłożył, i w początku poglądał za nią, a nareszcie że słonko mu przygrzewało, zdrzemnął się wśród podwórka.

Kury napróżno pozierając na fartuch Motruny i szczebiocąc, poskakały za nią kilka kroków, dziobiąc ją po nogach i chwytając za spódnicę; ale i te zobaczywszy, że schodziła ze zwykłych granic ich państwa, zaczęły się grzebać w śmiecisku i porzuciły ją samą.

Para gołębi leciała nad jój głową, przysiadując na

gruszach, na studniach, na dachach; zdawała się ją wyzywać nazad i gruchała ku swój pani; ale niedaleko jój towarzyszyła, samica pociągnęła ku gniazdu pierwsza, a samiec wrócił się za nią.

Kasztan stary wytrwał podobno najdłużej; wyprowadził ją za podwórko, za wrotka, aż na drogę, i lizał po rękę i mrucał, zapraszając niby, aby się nie oddalała od chaty. Ale kasztan tak już był stary! Boki miał wypelzłe, ogon niemal nagi, nogi sztywne i suche, trudno mu chodzić było; zwykle najdalszą jego podróżą były wycieczki za wrota, a na drogę nawet nie puszczał się nigdy. Miał na przyźbie wyleżały barłóg słomiany, do którego był tak przywykły. Jakże mu było wrywać się nie wiedzieć jak daleko z Motruną? Szedł, szedł, i zatrzymywał się kiwając ogonem; zrobił krok jeszcze, szczerknął nawołując, i spojrzał na chatę i na Motrunę, jakby rozmyślał co zrobić z sobą. Nareszcie, gdy nie odwracając głowy biedna sierota szła dalej, kasztan podtuliwszy ogon, spuściwszy głowę, zawrócił się po cichu do swojej przyźby, powoli podreptał ku niej, i mrużąc spać się położył znowu.

Uciekając ze wsi ze łzami w oczach, żona Tumrego przechodzić musiała koło stodółki ojcowskiej, w której cep słycać było. Wrota jój na pół otwarte, dozwoiliły spojrzeć wewnątrz, i ujrzała młodszego brata w jednej koszuli, zwijającego się koło kilku leżących na toku snopów żyta.

— A może też on litościwszy będzie! zawołała w duchu, i wsunęła się cicho we drzwi, a cień jój obudził zamysłonego pracownika.

Podniósł głowę, spojrzał i zdumiał się, widząc siostrę.

— A ty tu czego? zawołał raczej niespokojny niż gniewny; ty tu czego Motruno?

— Do was Filipie! do was! Byłam u Maksyma po dobre słowo tylko, po przebaczenie; Maksym mnie jak włóczęgę i obcą przepędził... czy i ty tak zrobisz jak on?

— Maksym cię przepędził? rzekł, wspierając się na cepisku Filip, a cóż ja ci pomogę? co ja ci poradzę?

— Choć pożałujcie! choć przemówcie! zawołała biedna kobieta. Cała wioska z waszój przyczyny od nas jak od zarazy ucieka; nikt słowa dobrego nie powie; twarz nawet, spotkawszy się, odwracają! Czyż taki litości nad biednymi nami mieć nie będziecie?

— El to darmo, rzekł żywo zmieszany brat młodszy,—to darmo... Kiedy Maksym cię przepędził, to cóż ja poradzę? Z całą gromadą z mówili się na was, żeby nie przyjmować i wypędzić, to darmo! Ty wiesz, że ja sam w chacie z Maksymem ledwie wytrzymać mogę, a tobym się miał i z nim i z gromadą zadzierać! Toby mnie ani żonie pokoju nie dali, i z chatybym uciekać musiał. Idź sobie, idź! bo jak cię tu zobaczę, to i mnie prześladować będą!

Motruna płakała, stojąc oparta o wrota.

— O mój Boże! mój Boże! do kogo się tu już udać, kto pomoże, kiedy bracia własni opuszczają i wypędzają!

— A było ojca słuchać—rzekł cicho Filip—tobys teraz nie biedowała Motruno. Trzeba było dla Cygana świata sobie nie zawiązywać i wstydu nam nie robić!

Motruna milczała.

— Co się stało, tego nie powrócić, odezwała się po chwili; ale nie daj Boże dzieciom waszym takięj doli, bo my z głodu pomrzemy, jak zima przyjdzie....

— A dwór? spytał brat.

— Nie ma dla nas nikogo we dworze!

— Dali wam, słyszę, krowę?

— Już ją dojadamy, bośmy sprzedać musieli.

Brat Filip zamyślił się chmurno.

— Idź-no! idź! już ja tobie tu nie poradzę, rzekł cicho. Ot, nabierz w fartuch żyta co dźwigniesz, a nie mów nikomu, że ci dał, słyszysz! Przed Maksymem powiem, że kopa była z brzegu, więc ją gęsi wytłukły i wróble nadpiły... Bierz, bierz, nie sromaj się; dla miarki nie przepadniemy. A idź, bo jak cię Maksym zobaczy...

Nie tak ta drobna ofiara kilku garncy żyta, jak pocziwe serce brata, do którego się odwołać mogła, bo dla niej nie było jeszcze stracone, uradowało Motrunę, i ze łzą w oku poczęła go całować w ręce, wołając:

— A! mój brateńku drogi! niech ci Bóg płaci za pocziwość twoją dla mnie! Dawno już nie słyszałam słowa, nie poradowałam się tak jak dzisiaj!

Filip zdawał się także wzruszony; ale wejrzenia jego rzucające za wrota, malowały obawę. Począł sam zgarniać żyto, i prawie gwałtem wsypywać je w fartuch Motrunie.

— A dla tego—mruknął z cicha—idź ty sobie, idź! Póki Maksym cię tu nie zdybie, to ja ci czasem choć kradzioném pomódz będę mógł; ale uchowaj Boże, gdyby zobaczył, i mnieby zjadł, i tobieby przepadło, co ja tam czasem dać mogę. Taki idź Motruno.

Łzy kręciły mu się w oczach, poprawiał końcem cepiska słomę, zgarniał ją, odwracał się, i wyprawiał biedną.

— Maksym—dodał w końcu—głową domu; on wie co robi, i ojciec wiedział co robił! Nie trzeba było za Cyganem latać, byłibyśmy żyli razem, a teraz wszystko przepadło!

— Jak to! płacząc zawołała Motruna: czyż u was takie serce z kamienia, że mi nigdy nie przebaczycie?

Filip potrząsał głową.

— A jak my mamy odmienić co ojciec postanowił? On umarł z wolą swoją i nie ma go, żeby ci przebaczył. To nie my, to on rozkazuje; na to sposobu niema!

— Nigdy! nigdy! chwytając się za głowę, zawołała kobieta.

— Musi być, że nigdy, odparł Filip, i popychając ją z lekka, dodał żywo: Taki bo idź Motruno, bo bieda będzie, a i mnie czas zgarnąć żyto, bo wieczór nadchodzi.

Milcząca, rzuciwszy okiem na litościwszego młodszego brata, który jakby się swego serca wstydził, mrużąc coś, koło zboża robił i oczy chował, Motruna wyszła bogatsza o kilka garncy żyta, którego jój brat w fartuch nasypał, ale smutniejsza, ostatnią straciwszy nadzieję.

Od stodołki drogą po za płotami przebrała się do grobelki, przeszła staw i zbliżyła się do studni, aby tam zabrać zostawione wiadra.

Nie było nikogo u źródła, a gdy przyszła odszukać wiadra i nosidła, Motruna klasnęła w ręce z rozpaczy, spostrzegłszy, że jój najpotrzebniejszy sprzęt skradziono.

Tumry długo bawił w lesie, bo musiał wyszukać drzewa-na przysochy do kuźni i przysposobić kluczy-

ny, o które było trudniej w wyniszczonym borze niż o inny materyał. Późno już więc mrokiem wrócił do chaty, i gdy się zastanowił przed progiem lepianki, chcąc ciężar zrzucić z ramion namulanych, postrzegł Motrunę, która fartuchem oczy zasłoniwszy, siedziała płacząc przede drzwiami.

Twarz Cygana zapalała ogniem; pomyślał, że mógł kto krzywdę wyrządzić żonie w niebytności jego, i wszystek ciężar swój rzucił o ziemię, śpiesząc do niej.

Kobieta wstrzęsła się na stukot padającego drzewa, porwała się na nogi i stanęła przelekle.

— Co ci to? na *Mroden-oro*, co ci to Motruno? Al *gadziowie* przekłcił rzekł, przypominając sobie język cygański: już ci coś zrobili!

I pięść ściśniętą podniósł do góry.

— Klnę się — dodał — że już dłużej nie wytrzymam. Sam zginę, ale wieś pójdzie z dymem w popiół, za łzy i krew naszą! Niech, pogina, jak *szukela* (pies), kiedy jak *szukela* nie mają serca!

To mówiąc, Cygan, którego oczy gorzały, tak był straszny wściekłym gniewem, że się Motruna aż cofnęła, żegnając mimowoli.

— Al Tumry mój! zawołała: czegoż się gniewasz i grozisz? Nic się nie stało na prawdę, nie mój kochany.

— Dla czegoż płakałaś? *Row* (płacz) nie przychodzi bez przyczyny!

— Nad swoim głupstwem płakałam... odpowiedziała Motruna, chcąc wszystko utaić przed mężem. Otl przypadły mi wiadra z mojej winy, nie z niczyj.

— Wiadra? jakim sposobem?

— Poszłam po wodę, ale przez lenistwo nie chciało mi się czerpać z krynicy, więc zlązłem aż do stawu. A że tam woda płynie żywo, a mnie nogi drżały, potopiłam wiadra... Zabrała je rzeka... młyn porozbijał.

Cygan spojrział jój w oczy i głową pokiwał.

— Gdzie? co? rzekł powoli. W stawie moczą konopie, a tybyś tam wodę brała! Nadto z ciebie dobra gospodyni! Gdyby i poszły wiadra z wodą, toczyby niedaleko popłynęły, bo trzciny rosną od brzegu, a tobie nie nowina po kolana się zamoczyć! Ej! to coś innego, Motruno! Ty mnie nie oszukasz! inaczéj te wiadra zginęły!!!

Motruna nie bardzo kłamać umiała: zarumieniła się cała, przemówiła coś niewyraźnie, ruszyła ramionami, udając trochę zagniewaną.

— Co to gadać! dodał Tumry: mów prawdę kobieto, bo się ona nie skryje!

— Ależ ci mówię jak było... wchodząc do chałupy, zmieszana odpowiedziała Motruna.

Cygan w ślad szedł za nią, i w téj chwili, choć zmrok padał, spostrzegł na środku izby leżący fartuch pełny żyta, który Motruna, nie myśląc co robi, rzuciła powróciwszy.

— A to co? spytał wskazując ręką.

— To żyta miarka, którą kupiłam za złoty u przejeżdżającego z Rudni człowieka.

— Za złoty! kiwając głową odpowiedział Cygan, już nie dając wiary. Nie wierzę Motruno! Mów prawdę, to się nie godził! Tyś płakała... ja chcę i będę wiedział wszystko, choćby mi przyszło nie wiem gdzie pójść po to!

Motruna milczała jeszcze, zbierając końce rozrzuconego fartucha.

— Ale boś mnie zastraszył swoim ogniem i gniewem, Tumry... rzekła powolnie. Mamy już i tak dosyć gniewu ludzkiego, dość złości ludzkiej; nie sprowadzajmy ich więcéj na głowę naszą!

— A gdybym ci dał słowo, że bez woli twojej nic nie pocznę?

Motruna odwróciła się zapłakana.

— Daj ci Boże zdrowie! O! lżej mi będzie, gdy ci powiem wszystko, i powiem, ale się mścić nie będziesz?

— Na *Mroden-oro* nie będę, póki mi stanie cierpliwości, Motruno; bom wiele już przebaczył, i zmęczyła mnie nienawiść ludzka. Ale mów, a prędko, bo się trzęsę.

Motruna wtedy rozpoczęła całe opowiadanie swoje, przerywając je łzami, i omijając, co jéj Maksym, wygnawszy z podwórka, powiedział; a Cygan słuchał w tak posępném milczeniu, tak upornie ścisnąwszy usta, że pary nie puścił, aż skończyła.

— Psyl! zawołał podnosząc się: psy bez serca! Nie chcę ich jałmużny! nie potrzebuję! Z głodu zdechnę, ty i ja, a ziarna tego przekłétego zboża nie ruszę!...

— A Filipże co winien? nieśmiało wrzuciła Motruna.

— Filip baba, *Egaszi!* krzyknął Cygan: boi się mnie, boi się brata, boi się dworu, i daje jałmużnę, żeby się pozbyć! Rzucę mu jutro w oczy!...

— A! na miłość Boga! podbiegając przerwała żona: i jego, i mnie, i siebie zgubisz! Maksym, gdy się dowie, pokoju mu nie da i zagryzie; a za dobre serce odpłacim mu biedą! Ja na to nie pozwolę!

— A nie skamienieje ci ten chleb w ustach, kobieto? zapytał Cygan. Chleb jałmużny jak psu rzucony siostrze przez *Pechrala!* A będziesz ty go mogła jeść? a da ci on życie? Nję! o nie!

— Wyrzuć go jeżeli chcesz, ale nie oddawaj bratula błagając, krzyknęła Motruna. Nie gub go i nie gub mnie!

Jeszcze Tumry odpowiedzieć nie miał czasu, gdy do drzwi niedomkniętych ktoś powoli zaskrobał.

Szelest ten nieprzywykłym do niego uszom wygnaćców tak się stał dziwnym, że oboje przejęci strachem, stanęli jak wryci; a Cygan przeczuwając nieprzyjaciela, bo się już wszystkiego obawiał, poskoczył ku progowi.

Motrunie przyszły na myśl duchy cmentarne, upiór ojca mściwy, i drżąc przeżegnała się.

— Kto tam? silnym głosem, odmykając drzwi, zawołał Cygan, usiłując okiem przebić ciemności — kto tam?

— A, a, dobry wieczór! dobry wieczór! Cyt! cyt! nie bójcie się; a toż goły rozboju się nie boi, a u was pewno się nie ma na co połakomić?

Słowa te zająkliwie wymówione i przerywane cichym śmieszkiem, wyszły z ciemności powoli; a przed zdziwionym Cyganem pokazała się dziwaczna postać głupiego Janka, który na ramionach dźwigał dwa wiadra pełne wody. A że był bardzo mały, ledwie z niemi przez próg mógł przeleźć, bo się niemal po ziemi wlokły.

— Wiadra moje! krzyknęła Motruna, plaskając w ręce z radości: doprawdy to wiadra moje... to głupi Janek!

— Otoż nie taki głupi jak myślicie — odpo-

wiedział gość — kiedy znalazł to, co mądry zgubił.
A! a!

— Bóg ci zapłać, rzekł Cygan: ot już drugi raz winieniem ci przysługę!

— Coś ty tam mnie winien! skrobiąc się w głowę, wybełkotał karzeł.

— Ale gdzieżeś je znalazł? spytała Motruna. Jakiś ty poczciwy! Patrzcie, nawet mi je z wodą oddał!

— A jużciż kiedy wiadra to z wodą! Po coby się o tój porze zdaly bez niój? odparł Janek. A gdzie ja je znalazł? o! o! to długoby o tém gadać.

— Powiedźże choć gdzie i jakieś je odebrał?

— Ja ich nie odbierałem, rzekł Janek.

— A jakże ci się dostały?

— A! a! jak to wam gadać łatwo, to się zdaje, że i mój język tak chodzi jak wasze. Poczekajcie-no, poczekajcie!

Tumry i Motruna stanęli przed Jankiem, który siadł w prog.

— Ot jak było — zabrał się opowiadać powoli. Idę ja sobie, idę; ot takl wypędzili mnie z chaty, bo mieli jeść wieszczę, zamknęli drzwi: poszedłem... Idę, idę gdzie oczy poniosą przez grobelkę, przez mostek, i jakoś się zaszło do studni. Tu, myślę sobie, siadę, i choć wody się napiję, kiedy jeść nie ma czego... Ale jak tu się wody napić, kiedy woda głęboka, a zaczerpnąć nie ma czém? Myślę, myślę... a musi to być jakiś sposób, i niech-no ja się tylko położę, a pocznę go szukać, to znajdę! Odstąpiwszy tedy od studni kilka kroków, buch w krzaki! Buch, i zbiłem sobie boki o coś! A! żeby cię wciornaski! Obejrę się: para wiader, a jeszcze nowe, i nosidło! Ot i sposób. Ale kto

to tu porzucił je? Oglądam się—żywój duszy... Nadchodzi Naścia Lachowa: Dobry wieczór, Naściol — Ta mi głową nie kiwnie.—Możeby ci wody wyciągnąć? — Idź do dyabła. — Tylem skorzystał. — Moja Naściu, spytałem, nie wiecie czyje to wiadra? — Wiadra! o! poskoczyła jakby jój dał kułakiem w bok, i nuż wołać: A to moje! a ja ich szukałam! — Twoje! rozśmiałem się; taka to prawda jak mysz kaszle! Zapewne... — No, moje nie moje, odpowiedziała, ale ja je biorę sobie. — A to za co? — A jużciż ty mi oddasz. — Nuż ja na nią głową kiwać: Ażeby ci kto wziął? — Zaczerwieniła się. — Powiedz lepij, spytam, bo ty znasz całą wieś: czyje to one są? — Popatrzała dobrze, pokiwała głową: — Nowe, rzekła, nie znam... taki nie znam... Z téj strony wsi co jest wiader, to bym poznała, ale to nie nasze!... Ot i to poznam, dodała, że kupione na jarmarku w miasteczku, bo to robota nietutejsza, tylko bednarza,] co wozi na targ, het! od Piątówki aż...

Mnie już więcj nie było potrzeba, dodał głupi Janek: zastukałem sobie w główkę i zaraz mi odpowiedziało, że to wasze być muszą. Ale jak zaczęła Naścia gadać i to i owo, a ja z nią śmiać się, a tu nadeszła i Hrycicha, i we troje bajdurzyli, tak i do nocy przebałakaliśmy. Dopiero ja, żeby nikt nie widział, po ciemku wody nabrawszy, przyciągnąłem je tutaj.

— Niech ci Bóg płaci, Janku! Ot i poczęstować cię nie mam czém... rzekła smutnie Motruna: u nas ubogo...

— Co tam dziękować i na co częstować! rzekł mały potwór: mnie się jeść nie chce, bo wodę piłem! A taki w domu gdy przyjdę, choć łają i wypychają,

coś mi w garnku zostawia. Ale u was tu goło, Motruno!

— A z kąd co wziąć? rzekł Cygan. I to, co widzisz, dwoje rąk robiło, jedne plecy dźwigały... a teraz coraz to ciężéj, coraz to gorzéj, serce się drze... Nie wiedzieć już jak radzić!

— Czy to ja tego nie wiem? odpowiedział Janek po cichu. Kto jak kto, a ja na to patrzę ciągle i dziwię się, aż mnie kark boli od kiwania głową... Taki darmo—żebyś ty miał jeszcze głów trzy i całą górę ochoty, nie dasz na to rady!..

— Muszę, rzekł Tumry.

— Muszę! cha! cha! choćby zgubić duszę! wykrztusił mały. Tu i „muszę“ nie poradził Zlepiał chatkę, a z czego to zrobisz kuźnię?

— Koło cegielni jest dużo kawałków: będę powoli wybierał i nosił.

— No! no! a dalej? a kto horno zlepi? spytał Janek.

— Mularz z Rudni...

— Darmo?

— Niel ja będę tydzień robił u kowala, kowal za to mularzowi zapłaci, i horno stanie.

— A dalej co? Myślicie, że ja kuźni nie widziałem! Byłem ja i w Rudni, i w Piątkówce, i w Czumarze na jarmarku, napatrzyłem się kuźni cygańskich, i chrześciańskich, i żydowskich!

— Będę rok pracował u majstra dniem i nocą— odpowiedział Tumry—to taki zapracuję na łatany miech, kowadło, obcegi i na kawał żelaza do młota.

— A żona tymczasem?..

— Pójdzie sobie pracować! rzekła Motruna żywo.

— A potem co? spytał Janek. Pójdziecie we dwoje w świat! No, toć lepij teraz!

— E! jak ludzie zobaczą kuźnię i węgla kupę, jak jeden, drugi podróżny pochwali się okuciem konia w karczmie, a przyjdzie transport w gołoledź albo z radłami w pole...

Janek głową pokiwał.

— Tal tal tal to wy naszych nie znacie Stawiszczan, rzekł. Hol hol u nich jak u Żydów, kiedy *cherim* to *cherim*! Może toby i było za dziesięć lat, za dwadzieścia, ale wy tymczasem z głodu ponrzecie!

Motruna westchnęła; Tumry zamilkł posępnie.

— To darmo, rzekł Janek: już gromada się schodziła, i ręce dawali, i wódką zapijali, i zmówili się, a ja ich znam. Jakby kto tylko do kuźni zaszedł, toby go z wioski na Podole wypędzili: takby go prześladowali. Żeby jeno wiedzieli, że ja tu byłem i z wami gadałem, toby mi drzwi chaty nie otworzyli. O tym nie myślcie.

— Tak ci się zdaje, Janku, rzekł Tumry.

— Niech i zdaje się! odparł mały. Jak moje nie w ład, ja ze swoim nazad. To nie słuchajcie głupiego Janka, bo na to on głupi. Ale taki wam powiem, że jak ja co zacząłem gadać, a do głowy mi się uczepi, to czy dziś czy jutro, to się zrobić musi. Już jak tu starego Lepiuka na cmentarz przywieźli, a posłyszałem, że braci do dworu wołali, zarazem sobie powiedział: „Będzie kuźnia, ale chleba nie będzie.“

Motruna westchnęła, Janek wciąż prawił dalej:

— Ot i ze mną, rzekł, ze mną tak jak z wami się stało. Albo to ja gorszy od Iwasia, od małego Czuryły, od Andrzejuka kulawego? a jak mnie okrzyczeli za głupiego, wszystko przepadło. Już mnie w cha-

cie dla nich nie ma; ani ja do dzieła, ani do gospodarstwa, ani do swadźby; co i myśleć o tém! Jak potrzeba robić, a ciężko, a do potu, a nad siłę, to mnie wypchną; a jak kozucha, strawy, ławy, czy dobrego słowa, u nikogo nie wyproszę. I tak to już poszło na całe życie!

— No to pójdziemy ztąd—zawołał Tumry—do drugiej, trzeciej, do dziesiątej wioski, a pracując, znajdziemy kawałek chleba nie tu, to tam. Ale nie porzucę im lepianki, która mnie tyle pracy kosztowała, póki mnie głód nędza z niej nie wygnają!

— Róbcie jak chcecie, wstając rzekł Janek; a mnie czas do domu. Dostanę i tak szturchańca, zem się zapóźnił; a byle drzwi były zaparte, to mi ich już nie otworzą, i w chlewku lub w plewniku wyspać się będzie trzeba. Ale mnie to wszystko jedno: skóra już twarda! cha! cha! cha!

To mówiąc, Janek wysunął się z chaty i znikł w ciemnościach, po cichu zbiegając do wioski. Tumry i Motruna zostali sam na sam znowu, milczący i zamysłeni.

Zabłyśło trochę światła w kominie, rozweseliła się chatka, i na krzywym stole ukazała się misa wieczorna.

— Na pohybel im! zawołał siadając do niej Tumry. Nie damy się, nie damy, choćby przyszło całe życie czekać, jak ten powiedział: aż źli wymrą, i pójdą na cmentarz, a dobrych Bóg nagrodzi!... Nie płacz Motruno! nie płacz! bo za te łzy zapłacić będą musieli bracia!

W takich to drobnych przeciwnościach i ciągłej pracy, upływały pierwsze miesiące młodego małżeństwa. Za chwilę spoczynku i marzeń, potrzeba było płacić drogo znojem i gniewem, który nie miał się wylać na kogo, bo z przed nich uchodziła wioska, omijając cygańską chatę, cygańską żonę i Cygana z daleka.

Ale czy byli szczęśliwi oboje?

Oi inna to rzecz marzyć o szczęściu, a inna mieć je w dłoni. Szczęście jak motyl mieni się rychło w poczwarkę, której opadają skrzydła. W swych schadzках wieczornych, w pierwszych chwilach po poznaniu, nie domyślali się oboje, ilu łzami przyjdzie okupić zbliżenie się do siebie i wspólne życie. Motruna choć kochała Tumrego, zamyslała się często o swobodniejszej doli dni młodych; łzy jój wyciskał ten rozbrat ze wszystkimi, to jój wygnanie ze środka rodziny, która się rozstała przed nimi. Często wśród nocy wdychała, a sen nie przychodził, i żałowała przeszłości; a gdy na pamięć przyszło przeklęctwo ojca, dreszcz przelatywał po niej. To znowu myślała o jutrze, o zimie, o długich może latach, które w tej pustce spędzić będzie potrzeba, męcząc się i patrząc na cudze męczarnie,—chwytala się za głowę przerażona i wyjękła.

Ale wracać się nie czas już był!

Przed sobą miała jeszcze może wygnanie, opuszczenie téj wioski, na którą choć z dala patrzeć lubiła; i los dzieci, i nędzę, i żebractwo, i włóczęgę.

Tumry dopóki od rana do nocy pracował, póki choć trochę miał nadziei, nie myślał o niczym, tylko o najpilniejszej robocie, dodając sobie sam sił, których nikt mu udzielić nie mógł; ale gdy praca się za-

stanowiła dla deszczów jesiennych, i zostawała mu tylko kuźnia, której sam postawić nie mógł, gdy całymi godzinami i dniami siedzieć było potrzeba bezczynnie, i dumać, dumać i dumać,—wtedy i jemu ciężko się zrobiło na sercu. Przyszła tęsknota do życia swobodnego wędrownego, pełnego coraz innych widoków, w którym wczoraj nie było nigdy do jutra podobne,—i przypomniała się Aza wesoła, dziwaczna, ale zapalająca jak iskra ogniska kuźni Aprasza, i wszyscy ci, których dla jednej opuścił kobiety: biedna milcząca żona wodza, jej małe szczebiotliwe dziatki, stare wróżki, co się za obozem wlekły, kuźnia pod namiotem w polu, skrzypiący wóz, który ją z miejsca na miejsce przewoził—całe, całe życie cygańskie, pełne między, ale też pełne ruchu i żywota.

¶ Po niém dziś nagle Tumry siadł grzybem przy swojej lepiance, skazany na przykutą dolę, na jeden mały, smutny widok cmentarza z okienka, na jedną rozmowę, na niewidzialnych wrogów i pustkę!

Z Motruną przebrało się uczucia i rozmowy; rychło kielich wypili do dna, a nic nowego żywiołu nie przyniosło ich losowi. Tumry chciałby był choć walczyć jak dawniej, jak wówczas cierpieć, byle czémś wyjść z odrętwienia, które jak na mrozie mających skołowaciec, snem martwym opanowywało. I codzien myśl uporniej zawracała się do lat młodych, znienawidzonych, które wczoraj przeklinał, a które na teraz wydawały się z daleka prawie uroczo ze swemi łzami i boleścią.

Z początku błąkanie się po lesie rozrywało go i ulgę mu robiło; ale i las jednostajny spowszedniał. Czuł coraz żywiej wyradzające się uczucie jakiejś potrzeby ruchu, wędrowki, włóczęgi, innego nieba

i ludzi. Był to nałóg stary, budzący się po przygaśnięciu pierwszej gwałtowności uczucia, które wprzód go stłumiło. Niepokój jakiś go trapił,—wychodził na próg, włókł się drogą, powracał, i znów go coś z chaty ciągnęło.

A gdy się przemógł i wytrwał w miejscu dzień cały, to wpadał w skamieniałość, ledwie iskrę życia mającą w sobie. Motruna widziała to i milczała; starała się go pocieszyć, bo nie pojmowała tego inaczej, tylko jako udręczenie przyszłością i niepokój o jutro,—ale jój samój dzień za dniem tak było ciężko!

Myśli ich prędko się rozbiegły: jedna ku wiosce, co dymiła w dolinie; druga w siny świat nieznany, szeroki, nieprzejrzany, a pociągający ku sobie. I tęskno im było we dwoje, choć się kochali jeszcze; ale potajemnie obojgu się już płakać chciało rzuconej za sobą przeszłości!

Motruna siedziała na pagórku, i na dłoniach wsparłszy głowę, z za łąz patrzyła na spokojne Stawisko. Myśl jój lecąc na skrzydłach tęsknoty, biegła aż na podwórko ojcowskie, na strzechy chaty starój, do znajomój studni, do kochanego ogródka; gościła tam długo, długo, póki jój widok mogiły ojca nie odwołał do rzeczywistości.

A ile razy spojrziała na żółty pagórek i jasny jeszcze krzyżyk, co stał na nim, tyle razy żegnała się z przerażeniem, ze strachem, i biegła ukryć się do swojej lepianki, aby nie widzieć mogiły, z której mówił do niój groźny głos ojca.

Tumry, gdy go opanowała tęsknota, wylatywał ze swój chaty, i z włosiem rozwianym, z nagą piersią biegł gdzie go oczy poniosły. Czasem wpadł w las i pędził zaroślami, gęstwiną, aż się znużył do upadłe-

go, jak koń, co się wyrwie ze stajni na swobodę i hasa choćby się miał rozbić; to znów przerzynał góry i lasy bezwładnym biegiem, aż się gdzieś oparł o staw, o rzekę, o jar, i upadł na ziemię cały drżący i bezsilny.

Wśród tego ruchu szalonego, który nim miotał jak nieprzytomnym, nieraz w milczącym powietrzu obija się pieśń cygańska, nieraz łzę niepojętą poniosły wiatry w stronę przeciwną, i śmiech dziki zawarczał z ich szumem. A choroba ta w obojgu rosła i rosła olbrzymio! W początku była to tęsknota chwilowa, którą lada wrażenie rozpędzić mogło; później stała się codziennym pokarmem prawie, wreszcie robakiem, który pożerał w dzień i w nocy.

Często dni całe nie przemówili do siebie słowa. Cygan jak zwierz w klatce kołował po izbie; Motruna patrzyła na ścianę, przez którą widać było jak na dłoni wioskę, a we wsi chatę, starego kasztana, burka, kury, parę gołębi i ciche podwórko ze staruszką gruszą...

Po smutnej jesieni przyszła zima szybko, a taka straszna w swym białym całunie, taka mroźca do kości! W lepiance zrobiło się chłodno i poczęły świecić szpary, przez które wiatr wlatując, wygrywał za wczasu dzikimi tony złowrogą śmierć spustoszenia. Tumry lepił, otykał, pracował znowu; ale na wysokim wzgórzu i deszcze i wiatry silniej niż gdzieindziej czuć się dawały, i pierwsze mrozy przejęły biednych dokości. Napróžno rozpalano ognisko, do którego każdą zgniłą gałąź i spróchniałe polano musiał na plecach Cygan przynosić: kwaśny dym tylko wyjadał im oczy, a ciepło uciekało szparami!

Były dni, że śnieg zawiął ich całkiem, to znowu

woda z niego zalała sień i izbę; a gdy po wodę z góry iść przyszło, Motruna padała na ścieżce lodem pokrytej.

Chleb i grosz ciągnęły się jeszcze, ale, już były u schyłku,—i dnia jednego wyniosłszy resztki mąki, upiekłszy podplomyk zamiast chleba, Motruna zalała ręce nad bodnią, prózną jak przepaść... Tumry już wprzód zajrzał był do niej, i widział, że węzełek chusty, w którym ostatni grosz się mieścił, pusty, rozplątany wisiał na kołku w alkierzyka... A kuźnie było, i roboty nie było, i ze wsi ani głosu żywego.

Jednego wieczoru, gdy oboje drżeli od zimna, Cygan westchnął głęboko i długie przerwał milczenie:

— No! Motruno! rzekł: już chleba nie ma, a *Mandru* sam nie przyjdzie. Myślałem ja długo; nie ma rady: trzeba pójść i za lichy grosz robić młotem w drugiej wiosce... A jak ty tu sama zostaniesz?

Motruna poczęła się bawić końcem fartucha, spuszczywszy oczy w ziemię.

— Zostanę—rzekła—zostanę; pilnować będę chaty i ciebie wyglądać...

— Ja taki przyjdę choć raz w tydzień, co niedziela, i chleba lub grosza przyniosę... ale iść potrzeba...

— Może też we wsi choć praść mię kto weźmie.. cicho odezwała się kobieta.

— Niel nie! zawołał Tumry: darmo i nie próbować, ani darmo prosić! Nie chcę i łaski: obejdziemy się jeszcze bez niej.

— No! to się obejdziemy, odpowiedziała Motruna; będę siedziała w chacie.

— Ale sama, sama jedna naprzeciwno cmentarza! Gdy przyjdzie noc, wytrwaszże ty ze strachu, kiedy

mnie nieraz, gdy wiatr poświśnie, ciarki po plecach przechodzą?

Motruna wstrząsła się cała.

— Wyżyję, rzekła smutnie; a jakbym i umarła, to ci lżej będzie. Pochować, taki bracia pochowają przez litość; do mogiły nieść niedaleko, a ty pójdziesz w świat znowu.

— Cicho! cicho! krzyknął Cygan: nie mów mi tego! Tylko tę zimę przeżyć; a nie postawię kuźni, to chatę podpale i pójdziemy w świat...

— A! ale ta zima taka długa!

— A! długa Motruno! ale i życie długie, a przeżyć je trzeba! Ale kto ci tu wody nosić pomoże, dREW przysposobi, i choć słowem do ciebie przemówi?

Motruna nie odpowiedziała ani słowa; a że ogień wygasł i nie było go czém podpalić, ustała rozmowa, i dumi obojga poszły przebijając ciemności, każda w swoją stronę.

Nazajutrz rano Tumry mimo chłodu i zamieci, z myślą jakąś wybiegł z chaty i skierował się ku wiosce, jakby szukał kogo, jakby chciał napatrzeć. Ale we wsi było pusto, że ledwie człowiek worem okryty, lub kobieta ze spódnicą narzuconą na głowę przesunęli się przez ulicę: i tylko dym na słotę włócił się i szarą mgłą rozpościerał nad czarnymi dachami Stawiska.

Tumry do południa chodził po za stodołami, po drodze, po brzegu lasu, i z niczém zmokły powrócił; tylko oberemek suchych gałęzi przydzwigał do domu i milczący siadł w kącie. Motruna rozpałała ogień, a Cygan po krótkim spoczynku wybiegł znowu. Trochę się było wypogodziło, wiatr chmury rozpędził, i kawałkami sine na mróz zaczęło się pokazywać nie-

bo. Tumry błędził wciąż koło wioski. Już zmierzchało, kiedy się z głupim Jankiem spotkał.

Janek szedł dźwigając wór z młyna, bo na taki czas i błoto żałowano wołów, i bracia go posłali, żeby chudoby zaoszczędzić. Aż przykro patrzeć było, jak skulony biedny potwór, pod ciężarem wora uginając się, brnął boso w zamarzającym błocie. Ale gdy go Tumry pozdrowił, gdy podniósł żółtą twarz swoją, nie znać na niej było tego wyrazu męki i znużenia, jakiego się na niej spodziewać było można. Owszem uśmiech latał na wargach skrzywionych, i oczy błyszczały swobodnie.

— A dokąd to Janku? spytał Cygan. Ja cały dzień szukam ciebie i znaleźć nie mogę.

— Boś źle szukał, Cyganku kochanie, odparł stawiając wór na kamieniu Janek. Było mnie szukać gdzie ciecze, gdzie biją, gdzie mokro, gdzie chłodno i głodno, tobyś mnie pewno znalazł.

— El dziko się rozśmiał Tumry: taką rzeczą powinieniem cię był znaleźć u siebie, nie szukając i nie ruszając się z miejsca, bo u nas to wszystko w chacie.

— Cha! cha! i głód? spytał Janek.

— O! i nie dziś... bo już chwała Bogu i chleba nie stało.

— Cha! cha! rozśmiał się Janek po swojemu, chuchając w skostniałe ręce. No! a cóż będzie?

— Słuchaj Janku! jak ty nie pomożesz, to zgniemy!

Mały człowieczyna aż się za boki porwał od śmiechu, gdy to usłyszał.

— Aj! aj! daruj życie! zawołał: dalibóg umrę ze śmiechu, kiedy to i głupi Janek ma się zdać na coś

na świecie, oprócz rąbania drzew i noszenia worów z młyna po błocie!

— Ratuj Janku, pocziwa duszo! rzekł Tumry,— a nie, to poginiemy.

— Oj! oj! mucha prosi komara, żeby ją ratował Dalibóg pękne! dalibóg pękne!

— Chleba nie ma, rzekł Cygan; mąki ani odrobinki, pieniędzy ani grosza...

— No! no! dawno się tego spodziewałem; a co dalej?

— Trzeba iść zarabiać gdzieindziej, a Motrunę samą porzucić!

— A dokąd pójdziesz?

— Do kowala, do Rudni...

— I zarobisz? co ty tam zarobisz?

— A choćby bułkę chleba na tydzień. Ale co zrobić z Motruną!

— A co, Cyganie braciszku? to i ją weź z sobą.

— Nie przyjmą nas we dwoje.

— A cóż będzie? śmiejąc się, ale litościwie spytał głupi Janek,—i co ja to mam robić?

— Gdybyś ty był taki jak ja myślę, rzekł Cygan otwarcie: tobyś choć polano drzewa przyniósł czasem Motrunie, a pod noc tobyś mógł na chatę naglądać.. niechby miała do kogo choć słowo przemówić.

Janek się zadumał, pokiwał głową i począł się bić po piersiach rękami długimi, wywołując tym ruchem trochę ciepła. Zdawało się, że ani myśli o czém mu Tumry mówi, a z pod przymrużonej powieki sączyła się łza... może wyciśnięta przymrozkiem wieczornym. Al bo też ledwie łachman miał Janek na sobie, i nogi bosc, i słomiany, dziurawy, ze śmieciska gdzieś zdjęty kapeluszc na głowie.

— Cha! cha! rzekł w końcu: a jak ja ci żonkę zbałamucę? A to się tego nie boisz, Cyganie kochanku? Taki piękny mężczyzna jak ja, to niebezpieczna sprawa.

— Ej! ciebie się żarty trzymają, a mnie się serce kraje! zawołał Cygan. Ratuj kiedy możesz, a nie sztydź z nędzyl!

— Oj! oj! co ja wam poradzę! Popróbuję co zdołam, ale niedaleko wy ze mną zajedziecie! niedaleko! A ty myślisz, Cyganku kochanie, że mnie to tak łatwo swoją chatę porzucić i pójść do was na służbę za miarkę powietrza? Myślisz, że to mnie u panów bra-ci nie dobrze? A to ja się tam wylegam czasem nawet w izbie, a bywa i na ławie pod piecem! I taki szmat mi na plecy dają, i odzienie niczego, i poczęstują codzień kułakiem, żebym nie zapomniał, że mam plecy... A jak raz do ciebie pójde na parobka, już gdybym wrócił kiedy do nich, wyszczują mnie psami; stary indyk nawet oczy mi wydrapie... Ot taki wóz i przewóz: jak zechcę co dla was zrobić, panów bra-ci potrzeba będzie pożegnać.

Cygan milczał.

— Czy ci to tam tak dobrze? zapytał.

— Cha! cha! Cyganku kochanie, albo mi to u was będzie lepiej, myślisz? Od swojej doli się nie wykre-ścić: człowiek ją na plecach nosi, i żeby się jak trząsł, to jój nie zrzuci. A swoja chata, to taki swoja chata. Cyganku serce moje, ty tego nie znasz, ale do niój jakby za nogę przywiązał! Jam się bo tam urodził. O! dodał ciszej spuszczaając głowę—i tam miałem matkę...

Ten wyraz wybiegł mu z ust ledwo dosłyszany,

a za nim westchnienie, a za niém łza, i głupi Janek stał się nagle poważnym.

— Słuchaj-no, rzekł inaczéj już i głos zmieniając: ja chaty dla was opuścić nie mogę, bo w niéj chcę umrzeć; a gdybym raz przestał im służyć jak wół, nigdyby mnie już nie puścili do niéj. Ale na to jest rada.

— A jakaż rada?

— Będę i im, i wam służył. Prawda nabiją mnie trochę więcéj, ale moja skóra twarda! Nocką pójdę chaty pilnować, ale nie wprzód aż się u nas pością, i powracać będę o drugich kurach. A żeby nie spostrzegli, że się wałęsam, będę już spał w plewniku, choćbym zmarł.

— Ależ to zima! nie wytrwasz!

— Już ja wiem, co ja wytrwać mogę, kiwając głową rzekł Janek. To moja sprawa. Polano dREW i czasami suchy chleba mego okrawek przyniosę Motru-nie... Bądź spokojny, idź do Rudni, idź Cyganku... tylko wszystko mi strach, żeby mi żony nie zbałamucili!

I znowu się śmiać począł głupawo a szydersko.

— Niech ci *Mroden-oro* płacił zawołał Cygan.

— Chyba że ten ktoś, bo że nie wy mi zapłacicie za służbę, to pewna! rozśmiał się Janek. I ja też taki bogaty, że płacy nie potrzebuję. Ot widzisz, że wam się na coś przydałem i dobrodziejem jeszcze będę! Al gwałt! ratujcie! głupi Janek dobrodziejem! Umrę ze śmiechu...

To mówiąc, pochwycił wór lekko i żwawo, i nie odwracając się do Cygana, kilka kroków z nim podskakując zrobił, i obejrzał się.

— Cyganku kochanie! zawołał: już ty mi bądź

spokojny! Janek nie da wam nic złego zrobić, i co powiedział, to dotrzyma. O! Janek wielki pan! cha! cha! Janek dobrodziej!

I na całe gardło śpiewać począł, wlokąc się dalej samym środkiem ulicy i błota, ku chacie swojej.

Cygan zadumany poszedł napowrót ku cmentarzysku, i spokojniejszy nieco począł się zbierać do drogi.

— Jużem tobie tu Janka namówił—rzekł do Motruny—że ci służyć będzie. Na całą wieś jedna dusza poczciwa, i to w takim kadłubie, że gdyby jój kto sto lat szukał, w nimby się nie domyślił. Janek ci drew przyniesie i w nocy pilnować będzie: ale jutro jak świt iść trzeba...

Całą noc płakali, a pożegnanie jak śmierć smutne było; jednak Motruna myślała: „Gdy jego nie będzie, to choć spróbuję na wioskę wybiedz trochę,“—a Tumry jakoś dumał, że nową wieś i nowych ludzi zobaczy. Ale gdy u progu podali sobie ręce skostniałe i spojrzeli na twarze zbladłe, na oczy zapadłe i wypłakane, na drżące i sine usta, gdy przyszło się rozstać, jakby ich co przykuło rozejść się nie mogli i ani Motruna wrócić do izby, ani Cygan wyruszyć w drogę.

Tumry wreszcie pierwszy pocałował ją w czoło, podniósł kij i skoczył na gościniec tak prędko, jakby go kto gonił.

! Boć goniła go troska, zgryzota, niepokój i nędza, których połowę zostawił Motrunie, a pół wziął do torby podróźnej.

Zdawało mu się, że staje tak ubiegł z oczyma zamkniętymi. Podniósł głowę, spojrział i zadrżał: wprost sama jedna z całego cmentarza pokrytego

śniegiem żółciała mogiła Lepiuka, a na krzyżyku siedział kruk czarny, przekręcał głowę i krakał.

Motruna została sama w chacie, a gdy po odejściu męża weszła do środka, ścisnęło się jej serce na myśl, że już nierychło ujrzy jedynego swego opiekuna. Potrzeba było samej sobie wystarczyć rękami, głową i sercem; krzątać się, by nie umrzeć z głodu krzątać się, by nie zginąć z nudy i strapienia.

A w chacie tak było pusto, tak pusto! Prócz kilku wróbli, które już przy nowej lepiance zajęły sobie w strzesze mieszkanie i świergotały przerywając milczenie, żywego nie spostrzegłeś stworzenia: ni psa, ni kota, ni kury, coby szczebiotała w sieni, ni gołębi na dachu, ni głosu krówki z obórki, ni żadnego z tych towarzyszków pracowitego wieśniaczego życia, z którymi jakoś weselój.

Cały dzień ten zszedł na płaczu. Nie zapaliła nawet ognia, i przesiadziała w kącie izby na garści słomy, obwinęta kożuchem i switą, nie poczuwszy, że marznie i kōstnieje. Mrok padał, gdy kroki dały się słyszeć koło chatki; ktoś zaszemrał w sieni, zrzucono brzemię drewek, i głowa Janka pokazała się przez drzwi wpół otwarte.

— Dobry wieczór, gosposiu! odezwał się wesóło. Ot i ja, wasz stróż i parobek! A co, u was i ognia nawet nie ma w piecu!

— Al Bóg ci zapłać! odpowiedziała Motruna—Bóg zapłać, żeś przyszedł, bo pod noc straszno mi się robić zaczynało. Nie rozpałam ognia, bo mi się już nie chciało, a zimna nie czułam.

— No, to ja go rozpalę, rzekł wchodząc głupi Janek. Z ogniem, to jakoś weselę! Przyniosłem także trochę kartofli, bułkę chleba i co tam mogłem znaleźć, bo podobno zapasów nie macie.

To mówiąc, złożył na ławie swój węzełek, zgromadził gałęzie i trzaski, dobył ognia, i jak najlepsza gospodyni zajął się około pieca.

— Oj! coś bo u was—rzekł rozglądając się po garnkach—strasznie jakoś gospodarstwo kulawe. Motruno! co to się tobie stało? A toż bywało chwalili na całą wieś, że z ciebie taka doskonała gospodyni!

— Ei Janku, szepnęła kobieta wzdychając: było gospodarstwo, gdy było na czém gospodarzyć, a teraz!..

— Ale bo to nie sztuka—odparł śmiejąc się i jękając Janek, który się krzątał przy piecu—nie sztuka gospodarzyć, gdy jest na czém; ale jak nie ma z czego, a dla tego i ład jest, i ciągnie się..

— Wiecie, jaka nasza dola; mnie już ręce opadły.

— To źle! cha! cha! to bardzo źle, Motruno! Jak wy sobie pozwolicie, to i mąż nie da rady domowi.

— Ani on, ani ja... zginąć nam podobno...

— Aj! żebyż to człowiek mógł tak zginąć gdy zechce, i gdy mu źle ustąpić się; ale to bieda, że chudy pies najdłużej żyje: nie zabijają go dla skóry...

Mówił, garnki pomywał, wodę nastawiał, a niekiedy rozglądał się po chatce i okiem rzucał na Motrunę siedzącą w kącie i odrętwiałą.

— A ot i nowiny mamy! rzekł po chwili. Wy nic, widzę, nie wiecie, co się na wsi i we dworze dzieje, kiedy się mnie nie pytacie nawet!

— Tak mi z tém, jak bez tego! odpowiedziała obojętnie kobieta.

— A może i niebardzo! przerwał Janek. Wszak to pozawczoraj jeszcze nasz pan z za morza powrócił!

— Pan powrócił! a pani? poruszając się z miejsca zawołała kobieta.

— Poczekajcie-no, rzekł Janek: ot zaraz wam powiem jak to było. Trzeba wam wiedzieć, że mnie nigdy na pańszczyznę nie posyłają, bo ekonom takie-goby cherlaka nie przyjął, chyba za dziecko lub babę. Głupi ekonom! nie wie, że ja za dwóch zrobię, choć i na pół człowieka nie wyglądam! Wczoraj posłali mnie za bratową do młockarni.. Otoż wszystkiego się dowiedziałem. Byle uszy, to się jest czego we dworze nasłuchać: gotuje się jak w garnku!

Zaciekawiona Motruna wstała, i zbliżywszy się do pieca, na którym palił się ogień: usiadła na przypiecku. Janek wieczerzę gotował.

— Wójt, gumienny, ekonom i cała gromada nic nie robili—kończył—tylko gadali a gadali o panu, który powrócił.

— Czemużeś ty Tumremu o tém nie powiedział? spytała Motruna.

— Myślałem, że wiel rzekł Janek.

— My tu jak na pustyni! zawołała kobieta; co my tu wiedzieć możemy? chyba kto umrze we wsi, to na cmentarz przywiozą! Ale cóż tam mówili?

— Ot zaraz, coraz rozgadując się, mówił parobek: bo najprzód potrzeba wiedzieć, że pani umarła gdzieś daleko, i jegomość sam, słysze, powrócił.

— Umarła! krzyknęła z żalem w ręce uderzając Motruna. Ach! ja nieszczęśliwa!

— No! no! nie lamentujcie, bo może i Harasymo-

wicza się zbędziemy, rzekł Janek: to lichy dokuczliwe... Pan, słyszę, jak pojechał żółty, blady i słabeński, tak i powrócił nielepij. Nic tam jemu doktory nie pomogły. Zaraz, słyszę, jak tylko na próg dworu stąpił, kazał zawołać kapitana, i coś jemu takiego powiedział, że kapitan poleciał do oficyny i pakować się kazał... Mówią, że ma wyjechać... Czegoś się kłócili, i jegomość mu jakieś papiery rzucił w twarz... Ot co ludzie gadają. A dziś gromada hurmem idzie do dworu ze skargą na Harasymowicza.

— A! cała nadzieja była w panu westchnęła Motruna. Jój nie ma, umarła i ta biedniaczka!

— Prawda, że to ona was pozeniła, rzekł Janek: musicie jój żałować... i krowę wam dała... Hm! ale nie macie za co jój dziękować, że wam do biedy dopomogła. Byłaby was dola wasza nie minęła... A i pan niezły, gdyby tylko nie lenstwo, że mu się czasem do człowieka gęby otworzyć nie chce... Moglibyście pójść do niego.

— To darmo! cicho odpowiedziała Motruna: to darmo!

Janek spojrział na nią, ruszył trochę ramionami, i począł łamać gałęzie u progu, przygotowując je do utrzymania ognia.

— Mnie trzeba będzie iść—rzekł,—ale na chatę z daleka naglądać będę. Macie tu gałęzie i łuczywo; świećcie sobie póki nie zaśniecie... I żebyście chcieli dobrej rady posłuchać, tobyście tak rąk nie opuszczali... Jak człek się kręci, to mu na sercu lżej jakoś... Dobranoc Motruno!... Ja tu niedaleko przenocuję..

Motruna znów spuściwszy głowę, nic nie odpowiedziała Jankowi, i wpatrywała się w palący ogień, który dwie lzy toczące się po jój twarzy oświecił..

Żegnała niemi kobietę, której fantazyja więcej niż serce, związała ją na wieki z losem Cygana.

— I ona umarła! mówiła w duchu. Czasem mi na myśl przychodziło, że powróci, że pomoże, że się choć ona ulituje... Bóg ją wziął, żeby i tę nadzieję nam zabrać...

W takich myślach, dając wygasnąć ogniowi i pozastygać garnkom, biedna żona Cygana przetrwała do późna. Wśród ciszy nocnej słyhać było już trzecie kogutów pianie na wsi, gdy sen powieki jój zmrużył.

Ze dniem zjawił się znowu Janek, który poleciał był do swojej chaty pokazać się braciom, i wrócił dopomódz Motrunie ogień naniecić.

Zdziwił się, spostrzegłszy ją uszpanowaną na tém miejscu, w którym wczoraj porzucił z wieczoru, ogień niepoprawiony, niezgarnięty, a garnki ostygłe i nie-
tknięte.

Skrzyp drzwi przebudził kobietę, a płomień ogniska oprzytomnił znużoną.

— El e! Motruno kochaniel odezwał się Janek po swojemu: coś ty mi się nie poprawiasz, nic z ciebie nie będzie! Jaka z ciebie gospodyni—drzemać pod piecem! I wieczery nie jadła, i obiadu gotować nie myśli. Ja za ciebie wszystkiego zrobić nie mogę, rusz się i sama!

— Do czego? spytała kobieta: do pustych bodni i porozsychanego naczynia?

— A czemu bodnie puste? spytał Janek: toś ty winna! Czemu naczynie się porozsychało? nie przez kogo tylko przez ciebie!

— Przemennie?

— Dawniej bywało—mówił głupi Janek—Motruna i za Cygana, i za siebie pracowała: wodę nosiła, chatę

lepila, krzątała się, aż miło. Jam nieraz z daleka patrzył. Teraz jój ani napędzić! Wstyd! wstyd!

— Coś ty mnie łajesz, Janku?

— A muszę, Motrunko kochanie! odpowiedział, wciąż się krząając koło chaty parobek; bo mnie za ciebie wstyd! Piękną z ciebie żona i gospodyni! W chacie nie zamieciono, w piecu węgle zgasły, garnki brudne! Coś miała Cyganowi pomagać, to mu będziesz ciężył! Wstawaj do roboty!

Jakoż tak szczęśliwie i śmiało przemówił Janek, że Motruna zerwała się przecięż z ławy i pobiegła do ognia. On się rozśmiał i zniknął.

— Doprawdy—mówiła w duchu kobieta—może głupi Janek i prawdę mówi: co ja wysiedzę pod piecem?

Wtém zaszcebiotało coś i zaskomlało w sieni.

— A toż co? stając zapytała kobieta, i serce jój zabiło, choć na głos zwierzęcy tylko, bo i tego tak dawno nie słyszała, a tak się jój żywo przypomniła chata rodzinna!

— Wszak-ci to kura gdacze w sieni, i coś skomlił! Otworzyła drzwi, przyświecając łuczywem.

Sionka była od podwórza zamknięta, a po niój zwijała się para kurek ślicznych, i młody, żwawy kogucik, który spostrzegłszy światło, wbiegł na próg, strzepnął skrzydłami i zaśpiewał. Motrunie aż serce zabiło.

— A mój Boże! zawołała: czubaty! czubate! i jakież śliczne!

Tuż pod progiem leżało kilkodniowe szczenię, skomląc, pełzając i nie mogąc przeleźć przez próg, który na jego nóżki był za wysoki.

— I pies! a! to będzie kasztan! krzyknęła, chwy-

tając na ręce rudego pieska, który piszczał ze strachu. Pocziwy Janek! a niechże mu Bóg płaci! Ukradł chyba gdzieś dla mnie szczeniaka i te kury, boby mu ich w chacie nie dali.

Kury tymczasem wszystkie powskakiwały do izby, i poczęły się rozpatrywać w nowém mieszkaniu, rozbiegając się po kątach, a Motruna oczyma chodziła za nimi.

— Jakież śliczne! jakie tłusciuchne! jakie wesołe! wołała wesoło, latając za nimi z psem na rękę. Wychowam kasztana na stróża naszej chaty, a z kurl... Zamyśliła się.

— A czémże je będę karmiła?

Zasmuciła się tą uwagą biedna Motruna; w istocie, ani na śmietniku ubogiej lepianki, ani w izbie nagięj i pustej, kurze nawet nie było się czém pożywić, tak każde ziarnko i pyłek były tu drogie. Poczęła rzucać oczyma po kątach, jakby szukała pożywienia dla swojego nowego gospodarstwa, i dopiero wtedy spostrzegła węzełki, które przynosił z sobą Janek.

Było tam nawet trochę dla drobiu pośladu, a Motruna co najspieszniej posypała go na podłogę. Myśląc także o jedzeniu dla szczenięcia, znalazła chleb, a na widok jego obudził się i w niej głód, przytłumiony smutnym odrętwieniem.

Tak staraniem pocziwego Janka, który się już nie pokazał przez dzień cały, Motruna miała zajęcie, towarzyszków, głos, który ją budził, i jakiś nowy żywioł w życiu, pełnym dotąd dni jednostajnie grobowych.

Głupi Janek, dumny opieką mu powierzoną, pracował za czterech, żeby wszystkiemu zaradzić, a w domu nie dać poznać swych wycieczek do cmentarza; bo jakkolwiek mało mógł korzystać od swoich dla Motruny, zawsze cokolwiek przynajmniej tajemnie jęz tąd przynosił. Nie wzdrygał się też wcale ukraść, i nie pojmował, żeby co złego czynił, biorąc kawałek chleba, trochę strawy, warzywa, lub parę kur dla żony Cygana. Wszystko to, czém z bogacał jęz lepiankę, prawdę powiedziawszy, aż do szczenięcia, kradzione było; ale tak zręcznie, że się nikt nie domyślał złodzieja. Janek sam potém wysyłany na wzwiady, szukał po wiosce tego, co pochwyił, i wieczorem doskonale braci i siostry oszukiwał opowiadaniem o wszystkich kurach sąsiedzkich i kurnikach, które zwiedzał. Co się tycze szczenięcia, to, zdaniem jego, żarłoczne jakieś stworzenie bednarza pożreć miało; a że najmnień dbano o psa, nie bardzo się też zniknięciem jego kłopotano.

Z największą usilnością głupi Janek ledwie mógł dniem i nocą wystarczyć na dwie chaty oddalone od siebie. Ale się rozdzielał jak mógł, i o siebie nie dbał. W domu zrzucano na niego najcięższą pracę, którą że na pozór leniwie odbywał, stawało mu czasu na dobieżenie do cmentarza i najrzenie na chatę Cygana. Motruna nie miała potrzeby ani po wodę chodzić, ani o drwach myśleć, ani się chlebem kłopotać: dla nięz jednę, kur i szczenięcia było dosyć.

W niedzielę rano nadbiegł Tumry wybladły, żółty, zasmolony, z oszczędzonym chlebem i kilku groszami w węzélku, i zdziwił się, widząc Motrunę weselszą, witającą go w progę i chwającą się bogactwem swo-

jego podwórka, a nawet psem, który już szczekać i burczeć poczynął.

Łzy zakręciły się w oczach Cygana, gdy mu żona opowiadać zaczęła o Janku; ale się razem zafrasował myśląc, zkąd to wszystko biedny karzeł mógł dostać?

— Ani chybi, musiał *ciurawa* (kraść), rzekł w duchu. Poczciwy *ciurachan!* (złodziej), ale nuż złodziejstwo się odkryje? Jego nie posądzą nawet, a na nas bieda spadnie!

Nie śmiał jednak powiedzieć tego Motrunie, która tak się cieszyła gospodarstwem swoim, że i Cygan przy niej poweselał.

— A wiesz? rzekła po chwili: wszak to i nasz pan powrócił, i kapitana, słyszę, wypędził, a nasza poczciwa pani umarła!

— Trzeba iść do dworu! zawołał, nie tyle zważając na śmierć pani, co na powrot pana, cały sobą zajęty Cygan: może nam co pomoże?

— Tak to i Janek radził dodała Motruna. Ale ty pana nie znasz. Przystąpić do niego trudno. Kilka dni chodzić trzeba nim słowo przemówi, a taki chory, taki senny, że sam nie pomyśli o człowieku...

— Ha! spróbuję! rzekł Tumry.

Jakoż z południa, obmywszy się trochę, Cygan nie bez obawy powłókł się do dworu.

Ale tu przyszedłszy w dziedziniec, opędziwszy się psom, które na niego zajadle ujadły, potrzeba było stanąć opodal od ganku, i czekać zmiłowania losu i ludzi. Chodzili słudzy, mijali, żaden nie spojrzał. Któryś spytał i ręką kiwnął; drugi rzucił słowo, że pan nie ma czasu; a Cygan stać i stać musiał. Nie miał on jeszcze wprawy częścięj do dworu chodzą-

cych ludzi, którzy umieją podsunąć się pod okno, zakaszleć gdzie podedrzwiami, i tak znudzić samą cierpliwością swoją, że ich nareszcie albo z niczém odprawia, albo do sieni wpuszczą. Szczęściem dla Tamrego, pan Adam spojrział ziewając przez szybę, i dostrzegł chmurną, uderzającą wyrazem twarzy i smutkiem postać Cygana, który wsparłszy się o drzewo, z oczyma w ziemię wlepionemi, jak zdętwiały czekał co los postanowi, sam sobie radzić nie śmiejąc.

Pan Adam nudził się znowu jak dawniej. Wyjechał był z żoną za granicę, leczyc wyzycie się swoje; ale nigdzie dłużej nad kilka tygodni bez ziewania nie wysiedział. Francuzka szalała, ciągnąc go jak przykutego niewolnika za sobą, a on niecierpliwił się tylko, lub zastygły śmiertelnie się nudził. Los tak chciał, że to małżeństwo, które przypadek skojarzył, prędkiej niż się spodziewać było można, rozerwać się miało. Pani Leroux, późniejsza pani Adamowa, zaziębiła się wychodząc z balu wśród tłumu adoratorów, których jój nigdzie nie brakło, wpadła w suchoty i umarła.

Wypadek ten przerwał monotonię żywota Adama chwilą prawdziwej rozpacz, bo z razu zdawało się, że pójdzie za żoną: tak się był do niej przywiązał, tak strata jój wielkie na nim uczyniła wrażenie. Ale gdy karmiąc żal swój, po kilku tygodniach pan Adam począł szykować pozostałe po żonie pamiątki, wpadł na jój papiery, i te z żalu w gniew i rozdrażnienie go wrzuciły. Tyle tam znalazł miłosnych bilecików, tyle dowodów oszukaństwa, tyle szyderstwa z siebie, że przy najgorętszej chęci zaślepienia się, musiał ze wzgardą pamięć téj kobiety, która z zimną krwią urągała się jego sercu, odepchnąć. Powrócił do kraju i dawnego życia, swojego, a na wstępie znalezione

listy kapitana Harasymowicza rzucił mu w oczy, dając odprawę. Kapitan próbował pomimo tego ostać się w Stawisku, korzystając ze słabości Adama, bo mu zarząd majątkiem i życiem cudzém bardzo był dogodny, ale się nie udało. Adam wysłuchawszy skarg gromady, które dodały jeszcze gniewu, wyprawił w kilka dni dawnego faworyta swój żony.

Znowu więc dwór w Stawisku stał pustką, zamieszkaną przez najstraszniejszą ze wszystkich nud: nudę z użycia, wyczerpania, bezsilności. Adamowi nic na świecie nie smakowało, nic go rozerwać nie mogło: konie, psy, ludzie, zarówno mu byli obojętni. Całe dni spędzał w pół-senném dumaniu sybaryty, który przemyśla czémby się potrafił rozbudzić. Przychodziły mu dzikie zachcenia Neronów i Kaligulów, i wzdychał żałując, że dla rozrywki nie może spalić Rzymu, by pieśnią pogorzeliśko-jego uczcić, lub ożenić się z koniem i ubóztwiać bydlę, a lud, co go czcić będzie, zbydlęcić...

Ludzie jego nie mogli dać rady zdziwaczalemu, tak osobliwszemi chęciami i niespodziewanemi miotał się gniewami. Były dni łagodności i dobroci bezsilnej, w których się wszystkim powodować dawał z uśmiechem obojętnym. W innych rzucał się, rozpalał, bił i wściekał bez przyczyny. Po namiętnym wybuchu, następowały dni całe apaty, milczenia, nieruchomości przerywane potem wulkanicznymi wybrykami. Niekiedy przypuszczał sługi niemal do poufałości, słuchał opowiadań, zdawał się zajmować ich losem; a nazajutrz karcił nietylko słowo, ale ruch i szelest, który go podrażnił.

Taki był pan Adam pomimo swój młodości, zniszczony rozpieszczaniem, próżnowaniem i bezczynno-

ścią umysłową. Szczęściem dla Cygana, dzień, w którym przyszedł, był dobą dobroci. I pan spojrzawszy przez szybę na człowieka, który godzin kilka stał nieruchomy oczekiwaniem, począł jakoś swoją nędzną dolę porównywać do jego doli.

— Słota, chłód! jak ten człowiek wytrwać tak może? Musi mieć bardzo coś pilnego, kiedy tak stoi upornie.

Jeszcze z pół godziny przechadzał się pan Adam po pokoju, coraz to poglądając przez okno na Cygana i obserwując go, jakby naturalista studyował robaka. Jakoś go to zajmowało, nie śpieszył się więc z przywołaniem zagadki. Nareszcie, gdy się już zmierzchać zaczynało, a Tumry jeszcze się nie ruszył, posłał człowieka, aby go zawołał do przedpokoju.

Tu pan zasiadł z fajką w podaném krześle, i począł się bawić przybyłym.

— Słuchaj-no! rzekł: coś ty za jeden, i czego mi tu stoisz przed oknami?

— Jestem kowal... odparł Tumry—Cygana... dodał ciszej.

— A! a! przypominam coś sobie: jakaś historia, ożenienie!... moja żona... Co to było?

Cygan, któremu się w głowie pomieścić nie mogło, żeby kto dotkliwej jego nędzy zapomniał, spojrzął na ziewające paniątko wielkimi oczyma.

— Mówże mi to—dodał Adam—od początku, bo nic nie pamiętam.

Cyganowi niełatwo było się wytłómaczyć, i dla zbytku rozdrażnienia, i dla niepokoju, jakim go ten zastygły pan przejmował, zdający się nic nie czuć i nic nie pamiętać. Zebrał się wreszcie na historję

swoją, a pan Adam wysłuchał jój nie przerwawszy słowem.

Pomimo że w opowiadaniu był tylko szkielet ciężkiego losu młodej pary, że z niego niepodobna było pojąć co wycierpiała, paniątko zdawało się zajmować kowalem.

— Śmieszna była myśl mojej żony, rzekł w duchu: pożenić ich, psa z kotem, i wystawić na przesładowanie wioski. Cygan byłby poszedł dalej, a dziewczynę we wsi wydaliby za męża. A tak! co tu poradzić?

— Czego ty chcesz? spytał Cygana po chwili namysłu. Kazać, żeby cię kochali, nie mogę, a z gromadą sprawa trudna gdy się zatnie! Czyby nie lepiej, żebyś się przeniósł gdzieindziej?

— Dokąd i o czém? spytał Cygan. Postawiłem już chatę, dość tu mojego potu na tej ziemi; żonie i nie pora i nie siła rzucać wieś, w której się urodziła i do której przywykła... Gdyby mi trochę pomocy, gdyby siaka taka kuzienka, ludzie takiby przyjść do niej musieli: wprzód obcy, potem swoi...

Pan Adam się uśmiechnął, pokiwał głową.

— Próbuj kiedy chcesz, rzekł obojętnie: ja ci pomódz pomogę, ale wiem, że to darmo.

To mówiąc, dobył grosza z kieszeni, wyliczył złotych kilkadziesiąt, i rzucił je na stół, ale z taką wzgardą, tak jakoś niechętnie i bez serca, że ten dobry jego uczynek ledwie nie oburzył Cygana. Musiał jednak przyjąć datek, i opłaciwszy go jeszcze rozmową, z której pan Adam wyciągnął trochę rozrywki, poszedł weselszy do chaty.

— Muszę też kiedy pojechać zobaczyć tę chatę za wsią, o której mi podobno i ludzie już wspomni-

nali, rzekł w duchu. Ma to być doprawdy ciekawość! Szczęśliwi ludzie! jak im się chce żyć! jak im niewiele potrzeba!

I ziewać począł znowu, na inny tór myśli wpadając, gdy Cygan leciał już do Motruny, pocieszyć ją lepszą nadzieją. W istocie datek pański mógł wystarczyć prawie na pobudowanie kuźni i pierwszy sprzęt do niej, gdyby się do roboty wzięto zaraz. Ale zima trwała jeszcze, i nic począć nie było można.

Motruna spostrzegłszy z daleka męża, wyszła już przeciwko niemu, po ruchu jego poznawszy, że nie z próżnemi rękami przychodzi.

Spojrzała na pieniądze i uśmiechnęła się, składając ręce.

— No! cóż teraz poczniemy? spytała.

— Muszę kuźnię postawić! rzekł Tumry: ale zima, nie pora, robić nic nie można! Jeżeli ten grosz ruszymy, na wiosnę nie będzie za co rąk zaczepić. Trzeba więc iść pracować na chleb znowu, i czekać!...

— A możeby to na chleb i na kuźnię starczyło? przerwała Motruna, licząc oczyma pieniądze.

Cygan pokiwał głową.

— Nie—rzekł—*łowy* (pieniądze) prędko wychodzą, tylko je zaczepić! Drugi raz już ich nie dostaniemy, a tu na warsztat, na *trast* (żelazo) i na wszystko wiele potrzeba. Zakopimy je w chałupie, i musimy czekać do wiosny. Wiosna niedaleko.

— Niedaleko! westchnęła Motruna: poczekamy, poczekamy.

— A teraz jakoś i raźniej czekać będzie, odparł Cygan. Zobaczymy co we wsi powiedzą, jak tu na górze młot się odezwie i komin zadymill!...

Wlokąc się tak powoli na śniegach, słołach, mrozach i odelgach, przejechała nareszcie długa zima, a nic w lepiance pod cmentarzem nie zmieniło się jeszcze. Tylko Janek, który już był przywykł służyć żonie Cygana i przywiązał się do nich, bo oni jedni mówili z nim jak z człowiekiem, i kochali go jak brata, przygotował za wczasu głęboki koszyk na kółkę, i nie chcąc go jeszcze pokazywać dla złej przepowiedni, przywiązawszy sznury, zawiesił na strychu, aby w potrzebie zdjąć go tylko.

Tumry wciąż chodził do Rudni na robotę, a że pracował z ochotą i znał rzemiosło swoje dobrze, majster się nim chętnie posługiwał, zwłaszcza że go niewiele płacił. Ludzie nawet rudeńscy śmieli się ze Stawiszczan na jarmarkach, że takiego kowala pod nosem mając, do cudzych o milę i więcej chodzą. Trafiło się, że gdy i do Rudni przyszedł kto ze Stawisk, Tumry mu posłużył, wyręczając majstra samego, ale nigdy jedném słowem żaden z nich nie zaczepił Cygana.

Zaledwie ziemia rozpuszczać zaczęła i zieloność się pokazała, Tumry nająwszy człowieka, jął się już nie sam około kuźni żywo pracować, bo rachował na czas roboczy, że we wsi będzie potrzeba kowala i ludzie się taki ku niemu nawrócą.

Grosz cały dany przez pana Adama, był zaledwie dostateczny na mizerną kletkę z dachem pokrytym darnią, na kupienie co potrzebniejszych sprzętów kowalskich, niedostatecznych do lepszej roboty, ale wystarczających dla wioski, w której zrobienie podosków do wozu, okucie konia, naprawa naradnika, pługa i zazębienie brony, są najważniejszą kowala pracą.

Mularz, który horno z kupnej cegły stawił, rzemieślnik, który miech zszywał, resztę pieniędzy zabrali, ale kuźnia w kilka tygodni była prawie gotowa. Tymczasem jednak, nim się to wszystko urządziło, siejba wiosenna uciekła, a Tumry ani węgla jeszcze nie miał, ani obcąg i młotów. Począł więc rachować biedak na kosowicę i kosy, na żniwo i sierpy, na siejbę jesienną i pługi.

Tuż, tuż zdawało się, że już gotowe wszystko, że tylko zapalić węgle i stanąć do pracy. Ale co chwila pokazywał się brak jeszcze czegoś najważniejszego, i trzeba było albo biedz do miasteczka, albo samemu sporządzać.

Już wiosna miała się ku końcowi, gdy wreszcie uznojony Tumry jednego dnia wszedł do chaty i padł na ławę, wołając:

— No! dzięki *Mroden-oro*—poprawił się—dzięki Bogu, kuźnia skończona, i choć jutro fartuch zapasać!

Gdy tych słów domawiał, Janek zdyszany cały wsunął się, tuż za nim, i klepiąc go po ramieniu krzyknął:

— Cha! cha! wielka nowina! wielka nowina!

— A cóż ci to Janku? z czémżeś to tak przyleciał? spytała Motruna z uśmiechem łagodnym, bo się do biedaka serdecznie była przywiązała.

— O staje od wioski—rzekł Janek—wracając z lasu, spotkałem bandę Cyganów, która się na łące rozłożyła noclegować.

Tumry wstrząsł się cały, zabełkotał coś niezrozumiale; a Motruna przestraszona, instynktowo załamała ręce.

— Czegoż oni tu przyszli? odezwała się: po co?

Serce jój było sama nie wiedziała czego, i strach jakiś ogarniał. Tumry widocznie był poruszony i zaniepokojony, ale usiłował udać obojętność.

— A co nam tam Cygani! rzekł powolnie: przyszli to i pójdą przenocowawszy!

— Ale jednak pilnuj-no ty męża Motruno kochanie, żeby ci go Cygani nie pochwycili jak swego! dodał głupi Janek.

— Bieda to już, kiedy kogo potrzeba pilnować! odparła kobieta.

— Strzeżonego Pan Bóg strzeże! rzekł gość. Ale mnie trzeba iść do chaty... dobranoć!

Zawrócił się i pobiegł.

Tumry i Motruna pozostali we dwoje zamyśleni i smutni. Myśl obojga leciała ku szatrze Cyganów. On zwłaszcza kręcił się i chodził po izbie jakby go piekło, i chwili usiedzieć nie mógł na miejscu. Kiedy niekiedy żona rzuciła nań wzrokiem ciekawym, i wyraz jego twarzy przerażał ją. Nigdy jeszcze tak nie widziała Tumrego jak dzisiaj: wargi mu się trzęsły, oko czarne gorzało, pot lał się z czoła, nozdrza miał rozduęte, a pierś podnosiła się i opadała jakby pęknać miała.

Siedli do wieczerzy, ale Cygan nic nie wziął w usta, wciąż chodził milczący, chmurny, wpół obłąkany. Od progu jakby uciekał, do progu jakby go ciągnęło; zdawało się, że mu aż drży ręka, by pochwycić za klamkę, ale miał siłę nad sobą.

Rzekłbyś atleta, co drze się z dzikiem zwierzęciem: tak walczył z sobą i miotał się żądzą jakąś.

• — Słuchaj Motruno! rzekł stając w pośrodku izby: *Romy* (Cygani) wszystko mi popsuc mogą. Śpieszylem z kuźnią, rachując na porę roboczą, że zmusi

wieś pójść do mnie; jeśli oni tu postoją ze swoją, wszyscy zwrócą się do nich, i my przepadli.

— Za cóżby mieli ich woleć od nas? spytała Motruna.

— Tanci im nic nie zrobili, jam dla nich winowajca!

— Ale cóż poradzić na to? spytała kobieta, oczy na niego podnosząc.

— Co? zawołał Tumry: co, ja sam nie wiem. Pójdę do nich i powiem, żeby szli dalej.

— Ty! ty do nich? krzyknęła, porywając się z siedzenia kobieta. Po co? żeby cię pociągnęli z sobą, żebyś przepadł z ich ręki? żeby cię zabili, otruli, oczarowali? Nie! nie! ja cię nie puszcę, i ty nie pójdziesz!

Te słowa wyrzekła tak gwałtownie i namiętnie, rzucając mu się na szyję, że Tumry zamilkł przemożony od razu jęj boleścią; ale śmiertelna bladeść twarz mu okryła, i spuścił głowę jak skazany na ścięcie.

— No! to zginiemy, kiedy mi nie ufasz Motruno, rzekł na pozór spokojnie.

— Ja ci ufam, ja tobie wierzę, ale im ufać nie mogę... Cygani mścić się będą, żeś uszedł od nich!..

Tumry jakoś się rozśmiał szydersko.

— Tak to ty znasz Cyganów! rzekł powoli. A za cóżby się mścić mieli? Iluż to z nich już poobsiadało na gruntach i gospodarzy na miejscu! Słyszałże kto o zemście nad nimi?

— Ale oni czarownicy! przerwała Motruna.

— Na czary są czary, odparł chmurząc się Tumry; a mój wzrok także za silny uchodził, bo go żadna siła nie zmogła!

Motruna, na którą spojrział w tej chwili tym prze-

szywającym wzrokiem, zadrżała i spuściła oczy. Po-
czuła w istocie jakby gorące żelazo przebijało jej
serce, jakby łańcuch żelazny pierś jej ścisnął, aż
oddechu brakło, a w głowie kręciło się i wiło dzi-
wacznie.

— Powiedz lepiej, że mi nie wierzysz — kończył
Cygany — ale nie że się o mnie obawiasz. Straszniej
mi tu między twoimi, niż wpośród naszej braci *Ro-
mow*, a jednak widzisz, żeśmy caży i żyję.

— Ale po cóż iść do nich? błagająco, cicho szep-
nęła kobieta.

— Ażeby ich ztąd co prędzej oddalić!

Motruna nic nie odpowiedziała. Tumry na nią
spojrzał, spostrzegł ciche łzy, począł znowu chodzić
po izbie, tak gorączkowo i szalenie, że się zda-
wało, iż lepiankę rozwali, bo bił się w nią jak
w klatce.

A kłamał biedny! kłamał szalony! bo nie strach
tam go do ogniska ciągnął, ale serce, ale wspomnie-
nie, ta siła tajemnicza węzłów kolebki, łańcuchów
pamięci, które chyba starość zrywa, chyba szczęście
osłabia. Tumry nie miał jeszcze czasu zapomnieć
swych wędrówek po świecie, ani ognistych czarnych
oczu Azy, ani zapachów cygańskiej *kakabii* (kotła),
ani swojej włóczgi, pieśni, głodu, chłodu, prześlado-
wania i zemsty!

A tak misternie wielki Stwórca złożył każde ży-
cie, że jak w owocu ziaruko, jest w nióm odrobina
szczęścia, jest nasionko pociechy! Boleść podnosi, głód
oszała, nędza egzaltuje, prześladowanie spotęgowuje
człowieka, i na dnie tych klęsk zawsze znajdziesz oręż,
którym je zwalczyć można. Gdy cierpienie dojdzie

do kresu, z niego samego wystrzela siła przeciwna, która już uczuć go nie da.

Tumry choć wiele przeboleł, teraz gdy się blizny pogoili, gdy nowe rany krwią mu płynęły, w życiu przeszłym widział tylko jego rozkosze, barwy, zmiany i ruch, po którym tęsknił. Serce jedném słowem wzburzone, parło się w stronę braci, a myśl już kręciła się w kole czarowném wspomnień dzieciństwa.

— A nuż to oni? pytał się w duchu siebie. Aza Aprasz, stara Jaga, Pehabaj, Puza... A nuż to ten namiot podarty, pod którym mi tyle kropel potu na ziemię upadło? i skrzypiący werden, i koń ślepy... Al gdyby ich choć zobaczył! Czy też żyje żona Aprasza i dzieci? Jakbym ich widział! Przypadli pod lasem pewnie w dolinie, nie śmieją iść do wioski... rozbili namiot... Aprasz siedzi twarzą w ogniu, bo mu go nigdy nadto, żona jego milczy i dziecię kołysze, Jaga paple, chłopcy skaczą, koń się pasie na rozłogu... Al jak im tam dobrze choć chleba nie mają! jak swobodnie! Żeby ich choć zobaczyć!...

Wzrok Motruny zdawał się na wylot przebijać czaszkę Cygana i czytać jego myśli; bo biedna coraz się bardziej smuciła, a Tumry szalał coraz wyraźniej.

Bóg wie tam, która była godzina nocy, gdy przy wygasającym ogniu pokładli się spać wreszcie, a Cygan obwinawszy się płachtą, głowę ukrył, aby nie pokazać, że nie śpi.

Ciągle w nim wrzało to pragnienie przypatrzenia się choć z dala Cyganom,— i walka z namiętną żądzą, w człowieku, co się hamować nie umiał, wkrótce przerosła stan prawie szału i gorączki. Znużenie po

pracy zamykało mu oczy, a Cygani ciągnęli ku sobie; zasypiał, zdrzemywał się, budził, jęczał, i szarpiąc pierś czarną, wpadł wreszcie w stan dziwny, który nie był ani snem, ani jawą.

Wyjątkowe duszy usposobienia wyradzają często dziwne także władze w człowieku, i spotęgowują, podnoszą kosztem całego organizmu, który się przez posłuszeństwo myśli do cudów wysila; tak nawzajem choroba dręcząc ciało, przywodzi niekiedy duszę do niezwykłych polotów...

Zaledwie usnął Tumry, uczuł się schwycony nieopisaną potęgą, i wstał, cały potem obłany, wprost kierując się ku drzwiom.

Motruna nie spała jeszcze: ostatni płomyk ogniska oświetlał Cygana, którego się przeleżała nieszczęśliwa, nie śmiejąc tchnąć, krzyknąć, ani go wstrzymać. Zalała tylko ręce i opuściła głowę, żeby go tak strasznym nie widzieć.

Tumry zdawał się olbrzymem, tak wyprostował się pod naciskiem niewidzialnej siły. Włosy powstały i najeżyły mu się na głowie, oczy miał słupem stojące, nieruchome i szklane, brew namarszczoną; a w całym nim była taka niepoohamowana wola, że żona nie pomyślała nawet stanąć przeciwko niéj ze swemi łzami.

Drewnianym chodem kościotrupa skierował się do drzwi, otworzył je dotknięciem, i rzuciwszy otwarte, znikł w ciemnościach.

Zerwała się kobieta z posłania cała drżąca, chcąc zobaczyć co pocznie; a że księżyc świecił na dworze, ujrzała go jak wyszedł z chaty, nie wstrzymując się obrócił w stronę cmentarza, i wciąż niezwykłym chodem posuwając się, znikł jak widmo, w pros-

téj linii strzałą prac się do niewidomego dla niej: celu.

Chciało się za nim, ale ją siły opuściły, do reszty zbłąkało się w głowie i sercu; schwyciła tylko za piersi, osunęła się i upadła na progu. Krzyku, który się wyrwał z jéj ust, Tumry słyszeć już nie mógł, bo był daleko.

On leciał jak ptak, gonił jak zwierzę, nie wiedząc dokąd go wiedzie żądza, co nim kierowała. Przeskakiwał mogiły i krzyże, przelatywał rowy, wdrapywał się na góry, przeleził przez jary, a krok jego był tak pewien, noga tak silna, moc go wiodła tak zwycięzka, że nic go wstrzymać nie mogło. Żadna zaporą nie zastanowiła go chwili: łamał krzaki, rozbijał grudy spiekłej ziemi, deptał chwasty kolące, i nie czuł, że krew mu z piersi i nóg cięcze.

Nareszcie w głębi doliny pod lasem zaświeciło czerwone światełko; i Cygan zadrzał, podwajając biegu.

Księżyc wypłynął z za chmur, i przyczynił nowego uroku dziwnemu obrazowi, który się przed ośleplemi oczyma Cygana roztaczał. Noc była ciepła i spokojna, wiatr zaledwie trawy i liście poruszał; niebo miało barwę ciemno-szarą, poprzerzynaną białymi jak wełna obłoczkami. Na dnie szerokiego parowu, który las otaczał z trzech stron dokoła, widać było małe obozowisko cygańskie, całe w cieniach, ogrzane tylko jedném namiotu ogniskiem.

Na tle jasnego dymu i płomieni, czarne jakieś postacie snuły się jak widma, to zasłaniając ogień, to usuwając się z przed niego. Część lasu bliższa, w blaskach ognistych stojąca, cudnie malowała się na czarnej głębi boru. Każda gałąź jakby złotą obla-

na wyskakiwać się zdawała, w tysiącnych kształtach wyginając się i drobnemi migocąc listkami...

Ale Tumry nic nie widział, i przyspieszonym w miarę zbliżania się swego do szatry lecąc biegiem, jak piorun wpadł pod namiot Cyganów.

Stanął przed ogniem, zdawał się przebudzać, krzyknął przeraźliwie, cofnął się i padł nieprzytomny o ziemię, jak drzewo wiatrem zwalone...

Od wyjścia swego ze Stawiska, gromadka, którą dowodził Aprasz, przewędrowała wielki kawał kraju i rozmaitych doznała losów. Może przypadek, może wola Azy przygnała ją znowu w te strony. Uparta dziewczyna tak umiała sterować wszystkimi, że choć pozornie stary Cygan przewodził, ona w istocie i nim i bandą kierowała.

Któż tam wie, co się działo w sercu dzikiego dziewczęcia? Dość, że zwrócili się Cygani ku Stawisku. Czy chciała zobaczyć Adama, czy ciekawa była wiedzieć, co się stało z Tumrym?

Po jego ucieczce, po wyjściu ze Stawiska, Aza zmieniła się bardzo; została jój dawna żywność, ale uciekła wesołość. Pobyt we dworze nauczył ją tęsknić do stroju i zbytku, których raz skosztowała.

Źle jój już było w łąchmanach dawnych, w *gal'i* (koszuli) grubój, w *urakha* (płaszczu) z prostego *hasyka* (sukna), chciała białej *pochty* (płótna), i krasnej *bucaki*, i świecideł, z którymi jój przy czarnych włosach i czarnych oczach tak było do twarzy!

Umiała jeszcze z niczego stworzyć ubranie, przyodziać się prostą *plastą* (kołdrą) do kibici, przybrać polnemi kwiatkami, i czystością zastąpić wytworność; ale wzdychała do jedwabów, których tyle rzuciła we dworze Adama.

Często też, częściej niżeliby chciał Aprasz, któremu wspomnienie zbiega napełniało krwią żrenice, Tumry przychodził na jój myśl i usta; mówiła o nim na przekór *dados'owi* (ojcu, bo tak zwano Aprasza) i nie zapomniała do końca; owszem zdawało się, że im był dalej, tém częściej i niespokojniej wymawiała jego imię. Sprzeczała się z Cyganem ciągle: gdyż on utrzymywał, że niczém go wstrzymać nie było można; ona, że go odepchnęli srogością obejścia i prześladowania.

Aza jednak klęła się i prorokowała jak Cyganka, że ten kto raz błędnego życia taboru ich skosztował, nie wytrzyma przykuty do chaty i roli, i powrócić do nich musi.

— Byleby nas zobaczył, byleby dymu ogniska *Romów* powąchał, zerwie się choćby z łańcucha i przyłeci!

W podróży powolnej od wsi do wsi, z miasteczka do miasteczka, Cygani kuli konie, leczyli, wróżyli, zamawiali, a Aza wielka wróżbiarka, wszędzie zwabiała ku szatom wdziękiem swój twarzy i czarnych oczu urokiem. I jak prawe dziecię Ewy, lubiła, żeby się za nią włókł ten łańcuch niewolników, których jeśli jedném nie zwabiła wejrzeniem, posyłała po nich i drugie, i trzecie, i uśmiech w pogoń, i mrugnie nie, i tę obietnicę rozkoszy, która niestety! tak często kłamie. Ale nikt nad to wejrzenie, nad ten uśmiech, nad obietnicę nie otrzymał nic więcej. Kiedy niewolnik spętany leżał u nóg Cyganki, odwracała się od niego ze śmiechem szyderstwa i zemsty. Serce jój było kamienne, a pierś jeszcze się nie poruszyła, wtórując czyjéjsz żądzy, czyjemuś błaganju.

Codzień jój przybywało wdzięków, codzień w tém szatańskim wprawiała się rzemiośle. Stare baby wy-

uczyły ją tańca wyniesionego z Hiszpanii, a śliczna Cyganka przy dźwięku prostej drumli, z kawałkiem płótna w rękę, umiała z niego uroczy układac scenę. Rzekłbyś, że skacząc tak sama, w monomimie tym odgrywała cały dramat namiętnej tęsknoty, która leci ku ideałowi niewidzialnemu, zapala się do niego, pragnie i rozbija się o mgły i tumany! Chwilami miotala się wesola, swobodna, jak prawdziwe dziecię cygańskie, i uśmiechała się do tego, który gdzieś zakryty stał przed nią; potem taniec jej wolniał, czynił się tęsknym, i znów gwałtowniej nią rzucał, aż wpadła w jakiś szal, w namiętność, która się wysiłkiem i jakby śmiercią pełną pragnień tajemniczych kończyła.

Na ten taniec zbiegali się patrzeć młodzież, starzy i ci nawet, których w początku wiodła prosta ciekawość, których w chwilę potem paliła namiętność. Aza codzień stając się sławniejszą po miasteczkach, więcej zyskiwała swym tańcem, niż Aprasz młotem i kowadłem. Stare Cyganki, a osobiwie Jaga, która niedarmo to imię nosiła od ognia (*Jag*), widziały w Azie podporę przyszłości, wróżyły jej wielkie losy, i chodziły koło niej jak koło królowej. Aprasz też, który chmurno, ale gorącym okiem na nią poglądał, stroił ją teraz i pieścił coraz więcej, zwłaszcza od czasu, gdy mu milcząca umarła żona. Biedna ta kobieta, jakby czekała, rychło od piersi jej odpadnie ostatnie dziecię; gdy z kolan zeszło i uścisku matki nie potrzebowało do życia — pochyliła się, i milcząca, bez jęku, jak żyła umarła! We włóczędźce schwytała ją śmierć na rozdrożu, w smutnym lesie sosnowym, i Cygan tam ją pochował, narzuciwszy mogiłę

suchemi gałęziami. Nie widać było żalu ani w nim; ani w dzieciach, więcej zdziwionych niż zasmuconych stratą matki, ani w starych kobietach i reszcie taboru, do którego nie zdawała się należeć, bo ją zawsze *gadzią* (obcą) nazywano, choć długie z nimi przebyła lata.

Baby kładąc ją do mogiły, szeptały niezrozumiałe słowa; mruczał coś Aprasz, który ją w ziemię składał, szeroką obwinawszy płachtą — ale ani jedna łza nie pociekła z oczu Cygana. Tylko dziecko najmłodsze nadbiegło nad grób, widząc, że ją weń spuszczano, wyciągnęło rączki ku zimnemu trupowi, pochyliło się i upadło na pierś, której bicia już wskrzesić nie mogło. Aprasz rzucił się za niem, wyciągnął, oćwiczył, i wkrótce ziemia przykryła zwłoki nie-szczęśliwój.

Po śmierci jój zdawało się, że Aprasz zapragnie za żonę wziąć Azę. W kilka miesięcy powiedział jój nawet wolę swoją, ale się naśmiała i potrząsała głową dumnie.

— Co ci to? rzekła — czyś szalony *dados*? A tożbym ja twoją *ciaj* (córka) być mogła, a ty ojcem moim! Tyś stary, ja młoda, i nie mam ochoty być *dają* (matką) Cyganów i niewolnicą mężczyzny!...

— Widzisz — odparł Aprasz chmurno — że nie mam ktoby mi był żoną.

— Weź jaką starą niewiastę: dosyć ci jój będzie dla dzieci, a dla ciebie aż nadto!

— Azol ty wiesz, że ja szyderstwa nie lubię.

— A ja szydę — odparła dziewczyna śmiejąc się i białe ukazując zębki, — boś zasłużył na śmiech! Wyrwiéj sobie garść włosów i policz w nich siwe:

znajdziesz więcéj ich w jednéj ręce, niż ja lat przeżyłam; przystałoż, bym była twoją?

Kilka razy jeszcze Aprasz napadał ją z tém żądaniem, ale go zawsze odprawiała w ten sposób; a stare kobiety, jéj przyjaciółki, pilnowały jéj dobrze od przemocy, i gdy przyszło do walki, krzykiem przy najmniej stronę jéj trzymały. Aprasz złościł się i zżymał, i groził, ale poradzić nic nie mógł. Postrzegł, że Aza wiedzie go ku Stawisku, w stronę, w której wspomnienie pana Adama i młodego Tumrego ją pociągało. Wściekał się, zrozumiawszy jéj myśl; ale sam przeciwko całej gromadzie, którą zawładła dziewczyna, choć dowódca, nic nie mógł.

W miarę jak się zbliżali do wioski, Aza spoważniała, zadumała się, a strój jéj dowodził, że chciała być piękną: czy dla pana Adama, czy dla Tumrego Cygana? — nikt nie wiedział. Aprasz jéj groził, ona się śmiała.

Doszli wreszcie do Stawiska nocą, prawie, a Cyganka chciała, by obóz rozłożyli w znajomém miejscu na odłogu; ale *dados* się oparł, i w pustkowiu na dolinie zatrzymał *werden* (wóz) i namiot rozbił.

Aza chciała zaraz lecieć do wioski. Aprasz rzucił się do niéj z toporem, i pogroził jéj straszliwie, jeśli by się krokiem ruszyła. Stare baby z Jagą na czele powstały wszystkie na dowódcę; wrzask stał się niezmierny, bo aż do dzieci, cała banda słuchała więcéj Azy niż jego, i przerażony kowal uległ przemocy, bo topór z rąk mu wypadł, a dziewczyna wzgardliwém zmierzywszy go wejrzeniem, zawołała:

— Nie pójdę, bo nie chcę; pójdę, gdy mi się spodobal! Słyszysz Aprasz! nie boję się ani twych groźb, ani topora, ani gniewu; a od dziś dnia tyś mi nie

dados, ja ci nie *ciaj*; my obcy! Idź jeśli chcesz i gdzie chcesz, moi mnie nie porzuca.

Cygan zaciął usta, błysnęło mu oko czarne na białku, zamilkł i ustąpił.

Co się tam działo w sercu zrzuconego z panowania wodza, którego władzy ostatnia wybiła godzina z ostatnią nadzieją, to tylko jedna może wiedziała Aza, bo go lepiej znała od innych. Cały wieczór nieruchomy przesiedział przy ognisku, nie mówiąc słowa, nie dając rozkazów, w postaci jednego z tych królów zwyciężonych, jakich nam stare wystawiają rzeźby w wykopaliskach grodów Azyi i Egiptu. Byłby skonał w tej męczarni, gdyby boleść taka zabić mogła; ale ona dręczy, a żywi i dobywa życie z człowieka, by cierpieć.

Aza wzięła rządy nad gromadą, nie zważając na nikogo; ona rozstawiła wóz, ludzi, sprzęty, rozdała wicherzę, i jak na wzgardę, kazała misę stawy z okrajcem chleba postawić przed tym, któremu dotąd pierwszy kęs i pierwsze należało miejsce. Cygani zdawali się nie zważać nawet na wczorajszego wodza, i jak chorego lwa każdy z nich jeśli nie nogą, to słowem bolesnym potrącał. Bo Aprasz bezsilny, zwyciężony, od tej chwili wodzem być już przestał.

Właśnie o krok od siedzącego na zwalisku swój potęgi Aprasza, obłąkany, senny padł Tumry, łoskotem upadku swego przestraszając bandę całą.

Aza, która czuwała, chwyciła zapaloną gałąź z ogniska, i przybiegła pierwsza zobaczyć co się stało.

Zdawało się, że przeczuła Tumrego, że się go spodziewała: tak zwycięzko spojrziała na twarz jego bladą, martwą, wychudłą, oświeconą płonąca gałęzią sośniny.

— Tak! to on! zawołała dziwnym głosem. Wiedziałam, że to on być musi. Ciągnęłam go tu i przyciągnąć musiałam. Ale trup! ale martwiec i upiór! A! a! dodała zlewając twarz jego wodą przyniesioną przez Jagę z kociełka: cóż mi z niego zrobili *gadziowie* i ta jasnowłosa *egaszi*, dla której *Romów* i ich życie porzucił! Na twarzy znać co wycierpiał! Biedny Tumry! zestarzał, zgnędniał, nawpół umarł i zamęczył się.

Tumry w tej chwili otworzył oczy, podniósł się na łokciu, i zdziwionym wzrokiem powiódł po otaczających go postaciach, gorące oko topiąc w pięknej dziewczynie, która z uśmiechem litości stała nad nim w blaskach swój pochodni, jakby niezziemskie zjawisko. To widzenie wydawało mu się jeszcze dalszym snu jego ciągiem.

— Gdzie ja jestem? spytał ochryłym od znużenia głosem, spozierając na *Romów* i na skrwawione piersi, ręce i nogi swoje. Nie jestem w chacie pod cmentarzem, gdzie się spać położył? Gdzież Motruna? kto mnie tu przeniósł? Czy to życie snem tylko było?

— Wszystko sen! odpowiedziała Cyganka, podając mu kubek wody. Pij, orzeźwij się i bądź pozdrowiony z powrotem pod szatrę naszą! Spróbowałeś życia *gadziów*, serca ich, szczęścia: powiedz, czy ci lepiej było z nimi niż z nami?

— Ale to sen! to sen chyba! trąc oczy począł Tumry. Prawda! Janek mi wczoraj prawił o Cyga-

nach; cały wieczór rwałem się, aby pójść ich zobaczyć; alem się spać układał w chacie: jakaż mię tu siła przyniosła?

— Siła, która ptaka pędzi do gniazda, a zwierzę do jamy! odparła śmiejąc się Aza. A któż zna tę siłę, która mocniejsza jest od nas, która włada nie tylko ciałem, ale i duchem, i pcha choćby na śmierć?

Tumry patrzył i opamiętywał się powoli.

— Gdziez Aprasz? spytał: gdzie jego żona?

— Żona jego śpi na rozdrożu... odparła Jaga.

— A Aprasz śpi u ogniska, rozśmiała się Aza: bo od dziś przestał być wodzem naszym! Podniósł rękę na mnie i upadł! Patrz — odsuwając się i odsłaniając siedzącego, dodała dziewczyna — oto Aprasz, który mnie, mnie chciał mieć swoją żoną i niewolnicą! Skiń mu głową lub pluń na niego, jak chcesz, a nic ci już nie zrobi, bo przestał być silnym!

Wtém stary wódz schwyił się, ukłóty słowem, od ognia, i porwawszy topór leżący na ziemi, ze wściekłością rzucił się na Azę; ale nim ją mógł ugodzić, Tumry porwał się na niego, wpół go objął i powalił, a nadeptawszy nogą gardło, wyrwał mu z rąk siekierę.

Ich oczy spotkały się z sobą i starły wejrzeniem krwawém, a Aprasz zaryczał, dłoń spuścił i źrenicę.

— Tak! rzekł głucho: jam już bezsilny! Nie pannaować mi nad wami, ale iść za wozem waszym i słuchać! Puszczej Tumry, na *Mroden-oro* (Boga), na *Mutes-oro* (śmierć), na *Nasua-oro* (chorobę), na *Gives-oro* (dzień), na *Rat-oro* (noc) klnę się, nic wam złego nie zrobię. Puść mię niewolnika.

Ale Aza przypadła ku upadłemu, wołając:

— Powtórz! jeszcze raz powtórz przysięgę, i dzie sięćkroć ją powtórz, nim ci uwierzę!

Aprasz począł powtarzać posłuszny.

— Odbierzcie mu *towez* (siekiere)! zakrzyczała: i *ezuria* (nóż)! i odtąd niech ich nie ma w ręku!... Dziękuję ci Tumry — dodała — puść go. Winnam ci życie. Wielki *Mroden-oro* przyprowadził cię tu na skrzydłach tęsknicy umyślnie, żebyś mnie uratował! Siadaj i grzej się u znajomego ogniska, i mów, coś przeboleł; bo żeś nie był szczęśliwy, mówi to blada *busta* twoja (twarz).

— A! a! odparł Tumry, wspierając się na wywróconym miechu kowalskim, na który spoglądał jakby starego witał przyjaciela:—nie ma co mówić o szczęściu i doli mojej. Próżno kto od niej ucieka! *Gadzio-zwie* zjedli mnie i żonę, powolnym prześladowaniem ogryzając kości, i odstąpili odemnie jak od trupa, a ja walczyłem z nimi. Umarł ojciec Motruny; powiodłem go okiem na cmentarz. Musieli mi oddać dziewczynę, ale żyłem nędzą moją i ich złością; bo prócz jednego, nikt z nich twarzy nie zwrócił ku mnie!

— A białąż *egaszi* twoja? spytała Aza.

— *Egaszi* kochała mnie i kocha, rzekł Tumry; ale cóż miłość o głodzie i w niewoli? Dom mój był dla mnie trumną i grobem: tak mi w nim duszno, i tęskno, i ciasno. Oko zawsze jednym karmilem widokiem cmentarza, mogił i nagiego wzgórza...

— Ale was było dwoje?

— Troje z nędzą, czworo z głodem! śmiejąc się dziko rzekł Tumry: pięcioro z poczciwym Jankiem.

— Znalazł się ktoś przecie poczciwy?

— Ale wy... przerwał Tumry — cóż z wami się

działo? gdzieście byli? co was przygnało tu znowu, na szczęście czy nieszczęście moje?

— Ja — zawołała Aza — chciałam zobaczyć co się z tobą dzieje. Aprasz się sprzeciwiał, ale usłuchać mnie musiał! Życie szło jak idzie życie: dzień do dnia niepodobny, a z daleka bracia rodzeni! Paliło się kowadło, sapały miechy, pracowały ręce, a Aza śpiewała i skakała *gadziom za lowy!* (pieniądze). I ot widzisz, przyszlśmy tu wreszcie, może umyślnie po ciebie, a może do młodego *raja* Adama.

Uśmiechnęła się nieznacznie.

— Co robi *raj* Adam? spytała: czy zawsze życie mu tak długie, a młodość tak ciężka do dźwigania?

— Nie wiem... cicho odpowiedział Tumry. *Raj* ożenił się był z jakąś *gadzią*; mówią, że go zwodziła z drugim...

— A cóż miała robić biedna! rozśmiała się Aza: musiała!

— Pojechali gdzieś daleko po zdrowie dla niego, po wesele dla siebie, a *rani* (pani) tam umarła.

— Umarła! o jakże dobrze zrobiła! zawołała klaszcząc w ręce Aza: znowu go męczyć będą! We dworzec więc pusto?

— On sam tyłko!

— Co powie, zobaczywszy starą znajomą! poczęła Aza, śmiejąc się do swój myśli. Jutro, nie dalej niż jutro, przystroję się jak *rani* i polecę do niego.

Spojrzała na Tumrego: on chmurny, obracał w ręku zagasłą głównię i milczał.

— Pójdę go męczyć — powtórzyła — i śmiać się! Al żebyś wiedział Tumry, ilem to ja już *gadziów* miała! choć brać garściami! A co mi ofiarowali, a jak się modlili do mnie! Było ich widzieć, jak lecieli za

Aż jak gromada *szukelów*, brzęcząc pieniędzmi i obietnicami! Gdym widziała, że który z nich poddać się nie chce i patrzy na mnie chłodno, tom póty paliła go, pociągała, czarowała, ażem za sobą powiodła! O! miałamże, miałam rozkoszy, gdy wywiodłszy ich daleko, rzucałam po drodze jak ogryzione kości!...

Coś okrutnego było w mowie Cyganki; a jednak taki był urok jój wzroku i głosu, że Tumry drząc oderwać się od nich nie mógł; patrzył, słuchał i spragniony długą żądzą, nasycić się nie mógł.

Pięknie bo wyglądała przy ognisku, a świeże zwycięstwo okrywało ją jeszcze powagą jakąś i siłą nową. Tumry nigdy jój taką nie widział.

— Ale mów-no mi o sobie... zbliżając się i łagodniejąc, odezwała się Aza — o swój *bukuni* (domku), o *egaszi* (żonie), o życiu!

— Wszystkom ci powiedział... smutnie rzekł i powoli Cygan. *Egaszi* dobra i pocziwa, ale jój tęskno do swoich, których nie widzi, jak mnie do *male* (pola) i namiotu! Płacze i płacze biedna! *Bukunia* moja, którą krwią i potem zlepiłem, wygnanka, jak my za siólem stoi na pustkowiu i patrzy się w państwo *Mutes-oro*, na cmentarzysko *gadziów*. Ciasno w niej, głodno, zimno i pusto...

— A nie kwiliż w niej dziecię? spytała zamyślona Aza.

— Nie, odparł Tumry; ale kto wie, kiedy się ten głos z drugiego świata pierwszy raz da słyszeć? Dziś, jutro może.

— Dziś! jutro! toś przepadł! odpowiedziała Cyganka. Niech-no zapłacze dziecina, a uwieźniesz tam na zawsze przy swojej bladej *egaszi*, i zeschniesz w pracy i utrapieniu!

Skinęła ręką.

— Idź, skazany! rzekła: jużes ty nie nasz! Idź! idź! nie patrz na swobodę, nie kosztuj powietrza pod namiotem! Tobie zgnić uwiązanemu do słupa! Tyś *gadzio!*

Wymówiła to przekłętwo bez gniewu, z litością raczej; ale Tumry uczuł je w głębi piersi, jak przepowiednię nieodwołaną. Spuścił głowę, powoli podniósł się z ziemi, potoczył wzrokiem dokoła, jakby ich żegnał, i raz jeszcze spojrzął na Azę.

— Idź!... rzekła dziewczyna: idź do *khera* (domu), — blada *egaszi* cię czeka! Niech ci się serce nie drze na widok *Romów*, bo do nich wrócić nie możesz!...

Otrzeźwiony, osłabły Tumry powracał mozolnie i powoli tą samą drogą, którą we śnie przebył tak żywo i łatwo. Zranione nogi ledwie go wlokły; ciężka głowa ołowiem spadała mu z karku; serce to było stem młotów, to przestając uderzać milkło w piersi, jakby na wieki spocząć chciało.

Dziwił się, że tak ogromną przebiegł przestrzeń, która w powrocie wydawała mu się nieprzebytą, nieskończoną! Wyglądał drogi, i błąkał się, i znaleźć jęj nie mógł; kiedy niekiedy odwracał się, by spojrzeć na ognisko, przy którym zostawił Azę, to znów znużonem okiem szukał swęj chaty, cmentarza, wioski, i z trudem ścieżkę rozpoznawać musiał.

Była to chwila uroczysta, gdy noc ze dniem się łamie, ciemność poczyna walkę ze światłem, śmierć

codzienna ustępuje życiu. Błdy niebieskie ognie i księżyc nawet coraz srebrzystszym się zdawał; gwiazdy uchodziły po jednej w niebieskie głębie eterów; chmury nocne zapadały z jednej strony, a ranne kupiły się z drugiej; ptaki, pierwsi stróże żywota ziemi, poczynają śpiewać zmartwychwstanie.

I drzewa, i kwiaty budziły się także barwami, które noc ciemna uśpiła, a dzień rozpowyjał dla oczu; niektórych kielichy już piły rosę spragnione, inne gnuśniejsze, w powijkach jeszcze, cieplejszej czekały godziny. A cisza była długa, przerywana tylko pieśnią rannego ptaszka, nieśpiących kruków i szumem porannej modlitwy lasów.

Tumry szedł i zataczał się. Ani różowy blask wschodu, ani srebrne jasności ustępującej mu nocy, nie roztworzyły jego źrenicy umarłej... Nareszcie zobaczył czarne krzyże mogił, chude wierzby cmentarza, żółty grób Lepiuka i nizki komin swój chaty.

Przyśpieszył kroku.

— Co się tam dzieje z Motruną — zawołał w duchu — jeżeli postrzegła, że poszedłem? A! żal mi jój, żal ale nacóż pokoehała Cygana?

I minął cmentarz drżący, śpiesząc do drzwi lepianki. Na progu nie było Motruny... tylko głos dziwny, niepojęty, uderzył jego ucho. Nie był to głos zwierzęcia, ani człowieka, ani ducha, nie był to skrzyp drzewa, ani świergot ptaka, ale wołanie niezrozumiałe, płaczące, jakby wzywające litości, w którego głębi słyhać było mowę ludzką, i jęki zwierzęcia i lzy człowiecze.

Wszedł na próg i pierwszym, co zobaczył, była naga kwiląca dziecina, która leżała przy Motrunie

na ziemi. Biedna kobieta tuliła ją ku sobie płacząc, niepamiętna na boleść swoją, cała już matką tyłkol

W progu wartował głupi Janek, który dał wnijsć Cyganowi, dał mu się zbliżyć do żony i pokłęknać u jój barłogu. Ale gdy Tumry wybiegł po chwili odechnąć i oprzytomnieć, poczwarka zjawila się naprzeciw niego:

Zdziwił się Tumry, nie widząc na twarzy Janka zwykłego wyrazu litości i uczucia, ale chmurny gniew jakiś i groźbę.

— Co ci Janku? spytał, z potu ocierając czoło.

— Co ci Cyganie przekłety! podchwycił karzeł pięść ściskając. Gdzieś ty był w nocy włóczego, gdy żona jęczała, wzywając twojej pomocy, a choćby twarzy twojej!

— Nie wiem co się działo ze mną!

— Ale ja wiem! zawołał Janek: szatan cię opętał dyabli synu! chodzisz na tańce z czarownicami!

— Łaj mnie—rzekł Tumry—ale spytaj Motruny, czym winien? czym poszedł o swojej woli, przytomny? Janek popatrzał na niego surowo.

— Ej! strzeż się Cyganie! rzekł: małe'm ja człeczę, ale jak Bóg Bogiem, jak psa cię zabiję, jeśli żony i dziecka pilnować nie będziesz!

Tumry uśmiechnął się szydersko i wzgardliwie.

— Janku! rzekł: tobiez to mnie grozić?

— E! i robak kasa śmiertelnie! zawołał mały: i ja potrafię choćby robakiem być tobie.

To mówiąc, zniknął biegnąc ku wsi, a Tumry wrócił do chaty.

Serce mu się ścisnęło na widok biednej kobiety, której czoło pot śmiertelny, a twarz bladość okry-

wała trupia. Spoglądając na niego, jakby błagała o litość dla siebie i dziecięcia; uczuł się winnym, choć nie wiedział, jaka siła pchnęła go do grzechu, i przykląkł u łoża.

— Co się stało? jak to było? spytał. Ja nie odszedłem od ciebie własną wolą!

— Czarownica cię widać pociągnęła, odpowiedziała słabym głosem Motruna. Kiedyś spał, zerwałeś się, pobiegłeś— chciałam iść za tobą i upadłam... Nie wiem co się działo ze mną i kiedy mi Bóg dał dziecię... Otworzywszy oczy, spostrzegłam w progu poczciwego Janka, który mnie widać od drzwi przeniósł na łożko...

Tumry spoglądał na kwilące niemowlę, i myśl jego przebiegła cały szereg ciężarów i obowiązków, jakie dla niego na świat przyszły z tém dziecięciem... We dwoje ledwie żyć mogli: troje umrzeć musieli... Potrzeba było pomocy osłabłej Motrunie, pokarmów dla niej, pieluch dziecinie, sługi w chacie i chleba! chleba!

Tumry zarabiając nań, musiał opuszczać żonę samą, a nie było jój komu dopomódz w pierwszych dniach słabości.

Chwycił się Cygan za głowę.

— Nie ma rady! rzekł głośno: ze wsi nikt nam posłużyć nie zechce; ja sam nie podołam wszystkiemu... pozwól mi pójść i zawołać Jagi Cyganki.

Na te słowa Motruna porwała się i dziecię przytuliła do siebie.

— Cyganki! zawołała: o! nie chcę, nie chcę! obejdzimy się bez pomocy niczyjéj... Oniby mnie struli, oniby mi dziecię porwali!

Tumry ruszył ramionami.

— A tyżeś nie żona Cygana?

— Tak, tak! rzekła—ale się boję, boję się! Mięj litość nademną!

— Ty sama litość mięj nad sobą! zawołał Cygan. Toć pomrzemy, jeśli nam w tych dniach pierwszych ktoś nie pomoże!

— A Janek?

— Ale tu potrzeba kobiety!

— Ja wstanę, ja wstanę! pośpiesznie poczęła mówić Motruna.

— To być nie może, kilka dni przeleżeć musisz... A któż tobie i dziecku posłuży, zgotuje? Kto cię nauczy jak chodzić koło niego?

Motruna zamilkła, ale na twarzy jej, z ruchów niespokojnych widać było, że bojaźń jej nie opuściła, choć nie wiedziała co począć.

Chciała spróbować czy nie potrafi wstać, i opadła na łóżko, jęknąwszy tylko boleśnie.

Tumry siadł przy niej na ziemi, i oczy wlepiwszy w dziecię i matkę, pozostał tak nieruchomy, w niemęj jakiegś rozpaczy.

Wtém drzwi uchylily się powolnie. Spojrzała Motruna i zadrżała, widząc straszną twarz staręj Cyganiki, ukazującą się powoli z sieni.

Była to stara Jaga, którą, nie wiem, ciekawość czy inne jakie uczucie nagnało w ślady Tumrego—poczwarna baba, mogąca przestraszyć wyrazem swych czarnych oczu i śmiejąco się zakłęślej szczęki. Skóra jej na czarno opalona, włos kruczy rozrzucony w po zlepianych kosmach po czole i twarzy, pomarszczone policzki, uśmiech bezzębny i wejrzenie drapieznego ptaka, robiły ją ideałem staręj wiedźmy z baśni ludu. Brudna *gata* (koszula), zdarta *sokha* (spodnica)

i narzucona na głowę płachta, stanowiły jój ubranie, z pod którego nagie ręce i pierś wyszła wyglądały. Zgarbiona, opierała się na wyłamanym w lesie kiju sękatym, którego długie użycie widać było z rozstrzępionego końca.

Wejrzeniem poleciała po chacie, i weszła z uśmiechem, widząc, że będzie potrzebna. Na widok jój Motruna pochwyciła dziecię i drząc poczęła, a Tumry zerwał się i stanął zdziwiony, że się tak niespodziewanie zjawiała ta właśnie, o której mówił przed chwilą.

Zaledwie nogą na próg wstąpiła, już po cygańsku Jaga obleciała okiem palającym wszystkie zakątki izby, policzyła garnki, sprzęty, obrachowała stopień nędzy Tumrego i wiedziała co ma i czém żyje.

Powoli jak kot kołując, skradała się do łóżka.

— Stój! zawołał Tumry po cygańsku do niej: *egaszi* boi się ciebie, drży, płacze; odstęp się ku drzwiom.

— A czegoż się boi twoja *gadzia*? spytała Jaga, siadając u progu na ławie: alboż nie żona Cygana? alboż my to nie swoi, a nawet nie krewni?... Jaby jój koło dziecka pomogła, bo ona widzę zacałuje go i zaściska, a poradzić mu nie potrafi... Toć to moje rzemiosło... i daj mi *Mroden-oro* tyle lat żyć jeszcze, ilem ja *Romów* i *gadziów* dzieci na świat wyprowadził!

— Nie bój się kochaneczko, zaczęła po wiejsku ale złamanym językiem, starając się przymilić, głos ochryply spieszczając, a uśmiech czyniąc łagodnym. A toć to i wielkie panie, i ekonomowe, nawet i szlachcianki, niejednen raz postugiwały się Jagą! Ja się

znam koło dzieci, a tobie to podobno pierwsze, to je niebożatko zamorzysz z wielkiej miłości.

Powstała chcąc się zbliżyć, ale ruch Motruny rzucającej się do dziecka, oznajmił jej, że żadnej nie przyjęłaby pomocy.

— Słuchaj Jago! rzekł Tumry: możesz inaczej mnie poratować. Weź się, rozpal ognia, nastaw wody, zgotuj co... Ona głodna... ja cały dzień pono nie jadłem, i dziecku coś będzie potrzeba...

Stariej w to graj, bo bardzo pragnęła zajrzeć po cygańsku. Więc na pierwsze słowo zrzuciła z siebie płachtę, postawiła kij w kącie, i zakasała podarte rękawy.

— A gdzie żar? gdzie woda? gdzie śpizarnia? macie mleko?

Tumry uląkł się tylu potrzeb razem...

— Żar... poszukaj w popiele, być musi. Woda? zobacz w wiadrze... W śpizarni niewiele znajdziesz... A mleka! mleka nie mam...

— Jak to! ani kozy nawet? zapytała Cyganka.

— Ani kozy! westchnął Tumry.

— O złyż z ciebie gospodarz! uśmiechnęła się Jaga rozgarniając popiół. Widać, żeś zrzucił skórę *Romów* i rozum ich! Żeby też tyle tu siedząc, kozy nie dostać nawet! A włóczy się to tego tyle po polu bezpańskich! mogła się która przybłąkać... Ha! ha! ha! a bałbyś się, żeby nie poznali, to ją zaraz było przehandlować na targu... Zły z ciebie gospodarz!...

— Cóż tu gotować? spytała dalej: zkąd ja tu wezmę przyprawy? A i wody nawet ledwie męty!

— Po wodę pójdę, rzekł Tumry.

— Nie chodź! nie zostawiaj mnie samą! szepnęła Motruna.

— Po wodę i ja schodzę, odezwała się Jaga.

— A wiesz gdzie ona?

— O! uczyć mnie nie trzeba: jużćie dokąd najlepiej ubita ścieżynka, tam woda pewnie! A może gdzie kozę lub krowę spotkam, to ją dla was wydoje; dajno garnuszka tylko.

— Jago! będzie bieda! rzekł Tumry.

— A tak to jój nie ma? odparła Cyganka. Czy lepiej z głodu zdychać, czy na szubienicy tańcować? wszystkim jedno! Daj garnuszka.

Stara wychodzić miała, kiedy się zjawił Janek z mlekiem, chlebem, dzbankiem wody i węzełkiem krup. Trochę tylko drzwi uchylił, dary swoje wsunął, słowa nie rzekł i wybiegł nazad pędem.

Jaga pochwyciła wszystko, a węzełek najprzód wetknęła za pazuchę dla siebie, udając, że mleko przelewa, aby je zagrzać prędkiej. Nikt tego złodziejstwa nie spostrzegł.

Od tego poczęła stara swoją posługę w lepiance Tumrego, w której od téj chwili rozgościła się już śmiało, widząc się potrzebną.

Dzień już był jasny na niebie, i słońce dopiekało, gdy Aza rozporządziwszy wszystko w obozie, i zdawszy dowództwo Cyganowi zwanemu *Puza*, bo czuła, że jako kobieta utrzymać się na niém nie potrafi, wybierać się poczęła do dworu. *Puza*, niemłody już Cygan,

krępy, mały, brzydki, który dotąd był ofiarą Aprasza i męczennikiem jego, zabierał się teraz oddać za swoje, gdy niespodzianie kolój rozkazywania na niego przyszła. Aza wybrała go umyślnie dla tego, bo była pewna, że dojrzy i uciśnie nieprzyjaciela.

Gromada chętnie się zgodziła na wskazanego jój nowego *dados'a* (ojca) i poszła pod jego rozkazy, a Aprasza nie pytano o wolę.

Młoda Cyganka weszła do namiotu, i rozpoczęła strój nie bez wielkiego namysłu i rachuby. Wybrała co miała najpiękniejszego, najświetniejszego, w czém czuła że jój było najlepiej, i skąpawszy się cała w krynicy, utrefiwszy kosę czarną, której ogrom ledwie głowa dźwignąć mogła, wdziała koszulę perkalową naszywaną, kilka na nią sznurów koralu i bursztynów, spódnice w kwiaty, fartuch jedwabny, kaftan czerwony szyty, na wierzch narzucając rańtuch cienki, który ufałdować umiała z instynktem artystki.

Białe płótna i krasne farby ubrania, dziwnie podnosiły wdzięk jój twarzy opalonej, ale świeżej i rumianej, wśród której zęby i białka jak śnieg błyskały. Z pod czarnych rzęs długich, gdy ognistém rzuciła okiem w potłuczone zwierciadło, uśmiech przeleciał po jój ustach...

— Zginiesz *raju*, zginiesz w tych oczach! zawołała w duchu: spalę cię na węgiel! o! spalę. Żebyś był kamieniem to zapłaczysz!.. Czemuż mi tak słodkie łzy ludzkie? poczęła się pytać siebie zadumana. Nie wiem! Ale kiedy je spostrzegę, gdy jęk posłyszę, to tak mi się chce mordować i męczyć, zabijać i nękać, jak dzi kiemu zwierzęciu! A jednak, jednak... odpowiedziała sobie w duchu—gdyby mi tak Tumry zapłakał, zajęczał, poleciałabym może ratować go, i bić się z tymi,

co mu łyzy wycisnęli! Tumry! Tumry! Ale to już nie Cygan: bladą *egaszi* pokochał, a Aza mu niemiła... Wczoraj przecię przyleciał! O! i patrzył na mnie! a jak obronił od Aprasza! a jak zdawał się spragniony!... Nie! nie! potrząsa głową: Tumry przepadł... Pójdę męczyć *raja* Adama!

I raz jeszcze wejrząwszy w zwierciadełko, śliczna Aza wyleciała z namiotu; a wszystkie stare Cyganki, widząc ją tak wystrojoną i piękną, uśmiechnęły się złośliwie, bo wiedziały, co to znaczy, i Aprasz ujrząwszy z dala odchodzącą, zżymał się, a usta zagryzł do krwi.

Sama jedna nadobna dziewczyna puściła się ku wiosce, znając dobrze, którądy od niej do dworu. A szła jak Cyganka, nie powolnym chodem *gadziów*, ale tym polotnym biegiem wióczegów, których życie upływa na nogach, w wiekuistej wędrowce. Pochylona naprzód, z rąbkiem, którym wiatr powiewał daleko, zdawała się lecieć bardziej niżeli iść po ziemi.

Oko wlepiła w niebo, jedną ręką ujęła koniec zastony, drugą podniosła fartuch, i gnała szalona, nócąc jakąś piosenkę.

Dopadłszy do wsi, zatrzymała się nieco, i zdawała się na wpół przypominać, wpół węchem dochodzić drogi, o którą pytać nie potrzebują Cygani. Potém brzegiem stawu, ścieżką ledwie widoczną, pobiegła przez ogród do dworu.

Pan Adam ledwie przebudzony, siedział w ganku w szlafroku, z długim w ustach cybuchem, gdy jak sen, jak widmo, skoczyła na schodki, ze schodków przed niego wystrojona dziewczyna, śmiejąc się do rozpuku.

— Ha! ha! zawołała, poczynając taniec swój przed

nim od najnamiętniejszych skoków: *raj* Adam tęsknił do Azy, Aza do *raja* Adama, i wróciła do Stawiska! Widzisz: przyszedłam znowu popróbować życia z tobą, rzucić ci węgiel za pazuchę i odlecieć jak bociany!...

Niepodobna wyrazić, jak się zmieniła twarz skamieniała młodego człowieka na widok czarodziejki... tak powoli musiał się ożywiać od toku namiętności i geniuszu sławny posąg Pigmaliiona! Ostygłe oczy poruszyły się, zajaśniały, usta utworzył uśmiech niezwykły, czoło zadrżało jak morze od wiatrów poranku, i pierś żywiej zapragnęła powietrza...

Nareszcie zerwał się i skoczył ku Azie.

— A! to ty! czyż to być może?

— Ot! ja! ja! paniczu! odpowiedziała, rzucając mu się wprost na szyję dziewczyna, i paląc go uściskiem szalonym. Nie zapomniałeś mnie przecię? nie? a ileż kochałeś już po mnie?

— Zkądże ty tu?

— Spadłam z obłoków, *balwany* (wiatry) mnie przyniosły... Po prostu zatęskniłam po tobie, kazałam zawrócić *werden*, i na powrot do Stawiska!

— I będziesz moją! zawołał pan Adam w uniesieniu.

— Nie! śmiejąc się i odpychając go z lekka, odpowiedziała Aza: ty moim będziesz *raju* Adamie! Jam niczyją nie była i nie będę!

A jak jój z tą dumą było do twarzy!

Nie wiem jak to nazwać zechcecie: czy miłością, czy dziwactwem? to pewna, że właśnie tego rodzaju namiętnej rozrywki potrzebował zużyty Adam, żeby poczuć, że jeszcze żyje. Cyganka paliła go oczami, mową, uściskami, obietnicami, szyderstwem. Cierpiał,

ale czuł, że żyje. Kto inny, silniejszy od niego, ale dumniejszy może i więcej panujący nad sobą, byłby Ażę zmusił do zmiany, lub sam ją pierwszy porzucił. On z rozkoszą dawał się męczyć, nie mogąc ani odebrać się od niej, ani przemódz jej szaleństw bezlitosnych. Przeklinał jak szatana, a kochał jak anioła. Aza też dobrze znała całą siłę swoją: używała się i nadużywała. Po długiej włóczędze, po cygańskim życiu, smakował jej zbytek, wczas i atmosfera dostatków, która ją otaczała. Czasami zdawała się wśród niej tracić ogień, który w piersi jej pałał, zaduma zalegała czoło, usta śmiać się zapominały; nieruchoma siedziała godzinami w miękkim posłaniu półsen- na, półumarła. To znów zrywała się Cyganka, błysnęła zębami, oczyma, ustami, i rozpoczęła swój taniec namiętny, jak skoki dzikich ludów.

Ale w obudwu zarówno usposobieniach ducha, odpychała Adama, nielitościwem chłoszcząc go szyderstwem: raz ze wzgardą poważną, to znów z wesołością trzpiotowatą.

— Jak ja mogę kochać ciebie? pytała go. Powiedz sam: jestże dwoje ludzi mniej do siebie podobnych? Jam dziki zwierz pustyni! ty dziecko zapiecka wymokłe, zbladłe, chude i bezsilne. Jeden mój uścisk zgniótlby ciebie, jeden pocałunekby cię spalił. A w pierwszej kłótni, która z każdej miłości jak para z wrzątku wyrasta, jabym cię zabiła jeśli nie ręką to słowem!

Upokorzony pan Adam milczał, szczęśliwy jeszcze, że mógł u nóg jej leżeć i patrzeć w te oczy, nad które wymowniejszych nie widział w życiu...

Cyganka zwykle we dnie dowiadywała się do obozowiska swego, które teraz rozłożyło się na odłogu

bliżej wioski i zostawało pod opieką dworu, a więc bezkarnie mąciło spokój chłopów, lub rozsypywało się po okolicy. A na resztę dnia i nocy wracała ze starą Cyganką do pana Adama. Choć droga nie wiodła jęj tędy, Aza codzień prawie przechodziła około chaty Tumrego, na którą ciekawém rzucała okiem, jakby nietylko w nią, ale we wnętrzne życie, które w sobie zamykała, zajrzeć pragnęła. Oczy jęj zapalały się naówczas namiętnością, gniewem, zazdrością i nie wiem jakim uczuciem, zlepkim tysiąca uczuć dziwnych, miotających sercem dzikiego dziewczęcia.

Pierwszy raz tu przyszedłszy, stanęła, aby policzyć może, ile dni pracy, znoju i trudów Tumry na swą lichą musiał położyć budowę. Pokiwała główką, rzuciła ręką i poszła do dworu. Odtąd codzień prawie przelatywała około cmentarza i chaty, ale wejść do niej nie śmiała, choć uchem i okiem śledziła co się tam dzieje. Ani Tumry, ani nikt jęj tam nie spotkał.

Dni leciały piorunem we dworze, ale powolnie wlokły się w chacie kowala. Motruna leżała zesłabla z dzieckiem, którego obawiała się od piersi puścić, oka nawet do snu zmrużyć ze strachu nie mogąc. Stara Jaga przerażała ją swoim uśmiechem, usłużnością i wzrokiem, w którym dziecko wsi przeczuwało skrytego nieprzyjaciela.

Napróżno prosiła Tumrego, aby ją oddalił. Jemu lżej było ze starą Cyganką, i śmiał się z próżnych strachów żony.

Od nocnego widzenia się w dolinie, Tumry nie spotkał jeszcze Azy. Dowiedział się tylko od Jagi, że jest we dworze. Zadrzały mu usta i poblądł, gdy to usłyszał. Ale więcej nie spytał nawet o nią.

Sama też stara Cyganica codzień niemal donosiła

niepytana o dziwach życia dziewczyny, w której pan dworu zakochał się, jak mówiła, na dobre.

— Mówią, dodawała: że gdyby tylko chciała, pewno by się z nią ożenił. Ale głupia *raklora* (dziewczyna) śmieje się z niego, poniewiera, i ani myśli o nim! O głupiaż, głupia! szeptwała. Gdyby inna była na jej miejscu, coby to skorzystała można! Prawda, że *raj* błady, nędzny, bezsilny, ale czyż to z nim żyć zawsze?

I takim uśmiechem kończyła swe narzekanie, jakby mu chciała podać kubek trucizny. Straszna bo była istotą ta Jaga! rodzajem kościotrupa dusznego, w którym ze wszystkiego co ludzkie, sama chciwość i łakomstwo pozostały. Wprawdzie zawsze prawie starość przybiera te dwie cechy wieku, w którym tętni jeszcze miłość własna, co wprzód służyła za jądro innych, przystojniej odzianych namiętności. Ale gdy nago i bezwstydnie wystąpi w zesłabłym i schozrałym człowieku u schyłku życia, skąpstwo, pragnienie nienasycone i chciwość—czynią z niego poczwarę obrzydłą. W stariej Cygance wszystko już było zgasło: uczucie, przywiązanie, czułość wszelka i pamięć. A że ją nędza chłostała życie całe, chciwość dziwna, zwierzęca, rozpasana, wzmogła się w niej do najwyższego stopnia. Chwytać, chować, zabierać, stało się jedyną namiętnością Jagi, która kradła instynktowo, machinalnie, co tylko w ręce jej wpadło. U Tumrego nawet, wśród nędzy codzien widoczniejszej, nie mogła się powstrzymać od kradzieży tego, czego ani schować, ani zabrać nie umiała. A w obozie codzien jej coś wytrząsano z węzełków i smagano nieszczęśliwą, która nazajutrz rozpoczynała na nowo. Nie dziwujmy się stariej Jadze: w naszym świecie iluż to starców

zbiera, dusi, chwytą jak ona! Iu innych wykształceńszych obraca ten popęd w jakąś manię kolekcyj, w zapalczywą chęć pieniędzy i mienia!

Tumry nie zważał na szkody, jakie mu wyrządzała Cyganka, rad, że z nią trochę w chacie lżej było; zresztą nie widział wcale co się koło niego działo, i w smutku jakimś zatopiony, chmurny, zamysłony, zmęczony, całe dni spędzał na ławie przeciw łoża Motruny.

Kuźnia jego była gotowa, ale nikt nie przychodził, choć pod namiotem Cyganów kowadło milczało także. Ludzie szli do wsi sąsiednich, a żaden nie zabłądził pod cmentarz. Od dni kilku, gdyby nie Janek i niewyczerpana pomoc jego, uboga jak on, ale ciągną, już by jeść co nie było w chacie. A tu na głód i nędzę przybyła trzecia istota jeszcze, której wyschlą pierśią Motruna wykarmić nie mogła.

Tumry chciał iść do dworu, ale nie śmiał. Wahał się, od dnia do dnia zwlekał, a sam siedział z założonemi rękami, czekając, zdaje się, śmierci czy jakiegoś końca z poddaniem się losowi odrętwiałem.

Aza o wszystkiém wiedziała od Jagi, która co dzień chodziła pod namiot i widywała się z dziewczyną. A choć miała czém pomódz Tumremu, nic nie zrobiła dotąd.

— Dobrze mu tak! mówiła przez zęby białe ścinając usta. Chciał białej kobiety i życia gnusnego w chacie, chciał być *gadziem*, kiedy go Bóg *Ronem* stworzył, niech cierpi! Życie siedzi głęboko: głód go i ból nie dostanie!

Jednakże przechodząc około cmentarza, codziennie oko jój mglistszym wejrzeniem patrzyło na lepiankę!

I raz, gdy pan Adam u nóg jój po obiedzie spoczywał, czekając jaki rodzaj nowój męczarni wymyśli na niego dziewczę nielitosne, odezwała się do niego:

— Słuchaj *raju* Adamie! co wam zrobił Cygan Tumry, że u was z głodu umiera?

— Kto? gdzie? z ciężkością przypominając sobie, zapytał pan Adam.

— Kował Tumry, co siedzi pod cmentarzem.

— Wszakżem mu dał żonę, krowę i pieniądze! rzekł ziewając pan Adam; czegoż chce więcój?

— A ludzie twoi go prześladują: nie ma roboty, odpychają go wszyscy, siostry i bracia zaparli się ich, Czyżbyś ty nie mógł rozkazać, żeby było inaczej?

— Rozkazać ludziom, żeby kochali? z uśmiechem zapytał pan domu; samaż mi powiedz, czy można?

— Kochać! nie, ale słuchać powinni! Tyś tu pan: alboż ci nie wolno posłać ich do kowala, jak posyłasz gdzieindziej?

— Wolno mi, rzekł Adam: ale na co się to zda?

— Spróbuj.

— Chcesz, spróbuję! odparł młody człowiek, i rozkazał nazajutrz przywołać gromadę.

Rzadka to była rzecz rozmowa tego pana z czeładką i ludźmi. Powolny i łagodny do zbytku, przez lenistwo więcój niż dobroć istotną, nie wdawał się wcale w to, co się działo u niego, i nawet w dni uroczyste przyjęcia gromady, rzadko się słowem do niej odezwał.

Rozeszła się wieść zwołania starszyny po siole, jako nowina niezwyčajna. A Maksym Łach, Skorobohaty i Symiacha, stojący na czele starszyny, łatwo odgadli o co chodzi. Wieczorem po zapowiedzi atamana, skupili się w tyle za karczmą dla narady.

— To nic, rzekł Maksym: to pewnie cygańska sprawa. Ten czort Cyganica w oko mu wpadła: będzie prosił za kowalem...

— Oho! parsknął gniewnie Skorobohaty, podnosząc rękę do góry: z tego nic nie będzie. Pamiętam ja słowa nieboszczyka Lepiuka! Toć i wstyd całej wiosce zrobił ten przybłąda, że nam z przed nosa wziął dziewczkę, i gromada się zarzekła, że go zmusi pójść precz.

— A taki to dobry kowal, mruknął Symiacha, kręcąc głową. Bywało w Rudni, jak przyjdiesz czy z radłem, czy z podoskiem, czy z kosą, czy z siekierą, to nie ma roboty, jak kiedy on stanie do młota. Już ja to doświadczyłem, że mocno i sumiennie robi, i taki majster z niego dobry.

— A co to on jeden na świecie? począł Skorobohaty. Żyliśmy dotąd bez niego, pożyjemy i dalej. Gromada swoją cześć i słowo powinna strzymać.

— A jak pan każe? spytał Lach.

— Alboż to do karczmy czy po staremu do mły-
na, żeby nas pilnowali na bok nie jeździć! he? Co to kowal nas w arendę wziął?

— Jaki z ciebie mędrzec! odparł Lach. No! no! pamiętajże, weźże się i gadać za gromadę, jak jutro będzie potrzeba.

— Myślicie że nie potrafię? spytał Skorobohaty. Oj! oj! oj! tyle biedy. I powiem choćby panu co się patrzy!

— A żeby my tak, ojczy, podumali, rozmyślili się, przerwał Maksym: czy warto nabożeństwo świeczki? Za czyją to duszę pokutujemy, mając majstra pod nosem, chodzimy o milę i wićcej? Komu to złość jeśli nie nam?

— A grómadzkie słowo? spytał Skorobohaty: a Lepiuk?

— Umarł, pochowany, i święty mu pokój! Na co go z grobu wywlekać?

Na tę rozmowę nadeszło kilku innych gospodarzy, i domysły o jutrzejszej gromadzie, to jest zborze do pana, a narady względem odpowiedzi jakąby dać wypadło, jeśliby chciał na kowala namawiać, rozpoczęły się na nowo.

Zdania były dość podzielone; jednakże brat starszy Motruny, a za nim większość ze Skorobohatym głośno krzyczała, że gromada na swoim postawić powinna. Jak zawsze, choć może mniej było upartych, ale ci, co się uparli, krzyczeli głośno, pociągnęli słabych i zagłuszyli nieśmiały. Maksym Lach nie odważył się odezwać; Filip, brat Motruny, ust nawet nie otworzył.

Można więc było już przeczuwać co się stanie we dworze. Bojaźliwsi zamilkną, krzykacze zagłuszą nieśmiały i zostaną przy swoim uporze.

Zaraz nazajutrz z rana, gromada otoczyła ganek dworu w milczeniu. Ale gdy do niej wyjść przyszło, pan Adam tak się wahał, zbierał, męczył samą myślą rozmowy i sprzeczki, że wytrzymał ją do południa w oczekiwaniu. Ze zgasłą fajką wysunął się wreszcie, grzecznym ukłonem witając swoich ludzi, którzy z pokorą, w cichości, czekali pańskiego słowa. Nie śmiejąc z razu napaść z żądaniem, które miał na myśli, począł bąkać o urodzajach, zasiewach i gospodarstwie, aż wreszcie opamiętał się.

— Słuchajcie-no, panowie gromada! rzekł: za co to przesładujecie biednego Cygana kowala, który wam jest potrzebny, a dla jakichś tam głupich przesądów

używać go nie chcecie? Zbudował chatę, kuźnię, osiadł, a żywa dusza ani gadać, ani żyć z nim nie chce?

Skorobohaty wystąpił z ukłonem.

— Prawdę powiedziawszy panieńku, myśmy go tu nie zapraszali: siadł, bo chciał... A że gromada postanowiła go nie brać do roboty, to nie bez racyi...

— Jakaż racya?

— A córką Lepiuka, którą tak jak gwałtem, przeciw woli ojca, Cygan sobie zbałamucił? Albo to nie wstyd dla nas? Pobratał się z nami gwałtem, to my go więcej przypuszczając do siebie nie chcemy. Pozwól kurze grzędy, ona pójdzie wszędy. Dalej Cygani nam będą wszystkie dziewczęta zabierali... Toż nie cygańska ojcowizna, Stawisko...

Pan Adam spojrział na chmurny wyraz twarzy Skorobohatego, i nie wiedział co począć dalej.

— A gdybym ja was za nim prosił? zapytał.

— Lepiej tego nie róbcie, rzekł Skorobohaty. Niechaj Cygan wynosi się gdzie zechce. Świat dla niego szeroki, żony mu nie odbierają...

— Gdybym ja tego żądał? powtórzył pan.

— I nie żądajcie tego od waszjej gromady! zawołał stary. Nie powinniście chcieć wstydu naszego.

— Cóż to za wstyd? Małoż Cyganów pożeniło się i po wsiach osiadło, i pobrali gospodarskie córki!

— Tak! ale za pozwoleniem gospodarzy, a nie przeciw woli ojcowskiéj odparł Skorobohaty, potrząsając głową. Co złe, to złe!

— Mówcie co chcecie, przebaknął pan Adam: ale nie macie słuszności... Pogniewaliście się, podąsali, czas darować i zapomnieć.

— Lepiuk nie żyje, a on jeden mógł córce prze-

baczyć. Ani gromada, ani bracia nie mają do tego prawa.

Adam widząc upór starego, obrócił się do brata Motruny, który stał na boku, założywszy ręce na piersi, w postawie oznaczającej, że myśli upierać się przy swoim.

— To wy jesteście przyczyną wszystkiego, rzekł. Wy namówiliście gromadę; wasza to sprawa stawić się przeciwko dworu... Ale pamiętajcie, że źle wyjdziecie na tém.

— Wola pańska, hardo odpowiedział Maksym. Gromada ma swój rozum. Niech mówi co chce, a my tu tylko ojcowski rozkaz spełniamy. Chciała Motruna Cygana, dwór pozeńił. Wszakżeśmy nic nie powiedzieli? Ale bratać się z nim nie myślimy...

Pan Adam nie miał dość siły, by dłużej spierać się z gromadą; chciał się tylko wywiązać z obietnicy, niewiele wierząc w skutek słów swoich.

— No! no! rzekł z pańska i groźniej: nie chcę słuchać waszych przyczyn. Dość, że mi się to nie podobą, że prześladujecie biednego. Rozkazuję, żeby mi tego nie było, żeby mi tego nie było!

Powtórzył raz jeszcze i zniknął.

Panowie gromada spojrzeli po sobie z uśmiechem niemal szyderskim. Pokłonili się nic nie odpowiedziawszy, i powoli się rozeszli.

Z okna pokoju Aza słuchała téj rozmowy, i widziała postawy ludzi i pana. A gdy pan Adam wrócił zmieszany niepowodzeniem swojej wyprawy, poczęła się śmiać na całe gardło.

— O! jakżeś to srogil! zawołała kładnac się na sofie: jakżeś straszny! jak ciebie się ludzie twoi lękają!

Teraz to już pewna jestem, że tłumem pójdą do kowala. Cha! cha! cha! doskonałeś ich zgromił.

Adam się zarumienił.

— Cóż-bo chcesz? rzekł: zrobiłem co tylko można, ale to lud uparty! Zresztą możnaż mu mieć za złe, że w takich rzeczach chce mieć wolę swoją?

Wzgardliwe spojrzenie całą było odpowiedzią Cyganki, która wstała, obwinęła się rąbkiem, i nie żegnając pana Adama, wyszła ze dworu.

Według zwyczaju skierowała się ku chacie Tumrego, i zbliżywszy się do niej, zwolniła nieco kroku. Wzrok jój padł na drzwi lepianki, i wstrzymał się na nich długą chwilę. Oczy zaiskrzyły się jakimś gniewem, wyrzutem, pragnieniem. Podeszła i stanęła, zdawała się wahać, wnijść czy nie? A wtém błady, wyędniały wyszedł Cygan z sieni, i nie widząc jój, wstrzymał się w progu.

Znać było z jego ruchów, z twarzy i postaci, że nie myślał co robi. Wyszedł, bo mu może zabrakło powietrza w izbie i nie miał czém odetchnąć. Stał, bo iść dalej nie czuł potrzeby, i wszystko mu jedno było być tu lub gdzieindziej. Ręce opuszczone bezwładnie, obwisła na piersi głowa, rozczochrany włos na niej, usta w pół otwarte, policzki wybladłe, wzrok zgasły... czyniły go podobnym do chorego, który powstaje z łóżka po ciężkiej i długiej boleści.

Aza niepostrzeżona wlepiła w niego oczy ciekawe, i coś jakby radość i litość razem z nich strzeliło. Podeszła bliżej kroków kilka, a on nie widział jój jeszcze. Wreszcie cień padł na Cygana, poczuł, że ktoś się zbliża, i powoli, obojętnie podniósł głowę.

— Tumry! co ci to? spytała Aza: czyś chory?

— Chory! odparł Cygan.

— Jaga nic mi nie mówiła o twojej chorobie.

— Nie było co mówić o niej, rzekł Cygan krótko.

— A możebyśmy co poradzili?

— O! nie! uśmiechają się gorzko, odpowiedział

Tumry.

— Nie? dla czego?

— Dla tego, że to choroba i nie choroba. Bo i choroba, i nędza, i głód, i rozpacz, i więcej a więcej jeszcze, niż słowo wypowiedzieć może.

Cyganka rozpoczynając z Tumrym rozmowę, szła powoli ku obozowisku, a on nie wiedząc co począć, machinalnie z głową spuszczoną, odpowiadał jej, i włókł się za nią. Szli tak jedno przy drugim milcząc, to krótkimi słowami przerywając milczenie. I Cygan ani się obejrzał, jak chatę daleko za sobą zostawił.

— A żona twoja? a dziecko? zapytała Aza.

— Jak ja! rzekł Tumry.

— Cóż z sobą myślicie?

— Co mamy myśleć? Myślimy umrzeć!

— Głupstwo! przerwała Cyganka żywo: umrzeć na rozkaz nie potraficie, a rady szukać potrzeba. *Mutes-oro* (śmierć) nie przychodzi na zawołanie!

— Nie ma dla nas rady!

— A gdybym ja ci jaką dała?

I spojrzała mu w oczy z zapytaniem.

— Ty! uśmiechając się niedowierzliwie, odezwał się Cygan: o! nie oddawaj czego i sama potrzebujesz, Zda się tobie!

— Mnie! rada? na co?

— Boś i ty także jak ja z *gadziami* się związała, i jak ja wyjdiesz na tém.

— Ja? ja? zaśmiała się Cyganka: cóż ty myślisz Tumry?

— Myślę co widzę, i co myślą wszyscy... żeś tak-że przepadła.

Aza nie przestawała śmiać się, poruszając ramionami.

— O! wam się zdaje—odezwała się po chwili niemój cierpliwości—że Aza tak miękka, tak dobrowolna, tak posłuszna jak wy wszyscy, którym *Mroden-oro* nie dał woli ani ducha... że dość na nią skinąć, dość jej cacko lub *lowy* (pieniądze) pokazać, by poszła za kimkolwiek! Cóż z tego, że chodzę do dworu? Dwór mię dla tego nie spęta: ja jemu, nie on mnie rozkazuje.

— A pan Adam? spytał wpatrując się w nią Tumry: przecież to twój kochanek!

— Tyle co ty! odparła dziewczyna.

— Co ja? ozywiając się rzekł Cygan: co ja? A jaż kiedy byłem twoim kochankiem?

— I on nie był nigdy!

— Dla czegoż przesiadujesz u niego? na co go balamucisz?

— Siedzę, bo mi tam dobrze, wygodnie, ciepło, spokojnie, niegłodno! śmiejąc się poczęła Aza. I dzień, i godzinę jedną ukraść Cyganowi od nędzy i biedy swojej—tyle zysku! i to dobre! Możesz i ty myśleć, żeby Cyganka jak ja, *raktora* (dziewczyna) pokochała takie stworzenie jak wasz pan, wymęczone, ledwie żywe, więcej doktora i lekarstwa niż kochanki potrzebujące! Oj Tumry! nie znasz mnie jeszcze!

— Kiedyś cię znałem, po cichu odezwał się Cygan wzdychając: ale któż za was zaręczy i powie co jutro będzie?

— Jabym ci przecię powiedziała co będzie jutro,

co zawsze być musi! przerwała Aza zastanawiając się.

A byli już daleko, w pośród pola, za wioską, sami jedni. I Tumry tu dopiero się postrzegł, gdy dla niej zastanowić się musiał, że nie wiedząc co czyni, odszedł za dziewczęciem od chaty, opuszczając samą jedną Motrunę! Obejrzał się zdziwiony.

— Cóż ma być jutro? rzekł z przymuszonym uśmiechem. To co dzisiaj: głód i nędza! Wy pójdziecie wędrować po szerokim *pfuſie* (ziemi), a ja przykuty umrzeć tu muszę.

— Co za mus? spytała dziewczyna: możesz pójść z nami.

— Ja z wami? powtórzył Tumry: a żona?

— Z żoną i dzieckiem! kończyła Cyganka. Alboż mało nas tak chodzi? Czegóż tu dłużej czekać będziesz? żeby cię osądzili i powiesili? Z nas jeszcze nikt nie umarł głodową śmiercią, i ty znajdziesz chleba kawałek.

— Ale ona, ona nie zechce!

— Cóż to u was *egaszi* rządzi, nie *dados*? szydząc zawołała Aza. Będzieszże słuchał głupiej żony? Poszła za Cygana, niech idzie za Cyganem! — przecięż i jój tu nie chcą.

— Niel po krótkim namyśle odparł Tumry: ja tego nie zrobię!

I widać było, że skrytego coś utaił w sobie, bo mu się usta zacięły nagle, gdy już już słowo z nich chciało ulecieć.

— Dla czego? napierając spytała Cyganka.

— Dla czego? chmurne wejrzenie coraz śmielój ku niój podnosząc, odezwał się Tumry, który ją za rękę

pochwyił: dla tego może, że i tybyś szła z nami...
słyszysz Aza?

— Ja? to i ja ci już wrogiem jestem? z wymówką zawołała dziewczyna.

— Nie. Ale czas ci tu powiedzieć: tybyś mnie jak *raja* (pana) tego spaliła na węgiel oczyma. Ty nie masz serca!

— O! a na cóż ci serce moje?

— Pytasz się, Azo?

— Pytam się, boś pokochał bladą *egazsi*.

Tumry spuścił oczy.

— Tyś wówczas szalała z *gadziem* także.

— Tak jak dzisiaj! odparła Cyganka. Ale cóż tobie do mnie i mojego serca? Nie chciałeś mnie wprzód, nie czas już teraz...

— Nie czas! nie czas! puszczając jój rękę gwałtownie rzekł Cygan. O! ja to wiem. No! ale ja dziś dopiero dla ciebie szaleję!

— Och! och! doprawdy Tumry? spytała, nieco jednak pomieszana dziewczyna.

— Podła! szydzisz ze mnie jeszcze!

— Nie! mam litość i pytam się tylko.

Cygan spojrział na nią z pod brwi nawislęj i umikł.

Szli tak w milczeniu długą chwilę, ale tymczasem zmieniły się twarze i myśli obojga.

Aza z szyderstwa przeszła w niezwykle jakieś zadumanie. Znać było, że siła ją odstępowała, że uczucie, któremu dotąd panowała, brało górę nad postanowieniem: oko się zasłoniło rzęsami i usta zadrżały...

Tumry z obojętności i odrętwienia przeszedł w rozmarzenie, niemal w szal znowu, z jakim biegł niegdyś nocą do obozowiska... Nie ten to już był Cygan, który

wyszedł z chaty nie swój, zmęczony i zesłabły: pierś mu buchała, a oko gorzeć poczynało. Kiedy dwa ich wzroki znowu się po chwili spotkały niespodzianie z sobą, Aza aż się złąkla, tak uczuła się słabą, tak go postrzegła silnym i cofnęła się aż krokiem.

— Idź do chaty, odezwała się głosem drżącym: idź Tumry do chaty... zobaczymy się jeszcze.

— Gdzie? kiedy?

— Nie wiem... nie wiem! śpiesznie pragnąc a nie mogąc odejść, poczęła Aza: może dziś, może jutro...

— A ty znów polecisz do dworu?

— Nie! do obozu idę...

— Ale będziesz we dworze? zagadł Tumry, z pytania robiąc wymówkę. Wstydź się! dodał, nie pozwalając jęj odpowiedzieć: na co ci ten trup na wpół zgniły? Wiesz, że nie stworzony dla ciebie, a ciągniesz go i zabijasz...

Dziewczyna ruszyła ramionami, oko jęj rozjaśniło się, poczynając pałać znowu, usta tchnęły dumą i pogardą.

— A na cożeśmy stworzeni? spytała jakby natchniona: na samą nędzę i tułactwo, na ból i cierpienie? Nie! nie! wiedział wielki *Mroden-oro*, na co nas na świat przysłał! On nas przeznaczył na zgubę, na klęskę, na niszczycieli *gadziów*; i kazał im szkodzić, kazał nam ich zabijać! Każdy z nas robi co umie, spełniając wielki rozkaz *Mroden-oro*, o którym matki mówią nam od dzieciństwa, przypominając co nas czeka. Stare wróżą i straszą wróżbami, chwytają im dzieci, zabijają młode matki, a my dziewczęta musimy ich męczyć inaczej! Ja go zamęcę! zamorzę! ja go wzrokiem zatruję!

Jakiś instynkt zniszczenia i zajadłość tak zawzięta...

mówiły przez usta dziewczyny, że Tumry aż się jęj przestraszył prawie.

— Mielizby oni osiąść wszystko, a my nic nie mieć prócz nędzy naszój? Za co świat podzielili między siebie, i bogactwo, i ziemię, i wodę, i powietrze? Nam też dostać się coś musiało, i myśmy robakiem, co się w ten owoc wpija, co ziarno z niego wyjadał. Niech zginie! niech zginie! dorzuciła z zapalem.

— Niech ginie! poszepnął Tumry zamyślony, a jednak, wiesz Aza? dodał wahając się,—mnieby go zał było.

— O boś ty już nie syn *Errumanselów*, przerwała dziewczyna popędliwie: tyś *gadzio* jak oni krwią i sercem; tyś także nasz nieprzyjaciel, kiedy nad nimi masz litość!

— Szalejesz! rzekł Tumry.

Aza uśmiechnęła się, a z pod warg jęj różowych białe zęby ścięte, jakby kąsać chciała, błysły dwoma rzędami pereł.

— No! dość tego! dość tego! Do chaty niewolniku, do budy przykuty *szukela* (psie), do żony *gadziu...* a ja do swoich.

Tumry chciał się jęj jeszcze spytać, kiedy ją zobaczy? gdzie się z nią spotka znowu? ale dziewczę odzyskawszy przytomność i władzę nad sobą, poniosło się jak wiatr i z oczu mu znikło.

Wieczorem Aza znów przeleciała pod chatą Tumrego, i pobiegła do dworu. Co ją tam ciągnęło? czy chciwość, czy ciekawość, czy w istocie ten instynkt

zemsty i prześladowania, który chwilami tak silnie się w jój sercu odzywał? Któż powie!..

Pan Adam zawsze ją witał jednakowo słaby, rozdrażniony jednakowo pragnieniem; ale od dnia pierwszego nic na niéj wymódz nie umiejąc prócz palącego pocałunku, poczynał już, zwłaszcza gdy jój nie widział, gdy sam zostawiony był sobie, zżymać się i niecierpliwic.

— Co ona myśli? mówił, gdy go odbiegła i porzuciła sam na sam: zwodzić mnie tak i dręczyć do końca i znów potém odbiegać! Ludzie już nawet śmieją się ze mnie, ja sam nie poznaję siebie. Potrzeba to raz skończyć, i albo zatrzymać ją tutaj, lub precz zwodnicę, osmagawszy, wypędzić. Dosyć to już tego, dosyć.

I dodając sobie postanowienia, którego nie miał pan Adam, wciąż powtarzał, jakby się chciał przejąć słowami swemi: „Dosyć już tego! dosyć tego!“

Ale gdy śliczna dziewczyna, trochę smutniejsza niż zwykle, wbiegła do jego pokoju i zabłysła w téj czarnej pustce twarzą pełną życia i ognia, oczyma palącemi jak zwierzęcia dzikiego ślepie, pan Adam zapomniawszy na najuroczystsze dane sobie słowo, cały się rozplynał w rozpamiętywaniu jej wdzięków.

Aza nie rzekłszy słowa do niego, rzuciła się na miękkie posłanie, podkurczyła nóżki pod siebie, jakby siedziała na ziemi, głowę wsparła na poduszkach, i wlepiwszy oczy w sufit, pozostała tak długi czas zamysłona.

To dozwoliło panu Adamowi nieco znów nabrać siły i przypomnieć sobie pierwsze postanowienie.

— Ażo, rzekł surowiej podchodząc ku niéj: no! cóż będzie z nami? Raz to potrzeba skończyć..

Ale Cyganka głowy nawet nie odwróciwszy, wciąż zapatrzona w górę, pewna swój siły, odpowiedziała obojętnie:

— No, mówże, rada posłyszę, jak się to skończy powinno?

— Jak chcesz, byleby się skończyło, odparł, udając stanowczą wolę pan Adam. Mam już dosyć twoich zwodnictw i twojego szyderstwa. Cygani niech dalej idą, a ty zostań się ze mną, lub ty i Cygani precz!

Ostatnie słowa wymówił tak cicho, tak drżące i niewyraźnie, jakby się lękał sam ich usłyszeć, i urwał niedokonczywszy.

— Cha! cha! cha! rozśmiała się szalona dziewczyna, wciąż w sufit patrząc do góry: a gdy Cygani pójdą i ja z Cyganami, co ty tu lepszego poczniesz? O! powiedz mi proszę! Będiesz ziewał, nudził się, przebiegał w brudnych wieśniaczkach, kupował sobie blade mieszcanki; może w ostatku ożenisz się raz drugi, i drugi raz cię zwiodą...

Wspomnienie to zawsze przykre dla pana Adama i niecierpliwiące nadewszystko, było jedynym może sposobem rozdrażnienia go. Porwał się z krzesła, strasznie błyskając oczyma.

— Cicho zmijol krzyknął, wpadając w uniesienie gwałtowne.

— Al! al! patrzajciel zebrał się na gniew! zimno poczęła Cyganka.

Ta obojętna odpowiedź jeszcze bardziej podlegnęła bezsilnego.

— Jeszcze słowo, rzekł, a...

— A co? zapytała Aza.

Pan Adam zatrząsł się od gniewu i chwycił się aż za włosy; nie mógł już nic wymówić, taka nim

miotłała zajądłość chorobliwa. Potajemnym rzutem oka zmierzyła dziewczyna jego passyę i niebezpieczeństwo, na jakie się narażała, jeśli jój nie pohamuje, bo wiedziała już jakim był pan Adam, gdy nagle z apatyi codziennój wpadał w szal niecierpliwości. Powstała więc powoli z uśmiechem, i nie już nie mówiąc, wlepiła weń dwoje oczu czarnych, w które z siebie sączyła jady i uroki.

Nie mógł się im oprzeć pan Adam, bo go ścigały wszędzie i pociągały jakąś niepojętą siłą; chciał wytrwać w gniewie, perzył się i nasrażał, a czuł jak się to rozpryskiwało i uchodziło; nareszcie zwyciężony, rzucił się na krzesło w posepném milczeniu. Cyganka nie mogła pozwolić, by ją tak rychło wygnano ze Stawiska.

— O nie! powiedziała sobie w duchu: nie czas mi odejść jeszcze. Wprzódę Tumrego opętać i pociągnąć za sobą muszę. Pójdę kiedy zechcę, nie wypędzona sromotnie, ale przywoływana ze łzami. Czekaj *raju!* zapłacisz mi to wę troje, zapłacisz za dzisiaj!

Twarz jój tymczasem rozjaśniała się smętnie.

— A! niewdzięczny! zawołała: za to, żem do niego powróciła, on mnie jeszcze łaje i męczy!

I uśmiech tak łagodny wykwitł na jój usteczkach, stała się tak zadumaną, powolną, tak jakoś nieszczęśliwą i strapioną, że pan Adam rozstrojony zupełnie, przypadł do niej na klęczkach.

— A! daruj mi, przebacz, nie gniewaj się i nie płacz! Ja tyle wycierpiałem od ciebie, głowa mi się zawraca... Powiedz przecie raz: co myślisz? kochasz mię, czy nie? będziesz, czy nie chcesz być moją?

Aza potrzęsała głową.

— Czyją ja będę, to na całe życie; a kiedy się kto ma zaprzedać sam w niewolę, musi dobrze pomyśleć i serca zapytać. Nie! nie! ja ci tak prędko przyrzec nie mogę. Al! widzisz, żem tu wróciła!

— Więc kochasz mnie? spytał przechodząc nagle do rozczulenia pan Adam, i biorąc rękę, którą mu opuściła Cyganka.

— Alboż ja wiem—odpowiedziała—kogo kocham, i czy kocham, i czy kiedy kochać będę? Moje serce śpi jeszcze, a kto je rozbudzi, ten posiędzie. Próbujcie!

— Ale mojej rzekł pan Adam.

— Twoje niech cierpi i niech czeka!

— To dziw, doprawdy—zrywając się i poczynając przechadzać, mówił sam do siebie pan Adam—zkaż się to proste dziewczę mogło tego wszystkiego nauczyć, i słów tych, i myśli, i tej sztuki zalotniczej, którą lepiej od naszych pań umie? Wyraźnie robi sobie ze mnie zabawkę!

Zapobiegając przewidzianemu buntowi, Aza, której się przechadzka pana Adama po pokoju nie podobala, pragnąc go silniej ku sobie przyciągnąć i wybić mu z głowy niewczesne zamiary, z którymi się wymówił z razu, skinęła nań i chwyciła. Wiedziała czém go ukołysać, czém ująć i przynęcić: uczyniła się piękną, ponętną, zamyśloną, i posadziła niewolnika u boku swego, dając mu obie ręce, a głowę nie dbale skłaniając na jego ramię.

I czarodziejka zawładła nim znowu z łatwością; a pan Adam zapomniał, że przed chwilą srożył się na nią i wypędzał.

Tak mu było rozkosznie z tą główką, zbliżoną do

ust jego i spoczywającą przy piersi, w atmosferze jój oddechu i wejrzenia.... Zamilkli oboje.

A w téj chwili, dwoje strasznych oczu czarnych przez gałęzie bzu i szyby okna wkradło się do przyciemnionego pokoju, i poczęły w nim zapalczywie szukać, na kimby spoczęły.

Dziewczyna jakby ich ukłócie poczuła nad sobą, wstrzęsła się i poruszyła, nie wiedząc sama co ją zbudziło wśród gnusnego jakiegoś marzenia. Zerwała się, ale już było za późno!

Tumry, który śledząc jój kroki przybiegł za nią do dworu, szpiegując ją i Adama, zobaczył ich oboje w niemym spoczywających uścisku, i ściskając pięście, odskoczył od okna zajadły.

— A! zawołał, zabiję ich oboje! zabiję, podpale dwór, puszcę w popiół wioskę całą... niech giną! Ta nędznica zwodzi mnie, zwodzi jego, radaby męczyć świat wszystek! Za co ten człowiek ma ją sobie przywłaszczać? za co on tak szczęśliwy, a ja tak nędzny? za co ci gadziowie mieć mają nawet z naszego dobra najlepszy kęsek? Przekłęci!

Mówił a patrzył, choć obraz, który miał przed oczyma palił go zemstą i boleścią, i nasyczał się nim, oderwać nie mogąc od widoku burzącego mu piersi. Aza tymczasem podniosłszy głowę, spuściła ją znowu na ramię obłąkanego Adama.

Dumali tak we dwoje, i z ust Cyganki, najprzód ledwie dosłyszana, cicha, wyrwała się piosenka lat jój młodych, dobrze znajoma Tumremu, budząca w nim wspomnień tysiące. Powoli wysnuta z ust i piersi, ożywiać się poczęła, stawała się coraz głośniejszą, coraz weselszą, nową męczarnią karmiąc Cygana. Bolał a oderwać się nie mógł; niewyraźne słowa, któ-

re sam tylko rozumiał, pełne ognia i namiętności rozpasanej, chwycił uchem, połykał oddechem, bojąc się stracić jednego.

Czegoż bo tam nie było w tej dziko- tęsknej a miłosnej do szału pieśni cygańskiej!!

Tumry przypomniał sobie wszystkie miejsca, gdzie kiedy w życiu ją słyszał; całą swoją dolę od kolebki, i cierpienia młodości, i losy swoje i Azy, która pod okiem jego rosła z dziecięcia w dziewczkę, dziewczę, w czarodziejkę.

I zapomniawszy gniewu na jedną chwilę przelotną, zadumał się: z kąd mu przyszła ta niespodziana miłość, której wprzód nie czuł w sobie ani zarodka? z czego się urodziły tęsknice do żywota niedawno w jego oczach przeklętego i nienawistnego? i jak się mógł zmienić tak bardzo, by tak strasznie nieszczęśliwym zostać?...

— Al to są chyba czary, rzekł wzdychając: to urok rzucony na nieszczęście i zgubę moją, to zemsta Romów. Wleli w jej oczy jad, żeby z nich spłynął w serce moje! Chcą zatracić mnie, i żonę, i dziecię moje, nasyłając na nas obłądy, tęsknicę i głupie pragnienie! Aza powoli zabije mnie jak wąż wzrokiem; nie żyłaby prawdziwa krew cygańska, gdyby czegokolwiek od kogo nie kradła!

Powrocę do chaty! zawołał, odwracając oczy.

Ale wtém nowa zwrotka pieśni przedłużającej się jeszcze, doszła do jego ucha, i zastanowił się Tumry.

Jak we śnie ciągnęły przed nim mary poczepiane do słów piosenki, i coraz głębiej a głębiej cofał się za niemi do dni dzieciństwa, płonąca głowę w dygoczących ściskając dłoniach...

— O! przeklęta! przeklęta! wołał: ona czuć musi

i wiedzieć, że ja tu jestem, że jój słucham, i pieśnią i przykuwa mnie do siebie, trzyma, a serce wydziera... Pójdę!...

I począł uciekać, ale drżały pod nim nogi, i ledwie przemagając urok, który go trzymał u okna, powłókł się do swojej chaty.

Tu pusto było i smutno jak zawsze; ale stara Jaga wróciła była do obozu, i Motruna ściągnęła się z łóżka z dzieckiem u piersi, rozpoczynając drugą część życia, którego pierwszej chciała zapomnieć. Stała się już matką, tylko i żyła dla téj dziewczynki, która w snach powicia nie wiedziała jeszcze, na jaką przyszła w świat nędzę.

Zaledwie wstawszy na nogi, potrzeba było Motrunie znowu począć myśleć o chacie, o dziecku, o mężu, który codzień beczynniejszy, bezwładniejszy, mniej jój dopomagał, całe dni trawiąc przyrosły do ławy i jakby na pół senny.

Jeszcze chora, poniosła najprzód dziecinę do chrztu, a nie było jój komu za kumów posłużyć, i dwoje dziadów musiał ksiądz wezwać prawie siłą do tego obrządku, bo nikt z dobrej woli kumać się nie chciał z Cyganichą.

Z niemowlęciem u piersi, biedna Motruna powłokła się potem pod drzwi ojcowskiej stodoły, spodziewając się tam znaleźć może młodszego brata. Szczęściem dla niej, wychodził właśnie z kulem słomy na plecach, gdy mu zastąpiła drogę.

— O! Filipie braciszku, zawołała chwytając go za switę—zaczekaj chwilę, niech choć twój głos usłyszę.

Filip się uląkł siostry, ale zatrzymał.

— Czego ty chcesz? spytał.

Motruna zaczęła od płaczu, wśród którego ledwie przemówić mogła.

— Patrz, rzekła nakoniec miejcie litość, kiedy nie nademną, to nad moją dzieciną. Nie mamy już co jeść w chacie. Tumry opuścił ręce, jakby go na śmierć prowadzili, do niczego się nie bierze. Jeszcze na biedę Cygani przyszli i głowę mu zawracają; pełna ich cha-
ta! Ja się tak boję, a on ani zważa!

— A cóż ja ci poradzę? spytał Filip.

— Dajcie co choć dla dziecka! Ja głodna i ono się nie pożywi odemnie. Gdyby choć mleka kropelkę, gdyby choć codzień kawałek chleba!

Filipowi łzy zakręciły się pod powieką, jakoś mu serce zastukało w piersi, i zawołał nie namyślając się długo:

— No! chodź za mną!

Skwapliwie rzuciła się za nim Motruna, z trochę słabiej nadziei. Filip dźwigając słomę, wprost zmierzał ku chacie, a posłyszawszy siekierę Maksyma, ładującego wóz pod klecią, zrzucił kul z ramion, i skinął na siostrę, by szła z nim razem.

Zdawało mu się, że dość było biedną Motrunę pokazać bratu, żeby w nim litość obudzić. W istocie nie było to już owe śliczne, hoże, rumiane dziewczę, o które wszyscy parobcy we wsi rozbijać się myśleli; zwiedła, blada, schorowana i zamęczona, starą się stała przedwcześnie, a ślady wdzięku i młodości starły cierpienia do szczętu, wyniosło z sobą znużenie.

Gdy Maksym podniósł głowę na głos Filipa i zobaczył siostrę, nie poznał jej z razu, tak straszliwie ujrzał ją inną. Ona przybliżyła się do niego, ukazując dziecinę zapłakaną, i słowa powiedzieć nie mogąc, do nóg mu upadła. Maksym odstąpił kilka kroków.

— Po co ty tu? zapytał, dodając sobie gniewu, którego nie miał, bo go złamał widok téj nędzy.

— Żebyś zobaczył, coście z nas zrobili, odparła Motruna.

— My? rzekł jękając się Maksym: nie my, ale wy sami! A po cóż się było sprzeciwiać woli ojca? Pan Bóg cię skarał Motruno!

— A czyż już kary nie dosyć?

Maksym cały był pomieszany; widać było, że sam nie wiedział jak sobie poradzić, i szukał sposobu, by się z tego przykrego położenia wywikłać.

— Ratujcie mnie choć teraz—odezwała się Motruna—jeśli nie czém inném, to chleba kawałkiem, bo i tego nie mam..

— Chleba już nie nadawać, odpowiedział Maksym; a i u nas go nie ma nadto: rok był nieomłotny, a u nas semia duża; ledwie do nowego wystarczy. Na co się wam upierać i tu koniecznie siedzieć, kiedy gdzieś indziej zapracować możecie?

— A chata? a sadyba? spytała siostra; a tyle naszego harowania koło niej? Zresztą, mój bracie, jak mnie tam pójść w świat za nim?

Nie chciała powiedzieć biedna, że go się codziennie więcej lękała: tak się jęj zmienił, tak zdziczał, tak zcyganiał.

— Filipie, rzekł Maksym, dajcie jęj miarkę zyta; tylko żeby żonka nie widziała, bo i u nas niewiele, a gąb dosyć... Idźże już Motruno!

— I tak mnie odprawiasz, bracie?

— Nol nol dorzucił Maksym: bylebyś się Cygana pozbyła, choćby poszedł do licha, byłaby może jaka rada... ale z Cyganem my nigdy nie będziemy mieli druzby, to darmo! Ojciec przykazał, gromada postanowiła, pan prosił i naglił, a nie ustąpiliśmy, to i nie ustąpimy!

Jakkolwiek Maksym nic nie obiecywał, sama zmiana mowy jego zapowiadała, że się wahał i chciałby coś zrobić dla siostry; nie nalegając więc, odeszła Motruna spokojniejsza, myśląc przyjąć po żyto później, i zostawując je umyślnie, żeby po nie do chaty i braci drugi raz zajrzeć miała prawo.

Na drodze spotkała się z Jankiem, który kulawe go i uparte go wołu pędził powoli ku zagrodzie.

— A z kądże to Motruno? zapytał przyjaciel—i dokąd to kochanie idziecie?

— O! jak my ciebie dawno, poczciwy Janku, nie widzieli! weselę odezwała się kobieta.

— Nie mam ja tam po co chodzić do was, bez ogródki odparł chłopak. Myślałem z początku, że to co poczciwego ten twój Cygan, a to taki szelma jak i drudzy... Żebym był tobą, porzuciłbym do licha niewiarę, niechby sobie wędrował ze swoimi, albobym poszedł i nie wrócił, bo nie ma po co...

Motruna cała drżąca stanęła.

— Cóż on zrobił? spytała; ja nic nie wiem?

— Dobra z ciebie kobieta, żeś ślepa; chciałbym i ja wziąć z kąd taką żonę! A toć ten łajdak za Cygankami lata jak parobek, domu nie pilnuje, a co mógłby do Rudni pójść na zarobek, to się włóczy po polach, albo w chacie drzemie. Już ja tam do was i nie zajrzę, bom zły. Bywaj mi zdrowa Motruno!

To mówiąc podniósł gałąź na wołu, który się paść zaczął, popędził go i poszedł dalej.

Gdy po wierzchu patrzymy na życie, jak potężne w nim różnicel jak wielkie stopniowanie losów w różnych klasach społeczności! a w miarę ich wykształcenia

i obyczajów, jak pozornie odmienne uczucia, zajęcia, namiętności! Ale wewnątrz odarłszy z szat misternie narzuconych czynności i sprężyny ruchów, jak dziwnie na jedno bolejem wszyscy! płaczem, radujem się i umieramy jednakowo! Też same tu i tam choroby serca też boleści duszy i ułomności natury, te same nadzieje i zawody... W ich objawieniu się na zewnątrz cała różność tylko; w głębi, człowiek człowiekiem wszędzie, i dla tego na najniższym szczeblu społeczeństwa prawdziwszy tylko, dobitniejszy, ale ten sam znajdziemy obraz to w górze. Pozmieniano nazwiska, pochrzczono przystojniej czynności, poprzypierano namiętności wstydlive; ale je poznasz po skutkach— wszędzie toż samo i toż samo.

W chacie wieśniaczęj tylko mniej komedyi, na którą nie ma czasu, lub komedia odegrana nieuczenie instynktownie, jak owe włoskie improwizacye sceniczne; a w pałacach sceny dłuższe, rozwiązania mniej burzliwe, choć czynność ta sama.

Rzadziej wprawdzie pod strzechą słomianą rodzą się gwałtowniejsze uczucia, ale raz powstawszy, śmieliej i rączej idą do celu, niż tam, gdzie wszystko przywykło się ukrywać i maskować.

W chacie Tumrego nie było pokoju, nie było marzonego nigdy szczęścia. Już przed przybyciem Cyganów wyгнаły je wspomnienia, zawsze następujące po nagłej a zupełnej zmianie życia, w którą człek rzuca się nieuważnie, a odpokutować musi żalem i tęsknotą. Serce Motruny od narodzenia dziecięcia do niego należało wyłącznie; a Tumry zobojetniały, ostygły, ku sobie już go nawrócić nie mógł. Motruna domyślała się przywiązania jego do Azy, o którym i stara Jaga jej plotła nieuważnie, ale tyle była hardą iż

ze słowem wymówki odezwać się nie chciała. Bolesć swoją zamknęła w sobie, i całą poświęciła się dziecku, wyrzekłszy się innéj przyszłości, przewidując za wczasu, że ten, dla którego tyle wycierpiała, porzucić ją musi i stać się niewiernym.

To poddanie się losowi Motruna winna była instynktowemu, wyłącznemu przywiązaniu do dziecięcia, w którym potrafiła zamknąć życie całe.

Tumry też od téj nocy, w której powstał z łoża nieprzytomny, ścigając obóz cygański, tak był obojętny, tak zimny, tak dziwnie zmieniony, że próżném się zdawało chcieć go dawnemu i czynnemu życiu przywrócić. Jak gdyby wysiłek pracy go zmógł, jakby upadł na sił ostatku, błąkał się bezczynny, zdziczały, nie widząc nic w koło siebie, nie słysząc ani śpiewu matki nad kołyską, ani płaczu dziecięcia. Nigdy z troską ojca nie pochyliło się czoło jego nad niemowlęciem, na które roztargnioném patrzył okiem; krzyk jego budził go czasem, ale do serca nie dochodził.

Motruna więc, choć niby nieopuszczona przez niego, w istocie sama była na świecie; a słowo litości starszego brata, wątlą, jedyną dla niéj zostało podporą.

Cygan to chmurny siedział na ławie, to latał całemi dniami szpiegując Azę, klnąc ją, ale szukając czarownicy.

Ostatniego dnia, gdy przytulony do szyby zobaczył ją z głową zawieszoną na ramię Adama, gdy pieśń stara cygańska rozkołysała go do reszty, nie miał już siły powrócić nawet do domu, choć go tam wołało sumienie. Poszedł do chaty, odetchnął jéj ciężkiém powietrzem, i wybiegł w pole jak pies oszalały, krę-

cać się bez celu, i nogi go same powiodły pod obóz Cyganów.

Gromadka *Romów*, pod nowém panowaniem Puzy, wystawiała jeszcze większego nieładu obraz, niż przedtém; a Aprasz, dawny jój dowódca, z uśmiechem szyderstwa spoglądał na to, co się tu działo. Ale i on także się zmienił do niepoznania w krótkim przeciągu czasu. Zdawał się zgadzać ze swoim losem i spodziewać się czegoś od przyszłości razem; posługiwał milcząc tym, którzy go wczoraj słuchali ze drżeniem i niekiedy tylko błysk oka, ruch ust zdradzał niewygasłe uczucie dumy lub zemsty pragnienie. Pod namiotem nie było ruchu jak dawniej; miech leżał wywrócony, kowadło było na wozie, narzędzia kowalskie na kupę zwalone; nikt nic nie robił prócz Aprasza i kilku starych bab, krzątających się dość leniwie i kłótliwie około kocielka. Wszystkiego dostarczano ze dworu, a ufne w opiekę Azy stare Cyganki, dokazywały po wiosce, wydzierając co mogły, i panosząc się łatwowiernością ludu, z którego się śmiały.

Puza jako nowy pan, nadużywał swój władzy i swobody świeżo zdobytej, całe dni nekając Aprasza, lub z fajką w zębach spędzając je u ogniska na drzemaniu.

Gnusny spoczynek podobał mu się i całej bandzie, a dzieci nawet korzystały z niego, bezkarnie plondrując po okolicy. Aza, która rzadko i na krótko zaglądała do obozu, nie postrzegła co się w nim działo; ale codzien widoczniejszą było rzeczą, że wkrótce zabraknie Aprasza, i Puza nie potrafi rządów w nieprzywykłej trzymać dłoni.

Tumry przywłókszy się pod obozowisko, zatrzymał się przy *werdenie* (wozie), pod którym na gołej

ziemi, wsparty na żyłastej ręce, leżał samotnie opodal od drugich stary Aprasz. Spojrzał na niego, spotkały się ich oczy, ale obaj byli zarówno nieszczęśliwi, i dawna ich nieprzyjaźń zagasła w sercach, przytłoczona nowymi silniejszymi wzruszeniami.

W wejrzeniu ich nie było gniewu i nienawiści. Stary Cygan zobaczył na twarzy Tumrego tak wyraźne ślady zgnębienia i rozpacz, dochodzącej prawie do obłąkania, że się uczuł dość za dawne przewinienia pomszczonym; a Tumry widząc upokorzonego *dadosa*, w najgorszym miejscu na gołej leżącego ziemi, nie miał już serca więcej mu się naigrawać.

— Ha! rzekł z cicha uśmiechając się Aprasz: za-błąkałeś się tu znowu, trudno ci już usiedzieć w chacie.

— Nie lepiej tobie w obozie! odparł Tumry.

— A kto wie!... rzekł *dados*—tybys się może jeszcze na moją biedę pomieniał.

— A ty na moją? spytał młodszy Cygan.

— O! nie! odrzekł dumnie trzęsąc głową dowódca: jam jeszcze dziś swobodniejszy od ciebie! Chciała ta *byńk'a ciał*, chciała gromada, żeby Puza dowodził: niech popróbuja, zobaczymy co dalej będzie. Mężą mnie jak mogą, alem ja do pracy przywykł; łają, ale ich nie słucham i śmieję się. Cóż mi tak złego zrobili?

— Jak to! nie przeklinasz swojej doli? spytał Tumry.

— Na co tu kląć, gdzie potrzeba cierpieć! *Bukelison* mi nie dokucza (głód), *piri* (garnek) co rano i wieczór przy ogniu, a pefen; nie jednoż mi wodę nosić i drwa rąbać lub kuć młotem!

— Ale ich słuchać!

— Prawda, począł stary Cygan: temu, co rozkazywał całe życie, słuchać z razu nie lekko; ale jakoś i tego nauczyć się można.

Tumry westchnął.

— A stracić nadzieję, kiedy się ją miało, jak ty, coś Azę w rękę trzymał?

— *Egaszi* jest jak *gweka* (kobieta jest jak wąż), odparł Aprasz powoli; któż ją kiedy miał w rękę? Trzymasz: ani się obejrzysz jak ci się wysłiznie i ukąsi.

— Chybaś jęj nie kochał, stary?

— A tyś ją podobno pokochał za późno! szydząc odparł zmęczony dowódca. Dla mnie to była nie pierwsza miłość. Tyś się na swojej nie poznał; ja tę chorobę nieraz już przeboleiałem, ty dopiero na nią chorować zacząłeś. O! o! nie zazdroszczę ci, bo jeśliś ją pokochał, to ci zaleje za skórę.

— To szatan kobieta! (*Bynk egaszi*), zamyślony odparł Tumry; któż wie co ona myśli? kto wie kogo kocha? kto powie co zrobi jutro?

— Jak kobieta, rzekł Aprasz zimno; a któraż z nich inna? Czy *Ranni*, czy *gadzia* (Cyganka, czy obca), wszystkie one jednakowe, jednej matki córki...

— Nie! takięj jeszcze na świecie nie było!

Aprasz przewrócił się na drugi bok i rozśmiał się głośno.

— Łata do obozu, łata do dworu, wabi kogo spotka, znęci każdego, a z kamienia sama.

— Zachciałeś! młodość w nięj szaleje. Jabym jęj to wszystko darował, gdyby tylko chciała być moją!

W tych słowach przemawiało samolubstwo starości, która się spodlić gotowa, by jeszcze użyć choć

trochę. Tumry porwał się oburzony, nie pojmując tego uczucia.

— Ja! jabym ją za to zabił, gdyby moją była!

— Toś ty widzę na prawdę dla niej oszalał, Tumry! Dobrze ci tak! rzekł Aprasz.

Cygan umilkł.

— Z kolei — dołożył szydząc Aprasz — może kiedy będzie i twoją, gdy jój panicze nie zechcą, a przyjdzie do głowy przytulić się do Cygana i zagrać się przy czarnój jego piersi...

— Niel nigdy! gwałtownie przerwał młody Cygan: bo gdyby potém uśmiechnęła się tylko innemu, tobym ją jak psa zabił!

— Gdybyś jak ja miał z górą pięć lat dziesiątków — powoli odpowiedział Aprasz, przezuwając liść tytuniu — inaczejbyś patrzył na te rzeczy. Nie działaś Azy po wyjściu ze Stawiska i twojój ucieczce, więc nie wiesz jeszcze, jaki to szatan dziewczyna! Nie policzyć ilu chłopcom sprzedawała pocałunki i uśmiechy po drodze, ilu ich wlokła za sobą i jak im przewracała głowy. Nieraz i mnie staremu zazdrość poczynała gryźć serce spróchniałe; alem sobie mówił zaraz: byleby moją była, darowałbym jój to wszystko! Bo i w istocie ten szatan zwodzi tylko, żeby męczyć, ale nie da się wziąć nikomu. Zdaje się, że szalenica jak jeść, pić i oddychać, tak zwodzić, męczyć i drażnić potrzebuje. Łapałem ją nieraz jak poczwarnego Puzę i prostych chłopów czarowała oczyma, żeby tylko nie próżnować, a potém, potém na całe gardło się z nich śmiała!

Tumry potarł kroplami potu zroszone czoło.

— Więc jój na chwilę wierzyć nie można?

— Wierz jój, gdy zła; ale gdy ci oczyma powiada

o sercu swoim, ustami zaręcza, że kocha — pluń jój w twarz jak kłamcy, bo kłamiel!

Cygan wstał z ziemi i westchnął, a Aprasz z pod wozu spojrział tylko za odchodzącym, i tak się rozstali milczący.

Znowu błędnym krokiem włókł się Tumry bez drogi, stając, zatrzymując się, biegnąc jak szalony.

— Ha! wołał sam do siebie: nie ma co myśleć dłużej; potrzeba skończyć, kiedy tak żyć ciężko... Widziałem jój głowę na piersi tego zgnilego trupa, i nie chcę nic widzieć więcej. Ani mi powrócić do Cyganów braci, ani żyć z *gadziami*, którzy jak psa odpychają. O! stryczek na szyję i *Bynk'u* oddać duszę...

Myśl ta, która już nieraz przelatywała mu przez głowę, teraz w niej silniej niż kiedy uwięzła. A życie stało się mu tak ciężkiem i nieznośnem, że dalej dźwigać go nie mógł. Motruny nie kochał, dziecię dla niego było obojętne, nędza dojadła, Aza zdradziła... na jutro nic nie zostało, prócz śmierci.

I lżej mu się zrobiło po tém postanowieniu, jak człowiekowi, który płynąc po długiej burzy na morzu, nareszcie choć brzeg skały zobaczył.

Uśmiechnął się dziko i schwycił za pas czerwony, który już w myśli za stryczek sobie przeznaczał. Był to wełniany pas, wysnuty i ufarbowany ręką biednej Motruny — żona przyszła mu przezeń na pamięć.

— I jój też lżej będzie, rzekł w duchu. Bracia ją przyjmą, dwór i gromada, byle Cygana nie stało, wykarmią sierot dwoje! I ta nie zapłacze po mnie. Na cóż żyć, żeby ludziom ciężyć i sobie!

Obejrzał się po niebie i po świecie, a chmurno

jakoś było, i wietrzno, i smutno jak w przeddzień śmierci; w mrokach i we mgłach okolica wydawała się pustą i dziką. Już miał odpiąć pas i sięgał poń, szukając okiem gałęzi, choć w około czyste rozciągało się pole, gdy żywy krok dał się słyszeć, i z za pagórka wybiegła pędem lecąc Aza.

Tumry aż odskoczył gdy ją postrzegł, i włos mu się najeżył.

— A ty tu? zawołała z uśmiechem. Chodziłeś widzę do obozu; czyś czekał na mnie?

— Czekałem na ciebie — gorzko odpowiedział Cygan — żeby ci w oczy plunąć raz jeszcze, i więcej nie widzieć!

— Co ci się stało Tumry?

— Nic, tylko byłem pod oknem dworu, kiedyś śpiewała:

„*Tłowawa Jag!*”*)

— I słuchałeś pieśni? spytała obojętnie dziewczyna.

— I patrzyłem jakieś spoczywała na ramieniu *raja* Adama...

— Trzebaż było dopatrzeć do końca! z gniewem odpowiedziała Aza: byłbyś widział, jakieśmy się rozstali!

— Lub jakieście się zeszli? spytał Cygan z pogardą.

— Tumry, tyś doprawdy oszalał! tupiąc nogą z gniewem przerwała Cyganka.

— Nie, alem się wytrzeźwił! krzyknął Tumry — i myślę skończyć dobrze!

*) Początek cygańskiej pieśni od słów: „Palić ogień.”

To mówiąc, rwał w rękę swój pas czerwony.

— Ale doprawdy głowa ci się zawracał poczęła Aza, przestraszona rozgorączkowaną twarzą i ponurym wzrokiem Tumrego. Co ty myślisz?

— Myślę pójść do lasu i powiesić się... rzekł Cygan spokojnie. Jak ci się zdaje, wszak dobrze zrobię?

— Dla czego? dla tego, że się dała uścisnąć temu schorzałemu, staremu dziecku! odparła kobieta.

— O! o! nie myśl-no znowu, żebyś się wieszal dla siebie! przerwał Tumry, wciąż rozwiązując pas, którego rozplątać nie mógł. Dość mi i bez tego życie dojadło, a tyś tego nie wart!

Aza stała coraz bardziej przestraszona, i spostrzegłszy, że gniew nie pomaga, że rozkaz byłby daremny, poskoczyła z namiętnością do Cygana; ale Tumry z dala ją odepchnął wzrokiem i ręką.

— Precz gadzino! rzekł: precz!... Idź, sprzedaj się komu chcesz i za co chcesz! Ja nie mam cię kupić za co!

To mówiąc, odwrócił się i pobiegł w las, do reszty oszalały i rozmarzony boleścią.

I znowu leciał przez pola, jak niegdyś do obozu Cyganów, a nie czuł jak przebiegał przestrzenie, nie słyszał krzyku dziewczyny, która goniła za nim, nie wiedział kiedy ciemna gąszcz lasu go otoczyła. Skronią uderzył o pień dębu i upadł krwią zlany...

Po nad nim szumiał wicher i burza, łamały się gałęzie, przelatywały kruków stada, spędzone zawie-

ją dżdżystą. Tumry w odrętwieniu całą noc tak na mokrej przeleżał ziemi. Dopiero ranek i świtanie, chłód dnia i znużenie ostateczne, otworzyły mu oczy senne i oprzytomniły nieco. Ale z pierwszym blaskiem zorzy, myśl wczorajsza zakończenia samobójstwem przypła się znowu, wracając do serca.

Chwycił pas czerwony, którego nie puścił z dłoni ściśniętej konwulsyjnie, i błąkać się począł, szukając drzewa, wybierając gałęzie; gdy wtém przysłała mu na pamięć owa opuszczona buda w lesie, którą mu Janek pokazał, i poszedł szukać przekłętego miejsca na czynność przekłątą.

Ale obłąkanemu niełatwo było pokierować się w borze, którego głębi nigdy nie znał dobrze, a teraz znaleźć się w nim całkiem nie umiał. Szedł i powracał, błądził, nużył się do ostatka i byłby może skończył na pierwszej krzywój sośnie, gdyby stara chata rozwalona nie pokazała się jakby cudem nagle, wśród gęstych zarośli.

Stanął więc nareszcie u kresu i uśmiechnął się sam do siebie, poczynając szybko szukać miejsca w upadliskach przegniłych stariej budy strażniczej.

Jedna z belek, na którą pas zarzucić nie było trudno, trwalsza jeszcze od innych, które już zbutwiały leżały, zdała mu się jakby umyślnie pozostałą dla niego. Nie wahając się więc, rozwinął pas czerwony, i końcami jego począł opasywać ją zrecznie.

Wtém, gdy stryczek wiąże i rozszerza, a węzeł mocuje, słyszy dziwny śmiech za sobą.

Spojrzał przełękły: na pniaku wprost przeciw budy, której ściany całkiem się były rozwały i słupy tylko trzymały jeszcze szkielet budynku, głupi Janek zasiadł, patrzy i śmieje się.

— Dobry dzień ci, Cyganie kochanku! zawołał Janek, kłaniając mu się dziurawym kapeluszem słomianym. Choć raz przecię rano do roboty wstałeś! A co? jak to dobrze, zem ci miejsce to pokazał, jakby umyślnie na urząd zrobione dla ciebie!

Tumry stanął osłupiały, puszczając z rąk pętlicę.

— Nic! nic! nie przerywam — kończył parobek — nie przeszkadzam, rób swoje: chcę się tylko przypatrzyć, jak się to robi, na przypadek gdyby się to i mnie przytrafiło kiedy. Rób, kochanie, swoje, ja cię pewnie nie oderznę, nawet kozika nie mam w majątku.

Cygan znów ręką drżącą począł wiązać, rozwiązywać pas, i jakiś go wstyd ogarnął.

— Ja zawsze myślałem, Cyganku kochanie—mówił dalej powolnie Janek — że ty musisz tak kiedyś skończyć; ale się nie spodziewałem, żebyś to sam sobie przyrzadził, i tak pośpiesznego! No! no! to i lepiej. Kończże, kończ, nie bałamuć! Ja dopiero jak dobrze zastygniesz, dam znać do wioski, żeby darmo nie wiedzieć gdzie nie szukali.

— Pójdźże precz, Janku! krzyknął Cygan. Nie naigrawaj się ze mnie w ostatniej godzinie...

— A któżby to śmiał z tak wielkiego pana, co życie ludzkie trzyma w ręku, żartować sobie? Godziłoby się to? spytał Janek. Cyganku kochanie, nie sromaj się przedemną, my dawno znajomi: rób swoje!

— Janku, daj mi umrzeć spokojnie! wyjęknął Tumry.

— Alboż ja przeszkadzam? Chowaj Boże! Gdybyś się mnie spytał, co masz robić? jabym ci był toż samo poradził! Motrunie, świętej kobiecie, pewnie le-

pięć będzie bez takiego darmożjada; a tobie wygodniej na stryczku niż w chacie, po której głód za tobą chodzi krok w krok jak u siebie... Ale bał rozśmiał się Janek po chwili milczenia: tyś filut! płaczesz, płaczesz, a powiesić się nie potrafisz! Jabym ci z serca pomógł, ale powiadają, że za to bieda być może. Dawaj sobie sam rady! Nie mądraż to rzecz kulkę zrobić, szyję włożyć, a pod nogi lada pniaka podsunąć i... i...

Tumremu słowa te szumiały tylko w uszach jak szelest leśnych gałęzi; rozumiał tylko, że w nich było urągowisko.

— Ale ty bo Cyganku kochanie — kończył zimno Janek — tylko sobie żartujesz i próbujesz, a darmo mnie zwodzisz! Tyś widzę tchórz i tego nie zrobisz!

Ostatniemi słowy, które doszły do uszu Tumrego, dopełnił miarki parobek. Cygan nie patrząc już na niego, nie słuchając go, żywo założył głowę w stryczek, odrzucił nogą zgniły kawałek belki, na który się wspiął, sięgając do węzła — i zawisł z okropnym miotaniem się w powietrzu.

Parobek ani mrugnął. Wstał po chwili, uklonił się trupowi, i powolnie zwrócił drogą ku wiosce.

— Dobrze zrobił.. rzekł w duchu do siebie. Na co mu było żyć, kiedy i sobie i drugim na nic się nie zdał, zawałdrogał Sprawiedliwy człowiek, osądził się i sam bez kłopotu wyprawił duszę do piekła! Motrunie i sierocie lepiej będzie, a Cyganą niewiary nie pożałuje nikt... prócz mnie może. Nieżył był człowiek, gdyby się Cyganem nie urodził... bo jak chatę budował, to było na co patrzeć, — i gdyby go szatanica z czarnemi oczkami do reszty nie zbałamuciła, kto wiel... Ale pod koniec ja sam miałem och-

tę zarzucić mu stryczek na szyję... ale tak ot! i koniec. Wdowa! albo się kto z nią ożeni, albo sobie i tak da radę!

To mówiąc, Janek narzucił na plecy trochę gałęzi, które był wprzód przysposobił, i śpiewając coś pod nosem, spokojnie, powolnie powłókł się do domu.

Późno już, w noc Motruna siedziała w chacie przy ognisku, kołysząc dziecię w zawieszonym od pułapu koszyku, który dla niej za wczasu przygotował głupi Janek. Smętna jakaś śpiewka lat młodych zabłąkała się na jój usta dla uspienia niemowlęcia; ale myśl daleko była od pieśni!

Cały dzień prawie nie widziała Tumrego, i niepokój poczynał ją chwytać za serce, choć teraz od przybycia Cyganów, codzień mniej, codzień rzadziej przebywał on w chacie. Zwykł był jednak zawsze choć na noc do lepianki swój powracać, a słowa czasem nie przemawiając do żony, zasypiał przynajmniej na ławie, i Motruna słyszała go stękającego w snach burzliwych.

Pora zwykłego powrotu do domu dawno była przeszła, na dworze wył wicher ostry, burza jesienna trzęsła kruchą lepianką, a biedna kobieta coraz troskliwiej otulając dziecię, podsycając ogień, nadstawiała ucha, czy w pośród szumu nie usłyszy skrzypu drzwi od sieni i stąpania na dworze.

Ale napróżno czekała, przysłuchiwała się, drżała, bo nikt nie przyszedł do chaty pod cmentarzem, — i pomyślała wreszcie, że Tumry zanocować musiał

z Cyganami. Gdy dziecię usnęło, ona nie kładąc się, zdrzemnęła także u ognia i kołyski. Sen to był jednak ciągle przerywany niepokojem; najmniejszy szelest przebudzał ją co chwila, i gorączkowym drzemaniem do zarania się męczyła. Spodziewała się jeszcze, że Tumry powróci nadedniem; oczekiwała go, wychodziła wyglądać, a nie było i nie było.

Słońce weszło i podniosło się wysoko. Motruna uwijała się z dzieciną i ogniskiem, ale co chwila odskakiwała od nich to do okienka, przez którego szyby mało co widać było, to do drzwi, przez których szparę pusta droga wyglądała tylko. Niepokój jój poczynął dochodzić do najwyższego stopnia.

— Miałeby już nigdy nie wrócić? mówiła łamiąc rękę. Mielizby go całkiem pochwycić i uprowadzić z sobą Cygani? Mógłzeby on mnie bezsilną, samą z dzieckiem porzucić na zawsze? A! to niepodobna! On chyba zachorował, leży gdzie w polu; może mu się co stało? Potrzebaby posłać, szukać; ale kogo prosić o to?

Przyszedt jój zaraz na myśl głupi Janek, i byłaby pobiegła do niego, gdyby wiedziała gdzie go znaleźć. Wziąwszy nareszcie swój drogi ciężar na rękę, już się wybierała z chaty, kiedy w samym progu ze starą Jagą się spotkała.

Nawet Cygance rada była wśród tego niepokoju, i powitała ją szybkim pytaniem:

— A! nie wiecie tam? nie wiecie wy co się z moim stało?

Cyganica ruszyła ramionami i zbliżyła się tajemniczo do ucha kobiety.

— Wczoraj w wieczór był u nas... był... ale jak szalony... Widzieli go potem latającego po polach...

Aza mi powiedziała, że ją złajał, zbezczeszczył za jakieś głupstwo, i odgrażał się, że sobie co złego zrobi.

— Ach! krzyknęła Motruna, w której sercu odezwało się dawne przywiązanie, biegnijmy go szukać!

— Dalibyście pokój, wstrzymując ją za rękę, rzekła Jaga: to darmo! Co się miało stać, to się już stało, bo od wczorajszego wieczoru do południa wiele wody upłynęło. Lepiej się przygotowujcie za wczasu do płaczu, bo pewnie musiał sobie życie odebrać!

Jaga tak zimno i bezlitośnie wymówiła te słowa, że Motruna aż krzyknęła uderzona niemi.

— O ja nieszczęśliwa! ja nieszczęśliwa!...

— No! a cóż robić? zimno poczęła baba. Ot, jeszcze młoda, radę sobie dasz i drugiego znajdziesz! Aby młodość!

Pociecha również była przerażająca jak domysł stariej Cyganki; ale spojrzawszy na ten wyschły szkielet, trudno się było po niej czego innego spodziewać.

— Ja muszę lecieć, pytać, szukać... może się błąkała zawołała Motruna, — i z dzieckiem na rękę, odpechnąwszy Jagę, która je tymczasem wziąć się podejmowała, puściła się drogą po nad cmentarzem, nie wiedząc dokąd bieży.

Cyganka nie goniła za nią, a ledwie straciwszy z oczu kobietę, wśliznęła się zaraz do chaty jak wąż, by ją w niebytności gospodyni splondrować.

Motruna, którą ścieżka powiodła ku cygańskiemu obozowi, wahała się co ma począć z sobą; ale pomysławszy potem, że od Cyganów czegoś się dowiedzieć może, i że oni jedni zechcą jęj dopomódz, skierowała się ku ich namiotowi.

Biedne jęj dziecko, rozkołysane biegiem matki, która porzucić go nie mogła, poczęło płakać w dro-

dze, ale cisnąc je tylko do piersi, już się dla niego nie zatrzymała Motruna. Nareszcie zobaczyła ognisko cygańskie, i spotkała Aprasza niosącego wodę w dwóch wiadrach blaszanych.

— Nie widzieliście Tumrego? spytała zdyszana.

— Tumry?... przyglądając się wynędzniałej kobiecie, rzekł Aprasz. A to twój mąż być musi. Był on tu wczoraj wieczorem. Cóż? nie powrócił do chaty?

— Nie było go, nie było! jęcząc odpowiedziała kobieta.

— To może go już nie być i nigdy! zimno, idąc dalej, odparł Cygan.

Motruna schwyciła tę okropną wróżbę i wiała się w miejscu, nie wiedząc co począć, gdyż Aprasza prosić o pomoc nie śmiała. Zwróciła się znów do wsi, przypomniawszy Janka, gdy na wierchołku wzgórza otaczającego dolinę, zjawiła się blada, z rozognionym wzrokiem Aza.

Dwie kobiety zmierzyły się oczyma i instynktem wzajemnej nienawiści poznały. Przybycie Motruny do obozu tak było znaczące po wczorajszym spotkaniu Cygana z dziewczyną, że ją uderzyć musiało.

— Cóż się stało Tumremu? zawołała Aza żywo, podbiegając ku kobiecie.

— A tobie co do niego! gniewnie odpowiedziała Motruna.

— Mnie! uśmiechając się gorzko, odrzekła Cygan-ka: chyba nie wiesz kto ja jestem?

— O! poznaję cię! szydersko, może po raz pierwszy w życiu, odezwała się kobieta: tyś Aza!

— Tak, Aza jestem; ale gdzież Tumry? gdzie? co się z nim stało? Mów kobieto, a przedźj!

— Ty lepiej zapewne wiesz o nim odemnie! cofając się zawołała Motruna.

— Nie wrócił więc wczoraj? nie wrócił? popędliwie poczęła pytać Aza.

— Nie wrócił! cicho i pośepnie powtórzyła echem kobieta, z której oczu ciekły dwa długie łez strumienie, a przez nie przecież oczy zbolełe wpatrywały się ciekawie w twarz ślicznej Cyganki.

Aza ręce załamała, i jak stała, upadła cała na ziemię, poczynając zawodzić pò cygańsku, ręce załamawszy nad głową.

Ten płacz istoty tak do niego niestworzonej, do reszty przestraszył Motrunę: oniemiała z przerażenia.

— Ona wie! ona wie—zawołała—co się z nim stało! ona go musiała zabić!

Wtém Aza, jakby odzyskując siłę i nadzieję, schwyła się na nogi, obejrzała w koło, podeszła kilka kroków ku lasowi, i wnet obróciła się do dworu. Bieg jój tak był rączy i popędliwy, że Motruna ani pomyśleć mogła ścigać ją z dziećciem i osłabieniem swoim.

Powlokła się tylko płacząc drogą, którą była przysła; a cała ciżba Cyganów, wywabiona krzykiem Azy, wybiegła z pod namiotu i wskazywała ją palcami, szepcząc:

— *Tumry egaszi!* (kobieta Tumrego *).

*) W języku Cyganów, o ile mi wiadomo, nie ma wyrazów mąż i żona; jest to bardzo charakterystyczny niedostatek.

Aza wyprzedziła daleko Motrunę i znikła z oczu wszystkim, pędząc co najprędzej do dworu, cała oszalała na myśl niebezpieczeństwa, a może i śmierci Tumrego. Zdawało jej się, że jeszcze ratować go można; biegła więc do Adama, aby wysłał natychmiast na wszystkie strony szukać śladów znikłego Cygana.

Straszna tą namiętnością tłumioną, która teraz w niej wezbrała, wleciała do pokoju, w którym pan Adam spoczywał, i przeleżała go twarzą, jakiej u niej nigdy jeszcze nie widział. Zbladła, zmęczona biegiem, rozpaczająca, pochwyciła za ręce wczorajszego kochanka.

— Ratuj!... zawołała: ratuj! Tumry, Cygan, wczoraj chciał sobie odebrać życie; dziś dotąd nie ma go nigdzie. Wysyłaj ludzi, niech go szukają, niech znajdą.

— A cóż mię twój Cygan obchodzi? oziębłe, z zadrością prawie, odezwał się powoli pan Adam, puszczając kłęb dymu.

— Mnie! mnie on obchodził mnie! Słyszysz *raju* Adamie! krzyknęła Aza, targając go za rękę zimną: dam życie, dam siebie, tylko każ ratować!

Adam spojrział na nią, nie ruszając się z miejsca.

— Oszalała... rzekł: coż to! twój brat?

— Kochanek! mój jedyny, ukochany, ulubiony! ten, bez którego ja żyć nie mogę, nie chcę! wyrwało się z piersi Cyganki. Ratuj go! ratuj!

— Al jeżeli tak, nie mam się po co śpieszyć — rzekł pan Adam. Będziesz teraz moja.

— Jeśli on umrze, i ja umrę, a niczyją nie będę! krzyknęła boleśnie Cyganka, drąc z gniewu rąbek sukni. Wysyłaj ludzi! wysyłaj ludzi!

Zapał, z jakim wołała, głośny krzyk jój, już był cały dom poruszył. Słudzy zgromadzili się we drzwiach, a twarze ich zobaczywszy Aza, poczęła ku nim z błaganiem się zwracać, ręce łamiąc, płacząc i wzywając od wszystkich ratunku.

Ale dworska gawiedz, nie mając rozkazu pana, ruszyć się nie śmiała; a pan Adam siedział jak nieruchomy posąg i wąsika tylko poglądał. Co go tam jeden Cygan obchodził!

— Słuchaj, ratuj go, a będę twoją! przyskakując i szarpiać go, powtórzyła dziewczyna.

Adam się zimno uśmiechnął i jeszcze nie rzekł słowa. Cyganka próżno błagała, rzucała się i latała po izbie z rozpuszczoną kosą czarną. Nareszcie chustką, którą trzymała w ręku, uderzyła zniecierpliwiona po twarzy milczącego sybarytę, i wybiegła ze dworu z wołaniem rozpaczliwém, ciągnąc za sobą tłum ciekawych ludzi.

Co żyło, poczynąło gromadzić się, zbiegać i powtarzać z cicha słowa Cyganki; wszyscy chcieli biedz szukać Tumrego przez samą ciekawość, ale nikt nie wiedział dokąd się obrócić. Nareszcie i sam pan Adam po zniknięciu Azy, rozmyśliwszy się, rozesłał ze dworu na wszystkie strony, aby szukano kowala. Rozsypali się tedy, każdy gdzie komu na myśl przyszło; a Aza skierowała się ku lasowi jakimś przeczuciem niewytłómaczoném. Kilku ludzi poszło za nią.

Na w pół drogi do boru spotkali głupiego Janka, który z wiązką gałęzi na plecach szedł śpiewając do domu. A że go widziano nieraz rozmawiającego z Tumrym, wiedziano, że żył z Cyganem w druźbie, więc gumienny zatrzymał parobka, choć niewiele od

niego spodziewał się dowiedzieć, bo jak inni, z powierzchowności sądząc, miał Janka za głupiego i nierozgarnionego.

— Słuchaj-no głupi Janek, spytał go: nie widziałeś ty czasem Cygana, kowala... tego, tego, co to z pod cmentarza?

— Kogo, kogo? udając głupotę, szydersko począł pytać Janek.

— A kowala, Cygana, głupi Janku! z pod cmentarza!

— Cygana! Tumrego! Oj! oj! widziałem go pozawczoraj, wczoraj, a nawet... (począł sobie przypominać) ot nawetem go dziś widział!

— Dziś? gdzie? gdzie? podchwyciła Aza.

Janek dosyć miał sprytu skrytego, żeby się nie wygadać za nadto. Nie opowiedział rozmowy swojej, nie przyznał się, że samobójstwa był świadkiem, odparł tylko chłodno, skrobiąc się w głowę:

— No! a w lesie!

— Dawno?

— O! godzin już jakby ze dwie! Ono się na ranek zbierało.

— Co on tam robił?

— Albo ja wiem, co on tam robił? Może chodził po drewna... bo czegoś rozwiązany pas niósł w rękę, to pewnie chciał je zczepić... bo u niego i postronka nie ma w chacie...

Aza krzyknęła, zasłaniając sobie oczy:

— Gdzież ty go spotkałeś?

— Czekaście! Na Popowój niwie! Nie! nie! na Porosłaku! Nie! nie! w Lisich dołach. Ale nie! ot jest! jest! dalibóg koło pustej budy!

Wszyscy więc szukający z Azą na przodzie, puścili

się żywo w las drożyną ku pustej budzie wiodącą. A Janek podjąwszy dREWKA, posunął się dalej ku wsi, obejrawszy się tylko na ludzi, którzy go mijali, z uśmiechem głupowatym.

— Ha! ha! szepnął cicho do siebie: trochę za późno przyjdziecie! A! cóż ja temu winien! Niechby był pocziwiej kobiety nie zamęczał... a teraz dobrze mu tak...

Z bijącym sercem biegła Aza, ludzie ledwie za nią zdążyć mogli, wskazując jej tylko drogę, którą iść miała. Nierychło jednak dostali się do pustej budy, bo ścieżynki do niej wiły się dziwnie po lesie, a krzaki tak je zarastały, że w wielu miejscach trudno się było przez nie przecisnąć.

Nareszcie Aza pierwsza wskoczyła na łączkę otaczającą zwaliska z tej strony, podbiegła co tchu do rozwalonej budy, i plasnęła w ręce z wrzaskiem przeraźliwym, ujrawszy wiszący trup Tumrego, na którego twarzy żółta, woskowa rozsiadła się już bladeść.

W mgnieniu oka, gdy reszta ludzi zebrana w kupę, stała jeszcze nie śmiejąc się przybliżyć ku samobójcy, Cyganka skoczyła na belkę i poczęła już targać węzeł, utrzymujący szyję wisielca; a nie mając noża, by go rozciąć, pochwyciła zębami i rozgryzła jak nitkę.

Trup okręcił się, zadrgał, pochylił i padł z łoskotem zimnej bryły na ziemię. Aza już była przy nim, i usta przyłożywszy do twarzy, a rękę do serca, ciepła w nich i życia napróżno śledziła. Już ich tam nie było! Twarde, zimne, skostniałe ciało, wyzionęło już ostatnią żywota iskierkę...

Cyganka czołem padła na ziemię, i tak nieprzytomna pozostała przy trupie.

Ludzie poszeptali, obeszli go dokoła, pokiwali głowami, namachali rękami, i zwrócili się dać co najprędzej znać do dworu, zostawując Cyganek samą jedną nad ciałem kochanka.

Na rozstaju za wioską wykopano dół głęboki, i cichym wieczorem, parą wołów czarnych, przywieziono trupa Tumrego, któremu Janek zbił z kilku tarcic białą sosnową trumnę, bez księdza, bez ludu, bez płaczu, na wiekuiste mieszkanie.

Za wozem ledwie była garstka tylko: szła Motruna z dzieckiem u piersi, z zaschlém już od płaczu okiem, odprowadzając do mogiły nieszczęśliwą dołą swoją.

Za nią włókł się Janek, milczący, zgarbiony, zadumany, z rydlem na plecach, ze słomianym swym kapeluszem w ręku. Dwie stare Cyganki, mrużąc pod nosem, otulone szerokimi płachtami, sunęły się także z daleka za tym pogrzebem samobójcy! Nie było ani stypy, ani kutii, ani przyjęcia, ani żadnego z tych uroczystych obrzędów pośmiertnych, które ze słowiańskich jeszcze czasów pozostały u wiernego starym zwyczajom ludu wiejskiego.

A gdy woły zastanowiły się na pagórku u wysypanej ziemi, dwóch ludzi zniosło trumnę z wozu, i rzucili ją w dół, nie mówiąc słowa.

Janek pierwszy schwycił za rydel i zasypywać począł, a dwie Cyganki stanęły na brzegu, przypatrując się z odrętwiąłą, głupowatą ciekawością harzucaniu ziemi i powoli znikającej trumnie. Motruna bez jęku

siadła na trawie, i podparta na dłoni, tuląc dziecko, które kwiliło z głodu czy macierzyńską czując boleść, patrzała, patrzała na pracujących u grobowiska.

Już Janek z ludźmi dosypywał dół do wierzchu, i począł go ubijać nogami; już na nim i wzgórek zaokrąglać zaczęli, i darninę na pokrycie wycinać z blizkiego rowu, i cała robota powoli się skończyła; już odchodzący pierwszych kilka gałęzi suchych zwlekli wedle odwiecznego zwyczaju na mogiłę, jakby stos przysposabiając, do którego każdy przechodzień dorzucać był winien choć suchy złomek jaki; już wreszcie rozchodzili się,—a Motruna nie myślała wstać, ani się ruszyła z miejsca.

Cyganki z nieboszczyka na nią zwróciły swoją ciekawość, i stanawszy z daleka, mruczały spoglądając na biedną kobietę. Ale i im się przebrała cierpliwość, i gdy ludzie ku wsi zawrócili woły i pociągnęli nazad, one także poszły za nimi. Jeden tylko głupi Janek pozostał przy Motrunie, pilnie się jeszcze zajmując niby skończeniem mogiły, którą to udeptywał starannie, to stos na niej porządkował, urządzał, żeby go wiatr nie rozrzucił.

Oczy Motruny błędzące machinalnie po okolicy, zatrzymywały się to na nim, to na grobie męża, to na głowie dziecięcia; ale znać było, że nic nie widziały. Kiedy niekiedy tylko popłynęła z nich łza jedna i zaschła na policzku, drgnęły wargi, przymknęły się oczy, ścisnęły ręce wkoło dzieciny. Janek spozierał z pod brwi nieruchomej na Motrunę i wciąż pracował.

Poczęło zmierzchać powoli, niebo się zasepiło, a Motruna nie wstawiała.

— A co? odezwał się długo wytrzymawszy Janek: chodźmy-no do chaty!

Motruna głową tylko potrząsała.

— Już ci tu nocować nie będziesz, dodał. Jeszcze tobie jak tobie, ale dziecku na wietrze i słońcu nie zdrowo.

Matka skwapliwie przytuliła do siebie niemowlę i spojrzała na głupiego Janka, który nie był wcale tak głupi, jak się zdawał.

— O! pewno—kończył Janek—że dziecku to zaszkodzi. A zresztą co tu robić? Jużemy mu usypali mogiłę, niechaj odpoczywał Wstań i chodź Motruno.

Zarzucił rydel na plecy, włożył kapelusz na głowę i przystąpił do niej. Kobieta zakryła oczy, z których na nowo potok łez wytrysnął.

— Płakać—rzekł Janek—można i w chacie; a już coś noc blisko. Dziecku zimno, trzeba iść, trzeba iść! powtórzył z przyciskiem.

— Dokąd? po co? zawołała Motruna. O dolo ty moja! o dolo! co ja pocznę!...

Janek nie zważając na łzy i żale, ujął ją za rękę i dźwignął z ziemi, a zwróconą ku mogiłę lekko odwróciwszy w stronę wioski, pociągnął za sobą.

Motruna obejrzała się raz jeszcze, chciała gałąź tarniny leżącą pod nogami rzucić na mogiłę, ale zachwiała się i upadła. Janek podźwignął ją znowu.

— Pamiętaj na dziecko, pocałuj cicho: ono teraz na twoich rękach i na twojej głowie! Chodźmy do chaty, dość płakać!

Już się tak byli oddalili, wlokąc się z trudem i powoli, gdy Janek obejrzawszy się, zobaczył jak cień przesuwaną się Cyganek, która pędem wpadła na świeżą mogiłę i siadła na niej a raczej rzuciła się na nią.

Nie chcąc, by ją widziała Motruna, przyspieszył

kroku, i zagadując jęki, które aż do nich dochodziły, co prędzej spuścił się z nią w głąb jaru, który wreszcie zakrył im mogiłę samobójcy.

Aza sama jedna pozostała na rozstaju, z wyschlém okiem, przygnębiona, nieprzytomna, dysząc namiętnością i rozpaczą pierwszą w życiu. Porywała się, biegła do koła wzgóрка, siadała na nim, wstawiała znowu, ryczała jak dziki zwierz. I wśród krzyku jój dobywały się z piersi to jęki niezrozumiałe, choć z tysiąca słów złożone, to okrucy jakiejś pieśni, to pytania, to wyrzuty i przekleństwa...

Rzadko kiedy człowiek dochodzi do takiego stopnia rozpacz i szału, jaki owładnął dziewczyną, nieprzywykłą ani tłumić uczucia, ani z nié m walczyć dla oka. Zdawało się, że całkiem zapomniała o sobie, o jutrze, o świecie, a bolem swym żyła tylko. Niepodobna była do siebie: taka wściekłość malowała się na rozprzężonych rysach jój twarzy zbladłej, wywróconej, zmienionej potężną dłonią męczarni... Oczy zdawały się wybiegać z pod powiek, usta miała otwarte, zęby ściągnięte, a ręce trzymała wzniesione i splecione po nad głową...

Zdyszana pierś miotła się jak fala, a chwilami brakło jój jeszcze oddechu...

Nie wiem jak długo walczyłyby tak z cierpieniem, aż odrętwiałość czy zupełne szaleństwo skończyłoby jój męki, gdyby z ciemności nie ukazał się po chwili wychodzący Aprasz.

Stanął on naprzeciw niéj, znowu silny, rozkazujący, taki, jakim był, nim mu dziewczyna odebrała dowództwo i władzę. Popatrzał na nią i niepostrzeżony przybliżył się.

— Aza! krzyknął nagle głosem, który ją jak piorun uderzył: do obozu!

Ona podniosła nań oczy strwożone i obłąkane.

— Do obozu *egaszi!* do *kahabii* (kotła) ogień palić, jeść gotować i posługiwać, a nie po nocach się włóczyć!

Dziewczyna osłupiała, a Cygan chwyciwszy ją za ramię, gwałtownie pociągnął za sobą. Nie było z jej strony ani oporu, ani łzy, ani słowa, ani jęku: spuściła głowę i poszła posłuszna. Na mogile wiatr z suchemi gałęzmi i ptacy wędrowni poczęli długą rozmowę, która trwać miała wieki...

Tegoż wieczoru obóz Cyganów opuścił nagle Stawisko, i skrzypiący wóz ich pociągnął dalej, unosząc skrzepowaną Azę, około której siedziała stara Jaga, bo Aprasz ją wyznaczył na stróża dziewczynie.

Dawny dowódca objął znów żelazną ręką rządu gromady, a *Romy* i *Puza* na czele, słuchali go jak niewolnicy do pańskiego przywykli głosu...

My zajrzyjmy jeszcze na chwilkę do dworu pana Adama, nim go stracimy z oczu na długo.

Po odejściu Azy, po odkryciu tajemnicy przywiązania jej do Tumrego, pan Adam najprzód się mocno rozgniewał, czując się upokorzonym tém nieszczęśliwem współzawodnictwem z Cyganem. Potem chciał gonić za Cyganką, nareszcie bezsilny gniewu się wyrzekł, i nie widząc sposobu dogodzenia namiętności bez wielkich ofiar, opuścił ręce, usiłując zagłuszyć serce, czy żądę odzywającą się jeszcze.

Ale nie tak łatwo z sercem swém wojować temu,

który go się z młodu nie nauczył zwyciężać i kierować niém. Pan Adam poczuł wkrótce, że Cyganek mocniej ukochał, więc się do niej przywiązał niżeli sobie wyobrażał z razu.

Chciał za nią gonić, szukać jęj, porwać ją siłą, nie zważając ani na jęj przywiązanie do Tumrego, ani na obojętność i szyderstwa. Nim to postanowienie przyjść mogło do skutku, banda Cyganów daleko już była od Stawiska i znikła bez śladu, pozabierawszy tylko swoje i cudze konie, narobiwszy szkód bez liku, a po sobie zostawiwszy mogiłę w polu, łyzy i przekłętwa.

W takich jak Adam ludziach, strapienie gwałtowném jest tylko w pierwszej chwili; ale nie trwa długo i przechodzi bez śladu. Dni kilka dość było, żeby boleść zmieniła się w tęsknotę, w znudzenie i potrzebę szukania rozrywki. A jęj pragnienie już było najlepszą przepowiednią całkowitego zapomnienia przeszłości. Ziewnął, stęknął, kazał zaprzęgać pan Adam, i do miasta pojechał.

W chacie po Tumrym, zbudowanęj z taką pracą i wytrwaniem żelazném, nie mogła się rychło zatrzeć pamięć jego. Bo ręka robotnika wszędzie zostawiła po sobie ślady, i każdy kawał drzewa ją przypominał. Biedna Motruna musiała zamieszkać w lepiance, i patrząc na nią, dolę swoją oplakiwać.

Po śmierci Cygana przybliżyli się do nięj bracia, ale i ci niewiele pomódz, mało los jęj zmienić mogli. Potrzeba znać życie i zasoby najdosłatniejszego wieśniaka, by uwierzyć, jak niełatwo mu przy najlepszych chęciach wziąć na barki kobietę i dziecko. Dwaj bracia Motruny radzi byli coś dla nięj uczynić,

ale żony ich na samą wzmiankę o tém, że Cyganicha mogłaby przenieść się do ich chaty, zakrzyczały, poczęły rzucać się i gniewać, tak, że i pomyśleć o tém bez zakłócenia domowego spokoju nie było można. Trzeba więc było Motrunie zostać na miejscu, w lepiance pod cmentarzem. A i tam nawet Maksym i Filip niewiele jój dostarczyć mogli, bo natychmiast żony ich obawiające się o siebie i dzieci, o głód na przednówku, głośną poczynały wojnę za każdy datek. Przy najlepszych chęciach, rzadko też wieśniak jest w stanie przełamać się czarnym chleba kawałkiem. Najbogatszy ma ledwie tyle, że się głodu nie boi do nowego ziarna, a sprzedażą pozostałej odrobiny opędza pierwsze zycia potrzeby. Jakże wielkiego potrzeba uczucia, jak świętych obowiązków, by wystawił na szwank los swój i rodziny? Bracia Motruny dopomagali jój, ale tając się przed żonami, po trosze tylko i szczupło.

Pan Bóg zesłał jój opiekuna i niespodziewanego pomocnika w głupim Janku. Los tego odrzutka tak był ciężki we własnej chacie; tak nim tam poniewierano, często nawet wypędzając zupełnie, choć robił więcej niż za jednego człowieka i za jedno zwierzę domowe; tak mało mu tam dał kto dobre słowo,— że głupi Janek, który śmielój i nie potrzebując udawać głupoty, przystępował do Motruny, do Cygana—do nich się też więcej niż do swoich przywiązał.

Los szczególniej kobiety zdawał się go silnie zajmować, bo Tumrego był zniechęcił w końcu i prado samobójstwa popchnął przez żal, jaki do niego miał za Motrunę. Po śmierci też jego, Janek na chwilę wdowy nie opuścił: zajmował się sam pogrzebem, odprowa-

dził ją do chaty, i pozostał przy niej na straży, w ten sposób ją i dziecię za rodzinę sobie przysposobił. Tegoż wieczoru zaraz nastął słomiany barłóg w sionkach pod drabiną u drzwi izby, i tam się umieścił. Nazajutrz poszedł do swoich dla zabrania garści łachmanów, zowiących się jego własnością, i nie rzekłszy słowa, porzucił chatę ojcowską na zawsze.

Motruna miała z niego więcej niż parobka i posługacza: bo brata i opiekuna czuwającego nieustannie nad nią i sierotą. Przywiązanie i litość zrobiły z Janka istotę pełną przebiegłości, zapobiegliwą, baczną i bystrą nawet w potrzebie. Dla Motruny umiał zaraz znaleźć zarobek, znosząc jęj przedzę na motki, i różne drobne nastęrczając zajęcia, za które sam się wprzód targował, i chatę zasposabiał w żywność i sprzęt potrzebny. Drwa sam zbierał i nosił, wodę czerpał, rąbał, palił, gotował, świecił, dziecko całemi godzinami kołysał. A w strawie bojąc się zrobić uszczerbku, żywił się suchym chlebem i pozostałymi w garnkach resztkami jadła, którychby pieszczone psię nie chciało.

Nierychło postrzeżono się w jego chacie, że głupiego Janka nie stało. Ale kiedy kilka dni nie powracał, jakoś go zabrakło wszystkim. Bracia dostrzegli, że nie mają się kim wyręczyć; siostry nie miały kogo posyłać, łajać i nękać; a bratowe nie znalazły z kogoby się tak bezkarnie naśmiewały. Choć wszyscy narzekali, że darmo chleb zjadał, gdy go nie stało, stękać poczęli, że się nią obejdą bez niego, i nuż zbiega przeklinać.

Szpiegowano, dopytywano się, śledzono gdzie się mógł podziać. Ktoś odkrył nakoniec, że posługuje u Motruny. Posłano zaraz starszego brata, odebrać

głupiego Janka, a ten obcesowo wpadłszy, łajac go począł, znalazłszy w kuczki siedzącego w sionce pod drabiną i kręcącego kawałek powroza.

— A co ty tu robisz? próżniaku! darmożjadzie! A do chaty! do roboty! krzyknął pan brat.

Janek podniósł głowę, zmrużył tylko jedno oko, popatrzał na przybysza, splunął i dalej swoje robił.

— Co to ty sobie myślisz?

— Ot co myślę, odparł Janek spokojnie: myślę tu zostać i zostać!

— Albo to my pozwolimy włóczyć ci się gdzie zechcesz?

— A na cóż ja wam potrzebny? odparł ruszając ramionami: he? Małościę to mnie nawymawiali, że chleb jem daremnie? A daliście mi kiedy szmat odzieży, dali nową koszulę i choćby łapcie na znużone nogi? Kiedym jam wam niepotrzebny, po cóż siedzieć miałem! Idźcie sobie braciszku z panem Bogiem, i kłaniajcie się odemnie staremu łysce...

Brat porwał się bić, ale Janek schwycił go za barki, wyrzucił z sieni i drzwi podparł kołkiem. A na pastnik narzucawszy się i naodgrażawszy z podwórza, poszedł z niczém do domu. Pozywano Janka do dworu na sprawę, ale tu głupi parobczak jak zaczął się bronić, przy swoim się utrzymał: pozwolono mu zostać z wdową, a braci odprawiono z kwitkiem. Dowiódł bowiem, że ani przysiewku w polu nie miał nigdy, ani odzieży nie brał, ani płacy, ani mu żadnej części z ojcowizny wydzielić nie chciano. Nie miał więc żadnego obowiązku pracować tam za wszystkich, gdzie nikt mu nic za to, nawet łyżki pocziwój strawy, nie dawał.

Bracia srożyli się, krzyczeli, poznawszy, że im bez

niego jak bez pomictła, nie będzie lekko wszystkim śmieci zagrzebywać, próbowali odciągnąć go obietnicami, ale nic nie pomogło.

— Dopieroby to był głupi Janek—mówił parobczak—żeby się dał drugi raz złapać jak wróbel na plewę. Ho! ho! niedoczekanie wasze: raz się wyprzągłszy z tego jarzma, drugi raz w nie karku nię nagnę, bom spróbował jak mula! Bywajcie zdrowi i kłaniajcie się staremu łysce...

Lysko, stary pies podwórzowy, był to jedyny Janka w chacie przyjaciel.

Motrunie, ani Jankowi na myśl nie przyszło, żeby na nich dwoje gadać coś miano. Ale złe we wsi języki nie darowały i krzywemu Jankowi, ani bladej i schorzałej Motrunie: śpiewano o nich w karczmie, śmiano się u studni, na przełazkach, choć oni ani się tego domyślali.

Janek był tak poczwarny i brzydki, że posadzenie o miłość jakąś dla niego w głowie tylko starych bab i żon braterskich urodzić się mogło. A jednak gdy raz puszczonej plotkę, przyjęła się i swatano zawczasu, a Janek tylko jak wyrobnik dla wdowy pracował.

Oboje często po całych dniach słowa do siebie nie rzekli, a Janek czasem tylko, gdy w lepszy wpadł humor, zmyślał powiatki dla rozweselenia Motruny. Ona słuchała i milczała, bo milczenie stało się dla niej nałogiem i drugą naturą, tak, że na słowo trudno się jęj zebrać było. Zaśpiewała dla dziecięcia niekiedy, westchnęła ze znużenia, ale z serca zasklepionego ani się skarga, ani wspomnienie wyrwać nie mogło.

Macierzyństwo wystarczało jęj do nędznego życia,

w niém były wszystkie pociechy, nadzieje i cel przyszłości, a uśmiech dzieciny wywoływał i na jój usta coś nakształt smutnego, łzawego i bladego uśmiechu. Patrzała w kołyškę, siedziała przy niój, spała nad nią, i na chwilę jój nawet nie odstępowała. Czasem, gdy upadła znużona, Janek się podkradł i niezgrabnie zakołysał dziecinę. Ale skoro zapłakało, już Motruna zrywała się przerażona tym głosem, i znowu sama pias-towała ukochaną donię.

Takie tam było życie w tój mizernój lepiance, dni, noce, i jednostajnie płynące miesiące i lata. W około ruch był na wsi: ustępowali jedni, nastawali drudzy, kochali się, rzucali, umierali, rodzili. Tu tylko strzecha słomiana porastała mchami, Motruna bladła i chyliła się od pracy, Janek żółkł i garbiał codzien bardziej, dziecina chodzić poczyniała. Ale ani los odmienny, ani dola lepsza nie zaświtała w lepiance Cyganichy.

Wioska nie odstępowała jój wszakże, ale nie bardzo też chętnie garnęła się do niój, nie tak z powodu zabobonnego jakiegoś przesądu, jak raczej lękając się jój ubóstwa. O! dla wielu, dla bardzo wielu na świecie, nic nie ma straszniejszego nad nędzę: dotknąć jój ręką, spojrzeć się na nią lękają, żeby ku nim nie zajączała prośbą, nie zwróciła się z żądaniem pomocy!

Nawet o robotę nie było łatwo Motrunie; bo mało kto ośmielił się ją powierzyć ubogiej, lękając się bliższego z nią stosunku. Przecież staraniem Janka nie brakło ani chleba, ani pracy, ani zarobku, ani zbywało na pierwszych życia potrzebach. Przez lato, gdy dziecina podrosła, Motruna mogąc ją mieć z sobą, w koszyku, najmowała się do żniwa. Janek zara-

biał także, i lepiej, od drugich, bo czasem aż po dwie kopy oziminy stawiał kiedy się rozmachał. W zimie żyli groszem uzbieranym i kądziółką wdowy.

W tój wszakże nieustannój pracy, Janek począł w lat kilka widocznie tracić siły, choć te zdawały się niewyczerpane. A że był przesądny i nie pojmował, zkąd taka zmiana przyjść mogła, przypisywał ją rzuconemu przez którąś bratową urokowi. Począł więc chodzić od znachorki do znachora dla zdjęcia uroku, wypijał różne czarodziejskie leki, ratował się zamawianiem i różnemi ingredyencyami wielce podejrzanych własności, tak, że w końcu, skutkiem tych leków, zapadł gorzej jeszcze i obległ nareszcie śmiertelnie.

Jeszcze go jakaś przy życiu trzymała siła woli i ducha potężna. Włączył się o kiju z sieni do izby, z izby na poddasze, pomagając Motrunie. Aż gdy jednego wieczoru uczuł się bardzo gorzej, pomyślawszy, że śmiercią swoją biednej wdowie narobi kłopotu, wziął kostur, i nie pożegnawszy się nawet, a przez szparę we drzwiach spojrzawszy na dziecinę, która już po izbie biegła szczebiocząc, powłókł się do chaty braci. Całych sił swych dobyć musiał, ażeby do nich się dostać, tak mu już w drodze słabo się zrobiło. A gdy na próg wszedł, zachwiał się i upadł pod piecem.

— Cha! cha! rzekł: otoż mnie i macie panowie braciszkwowie. Chcieliście żebym do was powrócił, toć jestem na usługi. Musicie mi teraz z ojcowizny choć pogrzeb sprawić i *domowinkę!* *).

*) Tak w niektórych wsiach wołyńskich zowią poetycznie trumnę.

Jakoż w godzinę potém głupi Janek już nie żył, a bracia choć się rzucali i łajali, zmuszeni byli pogrzeb mu sprawić.

Niepodobna wystawić żalu, jaki ogarnął Motrunę, gdy się o śmierci Janka niespodzianie całkiem dowiedziała, gdy się jój domyśliła raczej, bo zniknięcie jego nie mogło mieć innego powodu. Dwoje tych istot tak się zżyło z sobą, że wdowa myśl jego odgadła od razu, i rozplakała się, uczuwszy, że nawet w chwili boleści przedśmiertnych pamiętał o niej jeszcze, i bał się jój najmniejszą przykrość wyrządzić. Tak już do niego była przywykła, że zdawało jój się niepodobieństwem wyżyć i wystarczyć bez Janka sobie i dziecięciu. Drugi to już raz tak wdową los ją robił.

Głupiego Janka brakło wszędzie i ciągle, bo on był duszą nędznej chatki. Nie mogła Motruna wyjść na próg, żeby go sobie nie przypomniała na miejscu, które pod drabiną w sieni zimną i latem zajmował w rodzaju budki, skleconej z tyczek od fasoli i miętj słomy. W samj chacie pełno było śladów pracowitej ręki jego i przemyślnj głowy: wyuczył się bowiem bednarki, ciesielstwa, mularki, i wszystko niemal sam robił, bo płacić nie miał czj m majstrom. Na kołku nad ławą naprzeciw pieca, gdzie siadać i grzać się lubił, stary jego dziurawy kapelusz słomiany wisiał jeszcze, i pyłem przysuty, pozostał jak widoma po nim ostatnia pamiątka...

Znów za tym pogrzebem przyjaciela poszła Motruna i ucałowała trumnę, ostatni chleba bochenek, ostatni płótna kawałek kładnąc na niej wedle zwyczaju, bo tych bracia mu poskąpili... Późno w noc skostniała powróciła do pustej, straszliwie pustej chałupki,

myśląc, co pocznie z sobą i dzieciną? a myśl ta ręce odebrała jęj na długo.

Dopiero szczebiotanie dziecięcia obudziło ją z przykrych marzeń do życia i pracy. Ta jest korzyść nędzy, że w nięj praca koniecznością, a ona najlepszym cierpięm lekarstwem.

Trzeba było znowu wziąć kądziel i wrzecziono na chleb dla małęj Marysi. Ale nie było już kim się wy ręczyć na wsi, ani komu odnosić motków i wypraszać przedziwa!

W takięj niedoli i najostatniejszëj nędzy, z dnia na dzień grożącëj śmiercią głodną, rosła sierota Marysia.

Matka widziała już w nięj, jak wszystkie matki w dzieciach swoich, maleńkie cudo a wielkie nadzieje. Ale obcy nawet i niechętni, gdy szła ująwszy fartuch Motruny, maleńkiemi nóżkami ścigając ją i podskakując jak ptaszę za matką, oglądali się z jakięmsz zajęciem na dziecko Cygana.

Marys—gdyż ją tak pospolicie nazywano—była w istocie śliczną dziewczynką, w którëj twarzyczce dwa złączone typy, wschodni i północny, wydały trzeci odrębny, obojga wdzięki tylko mający. Marys miała śliczne oczka czarne, ale nos prosty i nieco zakrzywiony, czoło wysokie, usta nieco wydatne, a pełne uśmiechu i słodczy, płeć dziwnie białą, włos zło-cisto-ciemny. W dziecinie już znać było dziwną zrzęcnosć ruchów, zwiastującą czëm być miała, gdy roz-

kwitnie na dziewczeczkę. Motruna zakochana w niej do szaleństwa, stroiła ją, ubierała, wdzięczyła czém mogła, nienasycony wzrok pasąc tą twarzą pełną wczesnego rozumu, przenikliwości i łagodnej dobroci.

Z każdego słówka sieroty tryskał niezwyčajny dowcip, niecierpliwa ciekawość świata i chęć wybieżenia o swojej sile między ludzi. Małeńka już poczęła matkę wyręczać tak zręcznie we wszelkiej pracy, tak nieraz ją zdziwiła, zgadując myśl jój lub podając radę, że Motruna miała ochotę klękać przed cudowną dziewczynką. Kręciło się to od rana do wieczoru po chatce, śpiewało, biegało, a gdy matka po swemu spuściła głowę obciążoną smutkiem, czepiała się na jój kolana, rozcałowując jój zadumę.

Wychowana w ciągłym niedostatku, Maryś miała jakiś instynkt zaradzania wszystkiemu, i w głowie swój dziecinnój często więcej znalazła, niż matka w całym swém zbolałym sercu.

A tak się to umiało przymilić, uśmiechnąć, podobrać, ułagodzić, że nieraz najobojętniejszy zatrzymał się gdy przemówiła. A stare nawet baby, wracając z targu, rzucały cygańskiemu dziecku po jabłku lub obwarzanku.

Taką dorosła Maryś do lat dwunastu, na bohaterkę ostateńią naszej chatki za wsią. A chciecie-li wiedzieć, co się stało z sierotą? to poczekaście trochę do następного opowiadania.

Znacie już tę biedną chatkę za siołem u cmentarza, skleconą przez Cygana prawie z niczego; jeno siłą woli, namiętności i rozdrażnienia. Nigdy ona nie była nową, a kilka lat życia uczyniło ją zgrzybiałą staruszką, tak, że gdy dziecię, jedyne dziecię Tumrego podrastać zaczęło, razem z biedną Motruną i lepianka 'pochyliła się do upadku. Co chwila potrzeba było coś podłatać, podeprzeć, podlepić i zatkać gdzieś dziurę, i spróchniałe, bo mokrém ścięte, drzewo zastukować. Dachy nie było komu pozszywać słomą; zalepiano w nim otwory kawałkami darniny, która wprawdzie nie przepuszczała deszczu, ale zbyt ciężko obciążała kruche i wątłe krokiewki. W jedném miejscu nad sienią tak się już były powyginały, że niemal leżały na ścieli. Za to latem wszystka ta darń zielona, gdy się rozbijała, przypomniawszy sobie pole, z którego wyszła, gdy zakwitła, aż miło było spojrzeć na ten wiszący ogródek. Wśród gęsto posplatanych zdziebeł pospolitéj trawy, tu i owdzie strzelały kwiatki łąk naszych, zdziwione, że ich losy na taką wysokość podniosły. Para brzózek nawet, które tam zasiała dłoń boża, ręką wiatru rozrzucając życie po świecie, ze swą bieluchną korą i drżącemi listkami wysoko nad komin strzelała, i dobrze część dachu stojącą jeszcze przeniosły. Słoma, której codzienmniej pozostawało, bo raz w raz trzeba się było łątać darniną z blizkiego cmentarnego rowu, służyła gnijąc za pokarm tym chciwym przybyszom.

Gorzéj było daleko ze ścianami, które się osuwały, zapadały w ziemię, krzywiły, paczyły, wychylały i w końcu stały się jakąś niepojętą klejanką najdziwniej zmieszanych materyałów. Drzewo w nich niedostające zastępowały: chróst, glina, ziemia, słoma,

śmiecie i co tylko było pod ręką. Jaskółcze gniazdo pod strzechą gościnną z większą nie zlepia się sztuką. Na podpory użyto rozebraną wprędce nieużyteczną kuźnię, która na jakiś czas i paliwa i budulcu dostarczała. Pozostałe jej słupy, horno i kupa gruzu jeszcze swym sąsiedztwem więcej ruiny przydawały ubogiej chatce, ale wprędce dobroczynna matka zasiała na nagiętej górce pokrzywy i łopuchy, które zielonymi liśćmi wstydliwą robotę rąk ludzkich zniszczoną pokryły.

Ale człowiekowi, któremu po śmierci tak mały wystarczy domek, i za życia niewiele było potrzeba. Wchodziło się do lepianki na-wpół się łamiąc, by przez drzwi niskie przecisnąć; okno ramą spoczywało na ziemi; a we środku, w tej jamce ciemnej, smutnej i wilgotnej, żyło się życiem powszedniem, zupełnie tak samo jak się cierpiąc, jęcząc i stękając żyje w niejednym mozaikowanym pałacu.

Kiedy po srogięj ulewie opadła gdzieś ze ściany nalepa, albo w skwar oschła osypała się glina, i wiatr, gość nieproszony, po izdebce przeleciał,—wdowa szła za chatę, rozmiesiła gliny, przyłożyła gruzu z kuźni, zaprawiła otwór, i znowu na jakiś czas było zaciszno i cało.

I dziewczeczka, co rosła w tej rozpadlinie, nie zajmawszy nigdy do lepszego mieszkania, nie wystawiała sobie, by co na świecie lepszym, piękniejszym, wygodniejszym nad nie być mogło. Młodość tak sobie kłamię gdy kocha, a dziewczę tak tę swoją chatynkę kochało! Dla niej większe i porządniejsze budowy zdawały się nawet smutne obok tej jamki na górze przeciw cmentarza, do której częściej wiatr niż ludzie zaglądali.

Widzimy nieraz na suchej skale, w garści suchego piasku wyrastającą dzielnie i silnie roślinę, którą żywi tylko Ojciec Niebieski, i stajemy zdumieni myśląc, z kąd ta wygnanka bierze soki pożywne? Miała je widać w ziarnie, które drobną łuską obejmowało wielki zaród żywota, i tą siłą tajemniczą krzepi się, podrasta, dźwiga. Tak właśnie i sierotka rosła, bujała, rozkwitała, choć nic jój nie pomagało ku temu.

Ciągle prawie zamknięta ze smutną matką, wpatrując się w wybladłe i zwiędłe jój oblicze, słuchając westchnień niewyczerpanych, owinięta atmosferą śmierci, uśmiechała się przecię do życia, i rumieńczyk czasami krasiał jój śliczną twarzyczkę, a oczy poglądały pragnieniem żywota i ciekawością świata.

Wiecież, jak się wychowują wiejskie dzieci? Jak ptacy niebiescy, jak kwiaty na niwach, jak wszystko, czém się sam Bóg tylko opiekuje przez ręce aniołów. Słuchają gadek wieczornych i pieśni macierzyńskiej, patrzą na czynne ojców życie, dumają w polu, poglądają na niebo, i koniec końców serce się rozkołysze, i w głowie myśl się rozwinie, i budzą się ludźmi jak drudzy, często od drugich lepszymi. Mniej od nas wiedzą pewnie, ale czują równo, jeśli nie silniej, a więcej i lepiej zgadują, bo w nich mówi serce, a serca słuchać umieją...

Córce Motruny wiele nie dostawało i z téj nawet odrobiny, którą mają wszyscy. Matka jój była tak ponuró milcząca, a wioska dla nich nielitościwie obojętna!

Nie było już znowy, i nikt Motruny nie odpychał gniewem, ale zwano ją pogardliwie Cyganichą, a jój dziewczeczkę Cyganką. I choć się Maryś umiała przymilić, przypytać, ucześcić, podobać, choć jój nie odga-

niano – dzieci wiejskie z obawą jakąś stroniły od sieroty, uciekały od niej, a często nielitościwie płały jój figle! O! dzieci bywają okrutne!

Nieraz wybiegła w pole, i rada się była zbliżyć do pastuszków, którzy, gdy odłóg był w tój stronie, pod samą chatą rozkładali ogniska, piekli kartofle i swawolili, naglądając na bydelko i owce rozpierchłe po łanie; ale chłopaki i dziewczęta ledwie ją zoczywszy, szepotali: „Doczka czarownicy! Cygańskie dziecko!“ i rozpierchali się po jarach. Biedna Maryś przysługiwała im się to przyniesionym ogniem, to trzaskami, to trochę łomu; przyjmowali od niej podarek, ale ani się było z nimi rozgadać, ani poweseścić, ani podrzyć.

Marysia najczęściej była sama, samiuteńka, i tak już przywykła powoli dawać sobie radę, że jój ludzie nie nęcili. Patrzała nieraz dni całe, usiadłszy w progu chaty, na przeciwległe cmentarzysko i wzgórze, na którym zdaje się nic do widzenia nie było, i umiała tam dojrzeć dziwnie zajmujących rzeczy.

Przelatywała jaskółka raz niosąc w dziobku trochę błota, to znowu odrobinę słomy lub pierza; Marysia szła za nią oczyma tam i nazad, pilnie przypatrując się pracowitej ptaszynie, tak, że te swoje sąsiadki znała niemal każdą z osobna, i po ruchach i zajęciu rozpoznawała. Wiedziała ona, gdzie której gniazdeczko przylgnęło i z kąd sobie żywność nosiły, a po niespokojnych ich krzátaniach uczyła się poznawać nadchodzące burze. Bawiły ją szczebiotliwe wróble, i drobne ptactwo gniezdzące się na kilku wierzbach cmentarnych, i elegautki sroczi często o dwa kroki od niej przechadzające się po gościńcu, ale na-

dewszystko malutkie susły, których tam niezliczona ilość okrywała brzegi pola i naddroże.

Pogodnego dnia miesięcznej nocy, gdy cicho było dokoła, susły miały zwyczaj na progach podziemnych domowstw swoich używać świeżego powietrza, i zasiadać rzędem, pewnie na jakąś gawędkę; a Marysia dech w sobie zatrzymywała, by ich nie spłoszyć najmniejszym szelestem, bo trwożliwe zwierzątka zaraz znikaly w swych pieczarach. Zabawne ich ruchy, skoki, głos nawet przerywający ciszę, miłe były osamotnionemu dziecku.

A że gościniec dość był z téj strony pusty, pola były rozległe, lasy niedalekie, więc ciekawe dziewczę miewało choć rzadziej i mniej pospolitych gości. Po nad chatynką przeciągnęły nieraz kaczki, lecąc na nocleg do blizkiego łągu, zjawiał się zajaczek umywający się rosą lub skubiący zieleninę, siadały czasem siewki, pokrećilo się hałasliwe stado szpaków, zabłąkała z dębniaku kraska niebiesko-pióra... a epokę stanowiły dropie na grubych nogach i podrózne żurawie.. I było na co patrzeć, i podziwić się czemu.

A czy to wiele potrzeba takim oczętom młodym, co na wylot świat widzą żywym jakimś instynktem niepojętą siłą serca i przeczucia! Nieraz chmura komarów, para żółtych wiosennych motyli, piórko ptasie, które wiatr unosił w powietrzu, bujając niém na wszystkie strony, trzymały jęj oczy długo, długo ściągające zjawisko, dopóki tylko mżyło w dali w powietrznych obszarach.

I myślała Maryś o bożym świecie, o stworzeńkach bożych, o kwiatku co niezasadzony i niepolewany wykwitał u proga,—a marzenie jęj było jak bajka cu-

downe, i jak pieśń poetyczne, i jak młodość świeżości pełne.

A gdy przyszło w słotę, w burzę i chłód zamknąć się z matką w izdebce, to dziewczę szczebiotało potem, że i milczącej Motrunie słowo z ust wyciągnąć musiało, i nieraz wywołało uśmiech, opowiadanie, naukę—lub żale.

Zresztą już Maryś odgadywała cudownie, czego jej matka odpowiedzieć nie mogła. Biedne kobiecisko tak było życiem znękanę, tak cierpiało w sobie, a podnieść się nad boleść swoją nie mogło, że nawet miłość macierzyńska rzadko jej otworzyła usta, a ze zwiędłych warg zwiędłe ulatywały słowa, niewiele mogąc nauczyć.

Bo gdy dziecię rade było świat boży, ptasi, kwiecisty, zielony widzieć wesoło i jasno; z ust matki same słyszała narzekania, żale, a czasem... czasem nawet przekłętwa. Ta sprzeczność widoku wiosennego ziemi i wiosennego bicia jej serca ze słowy macierzyńskimi, długo się w główce dziecka pomieścić nie mogła, i pierwsze dumania zrodziły się ze sprzeczności niepojętej dla Marysi, której sobie rozwiązać nie mogła.

Z jęku matki wyczytała pierwszy raz cierpienie, męczeństwo, boleść, których nigdy nie widziała wśród ulubionych stworzeń, zawsze wesołych aż do zgonu i szczebioczących przy skonaniu,—i pomyślała biedna, że albo jej matka jest wyjątkiem, lub może jej żalność jest skutkiem wieku i choroby.

Jej pojęcie życia tak było fałszywe, tak dziecinne, a tak pierwotne, że gdyby była całą myśl swoją wyspowiadała najzakamienialszemu z ludzi, byłby się nad jej weselem, ufnem w dolę i przyszłość, rozplą-

kał łzami krwawemi. Jak ofiara uwieczniona kwiatami szła naprzeciw losu, co jój oczekiwał groźny; nie widziała jeszcze ani noża, ani stosu, ani boleści, co na nią zaczajone czekały, tylko drogę umajoną i wysadzoną kwiatami w złotych sukienkach.

I rosła tak Maryś z nieopatrzniem weselem, którem Bóg ozłaca pierwsze chwile młodości, pierwsze brzaski życia; a Motruna codzien, co godzina, zdawała się latami starzeć i chylić ku przedwczesnej mogile. Nie żyła już, dogorywała tylko.

Nawet ukochane dziecię do żywota przywiązać jój nie mogło; bo sił do tego brakło i z tchem każdym reszty ich ulatywały.

Zimny pot występował na czoło matki, gdy pomyślała, jak swą sierotkę zostawi samą jedną na świecie, samiuteńką niebożę; serce jój biło strachem, ale uścisk serdeczny, którym wiązała się ze swoją dzieciną, zamiast ożywić, do reszty ją osłabiał, i w dziwną, pożerającą rzucał gorączkę.

Przychodziło to powoli, nieznacznie. Rachując na powolność swój choroby, łudziła się Motruna nadzieją, że Marysię wychowa, nim oczy zamknie na wieki; ale myliły ją rachuby. Słabość owładła nią niepostrzeżona; z razu szła zółwim krokiem, potem postępowała coraz chyżej, coraz szybciej, aż dnia jednego postrzegła się biedna kobieta, że już wiadra ciągnąć nie może, że najlżejsza dREW wiązka jest dla niej niepokonanym ciężarem, że samo chodzenie po izbie nuży ją śmiertelnie.

Usiadła na łóżku i zapłakała po cichu. Maryś na wszystko miała oko, ale wycieńczenie matki przypisywała starości tylko, wystawiając sobie Motrunę daleko, daleko starszą, niżeli była w istocie; i gdy po-

strzegła niemoc jój, wzięła się tylko ochoczo do zastąpienia jój w pracy.

— O! nie turbujcież bo się mateczko! zawołała podskakując do jój kolan: wszak-ci to ja na to rosnę i już cię potrafię wyręczyć. Próbowałam dwóch wiader pełnych, i chociaż się trochę zginam pod nimi, ale mi je podnieść nie trudno; drew i spory oberek zarzucam jak piórko na plecy... Odpoczywajcie sobie spokojnie, a mnie tylko znaczek dajcie, to zobaczycie, jak się spawię.

Szczebiotanie dziecięcia jeszcze gorętsze łyzy wycisnęło z oczu biednej kobiety, która w milczeniu przycisnęła niebogę do serca.

— Gołąbku mój, gołąbku, odpowiedziała cichym głosem: ochoty ci nie brakuje, ale gdzie te siły, któremi się tak chwalisz? Dobrze ci pobawić się z wiadrami, ale dźwigać wodę pod górę, ale przynieść drew z lasu, al i tyle, tyle ciężkich robot poopędzać koło domu, nie twoją to siłą, nie twoją!

Maryś pokiwała mądrą główką.

— Posłuchajcie-no matusiu kochana! zaśpiewała dziewczyna swym ptasim głosem: wyście to mnie nieraz wieczorami dawniej rozprawiali różne piękne rzeczy, a ja dobrze je zapamiętałam... O! byle kto mocno chciał, zdaje mi się, to co zamyśli, zrobi.

— Moja Maryś, tak w bajce.

— A, cóż to bajka matuniu? to wczorajsze życie.

— Bajka! at sobie wymyśli ludzki na pociechę tęsknego żywota... Może tak i bywało dawniej, ale dziś już tak nie jest: świat taki smutny, ludzie tacy bez litości!

— Tobie się tak zdaje matuniu; a choćby i źli

byli, taki cóż? dobrego obroni przy nim dobra siła zła nic nie zrobi czystemu.

— Daj Boże! al daj Boże! i westchnęła biedaczka, bo więcéj wypowiedzieć nic chciała.

Miała na ustach spytać swéj Marysi, coby poczęła, gdyby jéj matki nie stało? ale na to zabrakło odwagi, zasmucić nie chciała dziecka, obawiała się przestraszyć.

Marysia tymczasem naiwnie się cieszyła, że teraz sama matce służyć będzie i gospodarzyć w domu.

Bóg wie co się tam roilo w téj głowie dziecięcój: —czysta bajka z wiecznicy! Spać jéj nie dawało marzenie, tak pracowała, tak się krzątała ochoczo, tak umiała chatynkę, tak w niéj już ład i dostatek tworzyła cudem, pełna ufności w Boga i ludzi.

— Już wiem! już wiem jak to będzie! — szeptała przewracając się na twardej pościółce. Będą ludzie iść z jarmarku, wyjdę sobie na drogę, i stanę i uśmiechnę się, i pokłonię; chybaby serca nie mieli, gdyby mi też który nie podarował choć... jagnięcia, choć koźlątko, choć czarnej kury czubatej. Rozhoduje, będzie za rok cztery, za dwa lata dużo, dużo — cała trzoda, całe stado... Na wsi przedziwa wiele, ja już umiem prząść, i nie grubo, nie radnię, ale na osmnastkę, na dwudziestkę. Chybaby Bóg nie łaskaw, gdybym na koszulę dla nas nie naprzedła i nie zarobiła to serka, to jaj trochę, to mąki, to krup, to okrasy.. O! to pójdzie... zobaczy matka! A potem przyjdą swaty od najbogatszego we wsi gospodarza, przyniosą matce podarek okrutny, pokłonią się do kolan, pocałują w rączkę... i będzie w cerkwi wesele, będzie się dziwować ludu mnogo... A teść mój matunię umieści

jak u Boga za piecem, w ciepłej, nowój, białej chacie; tylko jedz, śpij i używaj!

I tak daleko serdecznym marzeniem leciało dziewczątko, że się już widziało gospośią, matką, siwowłosą staruszką... ogromne, pełne zboża zasieki, stajenki pełne bydła, podwórko ptactwem bielejące... i—sen w końcu kleił powieki zwilżone łzą niespokojnej radości.

Gdy się zbudziła Marysia, ujrzała przed sobą matkę bladą, wyżółkłą, chudą, jakby przez tę jedną noc dziesięć jej lat przybyło, z kijem w rękę stojącą nad jej pościółką. Po narzuconej na plecy świecie, po białym rańtuchu, po starych bótach, które na nogi wdziała Motruna, poznała Marysia, że się gdzieś wybiera, i sądząc, że myśli iść po wodę, żywo skoczyła, by ją uprzędzić.

— A dokądże to? dokąd? matuniu? spytała przestraszona, i po co ci wstawać było?

— Leż dziecko, leż, ja na wieś pójść muszę.

— Na wieś? po co? to mnie poszlęjcie.

— Nie można, serce, nie można, gołąbku kochany. Pójdę do Sołoduchy, poradzę się jej na niemoc moją.

— Ja ci tu Sołoduchę sprowadzę.

— Nie, nie! ty pozostań w chacie: mnie taki samój trzeba.

— Aleś ty słaba.

— To nic, dojdę o kiju, dojdę... A tobym się rozleżała na nic... Ot zaraz i powrócę...

Marysia chciała się opierać, ale Motruna milcząc drzwi otworzyła, i choć chwytając się za ściany i uszak, szybko wyszła na podwórko.

Dziewczę wyjrzało tylko za nią z bijącym sercem, zawołało raz jeszcze po cichu, i pozostać musiało.

— Otoż kiedy tak! pomyślała upinając spódnice i narzucając fartuch na głowę, bo dzień był wilgotny, — zwinę się i przyniosę wody, rozpalę ognia, przygrzeję juskę, nim matka powróci... Zobaczysz, jaka ze mnie gospodyni.

Gdy się tak ochoczo krząta w chatynce, Motruna tymczasem powlokła się do wsi nieboga. A tak jój teraz zdało się daleko! Co ujdzie kroków kilkanaście, to stanie i odpoczywa, i wciąga powietrze, jakby go już brakło na świecie; i znów pośpieszy niecierpliwa, a wnet przysiada, bo drżą nogi, bo się w głowie kręci. Idzie tak, idzie do chaty Sołoduchy, bo to stara znachorka i całej wsi lekarka; ale chata daleko, daleko, na drugim końcu sioła, a sioło wielkie, a droga górzysta.

Młodyby przebiegł w minut kilka, co jój iść było potrzeba godzinę; dobrze jeszcze, że po drodze to płot, to ścianka, to kamień, to drzewo, oprzeć się lub przysiąść pozwoliły; a i tak ciężko dźwignąć niemocy ciało, które się ołowiem zdaje. Chata Sołoduchy jakby coraz uciekała, ale wreszcie już ją widać: postrzegła wrota, i jakoś lżej na sercu, że choć w drodze nie padnie.

Dwie biedy najprędzej się jakoś zbliżą do siebie. Sołodusze także świat nie był rajem, choć jój nędza ani w połowie nie doszła do nędzy Cyganichy. Najprzód stara miała męża dziada, ślepego prawda, niezdarę, pijaka, haraburdę, który jój często boki łątał i głowy nadszczerbił; ale też sprytny był włóczęga, groszaki przynosił i nieraz torbę pełną sucharów i wszelakiej ludzkiej jałmużny. Miała chatę, pilnując wrot

na łan, i sposób do życia ze swego znachorstwa. Bóg wie jak jój przyszła ta mądrość: ot tak po prostu z wiekiem i zmarszczkami. Ten i ów jój się poradził, pomogła jednemu i drugiemu, zaczęto ją brać do słabych niewiast za babkę, a potem już i febrę, i łamanie w kościach, i czego nie nauczyła się leczyc! W ostatku cała wieś inną nie miała lekarki.

Niebardzo jój ludzie szanowali, bo Sołoducha językiem nie darowała nikomu; ale aby kto stęknął, szła koza do woza—i ot... tak się żyło z cudzej biedy.

Stary Rataj (było to rodzinne nazwisko męża Sołoduchy) nie żebrał ciągle i nie wałęsał się nieustannie po drogach, bo był leniwe dziadziśko, i albo w karczmie zasiadywał, albo do góry brzuchem leżeć lubił; ale byle odpust, praznik, jarmark i święto, wdziewał torby i w pochód ruszał.

A tak sobie doskonale dawał rady choć oczy stracił, że i prowodyra nie potrzebował, i gdziekolwiek stanął, wiedział co z sobą począc, kędy się obrócić, nie rytając ludzi.

W polu, w lesie, we wsi wśród najrozmaitszych drożynek, które latem lada przypadek po polu kreśli, kierował się śmiało, że ludzie z podziwu stawali patrzeć i ramionami ruszali. A choć się czasem zapikł, to póki tylko na nogach się trzymał, nie zbłądził nigdy; i padając spać, miejsce sobie wybierał dobre, a rozbudzony nie pytał gdzie wódkę wytrawił? strząśł się, zamruczał i dalej w swoją drogę.

W sam raz się z żoną dobrali oboje!

Hulali póki sił stawało. Sołoducha chodziła, jak to mówią, na Podole, to jest włóczyła się całymi miesiącami, nie zaglądając do domu; Rataj próbował różnego chleba, bywał na wozie i pod wozem. Nareszcie zeszl

się znowu na starość-i siedli razem wrot pilnować klócić się i gderać. Sołoducha była kobietą słusznego wzrostu, silną jeszcze, krzepką, wyszczekaną i w istocie znachorką wielką. Chorobę jak chorobę, nie wiem czy poznała; ale człowieka na wylot. Dość jej było spojrzeć w oczy lada komu, a gotowa była powiedzieć co myślał; a śmierć to tak czytała z wejrzenia, że kiedy pokiwała nad kim głową, już mu się pewnie niewiele należało.

Brali ją też i do wsi sąsiednich nieraz, i nie sami chłopci, ale ekonomowe, popadye, ba nawet z Rudni szlachta czynszowa, siedząca na budkach. W chacie niedostatku nie było przy dwojakiem rzemiośle, i gdyby był statek, mógłby być dostatek; ale oboje na starość wódkę polubili, i Rataj i Sołoducha, a przemyślny Żydek i nielepszy od niego szynkarz szlachcic, byle podpoił, karbował nielitościwie.

Bywało tak, że stara zawiąże już kupę groszaków w węzełek i schowa je na złe dni, a Rataj wetknie gdzieś w kątek przyniesioną jałmużnę, także od biedy ją chowając; ale w dni kilka i ón i ona dobędą zapasu i przepiją wesoło. Jednakże nie brakło im chleba i wygody: bo Sołodusze nikt nigdy nie odmówił ze strachu, żeby nie oczarowała, a Rataj tak nudnie zebrał, że z kamieniaby grosz wydusił; a i wrota, choć rzadko, dawały szeląg przecię.

Stary doskonale miał ucho, i byle zaturkotało co na pana, wybiegał otwierać sam, kłaniając się do ziemi, a białe swe oczy podnosząc potem do góry, aby ślepotę okazać; ręką i głosem domagał się datku tak drapieźnie, że niejeden bez ochoty rozwiązał ściąg-niony woreczek.

Oboje pomimo nałogów swych nie byli wcale zły-

mi ludźmi, i gdy mogli, chętnie dobrze czynili, a nikt nie powiedział, żeby komu w czém zaszkodził, nawet ich o czary i zawiązki w zbożu nie posądzano...

Sołoduha siedziała w progu, zapięta fartuchem, brodę trzymając na kolanach, a za nią w sieni leżał dziad na garści słomy. Gdy ujrzała idącą ku sobie biedną Motrunę, spojrzała tylko z daleka i poczęła kiwać głową.

— Aj! aj! rzekła: ktoby to powiedział, zem to ja ją znała dziewczyną, dzieckiem! a matka jój nawet była młodszą odemnie. O! dziś stara jak ja, a gorzej słaba odemnie... To tobie Cygan! to tobie kochanie!

— O kim to ty mówisz? odezwał się Rataj.

— A o kimże, kiedy nie o Cyganiszel! Wlecze się biedota, ani chybi, żeby jój co poradzić; ale komu życia zabraknie, to go żadne nie da ziele. Już to ja widzę z daleka, i dawno wiem, że do zimy nie dożyje nieboga! Tylko się duch w ciele trzyma, a szpary szuka, żeby uciec...

— Oj! oj! jaka ty znachorka, babo przekłeta! zawołał stary ze swego barłogu. Żebyś ty tak znała swoją ostatnią godzinę, jak ty co wiesz! O! ludzi czmucisz, a porzuciłabyś mnie durzyć; czy to ja ciebie nie znam?

— Milcz stary! jeszcze ja i tobie ostatni dzień wypowiem.

— A! niedoczekanie twoje, gadzino!

I byliby się skłócili, gdyby Motruna nie nadeszła w téj chwili.

Sołoduha, którąśmy widzieli przed chwilą zęb za zęb ujadającą się z mężem, przybrała na zawołanie fizyognomię swojego stanu: łagodną, zamyśloną, tajem-

niczą, a choć Motruna była tylko biedną, ubogą sierotą, powitała ją z nadszkakiwaniem.

— Aj! cóż tobie hołubeczko moja? czy nie słaba ty? zawołała do zbliżającej się Cyganichy.

— Słaba! gorzej niż słaba! odpowiedziała przerywanym głosem Motruna: przyszedł czas umierać!

— Cóż to gadacie, krzyż z wami! Alboż to sobie kto sam śmierć przepowied! No! no! cóż ci to jest? powiedz-no hołubko, a może co poradzimy.

— Gdzie tam! gdzie tam! potrzęsa głową siadając na kłodzie Motruna, której nogi drżały i świat się w oczach kręcił.

Sołoducho trochę się uczuła dotkniętą tym brakiem ufności w swoją sztukę.

— Juściż nie po coście do mnie przyszli, tylko po radę? rzekła uśmiechając się.

— Oj! nie po radę, nie—zawoła spoczawszy trochę kobieta,—ale po miłosierdzie... Mnie już taki nie żyć, to darmo!

Dziad i baba pilniej coraz przysłuchywać się zaczęli, a przybyła tak głosem przerywanym mówiła:

— Już to ja nie dziś czuję, że umrzeć potrzeba, nie dożywszy siwego włosa... Al i nie żalby mi było światła, gdyby nie dziecina sierota!... Ot tak Sołoducho, matko kochana, życie uciekało, uciekało i uciekło; darmo ziele warzyć i zażegnawać. Pan Bóg wie co robi: przekłębstwo ojca wisi nademną. Spokojniebym umierała, spokojnie, gdyby nie dziecina; ale we wsi nie ma Cyganicha brata, nie będzie miało cygańskie dziecko opiekuna. Marysia moja zwała się i przypadnie. Takiój męki jak moja, wy nie rozumiecie, Sołoducho. Żyłabym, żyła i męczyła się, żeby dzie-

cię wychować, a to Bóg nie pozwala za grzechy moje. Al! co się stanie z Marysią moją!

— Albo to Pana Boga nie ma? odparła Sołoduha; albo to na świecie wilcy nie ludzie?

— Oj! jest Pan Bóg, jest, ale srogo za grzech karze; a ludzie...

— At! ludzie—mruknał dziad z barłogu—dyabliby ich brali; niewiele lepsi od wilków!

Nikt nie uważał na ten wykrzyk starego Rataja, a Motruna wciąż jak z gorączki prawila swoje:

— Oj! dziecina, dziecina! co się stanie z moją Marysią! Tu śmierć przychodzi, a dziecko mnie za serce trzyma!

— Durzycie bo się darmo, odparła siadając przy niej bliżej Sołoduha: czyż to aby kogo głowa zabolala, zaraz i umierać? Ot, będziecie jeszcze zdrowi, powiedzcie-no, co wam jest?

— Co jest? śmiejąc się boleśnie mruknęła wdowa: to co jest, to już koniec; spytajcie chyba co było? Marłam, schłam, słabłam, codzień stygło ciało, codzień się zasuwały oczy, a ot, dziś, jutro koniec będzie.

— Porzućcie wy! sobie prorokować.

— Darmo Sołoducho matko, ja bo czuję co mi jest. Trzeba umrzeć. Nie mnie już radźcie, ale dziecinie. Stara pokręciła głową w milczeniu.

— Co tu poradzić? szepnęła: toć macie krewniaków?

— Swoi! swoi to zawsze najgorsil! odparła Motruna. Nie ma co ich wspominać. Radźcie inaczej... Broń Boże na mnie końca, ta biedota sama się jak palec zostanie w chatynce, i nie będzie jój komu podać chleba kawałka; zginie marnie!

— Wezmą do dworu!

— O! to ostatnia pohybell! krzyknęła Motruna, rzucając ręką. Nie chcę! nie chcę! napatrzyłam się ja sierot wychowywanych we dworze... Marysia będzie ładna.. twarz ją zgubi; wołałabym, żeby z głodu zginęła a poczciwie. Ot, wiecie co Sołoducho?.. wy ubodzy jak ja, swoich dzieci nie macie, bądźcie wy matką Marysil

Na te słowa wyrzeczone z wysiłkiem, na które rozpacz tylko zdobyć się mogła, Sołoducho porwała się z siedzenia, a dziad z posłania swego, i oboje krzyknęli coś niezrozumiałym głosem z podziwienia. Chwila milczenia złowróżbnego nastąpiła po ich wykrzyku, który nietylko oznaczał wstręt i niechęć, ile jakiegoś przestachu i zdumienia. Dziad i baba spojrzeli po sobie, a białe oczy Rataja, choć ślepe, w stronę żony się zwróciły.

Motruna uchwyciła trochę powietrza, i nie dając im odpowiedzieć, ciągnęła dalej:

— Ona was nie obje przecię, a za troje zrobi. Takiego dziecka drugiego nie ma tu na wsi. Na nią i chatę zostawić można, i posłać, i powierzyć, bo wszystko zrozumie, a cicha, a pokorna! Mielibyście sługę za kawałek chleba, i dziecko gdyby własne.

Starzy milczeli jeszcze.

— Kiedy bo widzicie... odparła Sołoducho namyślając się jeszcze,—ot co to gadać za wczasu! Nie dumajcie darmo o śmierci, nie wywołujcie wilka z lasu.

— On już wyszedł i przeciwko mnie stoi, odpowiedziała wdowa po cichu,—i ślepie wywarł na mnie, a niemi duszę wyciąga!

— Choremu zawsze śmierć na myśli.

— A weźmiecież wy moją Marysię?

Dziad stanął we drzwiach, i począł się przysłuchiwać, trzęsąc głową.

— Kiedy bo widzicie, rzekła Sołoducha kręcąc w rękę róg fartucha: to się dobrze potrzeba namyślić, żeby znów na próżną miskę nie zaprosić. Wy więcie, jakie życie nasze: jałmużna i miłosierdzie bozkie; ledwie mamy chleba kąsek... Nie pożałowałibyśmy go, ale jój u nas dobrze nie będzie.

— A gdziez jój będzie lepij? Bogaty gospodarz, gdyby i wziął, to będzie sierotą pomiatał. Wy swoich dzieci nie macie, samiście ubodzy, rychlój się zlitujecie nad biedactwem; oczu jój przynajmniej chlebem wykłówać nie będziecie.

Znowu starzy milczeli, aż Rataj się nareszcie wywłókł o kiju z chaty i stanął przed Motruną.

— Słuchaj-no, sąsiadko, rzekł raźnie do Cygani-chy: co tu długo gadać? My Marysię weźmiemy, a jakby Sołoducha nie chciała, no! to jój kijem boki wyłatam.

Stara rozśmiała się na całe gardło i poskoczyła do męża; nierada, była małżeńskich kłótni rozpościerać przed ludźmi.

— A! mój ty stary! poczęła słodko: ciebie bo zawsze żarty się trzymają. No! no! schowaj kij na psy, jakoś my się zgodzimy!

Rataj pomruczał coś i zamilkł; Motrunie lzy z oczu pociekły.

— Wy ją weźmiecie, wy się nią zaopiekujecie; bo jak nie wy, to już nikt... tylko nędza zna co to cierpieć, i ulituje się nad sierotą... Sołoducho, matuniu, bądź jój matką! ja za was i w grobie modlić się będę!

— Nie turbujciez się już o dziecko, przerwała ba-

ba: kogo Pan Bóg stworzył, tego nie umorzył.. Jeszcze wy ją sami wyhodujecie.

Cyganicha głową potrząsała.

— Dziś, jutro—rzekła z cicha—to i koniec będzie O mizerne ciało nie kłopotę się, muszą mnie pochować; a kiedy teraz i dla dzieciny Bóg dał rodziców, to już choć umrę spokojnie.

I chwyciła za kij, chcąc wstać, bo coraz słabszą się czując, rada była do chaty powrócić; ale ledwie wzbiwszy się na nogi, znowu opadła na kłodę.

— Gdzie wam iść do chaty, takiej zmęczonéj! poczęła Sołoducha; trzeba odpocząć...

— Nie ma czasu! nie ma czasu! z dziwném obłąkaniem zawołała Motruna. Dojdę taki jeszcze choć do proga.

Sołoducha plasnęła w ręce.

— Nie zrywałabyś się lepiéj, rzekła. A kiedy wam już tak pilno, ot jedzie Mosiej parobek popadyn, to go poprosimy, i podwiezie was pod cmentarz.

— Gdyby on to chciał zrobić! zawołała z westchnieniem Motruna.

— Ej! poczekajcie-no: jam go wykurowała przeszłej niedzieli z takiego czyraka pod pachą, że waryował, a nawet mi nie miał za co kieliszka wódki kupić; dam ja sobie z nim radę.

To mówiąc, kiwnęła tylko Sołoducha na parobka: pewna swego.

— Słuchaj-no! rzekła do niego: coby ty zrobił, gdybyś znowu dostał czyraka w pachwinie?

— A niech mnie Pan Bóg broni! krzyknął Mosiej: dobrze, zem tamtego przeżył!

— No! to nie chcecie drugiego?

— Co tobie, kobieto?

— Bo ja to tak tylko się pytam... Wy wiecie że kto mnie nie posłucha...

— No! no! a czegoż wy chcecie odemnie? zapytał chłopak, skrobiąc się po głowie.

— Podwieźcie chorą Cyganicę do chaty pod cmentarzem, szepnęła mu na ucho. Jój się już niewiele należy, do domu się już sama nie dowlecze.

— A podwiozę, podwiozę, jeszcze na wóz wsadzę i z woza wysadzę, rozśmiał się Mosiej, rad że się na małym skończyło. Tylko niech się dobrze okryje, żeby jój ludzie nie poznali, boby mnie palcami w karczmie wytykali, żem się z nią pobratał.

Coś tam więcej mówił jeszcze, ale go już nie słuchali, a Sołoducha pośpieszyła pomódz biednej Motrunie na wóz, który się z okrytą kobieciną potoczył powoli aż na drugi koniec wsi.

Choroba Cyganicy, może skutkiem przestachu o los dziecka, czy też wielkiego nad siły znużenia, w drodze już wzrastać zaczęła, tak, że gdy Mosiej z woza ją u drzwi chaty zszadził, ledwo się potrafiła zawlec do łóżka.

W chatce było pusto, bo Marysia zbierała w krulaku suche gałęzie (holce), aby niemi ogień podsycić, a Motruna miała czas odetchnąć, nim nadbiegło dziecko, wlokąc za sobą całe brzemię suszu.

Nie wiem zkąd nabrała znów sił wdowa, by się wziąć do pracy, ale z zaiskrzonym okiem, pocałowawszy dziecko w czoło, poszła do pustej bodni, w której trochę tylko bielizny i parę sukman leżało na dnie. Ztąd wybrała sobie koszulinę, fartuch stary, i umywszy się zaczęła odziewać pośpiesznie, nic nie mówiąc Marysi.

— Czy to gdzie iść myślicie, matusiu? spytała zdziwiona sierota.

— Ot tak... może, może... trzeba będzie — odpowiedziała jękając się matka — nie wiem, mam sprawę u pana.

— Aleście się i tak już dzisiaj zmęczyli.

— Ej! nie tyle! Mosiej przywiózł mnie tu ze wsi.

— Tobyście może poszli tam jutro...

— Kiedy bo to sprawa pilna, a z panem nie żartować... rzekła wdowa, której się łzy w oczach kręciły i łkanie połykała ze słowy. Nie bój się Marysiu moja! jak nie zdołam, to nie pójdę.

— Połóżcie się lepiéj! zaczęła świergotać dziewczina. Ja zaraz ognia lepszego rozpale i krupniku wam wczorajszego odgrzeję. Wamby się i posilić potrzeba.

To mówiąc, pobiegła odgrzebać węgle starannie popiołem przykryte, a Cyganicha jako tako się odziewszy i zawinąwszy głowę rańtuchem, powoli przeszła z alkierza i położyła się na łożku.

Marysia uradowała się, widząc, że matka jęj posłuchała, i żwawiej jeszcze jęła się swojej roboty. Wyciągnęła garnek z pieca, zdjęła pokrywę, i ledwie płomyk zabłysnął, przystawiła trochę dla matki schowanego krupniku. Sama jak myszka zajadała ukradkiem suchy chleba kawałek; bo okrutnie czuła się głodną.

Motruna tymczasem milczała, i zmrużywszy oczy, zdawała się powoli usypiać; z czego rada Marysia, na palcach, cicho zwijała się po chatce. Już i krupnik zaczął parować, i miska i łyżka były gotowe, a Motruna głębokim snem zdawała się być uspiona. Dziewczę chrząknęło kilka razy, zakaszłało, myśląc, że matkę

przebudzi; ale ta tak była znużona i potrzebowała spoczynku, że się ani ruszyła.

— Co jój mój krupnik! pomyślała Marysia, zlewając go znowu do garnka i przystawiając do ognia: sen ją lepiej posili... a jadło nie uciecze.

Siadła więc na ławie, przyrzuciła gałązek, odsunęła garnek trochę, i z oczyma wlepionemi w matkę, dech wstrzymując, by jój nie przebudzić, przysiadła.

Motruna spała na pozór spokojnie, że ani jój piersi oddech żywszy nie poruszył, ani drgnieniem żadnym nie objawiało się cierpienie. Twarz jój stawała się coraz bledszą, oczy na wpół tylko przymknięte nie zdawały się już patrzeć na córkę, ku której ciągle się zwracały, a usta dziwnie roztwarte, pozostały nieruchome...

W tym śnie spoczynku, Bóg zesłał jój odpoczynek wiekuisty — śmierć pożądaną po życiu boleści. Ale dziecię wdowy, które nigdy nie widziało umarłego, nie rozumiało śmierci, i radowało się biedne pozornym matki uspokojeniem.

Spoglądała na łóżko kiedy niekiedy, i bała się ruszyć, by nie przerwać snu błogiego.

— To dobrze... mówiła w duchu Marysia — choroba jój snem przejdzie, posili się snem matunia, i wstanie mi zdrowa, zdrowiuteńka, wesoła! Taki sen! taki sen! nie pamiętam, żebym ją kiedy widziała śpiącą tak głęboko. Bywało, żebym się ruszyła, to się zaraz obudzi... Wyraźnie lichy tym snem przechodzi... ona go tak potrzebowała...

I cieszyło się, i marzyło dziewczę, oczekując przebudzenia, a twarz Motruny z bladój stawała się coraz bielszą, żółciejszą, siną nareszcie, i dziwna, straszna barwa śmierci rozlała się po niej powolnie.

Marysia patrzyła na nią, i nie pojmowała nieszczęścia swego.

Przyszło południe — nie obudziła się matka. Zdrzemnęła się Marysia, pilnując krupniku i ognia, przebudziła, usnęła znowu, i w tój jednostajnej ciszy ani postrzegła, jak zachodzące słońko zajrzało w okno pomarańczowym swym blaskiem, którego promień wprost padł na lica umarłej.

Zdziwiło się dziecko, widząc słońca tak nisko, dzień tak szybko na drzemce i czekaniu spędzony, a matkę uspioną jeszcze i ciągle uspioną.

Ale niezwykłość snu tego, nieruchomość Motru-ny coraz większa, upartą nadzieją napawały serce biednego dziecka, niedomyślającego się nieszczęścia swojego. Była pewna, że po tym śnie matka się jój zdrową przebudzi.

Już i mrok padać zaczął, a ona wciąż po gałązce dokładając do ognia, siedziała z okiem w łożo wle- pioném. Nadeszła noc, nic się nie zmieniło w chacie.

— Śpi matka! śpi dobrze! mówiła Marysia: nie trzeba snu jój przerywać; wątpię, żeby już w nocy jeść chciała.

I odstawiła garnek z krupnikiem, a zaświeciwszy kaganek w glinianej miseczce, żeby mieć ogień pod ręką, sama cichutko spać się układała, nie rozbierając się nawet, żeby zbyt mocno nie usnąć.

Oczekiwanie, niepokój, przymuszona nieruchomość, tak ją znużyły, że ledwie głowę do pościółki przyło-żyła, schwycił ją sen twardy, sen młodości. I dzień zaświtał przez szybki zakopcone, gdy znów otworzyła oczy, żegnając się zdziwiona, jak noc długą jednym tchem przespać mogła.

Pierwsze jój wejrzenie było na matkę, którą przy

blasku dogorywającego kaganka i rannego świtu ujrzała w tém położeniu co wczoraj: nieruchomą, a dziwnie białą i bladą. Bładość ta pierwój stopniami przychodząca, nietyle ją uderzała; teraz świeżemu oku zdawała się przerażającą.

Zbliżyła się powoli na palcach do łóżka, poczęła przysłuchiwać się, przyglądać; ale ani tchu, ani drgnienia dobadać nie mogła.

— Ależ to sen się jój udał rzekła w sobie. Dziwny sen jakiś, kamienny! Ani się obróciła, ani tchnie, ani się ruszy.

I dotknęła z lekka, ostrożnie ręki umarłej, a uczuwszy ją chłodną i jakby kamienną, zadumała się głęboko. Ale myśl śmierci nie przeleciała jój przez głowę; miała to jeszcze za dziwną chorobę, za dziwny sen słabości. A że u prostego ludu często w istocie snem boleść najcięższa przechodzi; że o niejednym takim słyszała wypadku: uspokoiła się po chwilce dziewczyna, dziwując się tylko osobliwszej słabości, która się tak dziwnie, według mniemania jój, kończyła.

Znowu dzień przeszedł jak wczoraj. Marysia rozpałała ogień, zgotowała świeżego krupniku z ostatkiem omasty, a wczorajszym zakwaśniałym już, trochę się z chleba kawałkiem posiliła, i ośmieliła wyjść na próg, ażeby świeżem odetchnąć powietrzem.

Ale niepokój wkrótce ją nazad pociągnął ku chatce; ledwie czas miała okiem rzucić na wiosenny świat boży, po kilkudniowej plusze występujący w blasku słonecznym i srebrzystych szronach zapowiadających pogodę.

Śnieg było przykrzepłe, gałązki drzew całe w brylantach, trawy, słomki, listki poschłe aż do źdźbła

najmniejszego — wszystko w błyszczącym jednakim stroju. Cementarzyk ze swemi wierzbanami i wysokimi trawami zwiędłymi, połyskiwał od błyszczących lodu igiełek, które aż uśmiech wesela wywoływały na usta Marysi.

— Jakże to ładnie! jakże wesoło! zawołała: ale jak pustol... Ani ptaszyny, ani wrony, ani sroczki, i wróble nawet moje gdzieś powędrowały pod cieplejszą strzechę...

W istocie, na drodze okrytej grudą świeżą, dokoła jak zajeść, żadnego żywego nie było widać stworzenia, a cisza grobowa! Marysia chwilę popatrzała z progu i zawróciła się do chaty. Matka spała nieporuszona, nieprzebudzona, snem ciągle jednym, niepojętym.

Nadeszło południe, a dziewczę instynktowy jakiś począł przejmować niepokój. Podchodziła ku łóżku, przysłuchiwała się, wracała, chodziła głośno, pokaszliwała, chcąc przebudzić matkę, stukała czerpakiem i garnkami, ale nic nie pomogło.

Już się i wieczór zbliżał, a Motruna nie wstawała, nie dawała życia znaku, i noc zapadła znowu, a Marysia zdrzemnęła się, nie chcąc się kłaść spać, na przypiecku.

Noc miała niespokojną, bo jej się ciągle zdawało, że już matka przebudzić się powinna, że się przebudza; zrywała się, biegła i siadała, znowu mimowolnie snem znużona padając. Brzask dnia drugiego całkiem ją wreszcie przebudził. Uderzyła ją bladeść Motruny; poczęła dumać co począć, przejęta strachem.

Możeby ją trzeba przebudzić! Dwa dni, dwie noce, to już za długo!

Ta myśl pognęła dziewczę ku matce; ujęła ją za

rękę zlodowaciałą i przestraszyła się, czując ją zdrętwiałą, jakby drewnianą, a ciężką i bezwładną. Poczęła z lekka poruszać, mówić, trącać.., ale i to nie pomogło.

— Potrzeba iść do Sołoduchy — zawołała sama do siebie — to nic nie pomoże. Ona znachorka, będzie wiedziała jak na taki twardy sen poradzić; matka się zawsze udawała do niej. Postawię krupnik na zydelku na przypadek gdyby się obudziła, polecę i duchem powrócę.

To rzekłszy, Marysia zarzuciła na głowę sukmankę podartą, i przymknąwszy drzwi chaty, biegiem popędziła na drugi koniec wsi do Sołoduchy.

Rataja dnia tego w domu nie było, bo nazajutrz przypadał jarmark w miasteczku, a dziad dla zabrania lepszego miejsca pod cerkiewką, wcześniej się nań wybrał. Sołoducha sama kręciła się po chacie, warząc coś u komina, gdy Marysia wbiegła zadyszana.

Starucha ciekawie obróciła się ku niej.

— Co tam, hołubko? spytała.

— Oj! matuniu! sąsiadko! zawołała Marysia żywo: coś mi moja chora...

Sołoducha tylko głową pokiwała.

— A co to jój jest?

— Jakoś na nią dziwny sen przypadł, matuniu. Jak počęła spać już trzeci dzień temu, powróciwszy od was, to ani się ruszy już dwie doby, a tak czegoś zastygła, a tak strasznie pobladła, i tchu— nic!

Stara Sołoducha plasnęła w ręce, z których jój łyżka wypadła:

— Aj! oj! co ty mi gadasz?

Marysia przestraszona wyrazem twarzy Sołoduchy,

wlepiła w nią wielkie oczy, w których się już ła kręciła.

— Śpi, śpi — rzekła ciszej — próbowałam obudzić, ani sposobu; a taka zimna!

— Krzyż z tobą! zawołała stara: a toć ona pewnie umarła!

Ten straszny wyraz, którego dobrze nie zrozumiała Marysia, jak piorun daleki obił się o jej uszy. Zastanowiła się nad nim chwilę milczącą, ale wnet zaprzeczyła.

— Ale ona śpi tylko! śpi tak mocno! odparła. Wy znacie lekarstwa, wy ją możecie obudzić.

Żona Rataja spuściła głowę, zmarszczyła brwi, i nic nie odpowiedziawszy, poszła do kąta wdziewać kożuch na siebie.

— Pójdziemy! zawołała, przygaszając ogień trochę wody i zagrzebując główienki popiołem: pójdziemy zobaczyć, moje dziecko!

Chatę na drewniany klucz zamknięto, i stara ruszyła zadumana z dziewczęciem, które do jej powolnego chodu ledwie się zastosować mogło, tak pilno mu było do matki.

Droga śmiertelnie nudną i długą wydała się Marysi, której nawet widok ulubionego ptactwa i gwaru wsi rozerwać nie mógł. Z okiem wlepioném w ziemię szła za staruszką powoli, i co krok wzdychała.

Pod górę, ku chatce, Sołoducha, choć o kiju, nie łatwo się wdrapała; kilka razy musiała odpoczywać, a doszedłszy do progu, siadła wydychać znużenie, nim weszła do lepianki. Marysia ją uprzedziła, spojrziała na łóżko: jakaś czarność plamami wystąpiła na zmęczone oblicze matki... a twarz jej była tak okrop-

nie zmieniona, że myśl śmierci ujęła serce sieroty szponami strachu i przeczucia.

Wtém i Sołoducha weszła na próg, popatrzała i ręką zamachnęła szeroko.

— Zbliźcie-no się, zbliźcie!

— A po co? zawołała lekarka: ona umarła! ona dawno umarła!

Marysia jak stała, tak załamawszy ręce, szlochając, padła na ziemię.

Stara znachorka, niedługo zabawiwszy w chacie, powlokła się, napróżno próbując odciągnąć Marysię ku dworowi. Potrzeba było dać znać do pana, do księdza, żeby ktoś przecię liतोściwy o domowince (tak lud zowie trumnę), o grobie, modlitwie i ubogim pogrzebie pomyślał.

Po drodze kogo spostrzegła Sołoducha, stawiała każdemu opowiadać, jak Motruna od trzech dni już umarła, a sierota śmierć za sen tylko wzięła. Utyskiwała stara, że teraz nie wiedzieć kto zmarłą pogrzebie.

Wieść lotem strzały rozbiegła się po wiosce, a ciekawsi poczęli powoli ściągać się już do chaty Cygana, i oblegli drzwi izby, w której Marysia jęczała, klęcząc na podłodze.

Tymczasem we dworze niepokój się stał wielki, bo się obawiano, żeby ksiądz nie odmówił pogrzebu, i żeby urzędu nie było potrzeba sprowadzać dla dochodzenia przyczyny śmierci. Ale Sołohucha zaradzając temu, posłała i na plebanię do dobrodzieja i do

brodziejki, opowiadając jak się to jój chora radziła, jak od dawna niedomagała, i rozczuliła ich historią sierotki, która sen za śmierć biorąc, pilnowała trzy dni umarłej. Nikt potem nie myślał wstrzymywać Cyganichy pogrzebu.

Nie było tylko komu dać desek na trumnę, dołu na cmentarzu wykopać i zająć się ostatnią posługą.

Szukano krewnych po siole, wmawiając im obowiązki; ale ci głusi nań byli, i jeden na drugiego ciężar zrzucał. Dwór także nic na siebie brać nie chciał; a tak zwlokło się to do wieczoru.

Dopiero ksiądz sam poszedłszy do dworu, przyspieszył obrząd pogrzebowy, i o zmroku już wydano tarcice, a trumnę począł cieśla za pańszczyznę.

Nie wiele też tam koło niej było roboty.

Kilka babek pobożnych przyniosło świeczki, ktoś z bractwa dobył cerkiewnego krzyża i postawił go umarłej, a choć nie było komu sprawić wieczerzy i wódką przyjmować, znalazły się dwie pobożne niewiasty, co ciała przez noc pilnowały.

Chciano od niego odciągnąć Marysię; ale dziewczę wyplakawszy co łez miało, jakby odwagą jakąś natchnione, wyprowadzić się nie dało.

Gdy nad rankiem białą przyniesiono domowinę, z sosnowych desek skleconą, gdy przyszło w trumience złożyć zwłoki, Marysia sama pomagała kobietom, sama pod głowę podesała poduszczyne, otuliła nogi matce, złożyła ręce i ostatnia ucałowała ją, gdy wieko na wieki zabijać miano!

Prawdziwy to był pogrzeb ubożego, w którym nie zachowano obrzędów i zwyczajów starodawnych: każdy nim zajmując się z łaski, co prędkiej ciężaru się pozbywał.

Grób ktoś wykopał przez miłosierdzie i wazko i płytko, byle ziemią trumnę przyrzucić; krzyżyk zbito z dwóch kijów ledwie z kory odrapanych, a o świecie przyszedł diak tylko, kilku ludzi z bractwa, jeden krzyż i jedna czarna żałobna chorągiew. Pochód też z chaty na cmentarz nie był długi: przez drogę ino na mogiłki, u których wrot pod starą wierzbą czekała wykopana jama.

Marysia wyszła za ciałem z Sołoduchą, z babkami, krokiem śmiałym, i poprowadziła matkę do domu spoczynku. Pierwsza, choć z jękiem, rzuciła garść wilgotnej ziemi na trumnę, która wkrótce pokryła się ubitą łopatami, ledwie nad poziom cokolwiek wzniesioną mogiłą. A że stypy nie było w ubogiej lepiance i nikt z litości nawet nie kupił strawy i wódki, więc co się zeszło na pogrzeb, rozbiegło się zaraz po nim.

Marysia usiadła na mogile i poczęła płakać, płakać, aż zawodziła z żalu biedaczka.

O kilka kroków stała zamyślona Sołoducha, przebierając w ręku węzeł od chusty, zadumana głęboko, jakby się wahała co ma począć.

— Prosiła mnie nieboszczka, żebym ja ją wzięła — mówiła w duchu — ale co to sobie na kark wiązać sierotę? Nietyle zrobi co zje; nie tyle pociechy co kłopotu. A znowu szkoda, żeby to się tak miało zwałać! A kto zechce wziąć, jeśli dwór nie weźmie, choć i we dworze nie raj! Namby to tak bardzo nie zaciężyło; wyręczyłabym się czasem: byłoby kogo choć po wodę posłać. Nieraz jak stary polezie w świat, choć do ściany gadaj! Co tu robić? I tak źle, i tak niedobrze... E! wezmę, dalibóg wezmę! Nieźle być musi dziecko, bo biedy zaznało, a do pracy przywykło.

I posunęła się Sołoducha, podeszła, i znowu zatrzymała się, namyślając, niepewna co pocznie.

— Słuchaj-no, Marysiu! zawołała nareszcie: a dość już żale zawodzić; wstawaj i chodź ze mną.

Ale dziecię nie posłyszało z razu, i stara musiała je ująć za rękę, a siłą prawie wywieść do cmentarzowej fórtki. Marysia nie opierała się wcale, szła jakoś bezwładna, spłakana, posłuszna, choć niechętna, trzymając ciągle fartuszek przy oczach i gwałtownie szlochając chwilami.

— No, dałabyś już pokój! mówiła znachorka: Ży nic nie pomogą. Wszyscyśmy się na to urodzili, żeby umrzeć, to darmo! Już jój płaczem nie wywołasz z pod surowej ziemi i żółtej mogiły... Pomyślmy o sobie.

Marysia nic nie odpowiadając, wsparła się tylko o słup u bramki, i znowu szlochać poczęła.

— Bóg z tobą! ciągnęła dalej Sołoducha: chodź, chodź, nie ma tu czego dłużej dosiadywać; przeżegnaj się, pomódl, i pójdziemy do chaty.

To rzekłszy, a widząc, że słowa pomagają mało, ujęła ją za rękę, wywiodła na drogę, i stanąwszy na przeciw chatki Cygana, zatrzymała się.

— A może tam masz co do zabrania? zapytała.

— Jak to? dokąd? odparła niewyraźnie, podnosząc na nią zdziwione oczy dziewczyna.

— A jużciż pójdiesz do mnie.

— Po co?

— A jakże tu zostaniesz sama?

— Jak? a toż nasza chata, po cóż mi szukać cudzej?

Sołoducha osłupiała, zamamrotała coś pod no-

sem do siebie, ruszyła ramionami i przeżegnała się powoli.

— Alboż to ty myślisz tu zostać?

— A już ciż! a gdzież mam być? spokojnie odezwała się Marysia.

— Krzyż pański z tobą! A cóż będzie! sama jedna! sama jedna!

— Kiedy nikogo nie mam, to i sama: cóż robić?

— A jakże ty sobie dasz radę?

— A jak my sobie z matką słabą radę dawały? Bieda była, a z głoduśmy nie pomarły; bieda będzie... Taka dola, a swoja chata, taki to swoja.

Sołoducha uszom swym wierzyć nie chciała.

— Toć przyjdzie noc... rzekła — a ty samiu-sienka jedna, to ci strach będzie!

— Strach? czego? zapytała Marysia.

— A cmentarz! rzekła baba po cichu.

— Ja od dziecka bawiłam się na cmentarzu i dniem i nocą... westchnęła Marysia: czy to mnie nowina?

— A matki mogiła! Bóg z tobą!

— A czyżbym ja się matki bać mogiła! zawołało dziewczę z płaczem.

Stara słuchała, i nie mogła pojąć Marysi, która ocierała oczy i odpowiadała jój tak śmiało, tak dziwnie spokojnie, jakby położenie jój, sieroctwo, przeszłość, nic w sobie ani zastraszającego, ani nadzwyczajnego nie miały. I znowu zaczęła potrząsać głową, mrużyć pod nosem, a z pod brwi siwój ciekawe rzuciła na sierotę wejrzenie.

— To ty myślisz tu zostać? zawołała po chwili: sama jedna, ot tak jak palec? Nol...

— Wszak inaczej być nie może! szepnęła Marysia.

Ta chatynka to ojcowizna moja, to mój domek, a jakbym ja go porzuciła, albowy to się rozsypało, albowy dwór kogo innego osadził.

— A ktoby tu chciał siedzieć! przerwała Sołodu-cha: za żaden grosz! Chodźże-no do chały, chodź pogadamy, pomiarkujesz się, bo ty sama nie wiesz co gadasz.

Znów stara ująć musiała dziewczę za rękę, i nieopierające się, ale bezwładne wprowadzić do pustki.

Nigdy ta jama nie była wesołą, nigdy się w niej nic nie uśmiechało do człowieka; ale teraz straszliwie była smutną, pełno śmierci wszędzie. Pogrzeb, który tylko co z niej wyszedł, pozostawił po sobie ślady. Leżała kupa trzasek i wiorów od trumny przyciosowanej w izdebce, dwa polana, na których *domowinkę* stawiano; na ławie chleba bochenek, przyniesiony przez litościwą niewiastę jakąś do przykrycia trumny, a zostawiony bo niepotrzebny, i ręcznik gruby, którego także nie użyto, a którym chleb ten miał być obwinięty. Łóżko, niezgarnięte jeszcze, nosiło ślady ciała, które na niem zbyt długo, czekając pogrzebu, leżało. Po kątach wszystko w największym nieładzie i rozsypce. Na kominie i w piecu ogień był wygasł zupełnie, a chłód wiał przykry po domku.

Sołoduha posadziła na przypiecku dziewczynę, która na widok izby tyle jej przypominającej, rozpłakała się znowu, — a sama poczęła się przechadzać zamyślona.

A że była do roboty i porządkowania przywykła prawie machinalnie, bo i w domu na niej gospodarstwo leżało, i u ludzi, gdzie do chorego poszła, często sięładem zajmować musiała, — więc nie wytrzy-

mała, żeby trochę nie pozgarniać tu i owdzie i nie poustawiać.

Tam przewrócone do góry dnem i pod ławą leżące podniosła wiadro, tu znów dobyła ognia i podnieciła go trzaskami, aż wreszcie dopadłszy miotły w kątku wyszarzanój i zeschrój, spróbowała jój, ruszyła ramionami, i zaczęła wymiatać śmiecie, gromadząc do progu. Marysia wciąż siedziała z oczyma wlepionemi w łóżko, na którém spoczywała matka; a lzy jój przerwane na chwilę, dziurgiem znów biedz poczynaly.

— Taż to czyste pustkowie! obejrzawszy znów wszystkie kąty, poczęła Sołoducha: nie ma nigdzie a nigdzie nic... gałganów trochę, zapasu żadnego... jak wymiótł... gdyby po wojnie! A co ty tu poradzisz taka młoda i bezsilna? Żeby mnie tu kto starój kazał i zapłacił za mieszkanie, żebym sobie wszystko z palca wyłamała... choć doświadczeńsza od ciebie i taki umiejąca coś zarobić, jednak urwawszy się, uciekałabym! Ty tu zginiesz!

— Zginać, to zginę, a taki ztąd nie pójdę! ocierając oczy, zawołała dziewczynka stanowczo. To moja ojcowizna, to moja chatynka, ja jój nie porzucę. Myśmy-tu z matką żyły, biedowały; jam tu wyrosła, na nogi stanęła, świat zobaczyła... ona tu umarła. Al nie! nie! to święty kąt dla mnie! ja nie porzucę, nie porzucę chatynki mojej!

Sołoducha, która z razu nie miała wielkiej ochoty brać sobie na kark dziewczęcia, jakoś poczęła się rozmyślać; może i natura lubiąca trochę na przekór drugim czynić, naprowadziła ją na uparte naleganie. Im bardziej Marysia chciała zostać, tém baba mocniej zaczynała namawiać ją do siebie.

— Co tu długo mówić!... rzekła wreszcie, stając przed sierotą. Matka twoja jak poczuła się źle, a życie ję już uciekało, sama się przecię do nas przywlokła,— a z czém? wiesz ty z czém?... Zaklinała mnie i mojego starego prosiła, żebyśmy cię przytulili... Umierającemu nie odmówić. Rataj i ja, choć samym nam ciężko, chleba ci nie pożałujemy; służba u nas nie straszna. W chacie taki i ciepły kąt, i strawa się znajdzie, a tu ty z głodu umrzesz!

Marysia słuchając staręj, powoli oczy otarła, wstała, i rzucając okiem po izdebce, poczęła przerywanym głosem, który co chwila więcej mocy nabierał:

— Posłuchajcie-no matko! Dobre serce macie, Bóg wam zapłać, i tobie, i staremu Ratajowi; ale z tego nic nie będzie! Chcecie się opiekować sierotą — ot, czasem na mnie najrzyjcie... dowiecie się, rzucicie chleba kawałek jakby go bardzo zabrakło... ale ja taki tu zostanę! Ojciec tę chatę budował, matunia w niej żyli i zmarli; a ja... ja ją tak kocham, że mnieby serce pękło, gdybym otwierając oczy z rana, nie zobaczyła ścian ję popękanych, żebym wyszedłszy na próg, nie postrzegła wierzb cmentarza.

— Ale na krzyż pańskil zawołała stara: ano podumaj, ano pomiarkuj, jakże ty sobie dasz rady?

— A jak my z matką dawały?

— To was dwie było do pracy.

— I dwie też było do życia; a mnie jednę czy to tak wiele potrzeba?

— A gdzieżeś ty słyszała, gdzie to widziana rzecz — zakrzyknęła Sołoducha — żeby dziewczyna, i nie dziewczyna, bo taki dziecko, sama jedna sobie żyła i gospodarowała? Taż to nie może być, to nie

może być! Jak gospodarz zostanie jedynakiem, to sobie kogoś szuka i znajdzie, a nie dopiero tak jak ty wyrostek, sierota!

— Wiele to rzeczy matko po świecie nie bywało, a jak pora przyjdzie na nie, to się muszą stać, choć się im ludzie dziwiają! odparła dziewczyna, kiwając głową. Cóż ja na to poradzę, żem sama? Matki sobie nie kupić, Pan Bóg ją raz daje— ojca nie wyprosić! Myślicie, że ja tak opuściwszy ręce, z głodu umrę?

— To chyba pójdiesz po żebranie?

— Nigdyśmy nie żebrali i żebrać nie będziemy! zawołała Marysia, podnosząc oczy na starą, która zapewne wspomniawszy swego Rataja, dziwnie zacięła usta.

— I to chleb jak i drugi — poprawiło się dziewczę, postrzegłszy niezręczność swoją, — ale ja go nie chcę. Już ciem młoda i zapracuję; nie bójcie się, nie bójcie!

I przystąpiła do Sołoduchy z wyrazem tak ujmującego przymilenia, całując ją w pomarszczoną rękę; że baba choć zagniewana świeżą poniewierką żebractwa, rozdobruchała się powoli.

— Na co się wam obciążać sierotą, kiedy nadto chleba nie macie?... odezwała się po chwili Marysia. Wszak i tak, nie biorąc mnie do chaty, wiele mi możecie dopomódz. Ot pozwolicie mi czasem. przyjść, poradzić się, pożalić, pogadać; a jak już czasem nie stanie ani okruszyny, to mi rzucicie okrawek suchara, albo lepszą od niego dobrą radę, słodkie słowo.

Stara uśmiechnęła się, potrząsając głową.

— Oj! dzieciaku ty, dzieciaku! rzekła: co to się tobie roi w głowinie! Gdybyś w ostatku i chleb

miała, bo wszyscy ludzie miłośni jeszcze nie wymarli... to jak się obejdziesz bez twarzy ludzkiej, bez mowy, bez żywego ducha w téj pustce? A jak ci przyjdzie dni całe, noce całe samiuteńkiéj siedzieć na ławie, aż ci duma głowę prześwidruje na wylot? Ja to znam! Ja stara, muie już wszystko obrzydło, a nieraz jak Rataisko się w świat powlecze, przyjdzie zostać saméj na dni kilka, to człowiekby psa pocałował, żeby do niego zagadał, taka nuda, taka serce je tęsknica! Cóż dopiero młodemu, co mu jeszcze i gęba świerzbi, i serce się tłucze!... Nie wytrzymasz! nie wytrzymasz, mówię tobie!

— Wytrzymam, odpowiedziała Marysia smutnie, ale stanowczo. Nie będę ja sama: ściany i ławy gadać mi będą, matuniu; a mam tu pełno znajomych w kolusieńko: wróble i myszy nawet mnie znają.

Sołoduha splunęła, ruszając ramionami.

— A! a! próbujże, rzekła uśmiechając się: zobaczymy jak długo pociągniesz... I taki dziś zaraz chcesz tu zostać?

— A cóż? spytała dziewczyna: zostanę.

— Bo ja iść muszę, biorąc za kij rzekła baba. Bywajże mi zdrowa! A jak dokuży, pamiętaj, że u nas masz zawsze przytulisko... roboty ciężkiej nie będzie... Bywaj zdrowa!...

— Bywaj zdrowa! powtórzyła powoli kilkakroć, odwracając głowę i ozierając się na dziewczynę, która usiadła wsparłszy twarz na rękę i zadumała się głęboko.

I wyszła Sołoduha nie dowierzając jeszcze, sądząc ciągle, że ją sierotka napędzi. Ale napróżno się oglądała, z wolna spuszczać się ze wzgórza, bo drzwi chaty zostały zamknięte, i nikt za nią nie gonił.

Trudno się było w początku opamiętać Marysi, rozpocząć to życie nowe, samą jedną, o swą siłę. Ale Bóg wlewa moc, gdy jej potrzebuje człowiek; cudów dokazuje wola, nawet w dziecięciu, cuda robi nędza. Nad wieczorem głód i chłód razem się dały uczuć dziewczynie. Musiała wstać z przypiecka, nanieść ognia, pomyśleć coby jadła, czémby się zesłabła posiliła. W chacie nic prawie znaleźć nie mogła; na ławie tylko leżał podarek któregoś z bab—chleb pogrzebowy, który miano położyć na trumnie, a choć go nie użyto, już go przesąd nazad zabrać nie dozwolił. Ten bochenek chleba świeżego był jakby ostatnim matki podarkiem. Marysia spostrzegła go uradowana, ukroiła, i zaczerpnąwszy wody, żebraczą zjadła wieczerzę.

Siadła potem przy ogniu, popłakała, a że jej na myśl przychodziło z czego dalej żyć będzie, i że ciężko pracować potrzeba, żeby na chleb zarobić, więc porwała się zaraz do kądziółki, przypomniawszy, że ma jutro doprząć dla Semenychy motka, i za motek ten odebrać kilka groszy. Pomyślała i wnet siadła do roboty, ale się chwyciła nieboga za żywo: nie miała jeszcze sił do pracy; zaledwie poczęła wyciągać nić i pokręcać wrzecionem, sen gwałtowny, po wysileniu, po boleści, po głodzie, zesłany z Niebios na przywrócenie sił straconych, skleił jej powieki.

Wrzecziono cicho potoczyło się na ziemię, kądziel pochyliła i wsparła na piecu, a sierota usnęła snem dzieci, snem niewinnych i spracowanych.

Tymczasem Sołoducha z wielkiem zdumieniem opuściwszy chatę cmentarną, poszła przez wieś, nie mogąc sobie w głowie pomieścić, jak Marysia chciała zostać sama i radę sobie dać potrafi.

— Zwyczajnie dziecko... mówiła w duchu; alem ja stara a głupia, że na to pozwoliłam. No! ale miałamże ją gwałtem ciągnąć? Jeszczeby ludzie powiedzieli, że ja ją sobie przywłaszczyła! Ale to tak być nie może, bo zginie biedactwo... Możeby dać znać do dworu, do dobrodzieja, do wójta, do gromady? Ktośkolwiekby na to coś poradził! Cyganka, czy co tam takiego, a przecię boże stworzenie: niechby z głodu nie umierała, wstyd dla wioski...

Tak rozprawiając sama z sobą, Sołoducha wlokła się wioską, a że stan jój robił jój wiele znajomych, co krok to kogoś zwabiała do rozmowy. Jeszcze też kupkami stali parobcy, kumoszki i starszyzna, rozpowiadając sobie o śmierci Cyganichy i o jój pogrzebie. A że Sołoducha najdłużej zabawiła w chacie za wsią i zdawała się opiekować sierotą, cisnęli się do niój ludzie, rozpytujac o Marysię.

— No, a cóż to z nią teraz będzie? mówcie-no, mówcie! naglono zewsząd.

Sołoducha przybrała minę poważną, ruszała ramionami, i poczęła z cicha, jak rzecz najciekawszą opowiadanie swoje:

— Toż ztamtąd ja idę, rzekła—prościuteńko od niój. A czy uwierzycie? Otl nie dała mi się wyprowadzić z chaty, i została w niój sama jedna.

Ludzie słuchali zdumieni.

— Com się ja jój naprosiła, com nagadała! nic nie pomogło. Powiada, że sobie da rady sama, że to jój chata, i po wszystkiém... Aż litość bierze myśleć, jak to marnie przypadnie.

— Ależby to kto wziął za kawałek chleba, mruknął stary Marcin Nieduha; ot i ja jedynoki, i żona słaba.

— Darmo jój to i gadać: póki dobrze biedy nie skosztuje, nigdzie nie pójdzie, żywo przerwała Sołoducha. Tak się jój zdaje teraz, że sobie rady da: trzeba żeby się przekonała, będzie wówczas tańsza.

Ludzie jak to zwykle dosyć obojętni, pokiwali głowami, poszeptali, ten i ów się rozśmiał, inny westchnął, a każdy wreszcie poszedł do swego, i Sołoducha do chaty.

A Maryś jak usnęła siedząc przy piecu, na którym wkrótce wygasło, nieporuszona, nie czując i nie śniąc, i nie marząc kamiennym snem przetrwała do ranka. Dopiero gdy blask dobrego dnia, wcisnąwszy się okienkiem, uderzył w jój oczy, schwyciła się nagle, przetarła powieki, i wracając do życia, opamiętała się w swém sieroctwie.

Boleść i znużenie tak jój myśli zmieszały, że długo pomiarkować nie mogła, czy noc przespała tylko, czy więcej, czy tylko krótką godzinę. Wyszła na próg, i po słońcu poznawszy ranek, zdumiała się.

Świat był wesoły i piękny, pomimo smutku sieroty; słońce wschodziło pogodne, cisza była dokoła, a wróble ożywione szczebiotały pód strzechą, latały, kręciły się, wrzeszczały, biły o zapomniane gdzieś ziarnko na drodze, wrzawą napełniając powietrze.

Dziewczyna poczęła się rozglądać w obrazie świątynym i wdzięcznym, aż oko jój padło przez niski wał cmentarny na żółtą matki mogiłę. Drzwi chaty zostały otworem szeroko, a Marysia pobiegła i przytuliwszy się do zimnego kurhanka, zachodziła się od płaczu.

Nie wiem jak długo to trwało, gdy od wioski, szybkim posuwający się krokiem, ukazał się krzepki, barczysty starzec, pomimo widocznej swój ślepoty, żywo i śmiało postępujący ku górze. Kij tylko wiódł

jego kroki, a tak był pewien swój drogi, że ledwie dotknął nim ziemi, posuwał się jak gdyby zdrowe i całe miał oczy.

Nagle stanął i białe źrenice zwrócił ku mogilkowi, przysłuchując się uważnie. Oslepiły dziad uszy miał ostre i czucie szczególne. Cichy płacz dziewczyny nie uszedł jego uwagi; domyślił się kto płacze, ruszył ramionami z gniewem prawie, i puszczając się znowu żywym krokiem, począł, jak gdyby widział, kierować się na cmentarz. Miejsce to tak mu było znajome, jak wszystkie kąty wioski. Trafił na przegniły mostek, do fórtki, i między mogiłami doskonale torując sobie ścieżkę, podszedł do samej dziewczyny, wiedziony cichym jéj płaczem.

Marysia spostrzegła go dopiero, gdy się do niéj odezwał:

— Dosyćże już płakać, dosyć! Umarłym pokój wieczny, żywym czas do pracy i do życia. Ot wstawaj i chodź!

— Dokąd? dokąd? spytała niespokojnie dziewczyna, niedobrze poznając Rataja.

— Dokąd? a do nas! rzekł stary włóczęga: co to myślisz sama gospodarować? Przecię to twoja matka chciała, żebyś do nas poszła, a sama tak zostać się nie możesz.

— Toście wy pewnie mąż Sołoduchy?

— Stary Rataj, ślepe dziadziśko, jakbyś mnie znała. A długo nie gadając, zabieraj się rybko i ruszaj.

— Alem ja wczoraj już żonie waszój powiedziała, że przy chacie zostanę.

— Tak! a ja ciebiem zastał tu na cmentarzu. Piękna tobie chata! A co to z tego będzie, jak ty tu

zacznieś chodzić i wyplakiwać! Chleba nie wypłaczesz, to darmo! Musisz iść do nas, nic nie pomoże!

— Nie pójdę! nie pójdę! krzyknęła Maryś: nie chcę, nie mogę! mam swoją chatę i w swojej chacie choćby umrzeć!

— Co ty oszalałaś Maryś? he?

— Niech oszalałam, a nie pójdę! odparło dziecko. Dziwujecie się, żeście mnie tu znaleźli. Co za dziw? Wczoraj jeszcze wzięłam się do kądzieli, ale sen mnie zmorzył, kamieniem przespalam noc całą... Wysłałam w słonko popatrzeć z rana, zobaczyłam moją mogiłę, i płakać się na niej zachciało.

— I tak będzie co rano.

— Nie, dziadusiul nie! Ja wiem co potrzeba: pójdę do roboty, bo z niej żyję; a łyzy—schowam na niedzielę.

Rataj stał zdumiony jak żona; był bowiem pewien, że znajdzie dziecko, a trafił na dojrzałą i rozżaloną tylko istotę. Nje wiedział już co począć, co powiedzieć.

— Prowadźcie mnie do swojej chaty, odezwał się po namyśle: nigdy w niej nie byłem, muszę ją obejrzeć...

Rataj zwykł był tak mówić, choć oczu nie miał, i niewiele tém grzeszył, bo ślepy tak umiał zastąpić wzrok niezwyčajnym czuciem i sprytem, że często więcej od najbacniejszych zobaczył. Poszli więc razem ku chatce Cygana. Stary dziad obmacał drzwi i pokiwał głową na ich nizkość; przestąpił próg, i nie zatrzymując się, obszedł izbę, macając rękoma stoły, piec i ławę, zajrzał do alkierza w tenże sposób, powrócił, i zasępioy usiadł na przypiecku.

— Szatra cygańska, rzekł do siebie po cichu: gor-

sza od ladajakięj ziemianki, w której przynajmniej zaciszno i ciepło... Jak to tu żyć!

Dziewczę dosłyszało słów ostatnich.

— Oj! żyliśmy ojczy, i dobrze nam było z naszą nędzą. A mnie jednę! aby jamka gdzie głowę przytulić!

— Jakże ty myślisz? co poczniesz? gadaj-no mi, zawołał Rataj: trzeba, żebyśmy wiedział.

Maryś zamyśliła się, wlepiając w dziada swe czarne, bystre, choć zażawione oczy.

— Oto posłuchajcie! rzekła. Nie dziwota przecię to samo robić, cośmy z matką robiły. Na wsi dają prąść; a za motek i chleb, i omastę, i krupę, a czasem szmatę jaką dostać można. Ja, ojczy kochany, nie chwalać się, tak przędę, tak przędę, że mi trudno kto dorówna. Jak grubszą, to i całą talkę za tydzień wyśpieszę. Matka mnie sama uczyła, a znali ją we wsi za pierwszą kądziel, bo jęj i sławna Horpyna od Mudrahela wyprzedzić nie mogła.

— A jak zasłabniesz? zapytał Rataj chmurno.

— No, to poleżę. I, co Bóg da! co Bóg da! powtórzyła z westchnieniem. Matka zawsze mówiła, że Bóg nad sierotą!

Rataj słuchał, i coraz bardziej czuł się zdziwionym, tak, że ze zdumienia słowa rzecz nie umiał. Oczy jego zwracały się w stronę Marysi i jęj głosu. Rzekłbyś, że usiłował przebić wiekuiste ciemności i odgadnąć twarzyczkę dziewczęcia; a czoło było chmurne i zaszepione.

— Świta ci w głowie! odpowiedział po chwili. No, a czemużbyś to do nas pójść nie chciała? Mów, dla czego? Może ty się boisz Sołoduchy? Ale „bihme,”

jakby ci złe słowo rzekła, takbym jój boki obłatał, żeby cię potem w ręce całować musiała.

— Ale ja się nikogo nie boję! przérwała żywo Maryś.

— A czemu do nas iść nie chcesz?

Dziewczę się zawahało, łza pociekła z pod powieki, zbliżyło się do starca, poczynając zniżonym, pełnym wzruszenia głosem:

— Ojczy... wybyście mnie powinni dawno zrozumieć! Może to śmieszno, może to grzeszno, może to głupio co ja powiem. Ale cóż? kiedy tak jest, tać się nie ma co przed wami. Jabym téj chaty nie mogła porzucić! Czy to wy słyszeli, jak ją ojciec biedny budował! A cośmy tu z mamunią przehorowali!... Ja się urodziłam, ona tu umarła... Niel ja jój kołkiem podeprzeć nie mogę i pustką zostawić: póki mnie żywój, dopóty tu siedzieć będę.

— A! rób sobie jak chcesz! zawołał dziad, którego usta zacięte litość czy wzruszenie tłumione malowały. Bóg z tobą! tylko-no pamiętaj, pamiętaj, jak ci dokuczy, u Sołoduchy na ławie przy piecu jest zawsze dla ciebie miejsce, a w Ratajowój torbie chleba kawałek. I na grób matki tobie nie chodzić dziecko: ty tego nie wiesz jeszcze co to płacz i smutek... Smutek chodzi po świecie marą, a kogo złapie, to dusi, to męczy—jeśli się od niego nie odżegna—aż póki nie zadławi. Pan Bóg téj zmorze nie każe się poddawać, ale bronić. Matce twojój nic po łzach: zmów lepij pacierz za nią, a na moglię nie chodź. Siadaj, prządź, gospodaruj, kiedy ci się chce próbować samotnicy, ale to tego nie bądź! Człowiek człowiekowi potrzebny. Cobym ja dał, gdybym choć wraźą twarz ludzką zobaczył!

To mówiąc, dziadzisko zerwał się z siedzenia, torbę, którą miał przewieszoną przez ramię, zsunął na kolana, i począł z niej dobywać kawałków chleba zeschłych, świeżych, popleśniałych, bielszych i czarniejszych, aż do dna, wypróżniając zapas swój na ławę.

— Ot tobie na początek gospodarstwa, rzekł ponuro: jaka ręka, taka i jałmużna. Bywaj zdrowa, i niech cię Bóg pocieszy hołubko!

Odszedł z tém Rataj, i już go nazad przeprowadzić nie było potrzeba: próg przestąpił śmiało, głową się o niski odzwierzek nie uderzył, w sionkach trafił do wnijscia, jakby je sam budował, i z góry puścił się drogą, nawet niewiele kija posyłając na wzwiady.

— Taki to ród, mruczał pod nosem, idąc ku wiosce. Gdyby mi kto z drugiego siola gadał, tobym nie wierzył, że wyrostek, sierota, dzieciak, a już chce mieć swoją wolę! Rodem oni tacy byli: dziad umarł, a córce na ślub nie pozwolił. Córka z nędzy skończyła, na swoim postawiwszy. Bracia się zakleli, że ona im obca będzie, i otl dotrzymują psie wiary!

Zatrzymał się na chwilę.

— A gdybym ja spróbował pójść do Maksyma i Filipa, he? Kto wie? możebym co utargował dla sieroty! Popróbuje, taki mnie psami za to nie wyszczują... a choćby? kijem się opędzę i mordy im potłukę.

Droga do chaty wujów Marysi szła podle karczemki, której Rataj nigdy nie mijał. Nie wytrzymał i wstąpił, rozwiązawszy węzełek w koszuli, w którym się parę groszaków schowało. Wypił kwaterkę, i po krzepiony, z lepszą myślą, milczący, ale śmiały, skierował się ku chacie braci Motruny.

Dotąd oni jeszcze byli nierozdzielni, i choć semia się pomnażała, choć ich tam gęsto było, nie wy-

prosili sobie kawałka pola, bo pustek u pana zabrakło, a z łanu ciężko było wydzielać.

Nienajlepiej się więc działo Maksymowi i Filipowi. Przyszły dzieci, trafiło się kilka lat nieurodzajnych, żony ich o lada garnek się swarzyły, kłóciły w cborze, zajadały na podwórku, gdy jeden podświnek drugiemu zajrzał do koryta; a gdy przyszło na pańszczyznę, jedna drugą wypychała, porywały się do siebie, że je często mężowie rozbraniając, sami się pokłócić musieli. Czyste piekło zrobiło się w chacie.

Jeden na drugiego się oglądał, nikt nic nie robił, i bracia Motruny ubożeli, przeklinając swoją dolę. Nie poznałbyś teraz tego czystego dawniej podwórka, tej schludnej chaty i zamożnego obejścia, tak się to oszarpało, poopadało i pochyliło przez niedbalstwo. Płaty stały poszczerbione i powypalane kawałami, dach się powyginał od zgnilizny, ścian dawno nie obmazywano, a chróściana stodółka świeciła bokami, przez które wiechcie słomy tylko wyglądały. Dawniej, za Lepiuka, było to jedno z najlepszych gospodarstw we wsi. Dziś na dwóch braci jedna już para wołów została. I jakie to tam były woły! jeden stary i chudy, drugi dopiero w trzecim roku niedorosły i cherlawy, aż wstyd było wyjść z radłem na pole, lub się sprzęgać do pługa. A jak nadeszła ta bieda, wszyscy się nią poczuli rzucać, nie przyznając się do tego, żeby jéj kto pierwszy drzwi otworzył. Maksym składał na Filipa, Filip na Maksyma, a bratowe obie i na mężów i na siebie. Na przednówku na ościsty chleb pożyczać było potrzeba, a wiadomo co to chłopska pożyczka! Za ćwiartkę żyta oddaj ćwiartkę żyta w dodatku. Już dobrze, kiedy trzy dni odrobić potrzeba, choć cały korzec kupiłby za pięć złotych.

Wiedział Rataj, jak tam było u braci Motruny, bo we wsi wiedzą co się dzieje u sąsiadów. Wszelako szedł do nich, bo zawsze przecię choć biedni, stokroć więcej mieli od sieroty i wesprzeć ją mogli.

Jakoś to był taki dzień, że wszystkich zastał w domu. Maksym nabijał rozsypane wiadro, Filip dojadał z misy, wybierając się do lasu, a dwie bratowe stanąwszy naprzeciw siebie w dwóch kątach izby, łąjały się co wlażło, o zarzucone wrzeczono. Mężowie już im nie dopomagali, przywykłszy do tego codziennego chleba; ruszali tylko ramionami, skrobiąc się po głowie.

Gdy się dziad ukazał w progu, przeprowadzany przez ujadające dwa psiaki, potomstwo starego poczciwego kasztana, wszyscy odwrócili głowy ku niemu, a Maksym rzucając robotę, zawołał:

— El szlibyście z Bogiem!... bo tu u nas chleba też nie ma.

— Albo to ja po jałmużnę? ofuknął się Rataj; czybaście mnie nie poznali? Czy to ja po swojej wiosce bez prazniku będę żebrał? Tfu! Maksymie, w głowie się wam przewraca. Czy nie znacie Rataja? Czy to już wam ławę przełamie, jak na niej odpoczne?

Maksym się zawstydził i pokraśniał.

— Nie łąże stary, rzekł; siadajcie, odpoczywajcie, a tom was doprawdy nie poznał.

— No! no! stare dziadzisko gniewać się nie potrafi. Mój chleb mnie do wszystkiego przyzwyczaił: i do ludzkiej litości, i do ludzkiego łąjania... Przysycha to jak na psie. A klnie mię kto, odeklnę go w dziesięcioro, jeżeli nie w oczy, to za oczy!

To mówiąc, Rataj ławę namacał, zamilkł na chwi-

lę jakby słuchał szelestu najmniejszego, żeby z niego o liczbie osób w izbie będących przekonać się, i począł ciężko westchnąć:

— A wiecie, jakie na mnie spadło dziedzictwo?

— No? jakie dziedzictwo? spytali razem Maksym i Filip.

— Al po waszój siostrze Motruniel

Bracia, jakby im kto gęby pozalepiał, umilkli. Stary się też nie śpieszył mówić dalej.

— Aż mi serce rośnie, dodał po chwili. Dawnom sobie dziecka życzył, a tu na starość mnie i mojej babie pan Bóg dał gotowe, wyhodowane, i takie co się niego i przed królem nie powstydzisz. Motruna mi swoją córkę zostawiła.

— Al al odezwali się obaj bracia.

— Ot tak! a walna dziewczyna, tylko szkoda, że jak wy wszyscy kury czubate, ma także czubka: uparta gdyby kózka.

Nikt nie przemówił ani słowa, a Rataj dalej ciągnął rzecz swoją:

— Cieszyłem się, że ją zabiorę, boby się było kim posłużyć w domu. A tu choć się sama jedna została, ani jój z chaty wyciągnąć. Słyszana to rzecz! sama jak palec, bez kawałka chleba, i mówi, że sobie rady da, i sama chce gospodarzyć, a jeszcze to od ziemi nie odrosła!

Bracia i bratowe po sobie spojrzeli, ramionami ruszyli, a ciekawość rozwiązała im usta.

— Co bo mówiciel! zawołał Filip: ta to dziecko!

— Dziecko, ale nie takie jak wasze, co to się matczynój trzyma spódnicy i za próg samo nie wylezie; daj mu i miskę, i łyżkę, a jeszcze gębę trzeba otworzyć, żeby jadło.

— Żeby ono jakie było—rzekł Maksym powoli—to zginie jak ruda mysz... Nie darmo ojciec ich z rodem przeklął. Cygan przepadł niewiara, Motruna zmarła o głodzie, i sierotę nie lepsza czeka dola.

— Dalibyście pokój przepowiadać, przerwał Rataj: a co ona winna, że drudzy nagrzeszyli? Pan Bóg lepszy i miłosierniejszy od ludzi, nie da jój zginąć... Kto winien, już odpokutował.

— Ależ-no powiedzcie, odezwała się Maksymowa: co ona sobie myśli? Jak to dziecko da sobie rady? Samiuteńkie jedno! To dziw!

— Dziw na prawdę! Ja sam nie wiem co będzie. Widzi mi się, odparł stary: że pobieduje na tój pustce, a potem do nas przybieży. Bogiem a prawdą i wamby się co dla niej uczynić należało: choć kawałek dać chleba.

Na ten całkiem niespodziewany wniosek, i Maksym, i obie bratowe jednym głosem krzyknęły:

— Co tobie w głowie? czy to u nas chleba nadto?

— Hmi chleba nikomu nie nadto! rzekł Rataj. Wiem ja, że go nie macie do zbytku. Ale czemu Pan Bóg nie błogosławi? Któż to wie, czy nie za Motrunę, coście ją tak odepchnęli? Żywiecie tak, choć nie bogaci, psów dwoje; znalazłaby się kromka chleba i dla sieroty. Kto to wie, czyby się ten zasiew nie wrócił!

Maksym ramionami ruszył.

— Dajcie pokój, już ja widzę, z czémeście wy przyszli. Na co to darmo kręcić ni to, ni owo: a że to ją bierzecie do siebie, a to że ona sama sobie rady daje, kiedy myślicie nam ją na kark narzucić!.. Ale z tego nic nie będzie! Dosyć nas i tak!

— Pluń Maksymie! zawołał dziad, stukając kijem.

Ot widzicie, jak to z wielkiej mądrości ażeście się domyślili, co mi w głowie nie powstało! Najprzód, żebyście i chcieli, tobym wam jój nie dał. Powtóre, jak do mnie, tak i do was ona nie pójdzie! A czegom chciał, to powiem: możeby wasz datek smaczniejszy był od mojej zebraniny. Ale i tak z głodu nie umrze, pókim ja żyw! Niechaj wam będzie jak było, kiedy takie serce macie!

To mówiąc wstał szparko, kijem zastukał, i nie rzekłszy słowa więcéj, drzwiami za sobą cisnął, a na podwórku tylko psy ujadając do wrot, odejście jego oznajmiły.

Bracia i bratowe stali chwilę pochmurzeni, spoglądając po sobie.

— Jaki mądry! odezwała się wreszcie pierwsza Maksymowa: chciał nam jeszcze jedno dziecko narzucić, jakby to u nas tego bobu mało było!

— Cicho babo! ofuknął się Maksym, podnosząc głowę od roboty: nie narzekajże choć na dzieci, bo ci je Pan Bóg pozabiera!

— Co to gadać! odważnie jakoś wstając z za stołu i nakładając czapkę na uszy, dodał Filip: po sprawiedliwości, nie komu się opiekować tą sierotą, tylko nam. Rodzonéj-że siostry dziecko zostało sierotą; opuścić wstyd i grzech; a gdyby kto inny wziął, to palcami nas będą wytykali!

— To Cyganie, Cyganie! zakrzyknął Maksym: co ty mówisz, siostry dziecko! Ojciec się jój zaparł.. krew nie nasza! Niech się idzie włóczyć za swoimi, nam nic do tego.

— A pewnie, że tak! dodała Maksymicha.

A żona Filipa, spoglądając kwaśno na męża, szepnęła:

— Czy to my już tak bogaci, żebyśmy mieli cudze dzieci brać na głowę? Patrzaj-no, żeby twoim chleba stało!

Filip ruszył ramionami, pokiwał głową, wcisnął czapkę głębiej na uszy, węzełek zarzucił na plecy, siekierę za pas zatknął, i fajkę u pieca zapaliwszy, wyszedł do wozu, który już stał przed sienią zaprzężony.

Pozostali milczeli długo. Ale że się już nie było z kim spierać i pierwszy niepokój ich ominął, zaczęli wszyscy myśleć o sierotce, jak to ona sama tam została i rady sobie daje. Nie śmieli tylko ust otworzyć, ale ich piekło pogawędzić choć o tém, o czém cała wioska, dwór, plebania, gadały i rozprawiwały w tej chwili.

Już się bowiem było dobrze rozniosło o śmierci Motruny, i o dziewczęciu, i o postanowieniu jego pozostania w chatce na własnym gospodarstwie, a każdy się dziwił i ciekawił, jak to będzie.

I dwie bratowe i Maksym niemniej też zadumywali się, jaki to temu może być koniec? A jak myśleć poczęli, wystawiać sobie to życie samotne w chatce cementarniej, tę niedolę, tę pustynię, jakoś się trochę litości obudziło w ich sercu. I choć każda z bratowych obawiała się bardzo z tą litością wydawać, aby do niej i do niewczesnych ofiar drugich nie pobudzić trudno już było nie pokazać po sobie co się czuło.

— Ale to—odezwała się pierwsza Filipowa—ciekawość jednak, jak tam Cyganka gospodaruje. Ta to nie ma może jak lat dwanaście, trzynaście, a myśli że się bez ludzi obejdzie... Radaby choć ukradkiem tam zajrzeć, a zobaczyć co się to dzieć będzie. Sły-

chana to rzecz, taki dzieciak samjeden na całą chatę! Maksym głową pokiwał.

— Rataje ją wezmą!

— Sołoducha mi taki mówiła, że ją gwałtem ciągnęła, ale się jój nie dała.

— Zobaczyciel!

— A no! zobaczymy!

— Dobrze taki podobno mój powiadał, dodała Filipowa po cichu: wziąć nie wziąć, bo to ciężko, a taki dla niój coś zrobić tobyśmy powinni. Ludzie nas za ostatnich łajdaków okrzyczą. Póki żyła matka, to co innego było; ale nad sierotą trzeba się zlitować.

Mówiła to, ale tak nieśmiało, tak bojaźliwie, tak oglądając się na bratową i Maksyma, jakby się obawiała okrutnej na siebie wrzawy, i gotowa była ustąpić zaraz. Ale nad spodziewanie nikt przeciw temu nie rzekł już słowa.

Maksym z ust wyjął fajkę i począł głową pokręcać.

— Jaka ty bogata, Filipicho! Oj! oj! nie mówię, żeby to dawniejsze lata, kiedy z roku na rok stożek żyta schodził, a w zasieku zawsze bywały zapasy. Ale teraz... tak, to my sami pożyczać będziemy musieli, a pole na wpół siejemy z Semenem, to co z niego zbierzemy?

— Albo to jój dużo potrzeba? odezwała się już odważniej Filipowa. Ot, cokolwiek, aby ludzie nie gadali, a sumienie było spokojne.

— Jaka mi panil zaczęła z kolei Maksymowa: dać dać a zkąd weźmiesz?

— E! e! na toby się kruszyna znalazła!

Maksym milczał; bratowe pierwszy raz od dawna

zbliżyły się do siebie i szeptać poczęły. Ale o dziwo! nie swarzyły się jakoś, tylko żywo coś sobie opowiadały, krzątając się po kątach; duch miłosierdzia w nie wstąpił, wiodąc z sobą ducha zgody.

Nie ma bowiem serc lepszych i pocziwszych nad serca ludu naszego, ale je często zatwardza nędza, zamyka własny głód i pragnienie. W ciężkiej doli trudno się zebrać na litość, a ostatnim kęsem nie każdy podzielić się potrafi. W chacie było bardzo ubogo; przecież gdy na myśl przyszły obowiązki, gdy się w sercu własnem rozpatrywać poczęto, ruszyło sumienie, wzięła ochota nędzą się przełamać z biedniejszym. Wprawdzie darek szedł nieochotnie i dobrze się zadumywano nad nim, w pierwszym popędzie zamysłając dać więcej, okrawając powoli gdy przyszło do rzeczy; ale i Maksym, i bratowe zgodziły się zanieść coś sierotce i zobaczyć co się tam z nią dzieje.

Wielką tę wyprawę odłożono do jutra, na czém straciła dziewczynka; bo do rana rozmyślano jeszcze i ujmowano podarku, oglądając się na siebie.

O! tak to my wszyscy robimy podobno: serca dobre, ale głowy bojaźliwe i chłodne!

Dziewczęciu, w jego lepiance, ciężko pierwsze upływały chwile; ale nie jest to czczém słowem, ani ciasno tego rozumieć i zastosowywać potrzeba, czego nas uczy wiara, że są zlewane od Boga łaski stanu. Nie sami kapłani mają je sobie udzielane, — wszelki człowiek w trudnej toni, z sercem czystém i pocziwém, jeśli na to zasługuje, otrzyma ten szczególny do stanu jego

zastosowany dar boży. Przez anioła opiekuna, niewidzialnie, zesłał Opatrzność myśl jakąś płodną, przedmiot potrzebny, cierpliwość, siłę, wytrwanie, ziarenko przyszłości, na którego pozyskanie sam człowiek próżnoby pracował. Jest to zapomoga wśród głodu ze śpichlerza bożych dzieci.

Biednej też sierotce w ciężkiej doli i osamotnieniu, gdy tylko pierwsze łzy oschły, gdy serce spokojniej bić zaczęło, zaświtała myśl szczęśliwa, przyniesiona przez anioła i włożona na jej skronie.

Nazajutrz rano, wstała rzeźwiejsza, wyszła na próg domu, i spojrzawszy w słońko, na krzątające się ptactwo, na rozgrzewającą się ziemię, na ruch gospodarski wioski, której głos ją dochodził z parowu, poczęła dumać nieboga.

Oczy jej błędziły machinalnie goniąc za wróblami, które żwawo zwijały się z pod strzechy na drogę a z drogi pod strzechę.

— Ot, jakie to maleńkie—pomyślała—jakie to biedne, drobne, bez opieki, prześladowane, a Bóg taki i pokarm, i życie im daje... Pracują niebożątka, i siedząc w strzesze przegniłej, gniazdko sobie budują, i jeszcze śpiewają tak wesoło! Czemużbym ja nie miała sobie dać rady, jak się zawezmę do pracy!

Dziewczę oczyma wyczytało w księdze żywej światła, niemal dosłownie wypisane wyrazy Ewangelii, które powtórzył z ust Chrystusa Mateusz Święty. (rozdział VI): *Respicite volatilia coeli, quoniam non serunt, neque metunt, neque congregant in horrea, et Pater vester coelestis pascit illa. Nonne vos magis pluris estis illis?*

Myśl to była od Boga zesłana i serce orzeźwiająca, w żywej księdze życiem napisana. Marysia spoj-

rzała na mogiłę, ale i ta do niej w też prawie przemówiła słowa.

— I matka moja pracowała, sama jedna, gorzej, bo za mnie i za siebie, bo na nas dwie, nie mając w pomoc nikogo; a tyle się to lat przebyło!

Otucha wstąpiła w jój serce.

— Czegoż bo ja stoję w progu? spytała sama siebie. Łzy otrzeć potrzeba, bo nic nie pomogą; zmówię pacierz za matuchnę, i koło chaty się wezmę!

I przeżegnawszy się, wbiegła do lepianki, po raz pierwszy od śmierci Motruny rozpatrując się jak w niej było zaśmiecono, porozrzucano, nieporządnie.

W mgnieniu oka zatknęła za pas końce fartuszka, zakasała rękawkę sukmany, i nuż się zwijać po domu. Poczęła od alkierzyka, gdzie nakrywy od bodni, trochę sukien i biedoty leżało bezładnie; pochowała co schować było potrzeba, ponakrywała sypanki, przymiotła i weszła do pierwszej izby. Tu jeszcze nieknięte stało łóżko, na którym umarła Motruna; a gdy się do niego zbliżyć przyszło, serce się biednej ścisnęło; ale miałaż tak zostawić ubogi ów barłóg na pośmiewisko ludzkie? Westchnęła, i powoli, z niejakim strachem i ściśnieniem serca, wzięła się do tój bolesnej roboty.

Poskładała resztki odzieży, grubém płótnem przysłoniła łóżko, a gdy tę najcięższą odbyła pracę, reszta już poszła jój żywo i łatwo.

Zamiotła więc podłogę, śmiecie rzuciła na ognisko, bo się na podpałkę zdać mogło, pościerała stoły i ławy, poprzychowywała chleby, nałożyła oszczędnego ognia, bo się znalazł jakiś węgielek wczorajszy, w którym iskra tlała jeszcze, i zaparłszy drzwiczki, z wiadrami ruszyła do krynicy.

W drodze co to tam myśli krzyżowało się w głowie! jak sobie chatynkę urządzi, jak zapas przysposobi, zkąd weźmie drzewa na opał, zkąd garnka na strawę? Nie wiem jak, ale na wszystko jakoś znalazła sobie sposób i radę, trochę się tylko zadumawszy.

— Wstanę rano, mówiła: na wszystko mi czasu stanie; woda niedaleko, mnie i jedno wiadro wystarczy; drewek w chróśniaku dosyć, to sobie ich mrokiem nabieram, gdy już prząść nie dowidzę. Chybaby Bóg nie łaskaw, żebym na chleb już nie naprzędła... Koszulinę jedną i drugą wykroję z matczynych, to mi wystarczą na długo. Świtek stanie mi na całe życie; w starej chodzić będę w dni powszednie, a na niedzielę mam jeszcze dobrą, co mi kazała uszyć matunia... Jak się to podrze, to i do matczynój dorosnę. O cóżbym ja sobie więcej głowę łamała?... Chleb i woda—nie ma głodu... E! dam sobie rady przy pomocy bożkiej, przy opiece matki, bo ona przecię patrzy na mnie. O! patrzy, ja to czuję, aż mi lżej... i nie da dziecku swemu zginąć! Ztamtąd ona silniejsza niżeli tu była, bo u Boga żyje i od Boga dziecku co chce wyprosi.

Tak sobie marząc, zaszła Marysia do źródła, zacierpnęła w niém, rozpędziwszy wprzód wiadrem zebrane na powierzchni wody śmiecie, i nie tracąc czasu, nie rzuciwszy nawet okiem na wioskę, którą ztąd całą widać było jak na dłoni, pośpieszyła do chaty.

Ogień jeszcze zastała tlejący, ale podsycać go nie było już czém, tak się wyczerpało drewek. Myślała, myślała, przemyślała chwilę, i skoczyła ku drabince na strych wiodącej, na którą wdrapawszy się, aż krzyknęła z radości: na górze pełno było suchuteńkiego chróstu. Kiedyś go był głupi Janek jeszcze przyspo-

sobił dla Motruny, a po śmierci parobka zapomniano o nim; dziewczęciu nie wiem jak przyszło na pamięć, że łażąc za ostatnią kurą, widziała tam drewnka, przypomniała to sobie i zapas gotowy znalazła na długo. Tak to ją ucieszyło niebogę, że aż łzy jój z oczu pobiegły.

— Al jakże to mi Bóg dał w samą porę! zawołała. Tymczasem zima i śniegi zejda do reszty, oschnie, i w chróśniaku zbierać będę mogła gałęzie.

Śliczny, wesoły ogieniek rozplonął na kominie. Marysia garnek wymyła, wody nastawiła, ale co tu sobie zgotować? Nie było wyboru: nakruszyła chleba, rzuciła go we wrzątek, trochę soli było w drewnianej miseczce nad piecem—i smaczna, o! smaczna dla głodnej, zrobiła się z tego potrawa.

— Wszakże to i tém żyć można? mówiła w duchu, zajadając zacierkę chlebową. Ot i obiad gotów; na wieczór przemienię sobie i zjem suchego chleba z wodą zimną.. a z głodu już nie przepadnę!

W izdebce rozgrzało się od ognia, Marysia starannie wymyła garnuszek, przeżegnała się, i wzięwszy kądziel, poszła praść do okienka. A gdy wyciągała nić długą, oko jój raz wraz biegało po chatce, po sierocém dziedzictwie. Gdzie najrzy szparkę w ścianie, myśli jak ją zalepić; gdzie glina opadła, zapamiętywa, żeby na wiosnę gdy ociepleje, poprawić. Pracuje ręką, pracuje myślą, a nadziei serce pełne.

A czas bieży, bieży, bieży, ani słyhać jak ucieka, i już około południą ktoś przed chatą zagadał. Myśląc, że to Sołoducha albo Rataj stary, bo się nikogo innego nie spodziewała w gościnę, nie wstała nawet z ławy, żeby czasu nie tracić. Wtém drzwi się otwar-

ły, i dwie nieznanym kobietom, bojaźliwie jedna drugą popychając, szepcząc coś, weszły do izdebki.

Były to dwie bratowe, Maksymicha z Filipichą. Marysia ich nigdy nie widziała w życiu, ani też one sieroty. Jęły więc wzajem się sobie przypatrywać, a ciekawość tak opanowała dwie baby, że słowa nie mówiąc, z dziewczęciami na chatę, z chaty na dziewczynę oczyma tylko rzucały, nie mogąc się wydziwić obojgu.

Marysia wstawszy i postawiwszy kądziel, czekała, żeby się do niej ozwały. Aż nareszcie Maksymowa, szturgnięta łokciem przez bojaźliwszą Filipichę, poczęła z uśmiechem:

— Sława Bohu!

— Na wieki.

— Chciałyśmy to zobaczyć, co się z wami dzieje, choć to my się nie znamy... ale...

— Bóg zapłać, odparła Marysia; a cóż ma być? Horuję i żyję.

— Patrzajcie-no, patrzajcie! szepnęła Filipicha: jak to u niej czysto i porządnie! I ogień na kominie, i wiadro pełne, i umieciono... A któż tobie pomaga.

— Nikt! nikt, tęskno odpowiedziało dziewczę: dwie ręce, trzecia głowa; a ktoby to chciał pomódz sierocie? Ratajowie czasem najrzą, więcej nikt... ot, Pan Bóg i nieboszczka matka moja.

Filipicha, która wspomnienia nawet nieboszczyków się obawiała, przeżegnała się skwapliwie, odganiając nieostrożnie wyrzeczone słowa.

— Siadajcie, dodała Marysia, zmiatając im ławę fartuszkami, lecz nie śmiejąc się pytać kobiet, co były za jedne?—Bóg zapłać, żeście przyszły choć słowo przemówić; wy nie wiecie, jak to ciężko być samę!

— A już to prawda, odpowiedziała młodsza: ja i nie wiem, jak wy tu wytrzymujecie? Tak tu straszno i cicho być u was musi!

— Tylko, że nie ludno, odezwała się Marysia z uśmiechem; ale mi tu wróble swoim językiem cały boży dzień paplają pod strzechą, i sroczka krzyczy, i słoneczko zagłada, i mam kilka myszek burych, co z pola przyszły na zimówkę do chaty, a tak oswojone, że się mnie nie boją i pod nogi schodzą po okruszyny chleba.

Maksymicha w twarz się uderzyła z podziwienia, z naiwnym ruchem niedowierzania prawie; Filipicha otworzyła usta wielkie, i obie osłupiały, tak im to było i dziwne i nowe.

— A w nocy? spytała tchórzliwie oglądając się młodsza.

— E! ja w nocy, upracowawszy się, śpię jak kamień; a matka mi mawiała, że anieli pilnują, kiedy człek z krzyżem świętym spać się kładzie.

— Jak to ona gadał poczęła w duchu Filipicha: co to za rozum! taż to i stary lepijby nie potrafił... Nie widana dziewczyna!

Spojrzały po sobie baby coraz bardziej zdumione, ruszając ramionami, jakby się pytały siebie: co to znaczy?

Marysia tymczasem uprzejmie je zapraszała, robiąc miejsce na ławie, a sama się już brała do kądzieli. Kobiety usiąść jeszcze nie śmiały, przypatrywały się ciekawie, rozglądając się i szepcząc między sobą i trącąc łokciami. Jedna i druga tuliły coś w fartuchu przyniesionego, ale nie wiedziały jak to Marysi oddać.

Dziewczę ze swą prostotą, śmiałością, odwagą, niespodziane na nich uczyniło wrażenie, któremu się odjąć nie mogły. Było to coś więcej niż podziwienie: rozczulenie i cześć jakaś prawie. Biło serce kobietom, choć się uśmiechały, kryjąc wzruszenie, do którego nie przywykły.

— Choć siądźcie, proszę, mówiła im Marysia; nie mam was czém przyjąć, bo prócz chleba, którego mi Rataj podarował, nic tu u mnie nie znajdziecie; ale czém chata bogata, tém rada.

— Jak to? to wy prócz chleba nic nie jecie? zapytała Filipicha.

— Teraz jeszcze żyję o chlebie, bo nie mam nic; ałem sobie z niego zagotowała zacierki i nie jestem głodna, a da Bóg doczekać, będzie i krupa, i omasta, byłem motki skończyła, a prząść się znalazło więcej. We wsi mi dają robotę, bo widzą, że przedziwo nie przepadnie, i pod wagą nici oddam. Semenycha, Kociukowa, Pawłowa, Lebidzianka, dobrze mnie już znają, a ja i dwudziestkę upręde.

Kobiety przysłuchiwały się pilnie słowom dziewczęcia, a coraz to się więcej dziwiły śmiałości jego, odwadze, nadziei i przytomności. Wpatrywały się w ładniuchną jego twarzyczkę z trochę zapłakanymi oczyma, i obie potajemnie w sercu westchnęły, żeby ich córkom Bóg nie taką dołę, ale tyle dał serca i głowy, co sierocie.

— Ależ moja maleńka, odezwała się Maksymicha: to ty chyba i drwa nosisz sama i po wodę chodzisz?

— A cóż? wszystko sama robię i na wszystko jakos mi rąk starczy, rzekła Marysia. Jużem się wypróbowała i obmyśliłam jak to będzie.

Tu zaczęła rozpowiadać im, jak ułożyła życie i godziny dniowe; a kobiety zamilkły znowu z wielkiego podziwienia.'

— Krzyż z nami! powtarzały—krzyż z nami! A to cudowisko ta dziewczyna; schodzić się do niej a słuchać, patrzeć a dziwować się!

Pobyły tak chwile u Marysi, i nie śmiały nawet w końcu wystąpić już z małym datkiem, który dla niej przyniosły. Jak siedziały na ławie, tak po za siebie zasunęły co miały w fartuchach, i posiedziawszy jeszcze, pożegnały Marysię, ciekawe o niej wiadomości niosąc na wioskę.

Poszła z niemi wieść po całym Stawisku o Marysi Cygance. Z kim się spotkały, każdemu rozpowiadały o dziewczynie, i nagadać się o niej nie mogły, tak, że w chatach, na dworskim, u dobrodziejów w plebanii, i w karczmie, było słyhać tylko o niej. Nienawiść ku Cyganowi i Cyganisze dawno już była przygasła i wyczerpała się zobojętnieniem, ludzie o niej zapomnieli, a sierota wzbudzała teraz powszechną liłość i zajęcie. To, co o niej Ratajowie i dwie baby rozpowiadały, obudzało ciekawość; a ludzie dziwy prawiłi o sierotce pustelnicy, która się stała podziwem Stawiska i okolicy, zaraz w pierwszych tygodniach po pogrzebie matki.

Nie można już było wątpić, że sobie dziewczynina da rady; przestał nawet Rataj spodziewać się, że się do nich schroni, i dziwiono się tylko, z kąd w młodej głowinie tyle się wzięło rozumu i ładu, a w sercu tyle odwagi?

Ze wsi gawęda o Marysi już nie po raz pierwszy doleciała do dworu; ale tu mniej na zobojętniałych ludziskach, pana otaczających, zrobiła wrażenia. Pan

Adam znany nam ze swych szalów i z uczucia, jeszcze tu panował; ale dwór jego i on sam po kilkunastu latach zmienił się wielce, przerobił do niepoznania. Widzieliśmy moralny stan tego nieszczęśliwego, któremu nic nie pozostawało, chyba umrzeć, lub nowy jakiś wynaleźć żywioł opiekuńczy, coby go przy życiu utrzymał.

Znalazł się on choć nierychło.

Długą walką z rozpaczą i odrętwieniem przyszło okupić młodość zmarnowaną, a chwile ostatnie dogorywającego wieku namiętności ciężkie były do przebycia. Pan Adam wił się jak gadzina w płomieniach, wyrwał, rzucał, myślał już o samobójstwie, na które siły brakło—gdy Bóg niespodziewanie zesłał mu ratunek w najniespodziewańszém trafunkowém spotkaniu.

Jednego poranku, kiedy znudzony wychodził na ganek, sam dobrze nie wiedząc po co i dokąd idzie, spotkał go w progu dziwacznie odziany i na żebraka wyglądający człowieczyna.

Był to staruszek w siwój kapocie, krojem prawie zakonnym zrobionej, z różańcem u pasa, kijem w ręku, z siwą postrzyżoną brodą, łysy i blady trupią białością choroby i wycieńczenia. Stał on wsparty na swoim kosturze u wschodków, złożywszy na nim ręce, w postawie pokornej i spokojnej.

Pan Adam, który unikał widoku nędzy ludzkiej, cofnął się z razu do pokoju, ale gdy nie usłyszał ani słowa prośby, ani szmeru wyrazu z ust starca, gdy ten ani postawy, ani oblicza nie zmienił, zdziwiła go obojętność przybysza i zbliżył się ku niemu.

— A czego to chcesz? zapytał.

— Suknia, wiek i twarz moja, powinna ci powiedzieć czego żądam...

Gospodarz rzucił z niechęcią zaczerpniętą w kieszeni złotówkę, dodając prawie wzgardliwie:

— Idź z Bogiem!

Staruszek przyjął datek z pokorą, i pozostał jak był w ganku, wsparty na kiju.

— Czegoż jeszcze czekasz? powtórzył zniecierpliwiony pan Adam.

— Nie czekam; chcę ci się przypatrzeć.

— Mnie?

— Tak jest... Tyś mnie nie poznał, a ja i twoich rodziców, i ciebie panie Adamie dobrze znałem za młodu... Mój Boże! na jaką ci to nędzę zejść przyszedł

— Mnie na nędzę! Coś ty za jeden? co to ma znaczyć? zawołał obruszony gospodarz, z podbudzoną ciekawością zwracając się do żebraka.

— Ja jestem Józef Mniszewski... Ha! przypominasz mnie sobie przecię? Sąsiedowałem z rodzicami waściny!

— Jak to? ty! ty mógłbyś być Mniszewskim?

I począł wpatrywać się w niego z podziwieniem wrastającym co chwila; a powoli z rysów zmienionych, pamięć stworzyła obraz już starty, i pan Adam załamał ręce.

— Mniszewski! ty! w tym stanie!

— Jak widzisz. Miałem dwie wioski, byłem majętny, hulałem, świeciłem, żyłem... i chodzę z kijem po żebranie... A wiesz Adamie, zem dziś może szczęśliwszy niż byłem, a ty przy dostatku twoim, pono biedniejszy odemnie.

Pan Adam, który dobrze teraz przypominał sobie i świetny swojego czasu dom Mniszewskich, i zniknięcie potem zrujnowanego téj rodziny potomka, ujął za

rękę staruszka, i rad, że się rozbawi, wzruszony nieco wprowadził go do domu.

Tu stary odpowiedział mu historję swojego życia, znane dzieje marnotrawstwa, które szczęściem nie do zguby, ale do upamiętania go przywiodło. Niepojętemi bo drogami Bóg nas wiezie ku sobie: jednych gościńcem cnotliwego żywota, drugich ścieżkami próby i występku, po których wielka, jak było przestępstwo, następuje pokuta. Tą drogą przyszedł Mniszewski do poznania, co świat wart i jego szczęście, a co jest spokój boży, którego on dać nie może.

Zrujnowany, zniszczony na ciele i na duszy, leżał w szpitalu, gdy pierwsze ziarno poprawy spadło nań z ust Siostry Miłosierdzia, która go doglądała. Ten anioł szeptał nad nim pacierz, pojąc go lekarstwem, co mu dać miało życie do pokuty; zachęcał do modlitwy, i bezbożnika uczynił pokutującym i pełnym skruchy sługą bożym.

Mniszewski wyszedł ze szpitala o żebraniu, udając się do miejsc świętych.

— Myślicie—rzekł do pana Adama—żem kiedy był szczęśliwszy niż wtedy, gdym wydziedziczony od świata, znalazł się z niepojętym duszy spokojem na drodze pielgrzymiej o kiju, z torbą na plecach? Nie! nigdy nawet nie zaznał tego spokoju, téj ciszy serca, téj pogody sumienia, których używać począłem, zrzekłszy się wszelkich ziemskich nadziei. Myślisz, że zazdroścę tobie lub komu z was tego bytu, który nie ma celu i wiezie jak błędny manowiec do przepaści? Nie, nie! Zawędrowałem w te strony, aby jeszcze groby ojców odwiedzić, aby na nich rzucić ostatnią myśl i żal grzeszny po przeszłości... Idę znów w świat z modlitwą, z uśmiechem, spokojem..

Tak mówił Mniszewski, a mowa jego dziwne i głębokie zrobiła wrażenie na panu Adamie. Wybiła dla niego godzina zmiany, a ręka żebraka przyspieszyła jej przyjście i wykreśliła kierunek.

Zadumał się wynędzniony zużyciem rozpusztnik i próżniak; a że był przywykł do gwałtownych uczuć i wybuchów, gwałtownie też i namiętnie zwrócił się ku zapomnianemu Bogu.

W rok potem poznać nie było można pana Adama, na którego jak na cudowisko spoglądali ludzie. Nie-szczęściem, poprawa jego nie była ani zupełną, ani czystą; była to tylko zmiana drogi i nadzieja, że po tej, którą szedł, do prawdziwej trafić może. Pan Adam stał się ascetą, pobożnym, ale fanatykiem.

Życie czynne odrzucił zupełnie od siebie, i uznał się do niego nieobowiązany; całe dni mówił tylko pacierze, całe tygodnie pościł, krzyżem leżał w kościele, dyscyplinował się niemiłosiernie, kładł włosienicę, odział się w pasek kolący, i na tych to praktykach, dobrych tylko, gdy niemi duch czysty kieruje, zaszadzał życia reformę.

A kładnąc włosienicę, nie rzucił pychy i egoizmu...

W sercu jego nie zrodziło się ani miłosierdzie, ani pokora chrześcijańska; nieprzystępny dla ludzi, srogi dla drugich jak dla siebie, nielitościwy w karceniu cudzych błędów, zdawał się tylko szukać chluby z fanatyzmu swego, jak dawniej się unosił rozpustą i niewiarą.

Gorszył skromnych swoją pobożnością teatralną, przesadzoną, dziwaczną; nieustannie popisującą się i wydymającą w oczach ludzkich; gorszył ich bardziej jeszcze, że wyznając naukę Chrystusową, nie potrafił

z żywego jój źródła zaczerpnąć ducha miłości i pokory, ani jój zastosować do życia.

W osobliwszy sposób skąpstwo jakieś przyplątało się zarazem do niego i poczęło mu serce wyżerać. Stał się nieubłaganym dla ludzi, panem srogim, i nie wiedzieć jak godząc w duszy pobożność z chciwością, w obojgu założył razem cel wyczerpanego życia. Dwór w Stawisku, świadek scen szalonych, zmienił się w klasztor smutny, w więzienie niezdolne. Opuścił pan Adam mieszkalne pokoje; jedną sobie celę z ołtarzykiem ustroiwszy w obrazy, na ziemi w niej sypiał, czuwając zarazem u krzyża i kufierka! Na wytłómaczenie pozorne swojego postępowania, znalazł w głowie najdziwsze sofizmata, któremi przed sumieniem swoim i spowiednikami się wykręcał.

Co rok stawiał nowe krzyże, chodził pieszo do miejsc świętych, pościł nowenny o chlebie i wodzie do młodości prawie, Adwent i Post Czterdziestodniowy suszył cały; ale ubogiego zbywał miłosierdziem bożkiem, a wieśniaków katował bez litości.

W takim więc dworze, dziś jak pan sam niepojmującym miłosierdzia i zasklepionym w chłodnym spełnianiu praktyk powierzchownych, Marysia opiekunów znaleźć nie mogła, a panu o niej nikt się i powiedzieć nie ośmielił. Ekonom pokiwał głową, poszedł zobaczyć co się tam dzieje, i zostawił sierotę na ojcowiznie, co już wielką było łaską.

Jednej niedzieli, rano zbudziwszy się, gdy wyszła Marysia na grób matki popatrzeć, usłyszała dzwony

cerkiewne donośnym głosem lud wzywające na nabożeństwo. Tknęło ją pójść z innymi się pomodlić.

— Otl odzieję się i pójdę, rzekła dō siebie: dobrze się z Bogiem zobaczyć! Wszakże dziś i tak robić nje nie będę!

Jak pomyślała tak i zrobiła. Umyła się, zaczesala, dobyła białej koszuli i fartuszka odświętnego, wzięła białą sukmankę i bćiki dawno nietykane, które jēj matka za ostatni grosz sprawiła, i tak przystrojona ubogo, ale chędogo, zaparłszy chatkę, spuściła się parowem ku wiosce.

Ślicznież jēj było w tém święteczném ubraniu, z jēj twarzyczką pełną życia, ognia i pojętności! Jakiś wdzięk nieuczony towarzyszył każdemu jēj ruchowi; prosta sukmana zręcznie na niēj leżała, chustynka twarz osłaniała zawieszona kształtnie, tak, że nie na sierotę Cyganekę, ale na dziecię zamożnego gospodarza wyglądała Marysia.

Gdy weszła w ulicę, a ludzie ją zobaczyli, wszystkich się oczy zwróciły na nią: poczęto ją sobie pokazywać palcami. Marysia zarumieniła się, przyśpieszyła kroku; myślała, że uciecze, ale z daleka ścigano ją oczami i oznakami podziwienia, a dziewczęta i chłopaki jēj lat, aż pobiegli za nią.

Marysia choć żyła samotnie, dziką nie była wcale; owszem śmiałości jēj nie brakło, i po pierwszém zakłopotaniu, przyszła zaraz do siebie, opamiętała się, zwolniła kroku. Aż na cmentarz szli za nią ciekawi. Tu czekając na nabożeństwo, jak to pospolicie bywa, caluteńka stała i siedziała gromada w odświętnych strojach, gwarząc, śmiejąc się, kupiąc w gronka dla rozmowy. Była tu i Sołoducha, i stary Rataj śpiewający wielkim głosem pieśń o poczajowskim obrazie,

i Maksymicha, i Filipicha, i dwaj bracia. Motruny, i stara poważna Semenycha Biłykowa.

Zaledwie się dziewczątka pokazało we wrotach, wszyscy znajomi do niego przybiegli z pobudzoną ciekawością; a widząc twarzyczkę rumianą, odzież porządną i dziecię jaśniejące wdziękiem, jeszcze się więcej zdziwili. Ten i ów badać począł sierotę, dzieci do zabawy wyzywały, dziewczęta poprawiały na niej pasek kraśny, świtkę i chustynkę, dziwiąc się, jak tak do twarzy sama ubrać się potrafiła. Co tam było szep-tów, co gwaru, co spojrzeń i pytań! Stare baby z dala ją wzrokiem mierzyły, a jedna z nich odwiódłszy Sołoduchę na stronę, bardzo cicho odezwała się do niej:

— Czy widzicie?

— A co matuniu?

— A Maryś Cyganek?

— Widzę, widzę! A cóż? dziewczyna przystojna, niczego?

— I jak! i jak! poczęła baba kręcąc głową: to coś w tém jest!

— A cóż ma być? spytała Sołoducha.

— Ot ja wam powiem co myślę. Żyję na świecie nie od dziś, widziałam wiele: czarowniki Cygany, ojl czarowniki! Niechby tak które z dzieci naszych zostało samo; do trzech dniby przepadło... Todyabelska w tém sprawa.

— Al porzuciłabyś kumo! *Hde Rim! hde Krim! hde Babińska korczma!*

— Czekał-nol czekaj! Nieraz ja o podobnych rzeczach słyszałam! Motruna była charakternica: zawsze miała słyszę mleko, choć krowy nie było; wetknęła kolek w ścianę, poszeptala i doila jak krowę... Mąż jój był charakternik: to wszyscy wiedzą, że *zły* mu

pomagał nocami do budowania chaty... Oni pewnie upiorami być muszą, i do swojej doni wracają, żeby na nią naglądać, odziewać ją i karmić. Już mi wierście, to nie może być inaczej.

Słowa te wymówione z powagą, przekonaniem, z uroczystością tajemniczą, głębokie na Sołodusze nawet uczyniły wrażenie. Obéjrzała się na Marysię, ruszyła tylko ramionami i zamilkła.

— No, no! patrzajcie tylko... dodała baba. Taż to włoski jak wylizane, bielizna jakby marcowym śniegiem bielona, i bóćik, i pasik, i guzik u koszuli harny, jakby nie przymierzając u gospodarskiego dziecka. Zkądże się jój to bierze? z nieba spadło? Albo to czy głód, czy biedę znać na jój twarzyczce?... Ja moją mlekiem poję, a tak mi nie wygląda. To nieczysta sprawa!

Zgromadziło się było i więcej kobiet dokoła Sołoduchy i domyslnéj owéj staruszki, podsłuchując ich rozmowy. A że nic się prędzéj ludzi nie czepia niż myśl najdzikszą śmiało im rzucona w oczy, więc zaraz tak uwierzyli w upiórów, że w drugim końcu cmentarza rozpowiadać już zaczęto, jakoby Sołoducha z Martyniczą widziały własnymi oczyma Motrunę występującą z mogiły, przekradającą się do chaty córki, muskającą jój włosy i razem z nią przędącą w nocy na motki hajemne.

Do tych dziwów każdy coś swojego dorzucał, i téjże niedzieli ułożyli sobie bajkę, którą wieczorem rozpowiadano po całej wsi za najprawdziwszą prawdę.

Nie wiedziała Marysia, dla czego gdy wychodziła z cerkwi, już nikt się tak do niéj nie garnął, nikt na nią nie spoglądał. Dzieci pozostały, tchórzliwie

z ukosa spoglądając na odchodzącą, kobiety się podwracają,—i sama wyszła z cmentarza, powoli, smutno wracając do domu.

A że nie było co robić na jutro i roboty już szukać musiała, po drodze przyszło jej na myśl wstąpić do Semenychy, która ją z cerkwi wyprowadziła

Semenychę zastała już zdejmującą z głowy namitkę i odpoczywającą na ławie, czegoś markotną i zamyśloną.

Była to żona najbogatszego we wsi gospodarza, matrona poważna, władająca całą chatą, mężem i licznym rodzeństwem, słuchającym jej z uszanowaniem, okryta już siwizną i zmarszczkami; kobieta dobra, pracowita, ale jak inne przesadna. Plotka rozsiana na cmentarzu o upiorach, nieprzyjemne na niej i głębokie uczyniła wrażenie; niemiło jej było pomyśleć, że motki jej jakaś nieczysta siła prąść pomagała, motki przeznaczone na płótno, na ręczniki może weselne dla ukochanych córek.

Z wejrzenia na nią poznała Marysia, że ją coś nie tak dobrém jak zwykle sercem przyjmuje; stała się więc pokorniejszą jeszcze. Pocałowała w rękę staruszkę, i stanęła u progu milcząca, Boga prosząc, żeby jej Semenycha nie odmówiła roboty.

Stara wciąż jeszcze rozwiązywała sztucznie na głowie zaplątaną, wedle tradycyjnej formy, namitkę, spoglądając z pod brwi siwych na dziewczynę w pokorze i milczeniu stojącą sobie z daleka.

— A co tam chcecie, Maryś? odezwała się narreszcie.

— A cóż, matuniu... roboty! jak zawsze, dla miłości bożej jak jałmużny... Gdybyście wy nie litowali się nad sierotą, mogłoby jej chleba zabraknąć.

— Roboty! powtórzyła Semenycha wciąż zakłopotana i pochmurna: dobrze ci mówić, a tu może i przedziwa w chacie nie ma.

— Al krzyż pański! U was matuniu — poczęło dziewczę — u takiej gospodyni jak wy, toż to pełne bódnie lnu białego jak śnieg!

Semenycha połechtana, uśmiechnęła się nieznacznie.

— Choćby i był, choćby i był! rzekła: niechaj swoje przędą. Czego mają siedzieć z założonemi rękoma i Kasia, i Paraska, i dziewczyna najmitka!

— A mnież to nic się już ani ździebelka nie dostanie? spytała sierotka po cichu, głosem tak uzalania i głębokiej boleści pełnym, że Semenycha uczuła się wzruszoną.

— Dawniej byliście na nas litościwsi... dodała dziewczynka, — a terazbyście mieli opuścić mnie, gdy i matki nie stało? El to nie może być! Serce wasze matuniu nie pozwoli na to. A cożem ja winna, żem nieszczęśliwa?..

Semenycha wstała z ławy, coś poprawiła u ognia, poczęła się przechadzać i namysłać.

— Kiedyż bo to — odrzekła po chwili — ludzie na ciebie nie wiedzieć co wymyślają: mówią, żeście rodem czarowniki... charakternice... lichu wie co; że nieczysta siła wam przędzie...

Marysia przeżegnała się na wzmiankę o sile nieczystej i z przestachem uderzyła w rączki.

— A mój Boże! zawołała: któż mógł, któż śmiał taką krzywdę wyrządzić sierocie? Wszak widzieli mnie w cerkwi, wszak się żegnam i modłę jak drudz, a cożem ja komu zrobiła złego?

I rozplakała się nieboga.

Semenycha dobra i litościwa była w gruncie serca: żał się jęj zrobiło dziewczęcia, lży ją te poruszyły, odwróciła się do sieroty, machając ręką.

— Cytł cytł rzekła: otł widzicie co to ludzie pło-
tą. Atł im byle gadać tylko. Ja temu nie wierzę, nie
wierzę! Nie lubili ojca, nie lubili matki, i tobieby
szkodzić radzi... Ja ci to tylko powiadam, żebyś wie-
działa, co robić dalej... Póki tak siedzieć będziesz
sama jedna za oczyma, pleść i wyplatać nie przesta-
ną. Im to dziw, że sobie rady dajesz, a drugiemu
i zazdrość, żeś do ludzi podobna, że koło ciebie po-
rządnie.

Marysia wciąż płakała, a Semenycha tuliła ją jak
mogła; nareszcie sama odstawiła garnek od ognia,
dostała miski i lżyżki, i nabrawszy strawy, posadziła
sierotkę za stół do jedzenia, gładząc ją po głowie.

Ta dobroć staruchy ułagodziła cierpienie Marysi,
a wnet i rozpytywać poczęła Semenycha o drobne
szczegóły jęj życia, o chatę, o gospodarstwo, i dziew-
czę rozgadało się powoli, ocierając lży ciekące jeszcze
po twarzy.

Poczęli się schodzić i inni z nabożeństwa: Kasia,
Paraska, parobcy, mąż Semenychy, zięciowie, i wszyscy
kołem ciekawém otoczyli Cyganke, która im życie
swoje, pracę i utrapienia opowiadać zaczęła.

Po godzinie rozmowy tak ich ujęło dziewczę peł-
ném prostoty i szczerości opowiadaniem swoim, że
czém kto mógł i miał, starał się odchodzącej dapo-
módz. Dano jęj chleba, kaszy, sera, okrasy, po tro-
sze się na nią składając, jak na macoszyne dziecko;
a Semenycha płacąc za lży, których nieuważne jęj
słowo było przyczyną, nietylko dała robotę, ale da-
rowała jeszcze kurkę, która się niosła, obszernie wy-

uczywszy Marysię, jak ma sobie z nią i spodziewaném potomstwem postępować.

Ucałowawszy ręce staruchy, uszczęśliwiona sierota, pełna najświetniejszych nadziei, pośpieszyła do pustego swego kątką, niosąc na rękach maluczkie, ale drogie dla siebie dary.

Tak rozpoczynało się to dziwne życie sieroty, która na bożym świecie prócz słabych rąk dwojga i odwagi wielkiej, a raczej nieświadomości świata, nic więcej nie miała. Ludzie spoglądali na nią jak na cudowisko jakieś, jak na coś niebywałego, jakby patrzali na wcieloną bajkę o złotej jabłoni lub źródle grającém; a czynili to jedni z podnieconą ciekawością, drudzy szukając tłumaczenia tajemnicy w czarach i upiorach. Plotka wszakże utworzona na cmentarzu, krążyła jakiś czas tylko po wiosce, i choć całkiem się nigdy zbić nie dała, rozsądniejsi ludzie bliżej się przypatrując Marysi, śmiać się z baśni wkrótce poczęli. Zresztą stara Semenycha, przyjazna dla pracowitego dziecka, gotowego zawsze na jój posługi; Sołoduha czująca się do obowiązku opieki nad niém; Rataj, który się do niego co chwila więcej przywiązywał; w ostatku nawet chata braci Motruny—z daleka czuwali po trosze nad Marysią.

Zmuszona przemyślać nad tém, jakby sobie sama rady dać potrafiła, sierota dokazywała cudów, i istotnie duch jakiś dobry zdawał się jój szeptać co czynić powinna.

Całym jój utrzymaniem były motki, które i dla Semenychy, i dla innych przędła, codzien więcej nabierając w tém wprawy; znalazła przytém czas na wszystko. Rankami i wieczorami nigdy nie zapomniała uprzątnąć około chatki, wewnątrz uporządkować, przynieść sobie świeżej wody, dla kurki coś posypać, żeby się miała czém bawić i powitać swoich starych dobrych znajomych: wróble z pod strzechy, jaskółki, które z wiosną powróciły, fertyczne srocзки krzyczące na drodze, i cały ten zwierzęcy światek, który jój pustkę ożywiał.

Z wiosną nawet, gdy się ziemia ogrzała i oschła, domyśliła się, że za lepianką na wązkim pasku ziemi, okopanym granicą jój posiadłości, a dawniej chwastami zarosłym, mogło się kilka grządek pomieścić. Jednej niedzieli poszła po radę do Sołoduchy, coby to tam posiać można? Baba ruszyła ramionami i pokręciła głową na tę ochotę dziewczęcia do pracy; ale wynalazła jój stary jakiś rydelek za piecem, i opatrzyła w wysadki ze swego rozsadnika i trochę kartofli.

Jak zmierzch więc, a prząść w chacie nie było można, Marysia wybiegała na ogródek, składający się z maluczkiego gliniastej ziemi okrawka, i kopała, przekopywała, sadiła, podlewała, ciesząc się, gdy Pan Bóg pracy widocznie błogosławić począł, a zielone listki ciekawemi główkami wyskoczyły po nad czarną grzędę.

Kurka się jój także nieźle powiodła; bo sama, nieproszona prawie wysławszy sobie gniazdko, wysiedziała dziesiątek pociesznych żółtych kurczątek. Z powodu tego niespodziewanego przybytku, Marysia cały dzień straciła, bo jak tylko wyszły na świat

piskłęta, pobiegła przestraszona do Semenychy uczyć się na nowo co robić z niemi, i jak tu je hodować? Aleć to niewielkiej potrzeba było mądrości, i troskliwie pielęgnowane kurczęta szczęśliwie się jój powiodły; jedno tylko sroka jakaś niepoczciwa schwyciła w oczach pani, za co Marysia poprzysięgła wiekuiście, krzykliwemu jój rodowi nienawiść.

Z wiosną, z zielenią i ciepłem, lżejsze i weselsze coraz stawało się życie. Marysia mogła usiąść przed chatą na starym klocu obrąbanym, i prząść do zmroku na podwórzu, przypatrując się ptaszętom, lub smętnie spoglądając na zielone grobowiska cmentarza. Nieraz nawet z kądziółką w ręku przechodziła przez drogę na mogilnik, siadała u matczynego grobu, i tam pod okiem macierzy spędzała długie godziny, zadumana nad jednostajną pracą swoją.

Dni po dniach schodziły jój szybko, jednakie, zajęte i do siebie jak bliźniaki podobne. Potrzeby urządziły je w sposób jednostajny i niezmienny; przypadek tylko cokolwiek porządek ich mieszał.

Jak świt, na brzask zrywała się Marysia z pościółki, i roznieciwszy trochę ognia, biegła do krynicy po swoje wody wiaderko; potrzeba było, nim się rozwidniło, lepiej umieść chatę, sień, a poprzątnąć nawet przed progiem: tu podeprzeć, tam zalepić, ówdzie przytknąć dziurę, bo dziewczynka troskała się bardzo o ład i porządek w swojej chatynce. Ledwie co zjadłszy, siadała z kądziółką albo przed swoją lepianką, albo u mogiły pod starą wierzbą, na której pełno było wróbli i różnego drobnego ptactwa, co się jój wcale nie obawiając, szczebiotały nad głową sieroty. W słotę tylko, wichur i burzę, zamykać się musiała w chacie, spoglądając przez okienko co się działo na

dworze i czekając rozpodzenia. Drugi raz we dnie posiliwszy się ranném jadłem odegrzaném, spocząwszy trochę i pobawiwszy się ze swoją kur gromadką, znów wracała do prząślnicy i pracowała do zmroku. Szła potem na ogródek, zwijała się w izbie, i tak krzątając się do nocy, zasypiała snem głębokim pracowitych, który zawsze w porę przychodził na jój powieki.

Ktokolwiek mijał cmentarz i lepiankę Cygána, nie mógł przejść tędy, żeby nie stanął i nie popatrzał, a nie podziwił się dziewczeczce, która każdego witała wesołym uśmiechem i dobrém słowem.

Co dni kilka Sołoducha lub Rataj sami odwiedzali Marysię, już nawet przestawszy ją namawiać, aby do nich przeszła, bo się przekonali, że bez nich obejść się potrafi. Nie pomagali też jój wiele, a kawałek chleba lub trochę strawy, dar dla niój znaczny, im wcale nie ciążył.

Co w początku zdawało się niepodobieństwem, cudem i dziwem dla wioski, to wkrótce, gdy się z tém oswojono, pospolitą stało się gadką; a radzi nieradzi wszyscy uznać musieli, że takiego dziecka jak Marysia nie było drugiego na okolicę. Jój kąpiel, ogródek, kury, przechadzki na mogilnik, na którym najczęściej ją w dni pogodne widywano, stały się ulubionym przedmiotem rozmów na wieczornicach i doświatkach; a niejednen dzieciom swoim dawał ją za przykład do naśladowania.

Tak przeszła wiosna, tak lato i jesień, i zbliżyła się zima, straszna zima; ale Marysię znalazła wczesnie już przygotowaną, bo sionki miała drewek pełne, piec wylepiony na nowo, chatkę okrytą i otuloną dokoła, a w bodniach choć niewielkie na złą godzinę

zapasy. Rataj sprawił jój nowe bóciki, których już potrzebowała i do wyjścia, i do prania na wodę; Sołoucha darowała kożuszyng; a gdy śnieg, pierwszy zwiastun śmierci chwilowej ziemi, upadł na skostniałe pola, Marysia powitała go z dziecięcym uśmiechem, nie obawiając się kłesk, które mógł prowadzić za sobą, narzekając tylko, że dni coraz robiły się krótsze.

O! lecaj lata, lecaj! Czy popatrzysz na człowieka, czy na ludzkość, czy na dzieła rąk naszych—jak igła zegarowa wszystko wskazuje znikomość i przelotność pokoleń. Kamień tylko posiwiał w sto lat ledwie mchem porasta, ale i on w proch się sypie od spodu i na nim mchy kopią niedojrzałe dołki starości.

Dzieweczka utworzywszy sobie życie, które było zdumieniem otaczających ją ludzi, rosło niepostrzeżenie pod ubogą strzechą, i wyrastało z każdym dniem na śliczną istotę, jakby cudem zrodzoną i dojrzałą w pośród grobów na pustkowiu i odludziu. Krew cygańska nie odbiła się rysy plemiennymi w jój rysach wdzięcznych i pełnych życia, ale nadała im tylko ogień niewidziany wpośród pospolitego zameczonego pracą ludu naszego. Ródzaj ten życia, choć zajętego, ale odosobnionego, samotnego i zasiedziałego, wpłynął może nietylko na rozwinięcie jój piękności, ale i na ukształtowanie się umysłu, wybujałego wyobraźnią i rozrosłego marzeniem. Zmuszona karmić się tém tylko, co jój oczy do duszy ze świata milczącego przyniosły, utworami własnej głowy, ciągłym odgadywaniem wszystkich świata tajemnic, rzadko stykając się z ludźmi, utworzyła w sobie i wykołysała świat jakiś odrębny, do zwyczajnego niepodobny, wytłómaczony z niewidzialnej dla innych strony, piękny, smętny, zaczarowany, pełny zjawisk, duchów i cudów.

To pojęcie tego, co tylko z widzenia i dumań znała, malowało się w pięknych jęj rysach, ożywionych duszą ognistą, omglonych zarazem smutkiem sieroctwa i uśmiechniętych weselem bezbronnej nieświadomości.

Przestano dziwić się sposobowi jęj życia, które zdawało się z razu niepodobieństwem, a okazało, że silna wola z pomocą bożą podola najzawikłańszymi trudnościami,—i dziwiono się tylko wdziękowi, w którym codzień rosła bujnie, rozkwitając na czarowną dziewczkę, o jakiej wieśniak z pieśni chyba lub podania, z najrzanęj gdzieś z daleka postaci mógł roić. Było w niej coś tak szlachetnego, pańskiego, wielkiego, że mimo ubóstwa swego, wzbudzała we wszystkich uczucie uszanowania, prawie bojaźni. Starzy wskazywali ją na wzór młodym, młodzi przypatrywali się jęj jak wyjątkowemu zjawisku, a chłopcy wiejscy wcześniej poczęli szaleć za piękną Marysią.

Kiedy teraz szła do cerkwi w niedzielę, albo na tłokę do żniwa, bo ją zaprzężono do jakichś dni odrobku za chatę i ogródek przez nią zajmowany—hurmem za nią ciągnęła młodzież, zaczepiając słowami, uśmiechem, ukłonami, choć bojaźliwie i z daleka. Marysia dla wszystkich była grzeczna, ale nie poufała się łatwo, prócz ze starymi. Jakiś instynkt zachowawczy czynił ją nieśmiałą, tchórzliwą, nieswoją wpośród mężczyzn i młodzieży.

Nie uczęszczała wcale na zabawy, do karczmy nigdy na tańce, ani do dworu na wiejskie przyjęcia; najczęściej kręciła się koło swojej chaty.

A choć w tak ciężkiem położeniu, choć tak bardzo sama, w ciągu lat kilku nie doświadczyła ani jednej przeciwności, ani najmniejszej kłęski, a wiodło

jój się w najosobliwszy sposób. Czego dotknęła się, rosło, udawało się, mnożyło, ożywiało, szło, jak to powiadają, ręką. Lud, który może nie bez pewnej słuszności w pomyślnościach ziemskich widzi zawsze skutek nieczystej siły, przypisuje powodzenie to skradzionemu groszowi, to innym tego rodzaju talizmanom, i w tém szczęściu sieroty domyślał się zawsze po trosze pomocy upiorów, posiłku duchów czarowniczych, i nierychło dopiero, gdy nic nie potwierdziło domysłu, wpadać począł na tajemnice pracy i błogosławieństwa bożego.

Wzrósł ztąd szacunek dla Marysi, którą niewidzialna jakaś opieka zdawała się swym płaszczem okrywać. Nigdy w jój chatce niezamkniętej, stojącej wiecznie otworem, nigdy w ogródku nieogrodzonym, nie było najmniejszej szkody: grób matki, cmentarzysko strzegło lepianki ubogiej.

W skwarne dni lata, dziewczę jak mogło, z obowiązków gościnności wywiązywało się przechodzącym i przejeżdżającym mimo cmentarza: stało zawsze w sieni wiadro ze świeżą wodą i czysty czerpaczek, a wieśniacy wiedzieli o Marysiniej wodzie, i rzadko kto jadąc z miasta, minął chatę, żeby się jój nie napił, zostawując podziękę: Bóg zapłać jakie, lub drobny podarek.

Z latami upływającymi nic się tu prawie nie odmieniło. Tryb życia mocniej się jeszcze, staliej, niezmienniej urządził, praca szła codzien łatwiej; a sierota powoli oddychać zaczęła, na złe dni, na czarną godzinę uciulawszy już nawet trochę grosza, trochę chleba i chust trochę.

Zawsze w pogodę wychodziła na cmentarz pod wierzbę na mogiłę, i siadała tam, naglądając na

chatkę, a niekiedy słabym głosem nócąc jakąś piosenkę przybłąkaną ze wspomnieniami matki.

Owa chatka, której budowę widzieliśmy w początkach naszej powieści, bardzo się już pochyliła ku ziemi i zmieniła z lat upływem.

Inaczej być nie mogło.

Sklecona na prędcę z surowego i lichego materiału, nieumiejętnie, trzymała się łaską bożą, cudem, a może mchami i grzybami, które pogniły jej części kleiły. Ściany pomimo obmazywania gliną, dziur miały nieuleczone mnóstwo; prócz tego tak się były zasunęły w ziemię, że okienko już niemal na równi było z poziomem, a do drzwi odkopywać musiano wnijsie i dobrze się w nich nachylać.

Dach murawą ponaprawiany, zgnieciony jej ciężarem, cały w garbach, zazieleniał od mchu i trawy, wydawał się jak pagórek,—i gdyby nie poczerniały komin, co wśród niego sterczał, trudnoby było poznać, że ludzkie mieszkanie pokrywał. Pomimo to zewnątrz i wewnątrz czystość było, schludno i miło, bo wszędzie widać rękę staranną. Marysię otaczało już teraz wielkie i bogate gospodarstwo: kilkanaście gołębi, całe kur rozrodzonych stado, kilka gęsi bałamutek, po które codzień na staw chodzić potrzeba było, gdy się zadurzyły z sąsiadkami wiejskimi; a w dodatku byli i przyjaciele domowi: kot szary i psiak bury.

Historia tych dwóch stworzeń była dość ciekawa. Pierwszego z nich, utopionego już, Marysia wyratowała ze stawu, oddechowała i wychodowała; a drugi przybłąkał się do niej nie wiedzieć zkąd i jak. Znalazła go jednego wieczoru siedzącego pod progiem z miną bardzo spokojną, jakby się tam urodził; gdy podeszła

ku niemu, od razu ją jak panią powitał, polizał po rękach i wszedł za nią do chaty, niezbyt nawet ciekawie wachając po kątach, jak stary znajomy.

Wprawdzie zjadłszy kawał suchara, napiwszy się wody, zwinąwszy się w kłębek i zasnąwszy twardo, gdy się ów przybędła nazajutrz rano przebudził, zdawał się być chwilę niespokojny; ale trzeciego dnia ani znaku już nie było tęsknicy po dawnym panu.

Marysia rada była gościowi, który wkrótce wziął się gorliwie do naszczekiwania po nocach około chaty: był bowiem z tego stworzenia stróżliwego, co to zasypia we dnie, a jak mrok wstaje, poczuwając się do obowiązku wartowania, a niespokojnie ujada na najmniejszy nawet szelest wiatru przelatującego powietrza. Marysia obawiała się w początku, żeby z drugim jej wychowancem Burkiem, odratowanym z topieli, a potrzebnym przeciwko myszom sprzymierzeńcem, nie było wojny zaciętej i nieustannych zatargów.

Pies, którego zaraz nazwała Sierotką, najrzawszy kotka na piecu się wygrzewającego, doznał wprawdzie w początku niemiłego wzruszenia: wspiął się ku niemu na łapy, począł wachać i zaburczał nieukontentowany; Burek podniósł łapy, pokazał pazury i parę razy plunął mu w oczy z daleka, jakby mówił: „Odczep się odemnie.“ Ale gdy Marysia, głaszcząc psa, ofuknęła się na niego i odpędziła go od kota, zagroziwszy mu słowami, których się słuchać zdawał i usiłował zrozumieć, pokój stanął pomiędzy domownikami. Sierotka już więcj nie zaczepiał Burka, owszem udawał przez politykę, że go nie widzi, zamykał oczy na nadużycia jego względem garnków, ustępował mu z drogi niby niechcący, i okazywał się pełnym usposobień najbarziej pokojem tchnących. Burek ze swój strony, po-

mimo dosyć opryskliwego charakteru, umiał się poznać na tém, i unikał powodów do zwady. Trzymał się bowiem zawsze wyższych sfer chaty, ław, stołów, pieca, przypiecka, jak najrzadziej i tylko dla ważnych powodów schodząc na podłogę, którą zostawił Sierotce. Po niejakim czasie nawet, pies i kot obywşy się z sobą, kilka razy przechodząc się powąchali, spotkali bez oznak gniewu, co niezmiernie ucieszyło Marysię; a kot, który o wiele był śmielszy i bardziej przedsiębiorczy, wkrótce odważył się przechadzać pod samym nosem Sierotki; nareszcie, gdy ten raz spał pod piecem, położył mu się na grzbiecie.

Pies zdawał się niezmiernie jakoś zdziwiony; głowę podniósł, popatrzał, zdawał się mówić: „Większa poufałość, niż znajomość;“ ale widząc, że kot ani się rusza, położył się spokojnie, i odtąd żyli z sobą w najściślejszych stosunkach. Kot tylko jako słabszy, jako złośliwszy co za tém idzie, korzystał z téj wygranej, i wcale już nie oszczędzał towarzysza, rachując na wypróbowaną łagodność jego charakteru. Odjadał go, wylegał mu się na grzbiecie, a czasem bił go po pyskach, obmyśliwszy tylko do rejterady miejsce na wypadek wybuchu ze strony Sierotki. Ale Sierotka w najgorszym razie pokazywał mu tylko dwa rzędy ślicznych białych zębów, i burknąwszy a odpędziwszy natręta, z głębokiem westchnieniem ucisku kładł się spać na swoim miejscu.

Gdy Marysia wychodziła z chaty, pies towarzyszył jój wszędzie i zawsze; nawet na wieś, kędy go napały psy ze wszystkich podwórzy, wśród których z podkulonym ogonem, z najeżoną na grzbiecie sierścią, defilować musiał, coraz to im zęby pokazując.

Kot zaś do progu tylko dochodził, powracał nazad i chaty z garnkami pilnował.

Sierotka nie odstępując swojej pani, leżał u nóg jej na mogile, gdy przedła, szedł za nią na wieś, choć go to wiele kosztowało, a w nocy, choćby mróz był największy, nie folgując sobie, wywdzięczał się szczerkaniem za strawę. A tak sobie zawsze umiał dawać radę, że gdy go podchodzące wilki ścigały, wlaził na dach, i ztamtąd bezpieczny, przyparty się do komina, ogromną wrzawą ich odpędzał.

Taki był skład dworu Marysi, która towarzyszów doli i karmiła, i pilnowała, i niemal jak ludzi tuliła pod swoją opiekę. Poczawszy bowiem od gołębi do głupich gęsi i rozumnego Sierotki, do wszystkich stworzeń tych mówiła słowa, których do ludzi użyć nie mogła: rozmawiała z niemi, kłóciła się, radziła, gniewała, chwaliła, zachęcała... Jeden pies tylko zdawał się to rozumieć; kot bowiem, choć dość zły i opryskliwy, obojętny był, ospały i gadać do niego, było to groch rzucać na ścianę; ptactwo zaś, głos jeden, jedno wołanie, na które przywykło się zlatywać, pojmowało.

Sierotka był niepospolicie rozumny, grzeczny i domyślny piesek. Uważała Marysia nieraz, że w przyjęciu przychodzących ludzi robił wyraźny, rozmyślny wybór form grzeczności: jednych witał milczkiem, nie wstając ze swego miejsca, innych machając ogonem, łaszcząc się i przysiadując, innych wachając za niemi powietrze, a niektórych burcząc z daleka, lub ujadając złośliwie i uparcie, jakby miał ochotę ich pozreć. Najnienawistniejszych szarpał za suknie, ale nie kąsał nikogo, nie czuł się dość wielkim panem na to.

Tych oznak przychylności i wstrętu odczytać go nie było można; odwołany słuchał wprawdzie pani, ale drugim razem też samo czynił co wprzód. Miał w tém swoje widzi-mi-się.

Było to jakoś latem. Dzień skwarny kończył się jednym z tych wieczorów rzadkich u nas i wyjątkowych, bez chmur, bez wichru, pogodnym, cichym, błyszczącym kroplistą rosą, zwiastującą posuchę, a zwilżającą spragnione zioła i trawy. Marysia wróciwszy z cmentarza, ustawiła kądziółkę pod piecem, pogłaskała najeżonego Burka, wzięła wiadro i miała schodzić do źródła, bo jój wody zabrakło, gdy tętent konia ją zatrzymał.

Drogą ku wiosce jechał ktoś śpiesznie na małym szpakowatym koniku, pogwizdując wesoło hulacką piosenkę. Marysia przez ciekawość wstrzymała się, i stanąwszy, przypatrywać się zaczęła. Wieczór był jasny jeszcze, a przejeżdżający ujrawszy dziewczętkę, zwolnił kroku, wlepił w nią oczy ciekawe i nawet gwizdać przestał. Był to młody chłopak z jasnymi włosy, skromnie, ale czysto odziany, wyglądający na leśniczego lub pisarza, z torbą myśliwską na plecach, w czarnych, długich po kolana bótach, z harapnikiem przez plecy, w wiejskim kapeluszu słomianym na głowie. Na ogorzałej jego twarzy znać było jeszcze rumianiec młodości wytryskujący z pod opalenizny, i ciekawość gorącą, patrzącą z piwnych, pełnych ognia źrenic. Na ustach błąkał się uśmiech wesoły i zalotny. Koń pod nim zwijał się i niespokojny wyrывał,

jakby zdziwiony tm, że go nieco wstrzymano: snadź nie przywykł był do wolnego chodu i zdradzał przez to charakter swojego pana, żywy i czynny. Ubrani młodziaka, pomimo swj prostoty, z pewnm byo uszyte staraniem, bo mu kibi gitk i szerokie ramiona dobrze rysowao.

On i ona zatrzymali si nieco, spojrzawszy sobie niespodzianie w oczy. Przejeżdżajcy zwolni kroku siwemu, by dłużej na liczne dziewcztko popatrze; ona si zacofaa, sdzc, że może potrzebowa... choby kropli wody po znoju i dziennym upale. Ale chopak swem si nie odezwa, obrci si ku chacie, popatrze, obejrza na cmentarz, jeszcze raz na dziewczyn miam rzuci okiem, konia migna i polecia, wiszczc wesoa piosenk. Marysia powoli zesa ku krynicy.

A schodzc, jj oko mimowolnie zwrcio si w stron, któr gna nieznajomy chopak, żywo pdzcy przez sioo na parskajcym siwoszku. Jako mio jj byo widzie, jak on koniem kierowa, jak odwaźnie sadzi przez grobl dziur pen, jak si ze zwierzciem boruka, gdy mu si pszyo, i wychodzi z walki zwycizko. Piosnka jego wesoa i junacka mile si obijaa o jj ucho,—i zatsknia prawie, gdy si skry za domami, a szum k myskich zaguszy piewk ochocza.

Wrazenie tego spotkania trafunkowego nie zataro si jak tyle innych; a cho Marysia ani prżnowa, ani marzy nie miaa czasu, czsto przed jj oczyma przelatywa w jedziec na siwym koniku.

— Tfu maro! zawoaa nareszcie: a to jakie nasanie!... Czego ja o nim myl!

Rozśmiała się sama z siebie, ruszyła ramionami i powróciła do pracy.

Nazajutrz rano, gdy zwyczajem swoim przed próg wyszła powitać ptaszęta, obejrzeć gospodarstwo i okiem dać dzień dobry mogile, na widok pustego gościńca przyszedł jój na myśl znowu wczorajszy podrózny, i ciemne jego oczy z pod słomianego kapejusza tak ognistym patrzące wzrokiem.

— Któżby to był? pomyślała: kto taki?

Ale nie znając ani okolicy, ani swojej wsi nawet, domyślić się nie mogła, i rzuciwszy pytanie z wiatrem, a naprędce urządziwszy chatę, z Sierotką razem poszła na matczyną mogilę prząść do południa, póki jój skwar ztamtąd nie spędził.

Pies, który już dobrze wiedział drogę codzienną, naszczekując i wesoło się zwijając, poprowadził ją do zielonego wzgóрка, u którego stop Marysia na omszonym siadywała kamieniu, pod starą spróchniałą wierzbą.

Widok z tój wyżyny sięgał daleko, i w istocie mógł samotnicę zabawić; bo przez obalony parkan i niski wał z pagórka całą wioskę jak na dłoni i pola z drogami po za wsią, a w prawo jary, zarośla i bory widać było daleko. Choć ruch na gościńcu był mały, bo w tęt stronę niebardzo kto jeździł, prócz w dzień jarmarku do miasteczka, do którego bliższa wprawdzie, ale gorsza tędy prowadziła droga,— za to oko z dala napaść się mogło ruchem okolicy i obrazem pracy ludzkiej. Co się działo we wsi, za wsią, na polach, we młynie, wszystko mogła ztąd rozeznać Marysia; a czasem oko jój mimowoli chwytalo przechodzących, przejezdnych, i zgadywało łatwo, dokąd i po co dążyli, jaka tam ich myśl wiodła.

Każdy pług wychodzący na pole, każdy wóz zbliżający się do młyna, każde radło rażno lub leniwie wysuwające się na łąn, policzyć mogła sierota, a poznawała je po koniach, po bydłętach, po postawie przewodników.

Zaledwie nie poczęła wyciągać z kądzieli, gdy znowu tętent żywo lecącego konia ucho jęj uderzył; oko się zwróciło na drogę, i chłopak na siwym koniku ukazał się ode wsi na pagórku ku cmentarzowi jadący. Znowu on gonił zwawo, a siwak pod nim wyrwał się zasapany, drapiąc ku górze. Dziewczę śledziło okiem i konia, i pana razem, niepostrzeżone dotąd, badając gdzie zmierzają oba. Chłopak zrównawszy się z chatką, przytrzymał zasapanego siwka i twarzą obrócił się ku lepiance, na którą pilnie pooglądał; a widząc drzwi jęj zaparte, już miał znowu konia zaciąć, gdy zwracając głowę, ujrzał po nad cmentarzem twarz Marysi siedzącej z kądzielą.

Przed nią zbudzony hałasem niezwykłym Sierotka, przedniemi łapami wsparłszy się na wieżbę krzywą, burczał i naszczekiwał, choć widocznie wielkiej ku temu nie miał ochoty, ale czynił to z uczucia obowiązku raczej, niżeli gniewu. Widać to było z tego, że wśród szczechu wyrwało mu się kilka razy szerokie ziewnięcie.

Siwek już się był spiął i zerwał do galopa, gdy jeździec go powstrzymał, i zdziwiony począł głową potrząsać; a że nie wiedział może od czego począć z ładną dziewczyną rozhovor, zawołał:

- Hej! dziewczeczko! czy to wy może z tęg chaty?
- Z tęg chaty? A ja! a cóż?
- A cóż robicie na cmentarzu?
- To co zawsze: wyszłam prząść na grobie matki...

Chłopak zdziwiony ruszył ramionami.

— Dalibyście mi się wody napić?

— Ot zaraz, poczekajcie!

I Marysia ruszyła się, zostawując kądziółkę pod wierzbą; wybiegła z Sierotką razem, przeskoczyła drogę, otworzyła chatę, i kubek drewniany podała z uśmiechem nieznanemu.

Wszystkim jój ruchom przypatrywał się młody chłopak z wyrazem nadzwyczajnego zajęcia, jak gdyby nie wierzył temu wdzięcznemu zjawisku, które miał przed oczyma.

Drżącą ręką wziął kubek, a niósł go do ust tak powolnie, jak gdyby mu się pić nie chciało. Siwek tymczasem nogą grzebał, a Sierotka wachając, obchodził dokoła przejezdnego na psi sposób, starając się poznać nosem, z kim ma do czynienia. Snadź śledztwo jego nic złego nie okazało, bo wkrótce usiadł spokojnie, i począł tylko w oczy patrzeć po dróżnemu.

— Patrzcie-no! to w kubek, to na dziewczynę spoglądając, rzekł chłopak:—to wy tu mieszkacie?

— A cóż dziwnego, mój panie?

— Naprzeciw cmentarza! mruknął jeździec. A z wami kto? ojciec?

— Nie mam ojca...

— Matka?

— Nie mam matki!.. westchnęła Marysia.

— To słyszysz u kogo?

— Nie, panie.

— A z kimże tu siedzisz?

— Ot tak, sama jedna!

Chłopak podniósł głowę zadziwiony, a oczy aż mu się zaiskrzyły.

— Jak to! sama jedna? A jakże to może być?

— Bom sierota... odezwała się po cichu Marysia.

Podróżny napił się wody z widoczném jakimś roztargnieniem; znać było, że nie rozumiał wcale ani sieroctwa Marysi, ani jój ustronnego mieszkania, a pytać już nie śmiał dalej. Pokiwał głową, popatrzał, a że siwek się zrywał do biegu, uśmiechnął się skinąwszy głową, i jak strzała poleciał.

Sierotka, który dotąd siedział spokojnie, przerażony jak i pani jego, kopnął się za koniem, szczekając zajadle; ale wkrótce powrócił nazad, miarkując zapęd gwałtowny, i starannie począł obchodzić ślady stop konia, rozpatrując się w miejscu, z którego jeździec znikł tak prędko.

Marysia z na wpół wypróżnionym kubkiem stała długo, patrzyła tęskno za uciekającym, i bardzo powoli wróciła zamyślona na matczyną mogiłę, dokąd jój wierny psiak ze spuszczoną towarzyszył głową...

Wiele ludzi dnia tego przechodziło i przejeżdżało gościńcem, ale znajomi widząc sierotę na jój zwykłym miejscu, wcale się nie dziwili: każdy głową kiwnął, pozdrowił ją i mijał.

Zrazu było to dziwowisko dla wszystkich, widzieć ją przędzącą na mogilniku: ale po latach kilku oswoili się z tém i z sierotą; zwali ją tylko często *dziewką z cmentarza*, a choć ją po cichu stare baby o związek z duchami posądzały, nikt już temu wierzyć nie chciał.

Jeszcze był tuman pyłu wzniesiony kopytami siwego konika nie osiadł i nie rozwiął się w powietrzu, gdy pieśń grubym nóconą głosem, dobrze znajomym dziewczynie, rozległa się pod cmentarzem. Po niej Marysia poznała Rataja, a nawet domyślić się

mogła, że szedł wprost z karczmy, bo trzeźwy był milczący, a im więcej wychylił kieliszków, tém donośniejszym głosem pieśni pobożne wyśpiewywał.

Sierotka szczechnął tylko raz, jakby się oznajmował ślepemu; nastawił uszy i umilkł.

— Aha! już Maryś na cmentarzu! odezwał się Rataj. Dobry dzień dziewczyno! Bóg z tobą. A co sły-chać?

To mówiąc zrećcznie zbliżył się do wnijścia, i wsu-
nąwszy się na cmentarz, przysiadł ocierając pot z czo-
ła pomiędzy dwiema mogiłami.

— Nic ojciec nie słyhać, odpowiedziała dziewczyna,—nic nowego!

— Ho! ho! kłamiesz Cyganko! śmiejąc się odparł
mąż Sołoduchy. A kto tu wczoraj się przejeżdżał?
a kto tu był dzisiaj?

Marysia zapłoniła się jak wiśnia, i wrzeczono wy-
padło jój z ręki.

— Któż miał być? kto?

— Na siwym koniku, héj! był ktoś, był dziewczyno!
A tęgi chłopiec! Choć go oczy nie widziały, to go
uszy zrozumiały.

— Jak wy wiecie?

— Ale bo! Maryś! krzyknął Rataj: Maryś Cyganko
ślepy to zawsze więcej wie i lepiej widzi od tych, co
oczy mają. Już to tak w świecie zawsze... Wczoraj cię
wieczorem napatrzył, a dziś tu się zatrzymać mu-
siał... Ot lepiej sama przyznaj się staremu.

— A czemużbym przyznać się nie miała? odpo-
wiedziała Marysia: przed wami powiem wszystko. Ot
jak to było: przejeżdżał wczorajszego wieczoru chło-
pak jakiś koło chaty; no prawda... obejrzał się na

mnie, a dziś znowu tędy jechał i o wodę prosił, tom mu jęj wyniosła; trochę popytał... A wy go znacie?

Rataj głową pokiwał milczący.

— To i ja ci powiem jak to było, rzekł: bo nie z czém, tylko z przestrogą przyszedłem. Młodemu jak ty kurczęciu, łatwo się dostać w szpony kobuzie... ale bądź ostrożna.

Marysia drżąca i czerwona patrzyła w twarz staroego, który powoli dobywszy z torby chleba i cebuli, tymczasem śniadał, odpoczywając, kawałem razowej kromki, natartym główką aromatycznego warzywa.

— Ten chłopak toć ja go znam, mówił zajadając: to syn bogatego budnika z Rudni... kiedyś to byli szlachta... od tego Adama Choińskiego, co to wołami i wieprzami i zbożem handluje... a słyszę groszowity... Imię synowi Tomko. Znają go na okolicę: dobry słyszę chłopiec, ale urwisowaty i za dziewczętami gotów czy w ogień, czy w wodę! Ojciec, choćby mu to doma chleba nie zabrakło, kazał służyć; a to od niedawna przyjął u nas miejsce leśniczego. Bardzo się nam z nim nie bratać, bo to harde, czuje grosz w kieszeni i myśli, że wszystkiego za grosz dostanie, a jedynak u ojca. A szalawiła! szalawiła! Szlachcianek i naszych dziewczek nabałamucił już dość.

Marysia słuchała i zzymnęła ramionami.

— A co dziwnego, mój ojciec—rzekła hardo—że po bałamucił takie, które tylko wyglądały, żeby kto na nie palcem kiwnął?

— Zapewne, zapewne... ot i ta Kachna, Boże odpuść, zaczęła, powiadają, od parobczaka księdzowego, potem był ekonom z Wójtówki, a na ostatku Tomko. Czysto biedy szukała i znalazła... Ale to słyszę taki niebezpieczny chłopiec, bo i niczego, i tak się układa,

że gotów przysiądź, że się ożeni; aby mu nieboraczętko w pole wywieść. Strzeż-no się i ty, bo słyszę wczoraj w karczmie zajechawszy w wieczór mocno pytał zaraz: kto to w chatynce mieszka? co to za dziewczyna tam siedzi? a że mu ludzie nic nie odpowiadali i śmieli się z niego, zmieszany umilkł. Dziś znowu chodził darmo na wzwiady, a to już zły znak, że drugi raz tu był. Aby-no się to lichy do ciebie nie przyplątało; zaraz ludzie zaczną Bóg wie co gadać, a sierocie dosyć jednej biedy na ramionach.

— Bóg zapłać ojciec za przestrożę, odparła po chwili namysłu Marysia; dobrze, żeście mi rozpowiedzieli kto on taki... Niech-no jeszcze spróbuje do mnie zajrzeć, będę wiedziała jak go ztąd wyprawić.

— O to mi zuch dziewczka! zawołał stary plaskając w dłonie: naucz szlachcica rozumu... Jemu w głowie szlachectwo, ta może i ojcowskie grosze, i liczko gładkie, że sobie z niemi będzie broił bezkarnie; ale ty masz rozum!

— Ej! rozumu nie mam ojciec, ale mi Pan Bóg i matunia z nieba dopomagają... Sierota, jużem powinna była sto razy przepaść z głodu, chłodu i nędzy, a ot mnie przecię trzyma łaska pańska na nogach i sytą, i okrytą, i wesołą... to poratuje i dalej.

— Strzeżonego Pan Bóg strzeże, szepnął stary, kiwając głową. A sobie bardzo nie ufaj; ty młoda, on młody, krew nie woda; tobie tęskno saméj jednej, przyszlaby zła godzina... człek się zdurzy i zapomni a co potém łez za to wylać potrzeba! a co oczu nachować! Czym to ja się nie nasłuchał? czym się nie; nabywał między takiemi?... Tomkowi jużta potrzeba kochanki, i zaraz sobie namotał na ciebie... bywajże mi ostrożna!

— Ale się ojciec nie bójcie! Bóg i od tego bronil odezwała się spokojnie Marysia. Jemu nie tak to źle z oczu patrzy.

— O o! słyszysz! krzyknął Rataj śmiejąc się: toś mu już w oczy zaglądała, łotrzyco!.. Ostrożnie z tém, ostrożnie!

Sierota smutnie się tylko rozśmiała, dziad mówił dalej:

— Ha! ha! gdyby się chciał ożenić, nie mówię; ale to wielki pan, gdzie! gdzie! wysoko on patrzy, wyżej niżli wrona leci! Ale ja tu z tobą gadu, gadu, a psy w krupach; a na jutrzejszy jarmark iść potrzeba, bo mi najlepsze miejsce zajmie kulawy Łajda!.. No! pilnujże się Maryś, a chatę zamykaj od złodzieja.

Śmiejąc się, wyszedł żebrak z cmentarza, i ledwie na gościńcu rozpoczął znowu przerwana pieśń pobożną od tego wiersza, na którym ją porzucił. Marysia poczęła prążyć żywo, i Bóg tam wie jakie myśli krążyły po jej główce, ale się często wstrząsała. To spoglądała na drogę, to rzucała okiem na pole, to za dumywała się, porzucając wrzeciono; aż nakoniec, jakby zwyciężywszy błędne rojenia jakieś, które ją trapiły, wzięła się żywo do kądzieli i do swojej godziny doprzędała.

Kiedy z Sierotką przez drogę wracała do chaty, przechodząc miejsce, na którym były ślady kopyt końskich, pies znowu się zastanowił, obszedł je z wielką uwagą i rozpatrzył. Marysię to zastanowiło, zrozumiała ten ruch jako dowód czujności stróża swego zawołała go, pogłaskała, pocałowała w czoło, a Sierotka jak oszalała z radości, nałasiwszy się przed swoją panią, wybiegł szczekać na cztery wiatry, głosząc jej sławę, a swoją gorliwość.

Dobrze już zmierzchać zaczynało, a Marysia zamknięta się była w chatce na skobel, gdy drogą znowu tętent konika dał się słyszeć, i pies ku drzwiom zaszczeakał. Koń powoli zdał się zatrzymywać i przystanął... Tomko widać przed chatą go sadził. Marysia pobiegła do okienka, wyjrzała i szybko skryła się pod piecem.

Chwila upłynęła w milczeniu, aż puk! puk! słychać do zamkniętych drzwiczek. O! i serce puknęło biednej dziewczyninie, a pies rozgniewany na natrętność, na dobre szczeakać począł.

I znowu puk, puk! do drzwi, potem do okienka.

— A kto tam? spytała drżącym głosem Marysia.

— To ja!

— Któż to *ja*? Czego to chcecie? odpowiedziała dziewczyna, śmiało zbliżając się do okna.

— E! to ja! nie bójcie się... Co to u was już i chata zaparta... tak zawczasu?

— Bo ja tu sama, zamykać się muszę i nikomu po nocy nie otwieram.

— Ja wam coś chciałem powiedzieć i wody się napić, a za ranny kubek tom wam coś przywiózł z jarmarku... Ale doprawdy mnie nie myślicie puścić?

— Jedźcie z Bogiem dalej; do wsi dwa kroki, szepnęła Marysia. Nocą to już do mnie nikt nie wchodzi: piesby mój pokaleczył.

— To choć podnieście okienko i przyjmcie gości-niec.

— A! okno się nie podnosi! odpowiedziała dziewczyna,—a gościńców ja nie biorę.

— Cóż to za chata przekłeta! zawołał chłopak.

A no! to dobranoc! zostawię gościńca na przyzbie...
Bywajże mi zdrowal

Odstąpił wkrótce odedrzwi, bo zaraz i tętent konia dał się znów słyszeć na drodze, i piosenka wesola uciekła z nim ku wiosce.

Marysi serce biło, a biło niezmiernie. W głowie mąciło się biednej, i wyraz czarodziejski „*gościniec, podarek*“ błyskał przed jęj oczyma tysiącem barw jasnych, świetnych, iskrzących... Chciało się jęj bardzo wyjść zaraz, zobaczyć, ale strach jakiś instynktowy chwycił za ręce i odrętwiał nogi. Już Tomko był daleko, już nikt na nią nie patrzył, szła do drzwi niepokojna, gdy u progu siedzący Sierotka spojrzawszy w płonąca jęj twarz, jakby ostrzegając czy łaszac się, zaszczekał. Marysia zatrzymała się, zaczęła myśleć i została przy piecu.

— Mogęż ja przyjąć podarek? spytała sama siebie. Co na to powiedzą ludzie?... Jak raz wezmę, nie odczepię się od niego.

Nikt jęj nauczyć nie mógł, jak to pytanie rozwiązać, i gdyby na myśl nie przyszły przestrogi starego Rataja, byłaby skwapliwie chwyciła tę rzuconą pod jęj okienko zagadkę.

Potrzeba było jednak walki z sobą, długiego i cichego w duszy boju, żeby w końcu sobie powiedzieć: „Nie pójdę, nie tknę, nie przyjmę.“

Niełatwo jęj przyszło to postanowienie, a ciekawość, jaki to tam podarek być może? długo jęj oczu zamknąć nie dała, i sen miała niespokojny.

Nazajutrz jak brzask, już wytrwać nie mogła. Wy-sunęła się z lepianki, okiem szukając owego wczorajszego gościńca... tyle domysłów niepokoiło ją noc całą, co to być mogło? Z razu nic nie zobaczyła; ale

zbliżywszy się, spostrzegła krasną, czerwoną, ładną... a! jaką ładną, chustkę nowiuteńką i kilka łokci szerokiej karmazynowej wstęgi. Oczy jej nieprzywykłe do podobnych strojów, powiększały jeszcze piękność tych bardzo zresztą pospolitych gałganków, ale ona i takich nigdy nie miała...

Obejrzała je wzięwszy w drżące ręce ze strachem, pożądlivością, pokusą, z jakimś żalem nawet; ale przecucie nie pozwoliło przyjąć od nieznanego tak wielkiej i podejrzaney ofiary. Rozstała się biedna nie bez boleści z chustką i wstążką, zostawując je na tém miejscu, na którym były położone; a sama szybko schwyciła wiadro, i rozpoczęła dzień, lecąc jak zwykle do krynicy po wodę.

Sierotka po pani obwąchał podarek Tomka, obszedł go w koło, burknął, i nieodstępny pognął za Marysią do źródła.

Dziewczyna, choć ją to kosztowało wiele, nie spojrziała już nawet na gościniec, i zabrawszy kądziel, ze spuszczoną głową poszła smutnie ku mogile. Ale jej oczy zwracały się ciągle na drogę, ale serce drżało jakimś niepojętym niepokojem. Słonko się już było dobrze podniosło, gdy tętent siwego konika dał się słyszeć z dala, a dziewczyna prąść zaczęła coraz żywiej.

Leśniczy zatrzymał się naprzeciw chałupy, obejrzał, i szczekanie psa zwróciło oczy jego na siedzącą pod wierzbą dziewczynę.

— Co u kata? po co bo ona zawsze siedzi na cmentarzu? burknął nieukontentowany, zsiadając z siwego.

Jak wszystek lud prosty i budnicy, młody chłopak był przesądny, i za nicby był nie poszedł w umizgi

na cmentarzysko; markotno mu było, że Marysię tam zastał, spochmurniał i nie wiedział co począć.

— Dzień dobry! odezwał się zbliżając do drogi ku wałowi cmentarnemu i opierając się na zielonym garbie, który go oddzielał od niedaleko siedzącej dziewczyny.—Dzień dobry! A co? choćby Bóg zapłać należy mi za gościniec.

— Nic wam się nie należy, podnosząc głowę odezwała się powoli Marysia: znajdziecie gościniec wasz tam, gdzieście go wczoraj położyli, jeśli go kto w nocy nie wziął... Rosa tylko musiała go przypaść...

Tomko stanął zadziwiony.

— To go nie chcecie przyjąć odemnie?

— Bo nie mogę, odpowiedziała Marysia. A za cóż i na co miałabym od was brać podarki? a coby to na to powiedzieli ludzie?

— Czy to koniecznie ludzie o wszystkim wiedzieć mają? rzekł kusiciel słodko, podkreślając wąsika i ze strachem a pożądlivością razem spoglądając na zakłętą cmentarzysko,

— A Pan Bóg? odezwała się Marysia.

— Alboż to Pan Bóg zakazał dawać i brać gościńce?

— Ja tam tego nie wiem, bom nie mądra, rzekła sierota po chwili namysłu; alem nigdy w życiu nic od nikogo darmo nie brała i nie wezmę...

Tomko nie dowierzając jeszcze, rzucił okiem ku chacie, ujrzał na przyzbie chustkę i wstążkę, i dzwignął ramionami zniecierpliwiony.

— No! to jak tam sobie chcecie, rzekł szydersko. Znajdzie się taka, co to weźmie.

— I takięj sobie gościńca tego oddajcie, odpowiedziała Marysia,—choćby Kachnie... dodała z uśmie-

chem, przypominając opowiadanie Rataja—ja pewnie nie pozazdrosczę...

— Filut dziewczyna! rzekł w duchu, zagryzając usta, Tomko: trafiła kosa na kamień... Ale ba! nie ona jedna na świecie.

A że był to budniczuk i syn bogatego gospodarza, przywykły do łatwych umizgów i dumny dawném szlachectwem swoim, więc jakoś się oburzył na sierotę, że lekceważyć śmiała; świsał piosenkę, siadł na koń, podjechał pod chatę, chwycił schyliwszy się chustkę, i wcisnąwszy ją za czamarkę, okiem nie rzucił na Marysię i poleciał.

Gdy się to działo, Marysia sobie przędła ze spuszczoną głową, przędła nie patrząc nań, a jednak widziała wszystko: każdy ruch zagniewanego chłopaka, każde jego ku sobie skierowane wejrzenie, i ścisnęło się jój serce, gdy bez pożegnania, bez dobrego słowa odjechał.

Pies jój naszcze kiwał jeszcze na odjeżdżającego; a ona... ona płakała...

Z tych łez nie umiałyby się była wytłómaczyć przed nikim, przed sobą nawet; ale tak jój było smutno, tak ciężko po odjeździe Tomka, jak gdyby najdroższe ze swych stworzeń, najmilszy sprzęt straciła. Już się dnia tego nie przędło, nie wiodło, nie śpiewało... i gdy noc przysła, nie spało.

Ucho jój mimowolnie szukało w powietrzu dźwięków znajomj piosenki i tętentu konia; ale głucha cisza panowała na gościńcu...

Tomko pomyślał sobie słowami piosenki:

„Ne welyka sercu tuha,

„Ne budeš ty, bude druha.“

I poleciał na tany do karczemki, za krasną twarzą, za białem liczkim i czarnem okiem, ku którym tęskno mu było przecię! Dużo było dziewcząt pod karczemką, gdzie grała muzyka, złożona ze skrzypka sławnego, szewca, z basetlisty, tkacza, i bębniarza, który, prawdę rzekłszy, był pastuchem przy dworskim bydle. Leśniczy traktował, przymilał się, wywijał, ścisnął, szeptał, poił i nahasał się do sytu; ale gdy nahulawszy się, powrócił nocą już do swojej izdebki, zdziwił się, że mu wciąż ładna twarzą Cyganki stała przed oczyma.

— Co u licha! zawołał w duchu: toć pewnie ona z nich nie najładniejsza... A nie chce, to się bez niej obejdę i myśleć o niej przestanę! Jeszcze się to czupurzy i udaje panienkę dworską: kat ją bierz!

Stara to historia serc ludzkich: daj im najdroższe skarby, pełną sypiąc dłonią, odwróć się od nich obojętnie; odejm tylko ziarnko drobne i podróż się niem trochę, już ci bez niego żyć nie potrafią. Próżno sobie wmawiał Tomko, że dla niego niczem jest Marysia: złość go na nią brała, a co gorsza, porównując ją z dziewczynami wiejskimi, widział dowodnie, że od wszystkich była piękniejsza, choć tego przyznać nie chciał.

— Już że piękna to piękna, mówił—ale nieznośnie harda. Nie będę się przecię lada Cygance kłaniał i w rękę ją całował!

I jak się zaciął Tomko, tak ani tą nawet drogą

przejechał, ani się pod chatą pokazał przez tydzień cały.

A co myślicie: tydzień dla młodych, to mało?? Wiek to cały w téj epoce szczęśliwój życia, która czarodziejską ma władzę z godziny robić lata, a z lat mgnienie oka... Tęskniła i smutna była Marysia, złościł się Tomko, i ani się spostrzegł, jak wreszcie jednego ranku siwek sam zaniósł go pod cmentarz.

Marysia przędła na mogile. Chłopak minął ją świszcząc, nie spojrzawszy nawet, ale oboje się widzieli, choć głowy mieli poodwracane; a pies, który był odwykł od konia i pana, wyleciał aż do fórtki naszczekiwać na nich. Mignął Tomko jak zjawisko, i znów go nie ma i nie ma.

Kilka dni tak przeszło, aż wyszpiegował dziewczynę, o którój porze chodziła na cmentarz, i nądjechał raniuteńko, kiedy się dopiero z wiadrami wybierała po wodę.

— Al dzień dobry, krasawico!

— Dzień dobry!

— Cóż to? sami sobie wodę nosicie?

— A któżby mi miał nosić i na co, kiedy sama zdłużam?

— El szkoda bo mi twoich białych rączek, Marysiu; bo doprawdy—rzekł zbliżając się—nie chłopskie rączki maciel

— A cóżbym niemi robiła? śmiejąc się odparła Cyganeczka. Jużćić ja nie ta pani, o którój gadają, że sobie siedzi założywszy ręce dzień cały; toćbym z nudy umarła!

— Jaka to z ciebie będzie gospodyni! rzekł kusiciel pochlebca, coraz się do niój przysuwając.

— Czemu mówicie „będzie?” odezwała się sierota:

alboż już nie jestem? A kto mi w domu gospodarzy, kiedy nie ja sama?

— Słyszałem ja, slyszal; ta to się we wsi wydziwić nie mogą waszój robocie i ochocie.

— Ale gdybym tak oto stała w pośród drogi, a codzień gawędziła z chłopcami jak dziś z wami—wiem, jakby szło gospodarstwo! Słońce wysoko, czas mi do krynicy...

— To i ja za wamil zawołał Tomko, rzucając konia na prędcę przywiązanego do kółka,—i ja z wami...

Marysia nie śmiała mu nic powiedzieć, wzięła wiadro i posunęła się naprzód, za nią Sierotka, za Sierotką Tomko. Ale ilekroć chciał napędzić ją i zbliżyć się do dziewczęcia, pies stróż czujny stawał, zęby mu pokazywał i nie dopuszczał.

— A! dobrego macie stróża! rzekł z przekąsem chłopak. Może i kąsa jeszcze?

— Czasem, śmiejąc się po cichu odpowiedziała Marysia; ale byleby do mnie nie przystąpić, nic nie robi.

Tomko zwolnił kroku, śpiewać począł, i zachodząc ze strony, zrównawszy się z sierotą, w przyzwoitej jednak od niej odległości, rozmowę zawiązał.

— Czemu to wy nigdy nie przychodzicie na tanię do karczmy?

— Nie mam czasu.

— A w niedzielę?

— Trzebaż jeść ugotować, pokarmić kury, gęsi, gołębie, chatę oporządzić, spocząć.

— I nie nudno wam to na odludziu?

— Nie.. na nudę nie ma też czasu.

— Trzysta dyablów! rzekł w duchu Tomko: zkad się ona tak pięknie mówić nauczyła?

— Prawda—dodał—że z was dziwne stworzenie. Innaby tak przepadła z nudy, a wy sobie cudem radę dajecie!

— Nie cudem paniczu, ale łaską bożą.

I westchnęła Marysia.

Tomko pożerał ją tymczasem oczyma. Pierwszy to raz był z nią tak długo i tak z bliska się jój mógł przypatrzeć, a wydawała mu się co chwila ponętniejszą, porównywał ją ze wszystkimi, jakie dotąd widział, nawet z czarnobrewą Petronellą, garderobianą sąsiedniego dworu, i musiał przyznać, że przy Marysi gasła nawet biała, rumiana i świeża dworka.

Ma to do siebie samotność, że jeśli nie psuje, to dziwnie wznioślejsze zwłaszcza natury uszlachetnia, a dusza czysta musi się przelać w rysy twarzy, w każdy ruch, w spojrzenie, dźwięk głosu, rzekłbym, w barwy i kształty, uwidamiając je przed światem. Dziwił się Tomko, że sierota dla niego miała urok i powab, powagę, ponętę, jakich nigdy nie doświadczał wrażenia. Myśl jego zuchwała i do zuchwalstwa przywykła łatwemi zwycięstwami, porywała się na sierotę; ale gdy na nią oczy podniósł, uczuwał jakąś nieopisaną obawę i tchórzył, ust nie umiając otworzyć. Wejrzenie jój niepokoiło go, mieszało, języka zapominał w gębie, choć nim gdzieindziej zręcznie bardzo władał; słowem, przy Marysi czuł się jak skrępowany.

— To lichol mówił w duchu: czy ja tu z tém kurczęciem ładu nie dojdę? tać to być nie może! Cóż to za jedna? zakłęta królowna? Tfu! Cyganka, sierota! przybłąda! A takby to było wygodnie się do niej umizgać: chata na odludziu, żywój duszy, tylko nas dwoje; przyjeżdżaj kiedy chcesz, nikt nie zobaczy, nikt nie połaje, nikomu się nie kłaniasz.

Dumał tak idąc obok dziewczyny aż do studni, a coraz to na nią spozierał z ukosa, a co się chce zbliżyć, to Sierotka warknie, i leśniczy choćby mógł go harapem odpędzić, woli odstąpić trochę. Tak doszli do krynicy pod górą.

Ta krynica, była to sobie jaką, niejednąście widzieli pewnie w życiu: studeńka nie studeńka, źródelko sączące się z pod glinianego obrywu na białej opoce kredziastój, ostawione starym szerokim pniem spróchniałym. Dokoła niego sączyła się woda, spływając do blizkiego stawu drobnemi, wężykowatemi strumyczkami, przez które po rozmokłej ziemi, gdyby nie kładki, kamyczki i cegły, trudnoby nawet przejść było.

Na pniaku leżał kruk drewniany, służący do spuszczenia wiadra, choć tu niewiele kto czerpać przychodził, bo źródło było daleko ode wsi; ale wymyślniejsze gospodynie aż tu czasem z za grobli przybiegały, bo woda była wyborna. Dokoła w prawo i w lewo zarastały bujno po bokach wzgórza tarnina, leszczyna drobna, kaliny i bzy, migdałowym swym zapachem napelniające powietrze. Wśród téj drobnoty, jedna tylko obłamana, stara, kaleka czereśnia wyżej się wznosiła, litość budząc koszlawym pniem swoim, co rok nowemi pooranym bliznami.

Miejsce było puste a ładne. W dali staw, grobla, młyn i część wsi jak na dłoni... Tomko chciał dziewczęciu dopomóc do zaczerpnięcia wody, ale nim się do tego po szlachecku przybrał, już Marysia przebiegła po znajomych kładkach, chwyciła kruk, zanurzyła wiadro, i śmiejąc się, pełne postawiła na ziemi, szybko toż samo z drugim robiąc.

Sierotka korzystając ze zrzeczności, napił się wody

ze strumyka, popiłnował aż Marysia wiadro dobyła, i znów poważnie na straży ku domowi iść począł. Tomko, który niepłonną miał nadzieję, że przy studni coś oberwie, choćby kradzionego całusa, rozpoczynającego wiejskie zaloty, powrócił całkiem z niczém i w dosyć złym humorze na psa i dziewczynę. Bo śmieszno mu było, że przed sobą wytłómaczyć się nie mógł, po co aż na dół schodził?

Po drodze rozmawiali tylko. Ale coby miał nabierać odwagi, a Marysia tracić, to on czuł się co chwila bardziej onieśmielonym, ona zaś coraz weselszą i odważniejszą.

— Ha! pomyślał Tomko: pójdę za nią do chaty, zobaczymy.

Ale dziewczyna u drzwi postawiła wiadro i siadła na przyzbie. Tomko znów klął tę jej politykę, której się nie spodziewał. Usiadł wszakże koło niej. Cóż, kiedy jak na przekór Sierotka umieścił się między nimi na straży, co chwila białe ukazując mu zęby, byleby się ruszył.

Po chwili przekonawszy się, że nic nie zyska, Tomko zły, gniewny, choć niby żartował z tego, klnąc, że więcej nie powróci, poleciał do dworu.

Jeszcze była Marysia nie odeszła ze swego miejsca, kiedy milcząca i zadumana zjawiła się przed nią Sołoducha.

Sierota radośnie rzuciła się ku niej, tak jej było pilno serce otworzyć i pogadać o świeżych wypadkach, maluczkich na oko, ale wielkich w życiu dziewczęcia, które czuło, że się los jego waży na szali pierwszego w życiu stanowczego kroku.

— A matuniu! matuniu! zawołała rzucając się ku niej Marysia: jakże ja wam rada, żeście do mnie

przyszli! To strach, co ja mam do was spraw pilnych... ażem już biedz chciała!

— Pewnie ten szalawiła, który tylko co ztąd odjechał, głowę ci zawrócił... No, przyznaj się? odezwała się uśmiechając Sołoducha.

— E! nie! bawiąc się końcem fartucha odpowiedziało dziewczę: ale co tu z nim poradzić, tak się do mnie uczeplił?

Baba kręciła głowę.

— Jakże ci się zdaje? spytała, widocznie próbując.

— Szczerze powiedzieć matuniu?

— A szczerze!

I stara ciekawe oczy wlepiła w sierotę.

— No to tak! rzekła śmiało Marysia: ożenić się on nie ożeni, boby i dobry gospodarz za synową ani za żonę nie chciał sieroty, dla której nie ma komu ani wesela sprawić, ani nawet dać ręczników. A co dopiero budniczuk hardy i syn takiego bogatego ojca jak Choiński! Pokręci się, pokręci, porzuci, i żal tylko w sercu zostawi... Na co darmo się kumać, kiedy chrztu nie będzie?...

Sołoducha jakoś się dziwnie rozśmiała z prostodusznej przypowieści dziewczyny.

— Nie głupio—rzekła—nie głupio. Już też on nam dosyć dziewczynek nabałamucił. Pora, żeby go też która przytrzymała... A podobał ci się? spytała podejrzliwie i chytrze baba, spoglądając z podełba.

Marysia spuściła oczy i zapłonila się.

— A czemużby się nie miał podobać? szepnęła: chłopak niczego i taki to panicz! Ale témbardziej on nie dla mnie!

I westchnęła.

— E! gadaj zdrowa! Byle rozum, nie takie to się

na świecie dzieją rzeczy. A choćby syn Choińskiego ożenił się z córką cygańską, coby to był za dziw, kiedy się panowie nieraz z takimi fiondami żenią, co twego palca nie wartel! Tylko się umiej z sobą podrożyć, to go gdzie chcesz zaprowadzisz.

To rzekłszy, zamilkła chwilę.

— Alel dodała jakby się namysliwszy: kiedy to już się te konkury zaczęły, czy nie lepiejby tobie teraz na jaki czas do naszej chaty się schronić? Byłoby bezpieczniej... Ej! byłoby bezpieczniej! Zwłaszcza kiedy i te przybłędy znowu się tu przywlokły... dodała ciszej.

— Kto? spytała Marysia.

— Nol alboż to nie wiecie, że ta banda cygańska, z której był twój ojciec, znowu, słyszę, do wsi przyszła?...

Na te słowa dziewczę zerwało się z siedzenia nagle, rzekłbyś przeistoczone zupełnie, zmienione, przerażone, pobladłe i drżące.

Ręce załamała i słowa wyrzec nie mogła.

Stara nie pojmowała co się z nią stało, bo uczuć dziewczęcia odgadnąć nie była w stanie. A sierocie, sierocie wzmianka o jakiejś odległej rodzinie, która się jej nie zaprze, która ją przytulić może, uderzyła w serce dziwném wrażeniem... Ona prócz matki nie miała nikogo, coby ją przytulił, coby przygarnął do siebie, ukochał i przyznał się do niej.

Sołoduha wzięła za przestach co było tylko silnym uczuciem wyrrywającego się serca... O! rodzina, czarodziejskie to słowo! Ile w niem ukrytych leży radości, ile pociech, ile węzłów łączących nas przez nią ściślej ze społeczeństwem całym... Jest to niejako ogniwo łańcucha wielkiej całości, od której odezwani, błakamy się nie wiedząc co począć z życiem.

Kto nie miał nigdy rodziny, kto nie czuł słodkiego uścisku brata, ojca, krewnego, jakże marzy o nich i jak gorąco ich pragnie!

— Co tobie dziewczyno? zapytała po chwili Sołoducha: czy ty się tak boisz? No! to ruszaj ze mną! ja cię przechowam, nie masz się czego lękać.

— Ja? bać się? a czegożbym się swoich obawiać miała? odezwała się dziewczyna. Toż to moi! to moi!

Sołoducha oburzyła się.

— Jacy oni twoi? Pluń na marę! poganie! nechresty! Matka twoja była chrześcianką, a ojciec obwieścił się, nie chcąc ci być ojcem: czémże oni twoimi być mają?

— Bracia ojca! jęknęła dziewczyna.

— Co katowali go, aż od nich uciekać musiał?

— Lepsiż byli bracia matki?! spytała Marysia.

Sołoducha skrzywiła się.

— Ale wiesz-że ty co to za lud? spytała gorąco: matka ci tego nie powiedziała pewnie, a cudzy nie śmieli. Cały boży świat od nich jak od zapowietrzonych ucieka: złodzieje, zbójcy, czarownicy, i gorzej, i gorzej jeszcze: poganie, nechresty!

Marysia zadrżała.

— A czyż to prawda? spytała przerażona.

— Ja Bóg miły! Dowiedz się od ludzi, idź od wsi do wsi, nic ci innego nie powiedzą: to postrach okolic. A gdyby to było co dobrego, czyby to się tak włączyło po świecie, nigdzie miejsca zagrzać nie mogąc? Im w to graj, dodała uśmiechając się stara: jak się tylko dowąchają, że tu żyje córka ich brata Cygana, a sierota, a sama jedna, a jeszcze i młoda i ładna, zlecą się i gotowi gwałtem cię porwać z sobą. Te łotry i krwią własną i cudzą frymarczą... Ni-

by to nie pamiętają ludzie, jak tu ich dziewczka bałamuciła naszego pana!..

Marysia słuchała, drżała, i sama nie wiedziała co począć. Ogarniał ją przestрах jakiś, a żal było chatkę porzucić, a serce i ciekawość ku Cyganom ciągnęły... W głowie pomieszało się wszystko, załamała ręce, spozjrzała na mogiłę matki.

— Nol i cóż myślisz? spytała Soloducha.

— Ale bo to widzicie... odpowiedziało dziewczę, usiłując myśli pozbierać: cóż ja pocznę z gospodarstwem? Sądzicie, że mi tylko zabrać manatki i drzwi kołkiem podeprzeć? A toć mam i gęsi, i gołębie, i psa, i kota, których tu nie porzucę, boby to z głodu pozdychało marnie. Jużci tego nie zabierzecie.

— A lepijże tobie ginąć?

— Wiecie co? zbliżając się zawołała dziewczyna: Cyganie długo nie popasają, kiedy już ich taka dola włóczyć się po świecie; Tomko mi też długo dokuczać nie będzie. A gdybyście wy pobylili u mnie tydzień jaki?

— Toby Rataisko z głodu umarł, a ja ze strachu, nocując podle cmentarza! odparła zrywając się starucha.

— Rataj teraz z jarmarku na jarmark chodzi, bo to wołowe targi poczęły się i odpusty w okolicy... No, a cmentarz! widzicie, że mi nic nie zaszkodził, to i wam przy mnie nicby się nie stało...

Stara zamyśliła się.

— O! podumam, rzekła wstając: jeśli starego w chacie nie ma, to przyjdę i posiedzę.

Marysia pocałowała ją w rękę, i tak się rozeszły.

Za wsią na rozłogu istotnie od wczoraj roztasowała się była banda Cyganów, taż sama, która nawiedziła Stawisko przed kilkunastu laty—jeśli jest co na świecie, coby tém samém po upływie lat tylu nazwać się mógł!

Taż sama była i nie ta!

Dzieci Aprasza podrosły, Aprasz choć krzepki jak dąb, zgiął się od pracy, znoju i wieku, a Aza, owa prześliczna Aza, nie tą już była co przedtém! Musiała zostać w końcu żoną Cygana, i dziś panowała znów jemu i całej gromadzie: w miarę jak on się starzał i słabiał, ona nabierała sił i woli. Na jój skinienie drżał kowal stary, chowały się jego dzieci, które nieraz smagała własną ręką, a gromada słuchała jój jak wodza. Po długiej po świecie pielgrzymce, nigdzie nie zagrawszy kąta, przyszła znów po tułacku nawiedzić to sioło, w którego pamięci tak krwawo zapisało się pierwsze ich przybycie. Kto wie, może ta dzika niewiasta zachciała tam grób czyj odwiedzić i pamiątkę oplakać?...

A gdy się im ukazała z pagórka znajoma okolica z zieloną mogiłą, z jasnym stawem i błonią, na której dwakroć już obóz ich stawał,—z oczu Azy błysnął jakiś ogień straszliwy, i sine jój usta się ścięły.

Aza nie była już ową wdzięczną, czarującą dziewczką cygańską, której oko paliło na kogo padło: znikła dawna jój świeżość i wdzięk młodości. A przecież po leciech kilkunastu tułactwa, nędzy, cierpienia, jeszcze była piękna i ciągnęła oczy ku sobie. Zachowała swą dawną kibić i kształty, oczy powiększyły się jeszcze: nie wiem od łez wylanych, czy od srogiój rozpaczy, która przez nie patrzyła. Usta ścięte, gdy się otwierały,

świeciły jeszcze zęby białemi, a kruczy włos nie spadł ze skroni jak liść jesienny... Mimo smutku, który ją pożerał, Cyganka zachowała instynktowie jakieś pragnienie przedłużenia młodości i zachowania wdzięku: strój jój o niém zaświadczał. Gdy inne w jój wieku zwiędłe, zszarzone, zobojętniałe, ledwie się oszarpaną otulały płachtą,—ona szukała w odzieży barwy i kształtu, i stroiła się jak królowa.

Tylko co rok twarz jój surowszego, dzikszego nabierała wyrazu, usta pogardliwszym wykrzywiały się uśmiechem, oczy ognistszym w świat patrzyły wyrzutem. Jakby za swe cierpienia na wszystkich mścił się chciała, nieubłaganą, gniewną była dla tych, co ją otaczali. A Aprasz, który szalał i ginął za swoją *egaszi*, robił co tylko chciała...

Zaraz pierwszej nocy po przybyciu do Stawiska, Aza znikła z obozu. Aprasz schwycił się za siwe włosy, poleciał do dworu. Ale powrócił z niczém, bo nogą tam nie postąpiła. Domyślił się gdzie była, a z umarłymi nie walczyć żywym w sercu kobiety.

W istocie Aza całą noc przesiedziała na mogile Tumrego, niema, zadumana, straszna jak widmo z grobu wywołane. Sercem tylko, nie pytając nikogo, wynalazła zielony pagórek, który krył w sobie zwłoki jój ulubionego: bo lat kilkanaście wbiło go do ziemi i zasiało na nim wysokie burzany, za którymi go prawie widać nie było. Wśród ciemności, kalecząc ręce, zapalczywa Cyganka obrywała chwasty i krzewy z mogiły samobójcy, a gdy ranek zastał ją spoczywającą na ziemi, kurhanek już był oczyszczony z zakrywających go burzanów.

Błysnęło światło dzienne, i z nocą pierzchnęły dumy i żale. Wstała Cyganka ze śmiechem dzikim,

podniosła się i garść ziemi chwyconą z mogiły rzucawszy na pierś za koszulę, pobiegła ku dworowi.

We dworze chciała zobaczyć pana Adama, drugiego kochanka, by może szyderstwem żal ochłodzić. Była to chwila, w której nawrócony grzesznik, małym wózekiem wyjeżdżał na mszę do przyległego kościółka... Dnia tego opóźnił mu się woźnica i brał za to różgi w stodole, a pan Adam z książką nabożną i różańcem w ręku, czekał w ganku, ażeby po naponnieniu ojcowskiem zajechał po niego chłopak... Wtém zjawia się Aza.

Aza nie tyle była zmieniona, co nawrócony rozpustnik... Poznał ją od razu, i z krzykiem zakrył twarz konwulsyjnym ruchem, a Cyganka rozśmiała się, po ruchu tym i po głosie poznawszy w nim dopiero zwiędłego młodzieńca, dziś w zgrzybiałego zmienionego starca.

— Patrzciel taż to on! zawołała. A! jak mi się masz! Ha! ha! ha! a! co się z tobą zrobiło?

— Idź precz, idź precz wszetecznicol zakrzyczał pan Adam, zakrywając wciąż oczy. Precz szatanie, bo różgami osмагаć cię i ze wsi wypędzić każę.

— A! grzecznie mnie przyjmujesz! rozśmiała się Cyganka. Ale popatrz-no, popatrz: jeszcze doprawdy nie taka stara i szpetna, jak ty zdechlakul! Nie dalej niż tydzień temu, dwóch młokosów pędzalo za mną, zem się im kijem musiała oganiać! Zdejm z oczu *angusztli* (palce), spojrzysz... przekonasz się, że nie kłamię.

Ale pan Adam już słów tych nie słyszał, i przełękty uciekł w głąb domu.

Aza popatrzała, splunęła, odwróciła się i poszła;— poszła wprost do chaty Tumrego.

Po drodze spotkała ludzi, zatrzymała jakąś dziewczynę, i dowiedziała się od niej o córce Tumrego. Z ogniem w oku wysłuchiwała powieści, i zadumana pociągnęła ku cmentarzowi.

Poważna i smutna zbliżyła się ku chacie, i zadziwiona stanęła nagle, gdy pies z pod wierzby u mogiły zajadł na nią zaszczekał.

Sierotka, jak wszystkie oswojone stworzenia co nas otaczają, przywykł był już do pewnych twarzy, sukni i postaci, do swojskiej woni wieśniaka. Przestraszył się więc Cyganki z narzuconą na ramię *urakną* (płachta) kolorową, od której zaleciał go dym obozowiska i szatry Cyganów. Nie jak zwyczajnie bywało wsparty na drzewie z daleka, ale wybiegłszy na wał zielony, srodze ujadać na nią zaczął. Cygan-ka stanęła rozglądając się, i w téjże chwili postrzegła podniesioną głowę Marysi, której nazwiska wiedzieć, żeby ją poznać, nie potrzebowała. Było coś w rysach dziewczęcia znamionującego jój pochodzenie, przypominającego Tumrego, i zamglone wspomnienie ukochanego wydobyło się z piersi Azy, stając przed jój oczyma w postaci jego dziecięcia. Serce jój biło gniewem na świat cały, co jój odebrał kochanka: z pragnieniem zemsty na ludzi, łza gorąca pociekła z czarnego jój oka.

— A *Bynk!* zakłęła po cichu: to onal to jego córka! *Tumrego ciał!* Jaka śliczna! jaka śliczna! Ja nawet nigdy nie byłam taką! I poszło to między *gadziców* na sieroctwo, na poniewierkę i nędzę, w niewolę, przykute do mizernój *khery!* (chaty).

Aza stała mrużąc te słowa, i wciąż patrzyła na Marysię, która z przestraczem wpatrywała się także w dziwną jój postać, pełną groźnego jakiegoś i dzi-

kiego wdzięku. I ona odgadła w niej Cygankę, może pokrewną... a serce biło niewytłómaczoném uczuciem bojaźni i miłości.

Sierotka tymczasem to z wału zeskakiwał, to na wał wpadał, i ujadał gryząc ziemię.

— Dziewczyno, *rakloro!* odezwała się Aza: zawołaj psa swego! chcę się zbliżyć do ciebie i pomóc z tobą.

Marysia odezwała się do Sierotki, ale ten ogonem pokiwał, zakręcił się i czekał znowu.

Przybyła zbliżyła się tymczasem do cmentarza, przeszła przez fórtkę i postąpiła ku Marysi. Wzrok jój zatapiał się w rysach, na których czytała przeszłość swoją...

Siadła blisko, nie zważając na psa, podniosła oczy i zapatrzyła się nie mogąc nasycić wzroku widokiem sieroty, milcząca, ponura, zapłakana... Wzrok jój palił Marysię... Po długim spoczynku, łagodnym głosem spytała sierota:

— Czego mi się tak przypatrujecie, dobra kobieto? Aza rozśmiała się gorzko.

— Ja nie jestem *latio egaszi* (dobra kobieta), nie, nie! Alem znała ojca twojego Tumrego, i patrzę na dziecko jego... A nad tamtym płaczę...

— I matkęście moją znali? spytała dziewczyna.

Aza nic nie odpowiedziała.

— Dawno matka twoja umarła? odezwała się żywiej po przestanku.

— O! lat już temu kilka, zapłakany głosem odezwała się Marysia. A, ot... jój zielona mogiła. I wskazała pagórek, przy którym siedziały obie.

Aza ze wstrętem odsunęła się od niego, nie kryjąc się z uczuciem, które nią wstrząsnęło.

- A któż ci był matką? kto ojcem? spytała.
 — Jeden Pan Bóg! odpowiedziała sierota.
 — A ludzie?
 — Jam niewiele potrzebowała ludzi.
 — I żyłaś tak... sama?
 — Jak widzicie, w téj lepiance, sama samiuteńka.
 — A któż cię karmił? zdziwiona poczęła Aza.
 — Moich rąk dwoje, i opieka boża, i modlitwy matki...

— Nikt się nie zlitował? nikt nie dopomógł?
 — Ale nie! ja się nie skarzę! nie! żywięj przerwała Marysia: tyłkom nie potrzebowała pomocy i nie wołała o litość; nauczyłam się sama radzić sobie. A było, było pocziwych dwoje, co mnie strzegli i strzegą, co pomagali chlebem, sercem i słowem... O! i więcéj niż dwoje!

— Któż to taki? przerwała ciekawie Cyganka.

— Stara Sołoducha, żona żebraka, i stary Rataj, jój mąż.

— Tak! cygańska dola nad cygańskim zlitowała się dzieckiem, szepnęła Aza i zamysliła się. Ale dość już tego zycia! zawołała po chwili, wlepiając oczy w sierotę: tyś dziecko *Romów*, czas ci *gadziów* porzucić a iść z nami. Tyś piękna i młoda, lepij ci u nas będzie. Co to za życie? życie *szukeli*, życie *zycaja* (psa, kota), których głupi nałóg przykuwa do chaty do progu, do kąta, i robi kamieniem. Codzień jedno przed oczyma, codziennie toż samo życie, ta sama nędza i praca. Pójdiesz z nami, pójdiesz i zobaczysz, jak świat się córce Tumrego, krwi *Romów* rozśmiejel. Tu na ciebie patrzą jak na obcą i brzydzą się tobą, a z nami będziesz królowała, będziesz *rani* (pani) jak ja!

I wstała, na świat potrząsając ręką...

— Jak świat szeroki, jak *pfuf* (ziemia) wielka, wszystko to nasze królestwo. Jak zająrzeć ojczyzna: granic jej nie stawi nikt! Żle tutaj! wóz zaprzęgą i dalej pod cieplejsze niebo za góry, na Węgry, het! het! aż nad sine morze, do miasta, co w wodzie pływał! A idąc śpiewamy i nie mamy tęsknić czasu, bo w oczach coraz coś nowego! Zobacysz *rakloro*, zobaczysz! rzuć tylko chatę, pluń na tę kądziel *gadziów*, weź na ramiona *urakhę* i z nami, z braćmi twoimi...

Te słowa wymówione żywo, gorąco, choć połamanym językiem, pełne ognia i zapału, dziwnie przejęły sierotę, przywykłą do powszedniej chłodnej mowy wieśniaczej. Ozwała się w niej może uśpiona krew cygańska i instykt tułaczy. Zadrżało serce, ale usta otworzyć się nie umiały. A Aza mówiła, mówiła, i bujała jakby pieśń jakąś śpiewając, rajem czyniąc włóczęgę, rozkoszą nędzę, która ich jadła, na ustach nawet śmiech błędził pożyczany i straszny...

Skończyła, a Marysia słuchała jeszcze, bo ją ten obraz nieznanego życia, nieznanomiej rodziny pociągał ku sobie jak przepaść: obawiała się ich i pragnęła.

— Dobra kobieto—odezwała się podnosząc oczy, które spotkały i mogiłę zieloną, i starą chatkę matczyną,—a! nie mnie to iść z wami. Jam już nie Cyganka, nie! nie! Ojca nie znałam, ssalam piersi matki mojej, z niej przywiązanie do kąta i strzechy... A ot grób biednej matki, a ot ojcowska praca! Ot ścieżki, któremi biegałam za młodu; ot i moi przyjaciele...[dodała wskazując kury, psa i stado gołębi unoszące się nad cmentarzem.— Cóżbym ja poczęła z wami? co wy ze mną? mówiła dalej. Ja was, wybyście

mnie nie zrozumieli; a pierwszego dnia, gdyby mi z oczu znikła ta chatka i mogiła, z tęsknotybym po nich, umarła. Na co mi świat? albow to ja ciekawa szerokiej ziemi i sinego morza? Gdzie kogo posadziła dola, tam mu żyć i umierać! Co wam lepszego, że kości wasze leżą rozsypane po świecie, a serce nie ma się gdzie, nie ma do czego przytulić?

— Nol to zgnijże tu *gadziów ciąj!* krzyknęła gniewnie Cyganka. Chcesz być kamieniem, bądź nim sobie! Głupiego nie wiąże sznurek, ale wola jego. I skomli jak pies na łańcuchu, a urwać się nie ma siły... Omyliłam się: w tobie już nie ma krwi cygańskiej.

To mówiąc, powstała oburzona; ale gdy znowu spojrzała na twarz zasmuconą Marysi, na te rysy, które jój Tumrego w całym blasku młodości przypominały, zmiękła i zatrzymała się, zmieniając głos, który chciał zionąć nowemi przekleństwami.

— A co twoja za dola? spytała. O! młodość przesiedzisz na mogile! Kto ciebie zechce? kto cię przytuli? kto pokocha? Sponiewierasz młodość swoją, sprzedasz się, za chleb i za strach może, a potem pójdziesz o kiju zebrać obelg i szyderstwa... Szczenięta psa twego nogi ci będą obrywały!

— Niech i tak będzie! odpowiedziała Marysia: a czy to życie tak długie?

— Żal mi cię, dziewczyno, boś nie stworzona na poniewierkę, dodała Aza. O! o! jakbym ja ciebie po swojemu ubrała, a nauczyła skakać i śpiewać! Pano wieby szaleli za tobą, pieniądzeby się sypały gradem... Kto wiel w złocie czasem chodzą Cyganki i garścią złoto rzucają.

Tych słów pokusy nie zrozumiała nawet dziewczyna, bo się rozpląkała na wspomnienie matki, które jój przyszło do serca.

— Ej! to darmo, szepnęła cicho: doli swojej nie przerobić, losu nie przetkać na nowo. Człowiek jak nić, co ją Pan Bóg przędzie: z grubej na cienką wysnują ludzie, ale z cienkiej nie zrobią grubiej... Na cóżbym latać miała za lepszym, kiedy go dla mnie nie ma na świecie?

W tej chwili rumieniec jak krew trysnął na twarz dziewczęcia, bo posłyszała tętent siwego konika, i przyszło jój na myśl, że gdy ją Tomko z Cyganką zobaczy, już i spojrzeć na nią nie zechce.

Aza dostrzegła niepokój Marysi, odwróciła się, powstała, najrzała chłopaka, który niespokojnym okiem szukał sieroty, i odgadła wszystko.

Tomko widział w przelocie, że nie była sama. Nie zatrzymał się nawet, obejrzał się tylko, uśmiechnął i poleciał ku wiosce.

— Ha! teraz ja to rozumiem, śmiejąc zawołała Aza: dla tego to białowłosego nie chce ci się od chaty i mogiły... Za wcześniej dziewczeczko, za wcześniel! Gdybyś z nami była, ukochałabyś kogo chciała, porzuciła odchodząc, i ktoby tam wiedział, co ci przez serce przeszło! Ale tu! ot mizernie ci zginąć przyjdzie, nie zakosztowawszy życia! Jeden cię zbałamuci, a wszyscy palcem pokazywać będą! Myślisz, że się ten młokos z tobą ożeni? O! o! czy jemu to w głowie! Dość spojrzeć na niego, żeby cię pożałować: godzina wesela, reszta życia płacz! Póty on tu jeździ, póki pierwszej lzy nie zobaczy. A potem bywaj zdrowa! Prosty nawet chłop cię nie weźmie, bo i jemu zechce się krasnego pasa, czerwoną wstążką związanąj flaszki na

weselu... Myślisz, że ludzie kochają? Al głupia! głupia! psy to jeszcze, ale ludzi!

Potrząsała głową, poczekała na odpowiedź, i udała, że odchodzi. Marysia milczała, łzy się jój w oczach kręciły.

— Nie pójdziesz z nami? spytała Aza.

— Nie, nie! odpowiedziała sierota: niech się dola spełni, nie ucieknę ja od niej.

— To gnijże, gnij! odparła Cyganka gniewnie: na dolę człek ma wolę... ale głupiemu nie poradzić!

I wysunęła się ze cmentarza, ale oglądając się, zatrzymując, wahając, jakby ją co nazad ciągnęło. A Sierotka przeprowadził Cygankę szczeniem i wy-ciem aż za górę.

Gdy się w człowieku gwałtowna rozbudza namiętność, wszystko, coby bieg jój tamować powinno, jeszcze go silniej przynagla. Jest w tém coś niepojętego. Walczymy z sobą, cierpimy, a z walki i boleści zarówno korzyść odnosi nieprzyjaciel. Owszem, przeciwności mają w sobie siłę podbudzającą, której nie posiada powodzenie. Tę uwagę—nie śmiecie się czytelnicy—robimy z powodu przywiązania Tomka Chońskiego do córki Cygana. Ale Tomko nie takiz człowiek jak my wszyscy? i nie temuż ulega prawu, co bracia jego w Adamie, w słabości i upadku?

Tomko jak wszystka szlachta podupadła, a nieco zamożniejsza, mimo swego skromnego leśniczowstwa i budki, w której jego rodzice mieszkali, dumny był jakby jeszcze przysłowie o zagrodzie i wojewodzie pamiętał.

Pierwszy krok jego do Marysi całkiem był tylko skierowany płochą myślą uwiedzenia biednego dziewczęcia. Zbliżył się, poznał, przypatrzył, postrzegł, że

trudniej to będzie, niż mu się zdawało. Ale w chwili gdy już postanowił porzucić głupie zaloty, po czasie było: poczuł, że bez tego ślicznego stworzeńka, z którego oczu raz się napił rajskich nadziei, już żyć nie potrafi.

Chłopak tego sobie nie mówił, śmiał się z tęsknoty i serca własnego, ale rady nie było na nie. Gdzie pojechał, Bóg wie jak kierował drogą, a musiał przesunąć się mimo lepianki. Którego dnia dziewczyny nie zobaczył, tęsknił aż szalał. W ostatku spochmurniał, zadumał się, i zmiarkował, że to nie żarty.

— Czarownica czy co! mruknął w duchu. Juźciż to nie pierwszyna mi się kochać, a nigdy takiż z tego jak teraz nie miałem dokuki... Jeszcze licha nadało: ładne, gołe, a harde, że ani przystąpić. Oj! Cyganka! Cyganka! dała mi jakiegoś licha w tój wodzie, com to się jój na moją biedę od niój napił.

Tak rozmyślał Tomko, a rady sobie dać nie mógł. Już był postanowił, co będzie to będzie, formalnie się do niój począc zalecać, choć do reszty postradać głowę, gdy przejeżdżając koło chaty właśnie w czasie bytności Azy, temi stosunkami Marysi z łotrowską bandą włóczęgów tak się zgorszył, że postanowił już ani spojrzeć na dziewczynę.

Cały dzień latał łając, wściekając się, srożąc, tłukąc za swoje grzechy nieszczęśliwego siwka, a na Cyganach się to skrupiło, bo ich zaraz ze wsi przepędził własnym domysłem, tak, że ledwie czas mieli rzucić na wóz manatki, i co prędzej ku sąsiedniej wiosce pociągnęli.

Tomko zaklął się nawet, szczęściem sam przed sobą, co go nie tak bardzo zobowiązywało: że zupełnie o Marysi zapomni, do chaty za wsią nie zajrzy

i pocznie się do Horpyny sotnikówny zalecać, gdzie pewien był, że go dobrze przyjmą. Ale wszystkie te postanowienia trwały niezachwianie niespełna dwadzieścia cztery godziny.

W ciągu nich nawet Tomko, nie gościńcem wprawdzie, ale kędyś drożyną po za cmentarzem przejechał raz mimo chaty i z ukosa spojrział w stronę Marysi. Nazajutrz już mu z tém strasznie było ciężko. Ale na lekarstwo wprosił się do sotnika. Horpyna była niczego, zdrowa, hoża, młoda, i niezmiernie śmiała. Sotnik wdowiec, w chacie tylko stara milcząca najmitka: słowem, zaloty sżyby były jak po maśle, bo dziewczęciu panicz się wcale podobał. Ale Tomkowi po Marysi wydała się sotnikówna tak pospolitą, prostakowatą i bezwstydną, że pokręciwszy się chwilę koło niej, choć go zapraszano na wieczorynkę, pod pozorem objazdu lasów powrócił do domu.

Chmurny a guiewny sam na siebie, położył się spać i zasnął sprawę bardzo wczesnie z wieczoru. Ale sen, co go miał uleczyć, to mu w głowę napłatał jakichś obrazów, że z niemi wstał o zaraniu gorzej jeszcze niż był rozmarzony.

I tego dnia i kilku następnych kręcił się, włóczył jak Marek po piekle, i nic mu niby nie było, ale taka się do niego uwiązała tęsknota, że coś to aż na chorobę zakrawało.

Wszędzie mu było źle, nudno, samotnie; a że dawno dosyć rodziców nie odwiedzał, wziąwszy pozwolenie we dworze, pojechał na budki.

Owa szlachecka w lesie osada nie była tak bardzo oddalona od Stawiska. Leżała ona na samém pograniczu pomiędzy Rudnią a wioską pana Adama, i składała się z dziesiątka chat czynszowników daw-

nój szlachty, niegdyś sprowadzonej do wyrąbków lasów i palenia potażów, teraz zmienionych w rolników i przyrosłych do kąta, w którym się od pradziada zagnieździli.

Chaty czynszowników rozrzucone były na górzystej wśród lasu polance, co rok prawie szerzej wykarczowywaną. Każdą z nich oddzielał od sąsiednich ogród obszerny, półko, sad wiśniowy, pasieczka, stare grusze i czereśnie, a białe domki wdzięcznie malowały się w pośród lasu. Na pagórku od kraju leżała chata najbogatszego pana Choińskiego, który miał do dwudziestu roboczych koni, gospodarstwo zamożne, i handle prowadząc to wołami, to wieprzami, głośny był jako Krezus między swymi. Świeżo wzniesiony domek z dobrego drzewa, dość wysoki, z kominem i ganeczkiem o dwóch słupkach, okolony porządnymi zabudowaniami, powiadał wyraźnie czyjś był pomieszkaniem.

Adam Choiński był to już poszpakowaciał człowieczek, przebiegły, pracowity, który nie z jednego pieca chleb jadał, bywał na wozie i pod wozem. A że mu się wszystko dotąd, czego dotknął, udawało, więc przemyślał coraz coś nowego, by nie próżnować i groszowi nie dać darmo leżeć. Brał pola cudze na współ, kupował woły, karmił wieprze, sprzedawał masło i sery od licznej trzody bydła, koło którego Adamowa szczęśliwą miała pieczę, najmował się pod transporta drzewa i zboża, a wreszcie gdy zabrakło konceptu, to po sól do Konstantynowa, to po ryby jeździł do Pińska, co rok kapitałik powiększając obrotami. A że i pasieka się rozmnażała, bo jejmość była gospodynią, co się zowie, i w domu żyło się oszczędnie, przeto codzień miał się lepiej Choiński.

Tomko był u niego jedynakiem, ukochaném dziecięciem, a przez jejmość trochę nawet pieśczoneń. Pan Adam nie dawał mu jednak próżnować i bąki strzelać. Oddawał go najprzód do parafialnej szkółki, potem na służbę choć lekką do Mińska, aby to niby coś robił. Że niedaleko otrzymał miejsce, widywali się z rodzicami niemal co tydzień, bo jeżeli Tomko nie przybył, to Adamowa kałamaszkę zaprząglszy, jechała do niego się dowiedzieć.

Stary był doma, i matuś aż na próg wybiegła gdy kopyta siwego zatętniały na podwórku. Pan Adam wybierał się tego dnia gdzieś na jarmark, i wóz już stał przygotowany przed chatą, a on sam we drzwiach, wdziewał szaraczkową kapotę, gdy się syn stawił. Choć się krzepko trzymał, pan Adam nie był już młody: włosy miał jeszcze dosyć, ale szpakowatego, twarz do zbytku może rumianą i ogorzałą, oczka szare biegające, usta szerokie i uśmiechnięte, a nad niemi wąs szczególnego rodzaju. Kształt jego wymyślić musiał ktoś, co wąsa ogolić żałował, choć znał z doświadczenia niedogodności jego i zapobiedz im usiłował przemyślnie. Coś to było nakształt siwego sznurczka, w równém oddaleniu od ust, by w potrawy nie zaglądało, i od nosa, żeby go tabaką nie walać: niepostrzeżona prawie linijka twarodo stojącego i krótko obciętego wlosa, która pozwalała się pochwalić wąsem, a zimą i latem do niczego nie zawadzała. Bieda tam tylko być musiała z goleniem, żeby po tygodniowym lub dłuższym odroście trafić na pozycyę owego wąsa; ale od czegoż doświadczenie? Golił się sam pan Adam, i nigdy wąsów nie wykąsił, ani się im dozwolił do zbytku po twarzy rozpościerać.

Ledwie Tomko zsiadł z konia, troskliwe oko mat-

ki i baczne wejrzenie ojca już go objęły całego, i oboje postrzegli, że chłopak przymizerniał, a wesołość, która dawniej twarz jego okrywała, stracił. Pocałował w rękę rodziców, i milczący, powolnie, bez swawoli, bez głosu wszedł do chatki.

Ojciec go nie spytał, co mu jes? ale matka zaraz szepnęła na ucho:

— Co to? czyś nie chory Tomku? albo ci się co nie stało? Mizernie ci coś z oczu patrzy?

— Ot tak! rzekł leńniczy: coś mi na sercu ciężko.

— No! no! dodał zażywając tabaki stary Choiński, który i pytania i odpowiedzi dosłyszał: raz wraz bo z dziewczętami się parasz... *Dobra twoja brodnia... ale nie szczo dnia...* Jużby czas to porzucić, a to zdrowie stracisz i na jakie lichy trafisz, że ci kwaśnego piwa nawarzy!

Tomko, który się ojca bał i wstydził, zawołał zaraz:

— A gdzie mnie tam to głupstwo w głowie, tatumiu! Nie miałbym roboty... Ciężko lasu upilnować; nie ma dnia, żeby nie było trzeba siekiery odbierać... Pan nie żartuje, sam po drogach o kwitki pyta, tchnąc człek nie ma czasu.

— To i dobrze, że pracować musisz; to i dobrze!

— Ale jednakże—żeby zdrowia nie nadwerężył! dodała matka.

— Porzuc jejmość, przerwał stary. Praca nie zaszkodzi; byle to prawda tylko była, co Tomko mówi, jeszcze pół biedy. Wyśpi się, naje i będzie zdrów.

Matka spojrzała, westchnęła i zamilkła. A przypomniawszy sobie, że syn może być głodny, pobiegła do komory po przekąskę. Stary z boku popatrząwszy na syna, sam wkrótce do ładowania wozu i wyboru

na jarmark pośpieszył, bo zwykł był mawiać: „Sprawa sprawy nie tamuje...“ Jakoż wkrótce konie zaprząwszy, siadł i pojechał, choć mu tęskno była syna porzucać, ale jarmarku opuścić nie mógł.

Adamowa była matką, syn jój jedyném dziećciem: jakże tu przenieść widoczną jego zmianę, smutek i troskę? Poczęła koło niego chodzić, żeby się prawdy dopytać.

Tomko nic dla niej skrytego nie miał; a choć matka do zbytku pobłażała mu może, serce też za to miała zawsze dla siebie otwarte. I teraz nie trudno jój było o przyczynę zadumy dopytać.

— Ot, lichy się do mnie przyplątało... rzekł po cichu, kryjąc oczy jak winowajca.

— Ani chybi, znowu tam jakieś przekłęte dziewczyskol zawołała matka. Gadaj już, gadaj... niech wiem, co się święci.

— Teraz to chyba gorzej niż kiedy, odparł Tomko. I nuż spowiadać się matce, a słów nie skąpił, bo mu się na nie długo zbierało. Gdy począł mówić, wygadać się nie mógł.

Adamowa stała, słuchała, głową kręciła i dumiała zasmucona.

— Hm! hm! rzekła po chwili: lepijbyś to sobie z głowy wybił... Cyganka... dyabeł ją wie... *może co zna!* O jój ojcu i matce dziwy prawili: nasłuchiłałam się, że włosy na głowie wstają... Cyganisko się w końcu obwiesił! Brudy i szkarady: potrzeba ci było tam nosa wtykać?

— Al! kiedyż to ładna jak drugiej w życiu nie widziałem! zawołał Tomko: a poczciwe, a skromne!

— E! pluń ty mi na to! A z kąd się tu u niej poczciwość ta i skromność wziąć miała?.. Widać tylko

durzy ludzi... Ej! ostrożnie Tomku, ostrożnie, bo się doigrasz! Dziewczyny mi téj więcéj ani patrz! Mało masz szlachty, gdzieby każda za ciebie poszła?.. to się żeń już lepiéj, niż masz tak bałamucić...

Długo jeszcze w ten sposób mówiła pani Adamowa. Słuchał jéj syn w milczeniu, ale znać było, że do serca mu to nie szło, i matka pomiarkowała, że przekonać nie musiała, bo ciągle w jedno była, powtarzając swoje, a słowa z niego nie mogąc wywołać. Gdy nareszcie milczący odjechał, rozplakała się usiadłszy na ławie. Biedna kobieta przebiegła w myśli wszystkie możebne skutki synowskiej namiętności, i drżała nad dziecieniem; chciała go już z leśniczowstwa odebrać, chciała daleko gdzieś zasać, tak jéj Cyganki i czarów strach było.

Cała zadumana o przyszłości, ani spostrzegła, jak zmierzch padł na dworze. A w chacie noc się zrobiła, a drzwi powoli się rozwarły, i głos z nich chrypliwy po cichu ją pozdrowił:

— Dobry wieczór imościuniu!

Dopiero odwróciła głowę, wstrzęsła się, i nie mogąc poznać gościa, zapytała:

— A kto tam?

— Oj! a tożecie mnie widzę staréj sługi nie poznali? dodała śmiejąc się chrypliwym głosem Sołoducha... Stara Ratajowa ze Stawiska! Byłam na budkach u Marcinowéj, którój Pan Bóg dał syna... i do jejmości przychodzę jako do kумы z *warem*.

Zerwała się szlachcianka, krzyknęła na sługę i wnet zaświecono łuczywo. Po przyjęciu podarku, kazawszy dziewczce w zamian zań krupniku, to jest wódki z miodem i korzeniami, przyprawić, Adamowa poprosiła baby, żeby usiadła, i sama się przybliżyła

do niéj. Na rękę jéj były właśnie urodziny owe i przybycie Sołoduchy, bo nie wiedząc jak ściśle stosunki łączyły starą z Marysią, a znając z dawna learkę, chciała z niéj coś o Cygance się dowiedzieć.

Zręcznie więc najprzód podpoiwszy babę, nuż wypytywać o to i owol

— Oj! rzekła nakoniec wzdychając: bieda to moja, że Tomko u was w Stawisku. Chłopiec młody, strasznie do dziewcząt ochoczy, a z dawien dawna o waszych niedobrze słyhać. Wszystkie tam ladaco, gotowe mi go rozłajdaczyć.

— Moja jejmościuniu, odpowiedziała stara: jak się co ma zepsuć, co chcesz rób, nic nie pomoże... A ja tak źle nie myślę o waszym synu; a nasze dziewczęta toż nie takie teraz jak bywały, kiedy to pan młodszy hulał i psuł ludzi.

— I teraz się tam znajdzie jeszcze niejedna, co mego bałamucić zechce... a może się już i znalazła? spytała szlachcianka ciekawie.

— Nie wiem... nie wiem... odparła baba śmiejąc się. At, zwyczajnie, nie do jednej się uśmiechnie, jak naprzykład do sotniczanki Horpyny; ale to młodość na to.

— Tam bo u was—dodała Choińska, nie mogąc dłużej wytrzymać—jest jakaś Cyganka, którą chwala, że ma być bardzo urodziwa?

Sołoducha podpila już, miała wielką ochotę gadać i zerwała się z siedzenia jak oparzona.

— To o Maryś widzę mówiciel przerwała. O! o! daj nam Boże wszystkim takie dzieci, jak ta dziewczyna się udała! Cyganka nie Cyganka, a drugiej takiej we wsi nie znajdziesz. Czy to wy nie wiecie nic o niéj?

Matka rada się była jak najwięcej dowiedzieć, i nalawszy jeszcze kieliszek wódki Sołodusze, poczęła ją wypytywać.

Dopieroż Ratajowa dziwy o dziewczynie jeła jój śpiewać, o jój życiu, pracy, piękności, poczciwości, wytrwaniu, jakie to śliczne, jakie to dobre, i jak to Bóg sam sieroctwo jój wykołysał. Stara Adamowa zadrzała, zmarszczone jój czoło pokryło się potem, i ciężki niepokój sercem poruszył. Załamała ręce, wydając się ze swoją tajemnicą.

— To już nie ma co taić, zawołała: Tomko się mój w niej na zabój zakochał. Był tu u nas przed chwilą... przyznał mi się, że za nią szaleje.. Co tu robić Sołoducho?

Baba spuściła głowę milcząca.

— Albo to ja wiem! rzekła.

— Żenić się z Cyganką, z sierotą, z ubogą, a jeszcze i poddanką waszego pana, ani myśleć Choińskiemu! dodała z dumą Adamowa. A chłopcu jakby kto co zadał!

— Dziewczyna poczciwa, przerwała Sołoducho: ona go bałamucić nie będzie; Tomko sobie ją z głowy wybije.

— A jeżeli to czary? spytała szlachcianka po cichu.

— Jakie czary? odparła ruszając ramionami Sołoducho. Czarne oczy, czerwone liczko, ot i po wszystkim...

— Ależ Tomko mój oszalał!

— Albo to jemu pierwszyna!

Flasza stała gotowa, baba chwyciła ją pod pachę i zabierała się do wyjścia. Niespokojna szlachcianka

jeszcze do szafy poszła po grosz jakiś, i wetknąwszy go staruszce, usiłowała ująć ją sobie.

— Słuchajcie-no! rzekła po cichu: a gdybyście wy mnie pomogli i oko tam mieli na mojego chłopaka? Dalipan gotowabym wam takiego gościńca dać, o jakim się wam ani śniło!

— A co ja mogę? szepnęła Sołoducha, odtrącając pokusę i szybko sunąc ku drzwiom. Bądźcie spokojni, ja do Marysi chodzę, z oka ich nie spuszczę, i co podołam to zrobię: nic się złego nie stanie! Bóg z wami! nie macie się strachać czego.

Mówiąc to baba wpół pijana, starała się jednak język za zębami utrzymać, i szybko wyszła z chaty, a ledwie była w podwórku, aż się za siwą uchwyciła głowę.

— Cyt! cyt! zawołała do siebie po cichu: ta to się na wielkie rzeczy kroil! Myślałam, że Tomko tylko ją bałamuci i szczęścia próbuje, a on na prawdę się zaszłapał! Nol nol może Pan Bóg sierocie da szczęście!

A jak to w każdej ludzkiej czynności, by najlepszej, jest dyablego ogona kawałek, bo nim szatan musi każdą zamieszać potrawę,—więc do dobrych chęci dla Marysi starłej Sołoduchy, wmieszało się i złe uczucie, dodając jak drożdże ciastu, siły robociej i wzrostu. Choćby byli bogaci, stary trochę się nadymał i rękę kładł za pas. Adamowa w niedzielę na panią patrzyła, w chacie ich było dostatnio: a myśl upokorzenia ich dumy daniem im Cyganki, sieroty na synową, uśmiechnęła się starłej Sołodusze.

— O! toby dopiero musieli nosy pospuszczać! do dała w duchu: oni co najmniej jaką ekonomównę lub pannę z garderoby dla syna rają! A tu im przyjdzie golusienkie Cyganiątko! i córka wisielec!

Ratajowa cała w rozmyślach stanęła na wpół drogi.

— Coby tu robić? spytała się sama siebie ozywiona wódką: jakby tu począć?

Chwilę tak stała głęboko zadumana, potem coś zapewne przemyśliwszy, kopnęła się wesoło do chaty pani Marcinowój. Tu choć dni jeszcze parę miała zabawić, ale tak się poczęła niepokoić o Marysię, że nazajutrz rano piechotą wyrwała się do Stawiska, nieczekając na podwodę. A że dobrze знаła okolicę, przez lasy w prost poszła ścieżką na cmentarzysko wiodącą.

Zbliżając się ku niemu, z dala już poglądała, czy nie zobaczy dziewczyny przy mogile. Ale choć dzień był piękny, nikogo tam nie dopatrzyła, tylko z tumanem kurzawy Tomko na siwku przeleciał i mignął jój jak strzała przed oczyma.

— Leć! leć! uśmiechając się zawołała baba: złapiemy cię ptaszku. Ale gdzie hołubka moja? gdzie Marysia?

I przeszedłszy w poprzek drogę, zbliżyła się do chaty, w której izbie pies zaszczekał. Drzwi były zamknięte, zapukała, i po chwilce Marysia przyszła jój otworzyć. Stara bystrém okiem podejrzeń pełném, zmierzyła spokojną i smutną dziewczynę.

— A co to ty w chacie? zapytała.

— Ot tak! odparła Marysia: nie chciało mi się piec na słońcu...

— Bałamucisz! gadaj-no prawdę!

— Ten się włóczy a włóczył po cichu szepnęła Marysia: raz wraz mnie zaczepia... musiałam się przed nim schować.

Sołoducha mrugnęła oczyma.

— I Cyganka się już do mnie jakoś dwa razy przy-

włokła, dziwy mi prawiąc... Nie śmiem wyjść już na cmentarz.

— I dobrze robisz, odpowiedziała Sołoducha, siadając. Ja ze strachu, żeby ci się tu co złego nie stało, leciałam do ciebie aż z Budek od Rudni, i jak oparzona... Chłopcu ani końca nosa nie pokazuj! Już ja co wiem, to wiem!

— A cóż wiecie? spytała zarumieniona Marysia.

— On się w tobie do szaleństwa, na zabój zachcał na ucho ostrożnie szepnęła baba. Bylebyś rozum miała, to się z tobą ożeni.

— On! ze mną! czerwieniąc coraz mocniej krzyknęła Marysia: chyba żartujecie ze mnie?

— Ale gdzie tam! tak jest! Miěj rozum, a nie przypuszczaj go do siebie ani na staje, to go będziesz miała.. Tyś głupia, ale ja żyłam na świecie, to wiem: mężczyźnie im gorzej dokuczysz, tém cię lepiej pokocha.

— Tego nie rozumiem, moja matko!

— Rozumiesz, nie rozumiesz, a rób co ci mówię! Zobaczysz, ja w tém, że pójdziesz za szlachcica i cała wieś będzie ci zazdrościła... A dopiero stara Sołoducha, wzięwszy się na weselu pod boki, całej wiosce powie: „A co? a co? ot, moja Cyganka poszła za mąż! Nie chcieliście na nią patrzeć, teraz się jój będziecie kłaniali. A kto to zrobił? Sołoducha!”

I baba w istocie wzięła się pod boki, i podrygiwała, stanąwszy naprzeciw Marysi, która przeległa i zdumiona więcej niż uradowana, patrzyła jak Sierotka na Sołoduchę szczebrać począł, widząc ją w tak niezwykły sposób uwijającą się po izbie.

— Matuniu! powtórzyła dziewczyna: ale ja was nie rozumiem.

— Cyt! zamykając jój usta dodała stara: tylko mnie słuchaj, a głowy nie masz czego łamać.

— Ale cóż mam robić? spytała Marysia.

— W chacie siedzieć, nosa na dwór nie pokazywać—to pierwsze... Zobaczysz, szczęście ci się samo położy na progu, i garścią je weźmiesz...

To powiedziawszy, Sołoducha usiadła na ławie, i nieco odetchnawszy, wyraźniej się tłómaczyć poczęła.

— Musiał szlachcic poszłapać—rzekła—kiedy już i matka jego wie o tém, a ze strachu umiera, bo się przedemną aż wypowiedała. Teraz tylko podmuchać, a ogień będzie. Do cerkwi w niedzielę wystrój się moje dziecko, ale jeśli cię zdybie, zaczepi, zagada, ani się nawet oglądaj... Tomko zobaczy, że tu nie ma innej rady, tylko się ożenić. I albow ja już do niczego i głowy nie mam, albowym przysięgła, że się ożeni!.. Rodzice krzyczeń będą, łajać, fukać i na niego i na ciebie, ale w końcu pozwolić muszą... Chłopiec niczego! chata raj! hroszy u starego choć czapką mierzyć... Nie zapomniesz, spodziewam się, i o starój Sołodusze.

Zdziwiła się stara, podniosłszy oczy na Marysię, gdy ją we łzach całą ujrzała.

— A tobież to co? krzyknęła.

— A, matuniu! cicho odpowiedziała Marysia: ni-by to ja rozumu nie mam! Gdyby się to i stało, a co-by mnie tam w chacie czekało?

— Co? ofuknęła baba.

— Czyby mnie to tam jak dziecko przyjęli i ojciec i matka? A ktoby mi dobre słowo powiedział? Na niewolęby tam chyba poszła i na poniewierkę!

— Albo to starzy wieczni!

— A na co mam ich śmierci patrzeć? odezwała się dziewczyna.

— I cóż myślisz? przerwała Sołoducha.

— A cóż? gdyby nawet takie szczęście spotkać mnie miało, ja go nie chcę.

Baba osłupiała z podziwu, załamała ręce, przezegnała się, mrużąc coś pod nosem niezrozumiałego.

— Albo to mi tu źle? spytała Marysia: albo mi brak wody i chleba? A na co mi więcej? Przywykłam do chaty, i wiek w niej przeżyję... Szlachcicby mi całe życie wytykał, że mnie z błota wyprowadził. Gdyby nie on, to i chłop, gdyby mnie wziął, nierazby w złą godzinę nazwał Cyganką i córką wisielca... Wolę, że mi tu ściany milczą, niżbym tego słuchać miała.

Sołoducha z usty otwartymi, milcząc, zdawała się chcieć zrozumieć słowa dziewczyny i nie pojmwając ich wcale.

— Otoż tobie rozum! rozśmiała się nareszcie: oto tobie doła! Jak jój szczęście świta, toby się chciało, żeby Pan Bóg i wczorajszy dzień przerobił. Tfu! na marę... lichy tam wie, czego ci się zachciewa! Ja tego i słuchać nie będę. A co wiem, to wiem, i co mówię, to zrobię.

To rzekłszy, zerwała się z ławy, i cała oburzona, ale podtrzymując się jak mogła tém, że dziewczę bredzi nie wiedząc co, odeszła od Marysi, we łzach ją zostawiwszy.

Biedne dziewczę zostało samo i usiadło na ławie zadumane tak smutnie, jak nigdy jeszcze. Oczy jego oschnąć nie mogły, a niepokój bił pierśią wzruszoną. Co tu począć i jak tyle różnych uczuć pogodzić? Sie-

rotka, jakby przeczuł co jego pani cierpiała, przyszedł, siadł przy niej po cichu, i począł ją lizać po rękach, łapą drapiąc po kolanach, żeby z zadumy rozbudzić. Ale ciężko to było! ciężko!

Pierwszy raz dziewczęciu ktoś się starał podobać i podobał. Pierwszy raz obcy przemówił do niej tym językiem, który tak słodkiem brzmieniem młode ucho kusi. A uśmiechnąć mu się, odwrócić do niego jak serce chciało, nie było podobna! Cała przyszłość czarna, ponura, straszliwa stanęła przed sierotą...

— I zawsze tak będzie, mówiła w duchu: i nigdy nie potrafię znaleźć równego sobie! Chybabym wzięła żebraczego syna i poszła w świat ze ślepym. Któż weźmie Cygankę? Kto wie! kto wie! dobrze może radziła stara Cyganicha—pójść z nimi na wieczną włóczęgę... Ale jakby moją kochaną chatę i mogiłę porzucić i moje życie spokojne?... Al—dodała płacząc—już ono nie będzie jakim było! Jeden się zbliżył i spojrzał... podobam się drugiemu... nie dadzą spokoju, aż sponiewierają mnie bezbronną i bezsilną... Co tu począć! co począć!

I załamała ręce.

Ale w chwili największej rozpacz, przychodzi czasem otucha, świta pociecha niespodziewana. Marysia spojrzała przez okienko na jasne niebo, na uwijające się ptaszki pod chatą, posłyszała szczebiotanie swych skrzydlatych przyjaciół, i trochę jój przybyło odwagi.

— Bóg łaskaw! rzekła pocieszając się w duchu: co będzie, to będzie, ja do mojej roboty, do mogiły i do dawnego obyczaju powrócę... A przyjdzie umierać, to nie pożałuję świata, bom go nie zaznała! Tyle go dla mnie, co w oknie.

Tymczasem, jak łatwo można było przewidzieć, szalony chłopak, choć codzień się zarzekał, że Marysia więcej nie zobaczy, codzień więcej za nią przepadał; w końcu całkiem poddał się téj namiętności, i już na nic postanowił nie zważać.

Marysia udawała obojętną i w niczem nie zmieniła postępowania; ale czasem musiała choć poniewoli nań spojrzeć, a ten wzrok przeszywał go do duszy; musiała powiedzieć słówko, a mowa sprawiała mu dreszcze i sprowadzała sny dziwaczne; musiała się pokazać choć na chwilę, a ujrawszy ją leśniczy, głowę tracił do reszty. Przyszło w końcu do tego, że po pięć i sześć razy włóczył się około chaty, w której Marysia ze strachu, aby się z nim nie spotykać, siedzieć musiała zamknięta jak niewolnica.

Nie można się było z nim rozminąć: kręcił się po gościńcu, przy studni, po za cmentarzem, i czyhał tylko, żeby ją zobaczyć.

Ludzie dobre mają oczy, zwłaszcza na cudze sprawy: rychło też po wiosce wieść gruchnęła o zalotach leśniczego do Marysi, a sam pan Adam, który od razu gospodarzem i pobożnym został, codzień teraz prawie łapał na drodze do lasu wykradających drzewo bez kwitów. Tomkowi leśniczowstwo wcale nie było w głowie; zgromił go raz i drugi dziedzic; wysłuchał bury, ale się nie poprawił. Pan Adam zapowiedział, że go za trzecim razem odprawi; ale zaraz nazajutrz złapano w szkodzie z sąsiedniej wsi chłopaków, którzy korę dębową obdzierali do bliższej garbarni. Pan Adam wpadł w gniew potężny, i Tomkowi natychmiast leśniczowstwo odebrał. Strata miejsca niewiele go obeszała, ale bał się ojca i nie wiedział jak się tłumaczyć; a że go serce wiązało do Stawiska, posta-

nowił do czasu utaić odprawę i przystać w chacie sotnika, dobiegając z niej do cmentarza i Marysi.

Przywiązanie do niej gwałtowne i niepohamowane, dziwnie nad nim brało górę. W pierwszych chwilach była to tylko młoda fantazja, płóche zachcenie i powab pociągający pięknej twarzyczki. Tomko chciał się pobawić i porzucić. Ale teraz myśli jego całkiem barwę zmieniły: chciał się już żenić i nie taił z tém przed sobą. Widział on niepodobieństwo ożenienia dla rodziców, ale dziecinnie i wieśniaczo mówił sobie, że uciecze z dziewczyną, że się z nią gdzieś ukryje; a ożeniony gdy wróci, rodzice ich przyjąd będą musieli.

— A nie — dodawał w myśli — to pójdę służyć na kraj świata; pójdę dla niej i dla siebie pracować, ale jój nie porzucę.

Były nań jeszcze chwile oprzytomnienia, w których się sam z siebie naśmiewał, że za Cyganką lata, że oszalał; ale namiętność wnet brała górę, i znowu snuł potem rajskie życie z piękną Marysią. We wsi, gdzie już wciąż o tém tylko mówiono na wieczornicach, na połudeńkach, pod cerkwią i w karczmie, Tomko się dowiedział, że Semenycha i oboje Ratajowie mieli jakąś władzę nad sierotą i opiekę nad nią, i jak tylko tę wiadomość pochwyił, nazajutrz rano poleciał do ich chałupy.

Sołoducha go czekała, bo wiedziała dobrze, iż w końcu musi przyjść koza do woza. Skoro go z dala postrzegła, zaraz męża za piec pchnęła, domyśliwszy się, że chłopcu przy nim niebardzo mówić się zechce. Dziad się z razu ofuknął, ale jak mu stara szepnęła na ucho, że to o sierotę idzie, wgramolił się na zapiecek i począł chrapać, choć dobrze ucha nadstawiał.

Sołoducha znowu udała bardzo zajętą, i nuż z zimnemi garnkami chodzić od stołu do komina i od komina do stołu. Nie zobaczyła nawet niby, gdy Tomko wszedł do chaty.

— Dzień dobry matko! rzekł trochę zmieszany szlachcic, rozglądając się dokoła.

— A to panicz! zdziwienie udając odezwała się stara. Może wrota na łąn zamknięte? zaraz pójdę otworzyć...

— Nie, nie, nie trzeba... odparł siadając na ławie Tomko. Ja tu do was matuniu po radę..

— Panie Boże! a toż col odezwała się stara ze śmiechem. Czy już mnie potrzebujecie? No, mówcież czego wam potrzeba? ale ja taki przestrzegam, że lubczyku u mnie nie ma, choć to wy i bezemnie i bez niego sposób sobie na dziewczęta znajdziecie.

— Co to długo gadać a bałamucić... wstając z ławy rzekł Tomko. Ot matuniu powiedzcie mi, czy to wam krewna, czy chrzestna córka, czy co... Marysja Cyganka?

— A co ona mi ma być? ruszając ramionami odparła stara: — nic..

— Ale wy z nią żyjecie?

— A to widzicie, matka nam ją przed samą śmiercią poleciła. Ale cóż wam do niej?

— Co mnie do niej?... wybuchnął chłopak. Tu nie ma co kłamać: ot ja za nią szaleję!

Baba udała zdziwienie wielkie, w ręce plasnęła, głową zaczęła kiwać, brwi zmarszczyła, cmokała; wreszcie poufaléj przysiadła się na ławie.

— A na co się wam to zda? rzekła podpierając twarz zgrzybiałą na pomarszczonej dłoni. Wy myśli-

cie, że to dziewczyna sierota, sama jedna, to ją jak grzyba wziąć; ale widzę Marysi nie znacie.

— Jakże nie znam, kiedy mi głowa pęka, że jęj dostąpić nie mogę!

— I taki to porzućcie! szepnęła Sołoducha. Wierzcie mi, z tego nic nie będzie: obalamucić jęj nie obalamucicie — a cóż?... O ożenieniu wam ani myśleć; dopieroby to szlachta krzyku narobiła!

Chłopiec się zamyślił smutnie.

— A ja bez nięj żyć nie będę! rzekł cicho.

— Co wam się stało? zawołała baba. Młodemu tak się to zdaje... Oj! oj! albo to ona jedna? Krzyż z wami! Co wy mówicie? Już że Marysi tak nie dostaniecie, nie poszedłszy z nią do cerkwi, to pewna: dziewczyna stateczna, pobożna, pracowita, a i niegłupia, z chłopcem się nie wda... na gościńce jęj nie-żłapać...

— No! to się z nią ożenię! rzekł zamaszysto Tomko. Niech co chce będzie, a taki się ożenię...

— A toż rozumna mowa? odparła starucha. Co wam paniczu? Czy o Marysi nie wiecie, że cygańska córka? czy swoich nie znacie, jak nosa do góry zadzierają? Ojciec i matka toby się was wyparli.

Tomko głowę zwiesił.

— Wy bo sobie tém darmo krwi nie psujcie; bo co nie można, to nie można... dodała Sołoducha. O! już to prawda, że takięj śliczności jak ta dziewczyna — kończyła stara powoli, poddmuchując ogień, którym leśniczy gorzał — takięj śliczności nietylko na okolicę nie ma, ale i na świecie poszukać! Gdyby człowiek nie wiedział, myślałby, że to pańskie dziecko!

Leśniczy westchnął głęboko.

— A tu — rzekł raptownie, jakby sam do siebie — ani się zbliżyć, ani pogadać, ani oczu na paść...

— Już to darmo... dorzuciła baba. Ona taka bojaźliwa i skromna, że ledwie zasłyszysz turkot na drodze, do chaty się chowa... Wybijcie to sobie z głowy.

— Kiedy żyć bez niej nie mogłem zawołał Tomko rozpaczliwie, i zaklął się; a baba udała, że ją przestraszyło zaklęcie.

— O mój Boże! a cóż to będzie? zawołała. Co to będzie?

— Choćby przyszło dla niej zginąć.

— Cyt! cyt! cicho, nie mówcie w złą godzinę, ja na to nie poradzę...

— Gdyby choć zobaczył! choć pogadać! rzekł Tomko. Wy tam chodźcie?

— To prawda! mruknęła stara: codzień.

— Słuchaj Ratajował gwałtowniej przerwał leśniczy: ot, rubla kładę na stół, nie odmawiajcie mi a pomóżcie.

Baba odskoczyła, oburzywszy się.

— Co to wy oszaleli na prawdę, żebym ja dla grosza dziewczynę gubiła i do bałamuctwa dopomagała?

— Ale posłuchajcież... dokończył Tomko. Ja złęgo nie chcę i o nic was niepocziwego nie proszę; tyle tylko, jak będziecie u niej w chacie, dajcie mi znać, wpuście za sobą, niech ja przy was choć przebędę z nią jaką godzinę. Będziesz się na nas patrzeć.

Sołoduha jeszcze się oburzyła.

— Ale to nie może być!

— Na miłość bożą! zaczął zaklinać Tomko: widzicie, że ja nic złego nie myślę.

— A jak się Choińscy dowiedzą?

— Nie dowiedzą się... a gdyby i tak było, niech się sobie dzieje co chce. A to przyjdzie mi dla téj miłości zeschnąć i umrzeć, bo już dłużej nie wytrzymam!

Babie tak się wszystko ślicznie składało, że jéj aż serce rosło; ale udawała zafrasowaną, i nierychło, nacmokawszy się, poczęła po cichu szeptać coś Tomkowi na ucho, który rozweselony, jakby ożył na nowo, wsiadł na siwka i poleciał.

Dopiero z za pieca dziad się zwłókł co najprędzej po rubla, o którym zasłyszał, i chyłkiem skradł się do stołu; ale Sołoducha przeczuwając napaść, dawno już była schowała grosz w węzełek i zatknęła w łóżko, a Rataj go nie znalazł.

Rozpoczęła się zwada, krzyk, targanie: wyparła się Sołoducha, że datku nie przyjmowała; Rataj parę razy kijem machnął, i burza ucichła jakoś wkrótce, zalana kwaterką wódki.

O zmierzchu Sołoducha wdziawszy świętę, zabrała się na wieś do Marysi, nie bez szyderskiego uśmiechu, przekradając się przez ulice wioski ku cmentarzowi i cygańskiej chałupie.

Wielka była radość samotnicy, gdy zobaczyła babę zbliżającą się do chaty: rzadki to bowiem był gość o mroku. Marysia właśnie odpoczywała na przyzbie przed sienią, otoczona całym swym dworem, gdy babcina się przywlokła, i na widok, który miała przed oczyma, stanęła, by mu się lepiej przypatrzeć.

W istocie było na co patrzeć.

Śliczne dziewczę, w białej koszuli, w krasnym

fartuszkę, dłonią hojną rozsiewało ziarno dokoła a wychowańcy Marysi, kłócąc się, wyprzedzając i bijąc po trosze, lecieli na nie łapczywie. Szare i białe gęsi, pstre gołębie, kurki czubate, wszystek dwór aż do psa i kota, otaczał panią swoją; nawet kilka dzikich śmiałych wróbli przyplątało się do rozdawaną strawy, i ukradłszy ziarenko, uciekały z niemiem co prędzej pod strzechę. Zazdrosny Sierotka widząc, że kury i gęsi zajadają, coraz to poskoczył, dopędził je, powąchał tego rodzaju jado, i nie mogąc go zrozumieć, odchodził zamyślony, jakby powiadał: „Co też te głupie stworzenia jedzą!”

Marysia śmiała się z tych codziennych prawie powtarzanych wybryków swojego ulubieńca. Na widok nadchodzącej Sołoduchy, i dziewczę się z siedzenia zerwało, i pies zaszczekał, i ptactwo pochwytawszy co mogło napędce, wrzeszcząc rozbiegło się, a na miejscu swojskiego stadka, wnet drapieżny zastęp wróbli upadł na tokowisko.

Ostatnie promienie słońca oświecały blaskiem jaskrawym tę scenę wiejską, nacechowaną sielankową prostotą. Po chwilce Sołoducha przybliżyła się, ująwszy za rękę Marysię, wwiiodła ją co prędzej do chaty.

— Słuchaj-no! rzekła: nie bądź głupia! Tomko się z tobą niezawodnie ożeni, bo ginie bez ciebie biedne chłopczyko... Zaraz tu przyjdzie; tylko co go nie widać. Już ci przy mnie oczyma cię nie zje: puść go do chaty, niech choć pogada z tobą.

Marysia zarumieniła się, jakby ją krwią oblała.

— Krzyż na mnie! Ach! ja nieszczęśliwa!... A cóż ludzie powiedzą? zawołała.

— A co gadać mają, kiedy ja tu! ofuknęła ją ba-

ba. Ja cię do złego nie poprowadzę; słuchaj mnie tylko, wszystko dobrze będzie. Cytł cytł

Położyła palec na ustach, a już tętent siwka dał się słyszeć. Marysia nie wiedziała już co począć, rzuciła się ku drzwiom, ale baba posadziła ją na ławie, i otworzyła drzwi nieco, a Tomko wpadł jak piorun.

Wpadł i wprost do dziewczęcia, chwytając ją za ręce:

— Marysiul serdeczna Marysiul nie uciekaj! rzekł zadyszany. Nie bój się, tyś mi miłsza nad życie! Choć chwilkę pozwól pobyć z sobą, gołąbko moja! A jak każesz, to pójdę!

Baba uśmiechnęła się, Marysia zdawała się tracić przytomność, i powiodła ręką po czole.

— Al to nie gubże mnie! odezwała się drżąca, wrywając się od niego. Kiedym ci miła, jak mówisz, nie trujże mi życia!

— Ja! jabym za ciebie w ogień skoczył.

— O! nie mówcie słów takich! nie mówcie, bo im nie uwierzę. Wy się ożenić ze mną nie możecie: na co daremnie gubić sierotę? Rodzice wam nie pozwolą.

Tomko patrzył wciąż w czarne jej oczy i pałał cały.

— Słuchaj — rzekł — na co to długo się spierać? Jeśli mi nie pozwolą rodzice, ja z tobą na kraj świata ucieknę.

— Nie — odparła Marysia żywszym i śmielszym głosem. Widzicie przez to okno dwie mogiły na cmentarzu: jedna z nich dziada mojego, druga matki. A wiecie z czego oni pomarli? Jeden, że przeklął dziecko swoje; druga, że na niej przekłętwo było

ojcowskiel Nie chcę przekleństw na głowę moją: porzućcie mnie, porzućcie!

Stara słuchała, i brew się jój namarszczyła, a usta zacięły. Tomko załamał ręce zdziwiony.

— Inaczéj mów! odparł. Ty chyba serca nie masz do mnie, Marysiu! Nol to mów, i zabij mnie już od razu!

Dziewczę odwróciło się do niego z uśmiechem.

— Dla czegożbym serca do was nie miała? Wyście do mnie pierwsi przemówili dobrém słowem i zbliżyli się do sieroty. I gdyby, gdyby nie strach rodziców waszych, a... — Nie dokończyła.

Tomko znów pochwycił ją za ręce i począł całować; ale stara, którój na myśl przyszło, że powinna była stać na stronie sieroty dla oka, odciągnęła go od niéj.

— Porzuć.. rzekła — porzuć! Ot siadaj na ławie i rozmówcie się po ludzku.

Marysia zobaczywszy, że stara zabiera się ku drzwiom, pobiegła i wstrzymała ją.

— Na krzyż pański, nie odchódźcie! krzyknęła. Zlitujcie się! Ja nie zostanę sama... to być nie może!

— Siadajcie! rzekł Tomko: mnie pozwólcie z daleka być... choć popatrzeć.

Marysia, na którój to wszystko dziwnie smutne jakieś czyniło wrażenie, podparła się na rękę i rzewnie rozplakała. Chłopcu zrobiło się przykro, boleśnie: odsunął się do progu i stanął jak wryty.

— Ej! dzieciaki, dzieciaki! zawołała Sołoducha. Ot! głupiel coby mieli czasu użyć, pogadać ślicznie, oboje podurnieli i lichu wie jakie stroją fochy... A no porzućcie... Marysia tobie nie do smaku, a i ty jój

nie hydki: chcesz się żenić, czego tu płakać? Weselcie się, dziatki!

— Nie wesele mnie w głowie.. odparła Marysia. Mnie tak straszno! tak straszno! Od czasu jak przestąpił próg chaty mojej, głowę tracę..

— Marysieńko! odezwał się Tomko: klnę ci się na Boga, na wszystko, że się bać nie masz czego... Ja twój, zrobię co każesz, byleś mnie nie odpędzała.

— Co mam o tém mówić! odpowiedziała Marysia: a rodzice? a wasi? a nuż się dowiedzą! Jutro was zaszła daleko, a mnie ludzie osromocą i zginąć przyjdzie marnie..

Trudno było odjąć obawę sierocie, i Tomko i Sołoducha próżno się o to silili. Rozmowa nie szła, a że wieczór się zbliżał, więc po krótkim rozhovorze baba kiwnęła na Tomka, chłopak westchnął i ujsć musiał. Siwek paś się na wale cementarnym, i ledwie go złapał; a Rataicha aż się za głowę pochwyciła, zobaczywszy, że w chwili właśnie, gdy Tomko z chaty się wymykał, wóz Marcina z budek rudeńskich przesunął się mimo cementarza. Choiński nie zważał na to, tak był Marysią i koniem zajęty; sierota nic nie widziała; lecz baba zaraz rozrachowała, co z tego wyniknąć może, i na wieś pobiegła zachmurzona tym wypadkiem.

Marcin dobrze był jej znajomy, bo świeżo chodziła pilnować jego żony. Chciała go Sołoducha dognać i uprosić o milczenie; ale gdzie starym nogom zdążyć za młodemi końmi!

Szlachcic popędził w tumanie kurzu w jedną stronę, Tomko w drugą; Sołoducha o kiju powlekła się ku karczmie.

Wiedziała ona, że Marcin gaduła, jakiego świat drugiego nie miał, że karczmy pewno nie minie, i rachowała na to, że go tam jeszcze palącego fajkę zastanie. Omyliła ją wszakże nadzieja. Nim z góry zeszła, nim groblę przebyła, nim się z trzodą spotkawszy, rozminęła z bydłem, doszedłszy nareszcie do karczmy, postrzegła, że Marcin już konie zaciąwszy, boczną ulicą do Rudni polecał.

Baba zła, na wzwiady tylko weszła do izby szynkowej. Szumko szynkarz z kilku innymi włościanami stał w pośrodku izby, gawędząc po cichu z nimi; nie zważali jak się baba wsunęła.

— Tak, tak! rzekł, rozdając tabakę, szynkarz do starosty cerkiewnego: on tu sobie hula i kręci się koło dziewczyny, a tam rodzice myślą, że jeszcze we dworze służy. Marcin aż ramionami do sufitu ruszył, gdym mu powiedział, że już leśniczowstwo oddane Pawłowi; a to wczoraj jeszcze stary Choiński, słyszę, chwalił się, że syn ma takie miejsce na początek! Ot col ot col!

— A bodajże was! a bodaj długo-języczni! krzyknęła baba z za pleców Szumkowi, aż się cały wstrząsł. A świerzbiał was język spowiadać się przed Marcinem?

— A wiédźmo przeklął toś mnie nastraszył!.. Bodaj cię febra trzęsł! krzyknął Szumko.

— Gaduło ty! gaduło! na ciebiey febrę nasłać, tobyś pleść o cudzém zapomniał.

— Czy to mnie kto o sekret prosił? odparł Szumko—bę? Marcin pyta, dziwuje się, że Tomka widział wedle chaty u cmentarza, i mówi: „Co to u was leśniczy wierzba na mogilniku pilnuje, czy co?...“ No, to miałem mu kłamać?

— Dajcie-no kieliszek wódki! machając ręką, zawołała Sołoducha z gniewem. A nu! wódki, i dosyć tego! Bodaj wam to słowo bokiem wylazło!

Szumko poszedł po flaszę, reszta ludzi zamilkła, a Sołoducha wypiwszy porcyę jedną i drugą duszkiem, nie rzekłszy słowa więcéj, milcząca, szparko ku domowi pobiegła.

Sąsiad z Budek naturalnie wracając ze Stawiska, zaraz stanął przy chacie Choińskiego, bo mu niezmiernie pilno było ze złą nowiną.

Stary handlarz siedział na przyzbie, fajkę paląc, i dobytek swój wracający z paszy oglądał.

— Dobry wieczór, kumie! rzekł Marcin, biczysko w wóz wtykając.

— Al jak się macie, panie Marcinie? Co słyhać w miasteczku? sprzedaliście żyto? po czemu?

— Cena licha! jeszcze chcą, żeby im chłopską miarą dziesięcio garncową mierzyć, te Żydy niewiary! Otl... i żyto do domu wraca!

Stary Choiński się uśmiechnął.

— A nie chcieliście mi sprzedać, com dawał cenę chrześcijańską, i darmo dzień stracili!

— Darmo albo i niedarmo... odparł z uśmiechem Marcin. Kumie! dajcie sześć złotych za korzec, to wam coś takiego powiem, że aż podskoczycie do góry!

— Półszosta, ani szeląga więcéj nie mogę. Ba! ale cóż takiego? spytał podchodząc Choiński.

— Jak półszosta, to nic! rozśmiał się Marcin i zmierzył ku furze.

— Cóż to taka jakaś nowina, żeby od niej półzłotka gębowego płacić? Tfu! rzekł budnik: jeszcze czego nie stało. A toście handel wymyślili!

— Wola wasza, odparł fluternie Marcin. Nie chcecie dać półzłotego, zapłacicie to może później niejednym setkiem, ale będzie po czasie.

Stary, jakby co go kolnęło, wstrzymał odjeżdżającego sąsiada:

— Słuchaj kumie, czy ty kpisz, czy drogi pytasz?

— Co prawda, to prawda: zapłaćcie za żyto, a dam wam w dodatku takiego gościńca...

— No! cóż tam u licha... ki dyabel? Czy nie bałamucisz, panie Marcinie?...

— Jak Bóg miły, prawdę świętą mówię; ale kiedy wy sąsiadowi, kumowi półzłotka żałujecie za jego krwawicę, no! to niech będzie co Bóg chce, a ja też gębę stulę.

— A tegoroczne żyto? spytał mięknać stary.

— Przeszłoroczne, suchuteńkie.

— Ważne?

— Toż je znacie.

— Ale u was i groszku, i stokiosu pełno?

— No, to nie kupujcie... rzekł Marcin, idąc znowu do wozu, — nie kupujcie.

— Ej, kumie, kumie! jaka z was gorączka! Myślicie, że ja na was zarobku pragnę? odparł pan Adam. No! zsypujcie zboże, a pieniądze płacę. Ale cożeście to przywieźli? poczał żywo stary.

Marcin się obejrzał.

— Ot co! rzekł: jak myślicie, co wasz synek robi w Stawisku?

— A cóż ma robić? ofuknął stary odskakując: toż wiecie, że służę.

— Tak? A no, wiedzcie, że już od dwóch podobno niedziel wypowiedzieli mu służbę we dworze.

— Co gadacie?

— Prawdę kumie! tak jest!

— Jamże go pozawczoraj pytał... a mówił...

— To łął, to łął kumie! Nie służy, wypędzili go, i ono się wałęsa...

— Wypędzili Tomka! cóż to jest? Gadajcie kumie Marcinie, a cicho, żeby Agata nie posłyszała, i nie cedź mi po kropelce... Cóż on tam zrobił?

— A co on miał zrobić? zawsze jedna historia... rzekł do ucha zbliżając się pan Marcin. Wpadła mu tam w oko jakaś dziewczyna Cyganka, czy ki lichu, i tak za nią głowę stracił, że wszystek obowiązek porzucił. Pan przestrzegał, przestrzegał, a nareszcie wypędził. Ot co jest kumie... I tak podwaryował słyszę, że stancę sobie najął na wsi, przed wami się wyłgiwa, a co wieczór do dziewczyny chodzi. Sam go na moje oczy widziałem wychodzącego od Cyganki.

Stary porwał się za głowę.

— Kara z nim bozka! zawołał. Cyganka... cóż to za lichu?

— Co za lichu? rzekł Marcin. Ha! to dziewczyna, słyszę, śliczna, że drugiej nie ma na okoliczność... a harda, a filut! Zaprowadzi go ona daleko! Jeszcze sierota, broń Boże biedy! Wy myślicie, że Tomko się sianem wykreci? Gadają nawet, że czarownica...

Mówił, ale stary już nie słuchał, tak go silnie to niespodziane uderzyło nieszczęście: stał wryty, wsparłszy się o wrota, długą chwilę przebył w osłupieniu; dopiero głos żony go ocucił.

— Zsyp żyto, panie Marcinie! rzekł: zapłacę. Ale wara z tém przed moją Agatą się wygadać. Zjadłaby

mnie, żem go tam oddał, a i tak dość oczu nawypieka.

— A sześć złotych dacie?

— Ot i kieliszek wódki wypijecie u nas... rzekł Adam.

Ale gdy weszli do chaty, choć stary usiłował kłamać twarzą, niebardzo potrafił; żona wyczytała na niej zmartwienie.

— Co tobie, Adamie?

— Ot... siwą zdaje się spleczyli...

Była to ulubiona klacz Choińskiego, po której połowę prawie miał stada; jój był synem ów siwek, na którym Tomko tak dokazywał. Uwierzyła więc Adamowa kłamstwu, bo spleczenie siwój bardzo skłopotać mogło. Tymczasem Marcin napiwszy się wódki, uradowany sprzedażą, pojechał do chaty.

Nazajutrz jak świt, Choiński coś tam znów przed żoną skłamawszy, zły, gniewny, wściekły na konia siadł, i choć stary, poleciał do Stawiska kłusem. Po drodze miotąło nim jak opętanym, tak, że koń choć go znał, zrozumieć nie mógł. Zżymał się, gadał głośno i walił stępaka, że mu wierzgał co chwila.

Przedę wsią zatrzymał się, i znowu dereszowatego uderzywszy po bokach, skierował wprost ku cmentarzowi, bo dobrze się był rozpytał kuma Marcina.

Zdało mu się z opowiadania, że dziewczyna niepoczciwa zalotnica, syna mu bałamuci umyślnie, i gotował się na nią wpaść z całym gniewem, ile go przez noc w sobie przyzbierał.

Jakkolwiek to było rano, już Marysia siedziała u mogiły. Tętent konia zwiódł ją: pomyślała, że Tomko znów jedzie, a gdy zamiast niego zobaczyła

starego z ponurą twarzą szlachcica, tknęło ją w serce jakieś przykre przeczucie, złąka się, zadrżała.

Stary ani spojrzął na cmentarz, zsiadł z konia przed chatą i wprost drzwi jój otworzył.

Marysia wstała; Sierotka ujadać poczęła.

— Czego to chcecie? spytała podnosząc się.

Stary ją dopiero zmierzył oczyma.

— Ty tu mieszkasz? rzekł gniewnie.

— Ja, odpowiedziała Marysia.

Milczenie trwało przez chwilę namysłu. Stary obejrzał się na cmentarz, nie chcąc nań wchodzić, zawrócił się, zbliżył na kilka kroków.

— Chodź tu! rzekł rozkazująco.

Sierota posłuszna, drżąc cała, z psem swym razem wybiegła z wrot cmentarza i stanęła zarumieniona przed Adamem, który wciąż wlepione w nią miał oczy.

— Al! to ty tu mieszkasz? powtórzył zapalając się. To ty... łotrzyco jakaś, syna mi zwodzisz... pogankol!

— Czego odemnie chcecie? zmieszana, odstępując, zawołała sierota.

— Czego ja chcę? w złości krzyknął szlachcic, tupiąc nogą, na co pies ogromnym szczekaniem odpowiedział, stając pomiędzy nim a panią swoją. Czego chcę? Otom ci umyślnie przyjechał powiedzieć, bezwstydnico jakaś, że jak tu ten łotr więcej do ciebie jeździć będzie, a ty go przyjmować, to jak mi Bóg miły!...

Wtém lzy puściły się z oczu sieroty, przerażonej popędliwością starca, a z niemi tak była piękna, tak wzbudzająca litość, tak niewinnie zdawała się pocziwają, że stary choć w przystępie złości, uczuł się na pół rozbrojony.

— A do kroćset dyabłów! zawołał—czego beczysz? Złe robisz, a płaczesz? A co tu źy pomogą? Dyabli cię wezmą i tego trutnia!

— Al nie gniewajcie się na Boga! nie gniewajcie! cożem ja winna?... Ja wam wszystką prawdę powiem! z płaczem poczęła Marysia.

— Co ty mi pleść będziesz duby smalonel!

— Ja wiedziałam, że to się tak skończy... odparła sierota. Klnę się wam na Boga, żem go nie przyjmowała, nie słuchałam go, nie gadałam do niego. Wczoraj jeden, jedyny raz był tylko w chacie u mnie, i to przy ludziach.

Stary wciąż na nią patrzył, słuchał, i Bóg wie co się w duszy jego działo, ale twarz mu się mieniła, widocznie miękł i stygnał.

— Powiadam ci... odezwał się już wolniej — sy-na mi nie bałamucić... a nie! to źle z tobą będzie. Klnę się, że się z tobą nie ożeni, a ciebie dyabli wezmą, dyabli wezmą!

Szlachcic krzyczał jeszcze, ale go już gniew opuszczał.

— Ot, i ciebieby żal było... dodał. Dla jednego dudka świat sobie zawiązywać... On ci lichu wie co obiecuje, czego w ręku nie ma. Możesz pójść za mąż, niczego jesteś, a on cię tylko zgubi, jak drugie pogubił... On szlachcic... jemu z lada włóczęgą poswatać się nie dam... Nie bądź więc głupia i nie wierz mu...

„Ale nie dziwota — rzekł sobie w duszy stary, poglądając na dziewczynę z ukosa — dalibóg! szelma piękna jak królewna... Oj! zła sprawa!“

I pokiwał głową.

— Ja się wam klnę — zawołała Marysia — żem

tu nic nie winna. Uciekałam i uciekam od waszego syna, pokoju mi nie daje... Bóg świadek, zem niewinna!

— Winna czy niewinna— rzekł Choiński— a trzeba skończyć. Niech mi tu raz jeszcze noga jego po stanie, a zobaczyciel

— Syna sobie sami trzymajcie... ja...

— A tyż co tu robisz? zapytał stary. Nie mogłaś pójść gdzie służyć?

— Ja? służyć? Mnie nikt nie weźmie... A i na co mi to, kiedy mam swoją chatę? Mnie i tak dobrze: na chleb sobie zarabiam i żyję.

— Zarabiasz! co u dyabła? a któż tu z tobą mieszka?

— Nikt, ja sama.

— Sama? stary postrząśł głową. Sama! powtórzył: dobrze sobie rozpatrzył... Masz szczęście, dziewczyno! Ja go dziś nauczę tego chłystka. Ale jeżeli się tu zjawi, ani mu się pokazuj! ani nosa!

Marysia, zakrywając oczy, wpadła cała rozszołochana do chaty. Szlachcic sam pośród drogi pozostał. Pies za panią, okrążywszy nieprzyjaciela, przebiegł, stanął w progę i ujadać począł.

Stary Choiński rozmyślał.

— Niczego ma oczy ten łotr! dziewczyna śliczna! Sierota, aż żal... gotów ją zgubić... Ale teraz ani już do niej przystąpić za tym psem szatanem... Héj! krzyknął: odwołajcie sobie sobakę, mam jeszcze słowo do was

Nie wiem czy Marysia słyszała to czy nie, czy! odwołała psa, ale Sierotka ustąpił, a Choiński rozglądając się ciekawie, wszedł do chałupy.

Tu nędza sieroca, a przy niej ład i porządek w ubogiej lepiance uderzył go widocznie. Oniemiał na

chwile: musiał powoli w głowie wystawiać sobie to życie, tę pracę ważyć, która je utrzymywała.

— To jednak nielada dziewczę! mówił w duchu. Jak to ona sobie rady daje! Bóg wie, może z grzechu żyje, ale nie głupia być musi.

Marysia stała obyczajem dziewcząt wiejskich przy piecu i płakała. Stary już począł wcale innym głosem.

— Ej! słuchaj-no bo... nie zjem cię przecię, nie jestem zbój, złego ci nic nie zrobię.. Ta ty sama to musisz rozumieć, że nie na to syna hodowałem, żeby go z lada Cyganką żenić. Mnie i matce zyciaby to skróciło.

— Ale ja nic nie winna! powtarzała zapłakana dziewczyna.

— Nie prowadźże na głowę swoją przekłętwa naszego, — i niech go więcej oczy twoje nie widzą... rzekł stary. Ty myślisz może: żarty! a to śmierć moja i śmierć matki na twoje spadnie sumienie... To jednak u nas; ja duszę gubię, żeby go wyprowadzić na ludzi, a miałbym pozwolić, żeby sobie fartuchem świat zawiązał?

Stary z gniewu przechodził powoli w prośby prawie, i niemi skuteczniej pewnie niż łajaniem dotknął serca Marysi.

— O! na Boga klę się wam! zawołała żywo: nie chciałam i nie chcę być wam przyczyną zmartwienia. Zrobię co każecie, byleście mnie nie przeklinali.

Zży jój i te słowa uczucia pełne, trafiły do serca szlachcicowi, który pragnął już tylko wyrwać się co prędzej: tak go jakoś samego dziewczyna obalamuciła, tak czuł w jój ustach prawdę, cierpienie, i wyrzucał sobie niemal popędliwość swoją.

„Cóż ona bo winna? począł myśleć. To temu gałganowi dałby ze sto bizunów... Ale bał młody też, krew nie woda, a dziewczyna gdyby jabłko... Licho ją tu nadało! Gdybym wiedział, nie dałbym go do Stawiska... Żeby do licha gdzie powędrowała... możeby ją z głowy sobie wybił. Ot, gdyby nie Marcin i nie jego żyto, byłby ten wisus nieszczęścia i wstydu narobił; ale natrę ja mu uszu!”

— Niechże mi tu więcej noga jego nie postaniel dodał Choiński głośno, ujął za klamkę, i mruczając a spluwając, więcej gniewnego niż był udając, wyszedł, dosiadł konia i pośpieszył na wieś szukać chaty soтника.

Nie pytajcie mnie co się działo z sierotą. Padła ona na ławę przy piecu, i jak słup pozostała na miejscu nieruchoma, odrętwiała.

Myślicie, że proste dziewczę nic nad strach uczuć nie mogło? O! są chwile w życiu, w których spotęgowuje się człowiek i widzi więcej, i więcej czuje, i więcej może, niż zwykle. A Marysia była pustelnicą, była dziecięciem mogiły, wykołysaném dumami wśród samotności, i tém wyższą od otaczającego ją ludu, że cała żyjąc w sobie, sama sobą władać i kierować musiała. W sercu biednego dziewczęcia scena ta zostawiła bolesne wrażenie i przeczucie, że z losem swym dotychczasowym rozstać się musi. Było to jakby jakieś jasnowiedzenie konieczności; i żal ciężki, żal srogi ucisnął jój serce, nieprzekarmione dotąd weselem, Nie wiedząc jeszcze co się z nią stanie, Marysia wiedziała już, że chatę swą opuścić będzie musiała. Myślała już tylko, co począć z sobą? a na przypuszczenie rozstania, żal ją brał niewysłowiony. Pożałowała wszystkiego, co ją otaczało, całe-

go tego maluczkiego świątka, którego była środkiem: Sierotki, Burka, golębi, gąsek i kur swoich, i wróbli pod strzechą...

I wybiegła patrzeć na mogiłę matki.

Cisza była na dworze, cisza jakaś złowroga,—parno, duszno i straszno. Przed chwilą marzyła jeszcze snuć dalej przędzę kądzieli i życia; teraz obojga nic była przerwana.

— A! mówiła w duchu, przebiegając chatkę, do której wróciła, i łamiąc ręce: ja tu już pozostać nie mogę. Pójdę w świat służyć, żebrać, a nie chcę, by mnie ten stary siwowłosy przeklinał... nie chcę na biedną głowę moją nazbierać łez cudzych i nieszczęścia... Dola moja być samotną i biedną: na cóż do niej drugą wiązać? Cierpieć, to cierpieć saméj!

Jeszcze tak biegła nieprzytomna, gdy Aza niepostrzeżona weszła do chaty i stanęła w progu. W milczeniu patrzyła długo na dziewczynę, kiwając głową, czytając z jej ruchów, co się z nią działo; narreszcie zbliżyła się ze śmiechem. Marysia cofnęła się przelękniona.

— A! to wy!

— To ja, dziecko moje! odezwała się Cyganka. Przyszłam już po ciebie.

— Po mnie? zapytała Marysia zdziwiona.

— Prawda, że teraz pójdziesz z nami? dodała Aza. A co? dobrze żyć z *gadziami*? można wyżyć z nimi?

— Wy wiecie wszystko?

— Wszystko! wszystko! rzekła Cyganka: i o nim, i o tobie, i o ojcu, który tu dziś z fukiem do was przychodził. Patrzyłam ja z daleka, i wiedziałam na czém się to skończy. Nie masz tu co bawić dłużej:

ludzie cię już ogadali. Choćby raz próg przestąpił obcy, zrobią ci zaraz z niego kochanka; to i choć niewinna, a dla nich już będziesz osądzona...

Dziewczyna stanęła i pobladła.

— Ej! — dorzuciła prostując się i przybierając poważną, proroczą postać Cyganka, dobierając słów, by dziewczynie głowę zawrócić: jest dola, jest los napisany dla każdego człowieka. Gdyby miał skrzydła, nie uleci przed nim; gdyby sto nóg miał, nie uciecze, i w *Jagaro* (piekle) przed nim się nie schowa... A po co myśmy przyszli tu po latach tyłu? a dla czego ci oto właśnie w tej godzinie *Mroden-oro* dał łyzy i przekłętwo? Patrzej jak się złożyło — ażeby Romów krew poszła z Romami na wędrówkę... Krew ty nasza, nie czyja... Co ci ta chata? co ci ta mogiła? Nam świat chatą, niebo dachem, a mogiłą ziemia cała. Gdzie stąpisz, to kości depcesz praojców i matek... Nigdzie nie brak wody, by pragnienie ostudzić, i miejsca na rozbicie szatry, i gałęzi na ogień. A kto siedzi, ten gnije przykuty jak pies na łańcuchu...

Marysia słuchając drżała, ale widocznie poruszona była, i mało brakło, by rzekła:

— Otom gotowa iść z wami...

Ale każde wejście na chatę zalew ją napawało.

— Al zawołała: jakże to wszystko opuścić!... Wy nie znacie tego żalu, boście przywykli wędrować; ja nie wiem jak się oderwać od swojego kąta? A cóżby się stało z niemi!

I wskazała na zwierzęta swoje.

Aza rozśmiała się białymi ostrymi zębami...

— Co? rzekła: kto twój, a bez ciebie żyć nie potrafi, ten pójdzie z tobą. Kot nie wart łyzy, zostanie. Tym stworzeniom, jak trawie, co na dachu rośnie, nie

ten potrzebny, kto żyje pod dachem, ale grudka ziemi, co je żywi... Maszże być ich piastunką?

— Kości dziada! kości matki! zawołała dziewczyna: i to miejsce...

— Dziecko! przerwała Aza: matki duch pójdzie za tobą, a miejsce wszędzie twoje, gdziekolwiek usiądziesz.

— A chata ręką ojca zbudowana?

— Już i tak się wali na głowę twoją. Nam wielki ojciec chatę wieczną zbudował. W drogę! w drogę! Dziś jeszcze w nocy idziemy, i ty z nami! Jutro obóz rozłożymy o mil kilka, i wszystko się zapomni.

— O! nigdy! nigdy!

Aza uśmiechnęła się.

— Mówimy *nigdy*, a jutro, dziecko mój! jutro! serce twardnieje jak kamień: śladu, kto na nim siedział, nie będzie.

I z dziką energią uderzyła się w pierś zeszlą.

— Nasz obóz w rudeńskim lesie. Masz cały dzień na sprzedaż twoich rupieci; o świcie ruszymy. Ale nie mów nikomu! Ja sama przyjdę po ciebie!

Tych słów domówiwszy, Aza rzucając je jak nasienie, które wyrosnąć miało powoli, wysunęła się z chaty, samą zostawując sierotę.

Marysia widziała już konieczność ucieczki, i uwierzyła w to przeznaczenie jakieś, które ją gnało za Cyganami, jedyną rodziną przyznającą się do sieroty. Bolała, ale nie widziała sposobu zmienić tego losu, i zakrzętnęła się wyborem do drogi.

Zamknąwszy drzwi chaty, pobiegła do Sołoduchy, której nie zastała w domu; potem do Semenychy, odnosząc jej motki i przędzę.

Zdziwiła się starucha, zobaczywszy Marysię w dzień powszedni, a więcéj jeszcze, gdy w jéj rękę niedoprzędzone lnu dziesiątki ujrzała.

— A to co? spytała.

— To, matko — odparła całując ją w rękę sierota — to reszta przędziwa. Już go wam nie doprzęde... bo idę... idę służyć.

— Jak to? ze wsi? dokąd? po co?

— Niedaleko... nie wiem, do Rudni... zająkając się odpowiedziała Marysia.

— Do kogo?

Dziewczynie strasznie ciężko było kłamać pierwszy raz w życiu, i kłamała tak niezręcznie, że stara głową kiwając, zrozumieć jéj nie mogła.

— Róbcie sobie co chcecie — dodała starucha — ale pamiętajcie duszy jeno nie gubić. Dotąd byłaś poczciwą, siedziałaś w domu, a chleba ci nie brakło; idziesz w świat, kto wie czy będzie lepiej... Przy stojna jesteś, ludzie nicpotém... Dobrze na się patrz, Marysiu!

Cóż odpowiedzieć? Ot zapłakała znowu, a nie czekając nawet zapłaty, wybiegła, żeby jéj łzy i słowa nie zdradziły. Sołoducha szła drogą, i spotkały się na gościńcu.

Z tą trudniéj było daleko.

— A wy nic nie wiecie? spytała Marysia żywo.

— A co mam wiedzieć?

Cyganka poczęła jéj opowiadać przybycie starego Choińskiego i cały dzisiejszy poranek; a Ratajowa aż wargi z gniewu zakąsywała.

— Byłam tego pewna, że skoro Marcinisko téj sprawy powąchał, już się ona nie utai. A cóż teraz myślisz? zapytała.

— Dziś sprzedaję co mam w chacie, resztę na wolę bożą zostawiam, a jutro mnie tu nie ma! odpowiadziała stanowczo dziewczyna.

— Czyś ty oszalała?

— Mówcie sobie co chcecie, stało się... Przejeżdżał mieszczanin z Taborzysk, przyjechałam służbę w miasteczku i wzięłam zadatek...

— Kiedy? jak?

— Dziś o południu...

Sołoduha pokręciła siwą głową.

— A gdzie ci tu kto tak prędko co kupi?

— Resztę wam zostawię...

— Ale po co iść? na zgubę, na pohybell! Porzuć chatę, chodź do mnie, nikt cię u nas nie zobaczy; ludzie się przedziwiają i przegadają, a potem do chaty powrócisz.

Dziewczynie łza pociekła, ale głową potrząsała w milczeniu.

— Niel nie! bywajcie zdrowi matusiu! To już być nie może... Wzięłam zadatek, dałam słowo... Tylkobym chciała starego Rataja pożegnać i za chleb jemu także podziękować.

— Stary włóczęga gdzieś w Brzozowej Górze na prazniku, ani słyhu o nim...

— O! szkoda!... szkoda!...

— Nie odchodź lepiej, jeżeli masz żalować, rzekła wpatrując się w nią Sołoduha. W mieście ty zginiiesz z taką twarzyczką... Gładkie liczko to dla dziewczyny utrapienie: spokoju ci nie dadzą.

Marysia przerwała jęj mowę.

— Matko! odezwała się: jutro rano przyjdźcie do chaty; a co w niej się zostanie, to wasze... Tylko proszę was, proszę, weźcie do siebie Burka, gołębie

i ptactwo, niech z głodu nie zdycha: weźcie dla miłości bożej...

Sołoducha miała coś odpowiedzieć, gdy Marysia szybko ją pocałowawszy w rękę, biegiem od niej uszła. Pilno jej było nacieszyć się tą chatą, której więcej widzieć nie miała, swymi przyjaciółmi wiernymi i ostatnim dniem młodości. Pobiegła, pobiegła wprost na cmentarzysko, najprzód na mogiłę matki, twarzą na ziemię padając przy niej zapłakaną!

Nie wiem jak długo leżała tak na mogilnej glinie; ale gdy wstała, zeszła i złamana boleścią, znużenie samo sprowadziło w niej jakąś zmianę: zdrętwiała, ostygła. Podniosła się machinalnie, poszła do chaty powoli; krótki był wybór, i mały węzełek jej podróżny: rzuciła go na ławę, zostawując wszystko, nie chcąc nic ruszyć z miejsca, aby dłużej patrzeć na nietknięte domowstwo swoje. Obeszła potem wszystkie kąty, żegnając każde miejsceczko, każdą ściankę, każdą komórkę chaty; niespokojny Sierotka sam jeden towarzyszył jej w tej pielgrzymce. Ani się spostrzegła, jak zgłodniałej i znużonej dzień przeleciał strzałą, a słońce zapadać zaczęło za góry i lasy.

Z kawałkiem chleba, który gryzła, wyszła Marysia na próg, powtarzając usty najstraszniejszy z ludzkich wyrazów: „Ostatni raz! ostatni!”

Al czyż nie każda chwila w życiu naszym ostatnia? Choć o tym zapominamy, w każdej z nich obsypuje się jakaś cegła z tej ruiny, którą zwiemy życiem.

W mgłach tego wyrazu: raz ostatni — inaczej wydało się jej wszystko; pożałowała nawet boleści i sieroctwa swego. Sen ani myślał kleić jej powiek, i pozostała tak na przyzbie, aż ją krzyk ptactwa, dopominającego się strawy, przebudził.

Pobiegła i wyniosła im płacząc wszystko, co miała jeszcze, rozsypując po ziemi ziarno, o które obojętnie rozbijać się zaczęły zgłodniałe. Patrząc na to setne powtórzenie codziennój swój zabawki, usnęło biedne dziewczę zmorzone uczuciem i boleścią, której ciało znękanе podołać już nie mogło.

Gdy otworzyła oczy, księżyc już był wysoko na niebie, a przed nią stała czarna postać Azy Cyganki.

— Czas! czas! odczuwała się do niej przybyła: wybieraj się i chodź ze mną!

Marysia wstrząsnęła się, krzyknęła, ale po chwili namysłu wbiegła do chaty, i szybko, jakby się sama lękała siebie, porwała przygotowany węzełek, nie patrząc, nie oglądając się, a biegnąc z Azą na szeroką drogę.

Przed nią był cmentarz. Aza ciągnęła za rękę, ale dziewczę co nie pożegnało chaty, musiało matki mogiłę pożegnać. Cyganka nie śmiała wejść za nią na pole umarłych, wśród którego jak duchy czarne wznosiły się gęste krzyże.

Sama tam weszła sierota i ścieżką swoją trafiła na znane miejsce: pocałowała zimną ziemię, pomodliła się jeszcze.

— Matko! szepnęła w ostatku: ty widzisz, że mi iść potrzeba. Tu nie bracia moi, tu obcy; jeden był, a i za tego przeklinaliby mnie starzy rodzice... Ty wiesz co to przeklęctwo starego ojca za dziecko swoje! Trzeba iść w świat, w świat!

I objęła jeszcze rękami starą wierzbę, na której kądziel wieszala; a wtém niecierpliwym głosem Cyganki dał się słyszeć, i dziewczyna posłuszna mu jak głosowi przeznaczenia, wyrwała się z cmentarza.

A księżyc tak srebrzysto oświecał lepiankę starą, a na jój dachu gruchały gołębie, a na jój progu białały gąski, zbierające jeszcze resztki owsa, i Burek leniwy mrucał na przyzbie. Jeden Sierotka wierny szedł za swoją panią, liżąc jój rękę, jakby zaręczał, że jój nie opuści.

Przelotnym wejrzeniem objęła ten obraz niezapomniany dziewczyna, i rzuciła się drogą, by od niego uciec co prędzej. Aza ledwie za nią podążyć mogła, mrużąc pod nosem:

— Krew ojca!

W milczeniu przeszły górę, okrążyły wioskę, i zbliżyły się do drugiej mogiły na rozdrożu, u której zatrzymała się Cyganka.

— Czekaj... rzekła do wylęklłej Marysi:— i to mogiła, którą pożegnać potrzeba... mogiła ojca twojego... Modliłaś się za matkę, niech i ja powiem słowo duchowi przyjaciela...

Dziewczę wstrzymało się drżące i objęte jakimś strachem; a Cyganka powoli wstąpiła na pagórek, twarzą obróciła się do księżycyca, wyrwała garść zeschniętej trawy z mogiły, dorzuciła garść suchych gałęzi, i dobywszy ognia, zapaliła tajemną jakąś ofiarę.

Rzuciła na nią zioła wonne i coś z chusty dobytego; zaczęła szeptać słowa i tajemnicze zaklęcia, a rękę zwróciwszy na dwór i wioskę, miotać zdawała się jakieś na nie przeklęstwa! Wiatr, który rozdał płomyk i susz rozpalił, wkrótce też zdmuchnął ten stos pogrzebowy, a ogień buchnąwszy do góry, opadł i zagaśił w mgnieniu oka. Świst tylko wiatru, który zdawał się z sobą unosić słowa Cyganki, rozległ się po okolicy.

— A teraz dalej! dalej w świat! ozwała się schodząc z mogiły Aza: w świat córko Cygana... Pamiętaj, że ci ojca zabili *gadziowie*... pamiętaj!

We dwa dni potem pan Marcin z budek rudeńskich powrócił do domu ze Stawiska, i znowu zatrzymał się u wrot podwórka Choińskich.

Adam siedział u chlewka na kłodzie, i chmurny fajkę palił, która mu co chwila zagasała.

— Dzień dobry kumie!

— Dzień dobry waszeci... A co? może znowu z żytem?

— A zkąd go nabrać? Jadę ze Stawiska od młyna.

— No, to jedźże z Bogiem! odparł pan Adam.
A jaką tam miarkę biorą?

— Dziesiątą z czubem, odezwał się Marcin wzdychając. Otl jaki to czas! Ale, ale, kumie! mam i nowinę dla was w zanadrzu.

— A kat cię bierz z twojemi nowinami, co je po pół złotego sztukę płacić każesz! Może i tę masz na sprzedaj?

— A jakże! i złotabym się za nią wziąć nie postydził.

— Patrzajcie! wydrwigrosz! Już mnie teraz nie złapiecie. Syn w domu... prawda, że coś nie domaga, ale to młode, to się wychoruje, i dyabli go nie wezmą.

— Bywajcie zdrowi kumie, rzekł z uśmiechem Marcin, zabierając się niby do odjazdu.

— No, a wasza nowina?

— Jest u mnie jeszcze ćwiartka grochu: cobyście mi za nią dali?

— O! Żydzisko! zaburczał pan Adam: a po dyabła mi twój groch?

— A dla wieprzów? Oddam niedrogo.

— Wiem ja go. Przez pół robaczywy i lady w nim pełno... Ale nowina?

— A cóż dacie za groch?

— Dajcie pokój, kiepskie żarty!

— Dobranoc, kumie.

Właśnie gdy to mówili, chory Tomek wywlókł się był do sieni, a ujrawszy ojca i wyjść dalej nie śmiejąc, słuchał mimowolnie rozmowy.

Marcin odchodził, pan Adam go wstrzymał.

— No, no! rzekł: kupię groch kumie. A co tam?

— A dziwy! odparł Marcin, któremu się gęba rozwiązała gdyby cudem. Taż to Marysia Cyganka, jakście ją nastraszyli, tak nieboga z chaty uciekła, wszystko porzuciwszy.

Choiński się zerwał z miejsca.

— Czy to może być?

— Jak Bóg Bogiem..

— A to uczciwsza dziewczyna niż myślałem!

— To też kto żyw wszyscy jój we wsi żałują i rozpadają się po niej. A co się, słyszę, napłakała biedaczka, nim poszła! A na odejściu wyraźnie tak powiedziała Sołodusze, że przekłętwa waszego nie chce mieć na głowie.

— A gdzież się podziała? spytał Choiński.

— Bóg wiel! Jedni gadają, że poszła gdzieś służyć do miasteczka; drudzy, że ją zabrali i namówili Cygani, co to tu byli i niedawno nocką zemknęli..

— A! szkodać mi jój niebogil westchnął stary: kiedy to takie pocziwe... Ha! ale może to i lepiéj!

— A kiedy mój groch przywozić każecie? zapytał Marcin.

Ale pan Adam poszedł zafrasowany do żony, i zapytania tego nie słyszał.

W chwili, gdy przez sień przechodził, Tomko, który stał jak wryty za drzwiami zaczaiwszy się, skoro ojciec izbę za sobą zamknął, wychwycił się na podwórze. Pan Marcin pokiwawszy głową i coś namruczawszy o grochu, zawrócił do domu. Chłopak tymczasem jakby nic nie wiedział co się koło niego działo, pobiegł wprost do stajenki, dopadł siwka, uzdę mu na kark zarzucił, i oklep nań siadłszy, ścisnął go kolanami.

Wrota były otwarte, i nim się w chacie postrzeżono, już Tomko był na drożynie, a wnet i skrył się w lesie.

Matka i ojciec ani się domyślali ucieczki, i gadali jeszcze z sobą po cichu, gdy syn na polance wśród dębniaku stanąwszy, rozmyślał tylko co począć z sobą?

— Polecę za nią na kraj świata! mówił w duchu. Ale jak ją tu wyszukać? gdzie się ona biedna podziała? kogo tu spytać o nią?

Jakby na zawołanie koń prychnął ze strachu, i stara Sołoducha o kiju idącą ukazała się o kilka kroków.

— A ty wy paniczku! zawołała: tylko coście moich starych kości nie roznieśli.

— Sołoducha! a to ty! bieszę cię po nocy lasem wodził

— Niosę Marcinowój lekarstwo. A wyż to dokąd?

Tomko westchnął.

— W świat! rzekł.

— O! to daleko paniczyku, odezwała się stara. W którąż stronę? możebyście się komu pokłonili odemnie?

— Albo ja wiem gdzie pojedę odparł chłopiec. Ty!kom co się dowiedział o mojem nieszczęściu. Polecę ję szukać, choćbym miał kark skrócić...

— Paniczku, a ojciec? a matka rodzona?

— Nie chcieli mojego szczęścia, niech i mnie nie mają! zawołał Tomko. Ale nie wiesz gdzie się ona podziała?

— Gdzie? juźcić pewnie z Cyganami poszła.. bo ją ta bestya kusiła niemało. A jak wasz ojciec pogroził, musiała nieszczęśliwa posłuchać włóczęgów.

— A Cygani dokąd poszli?

— Ale! szukaj wiatru w polu!... Jeszcze dwa dni temu byli w rudeńskim lesie, terazby o nich ludzi pytać...

— A! prawda! jakiż ja głupi! zawołał Tomko. Od tutejszych ludzi dowiedzieć się muszę i pójdę tropem.

I ścisnął siwego; a babie nie powiedziawszy nawet „Bóg zapłać“ za radę, znikł w lesie, gdyby wicher pędząc bez drogi.

Sołoducha się uśmiechnęła i mrugnęła okiem.

— Ot tobie szlachcicu zalecanki! ot tobie stary górą głowę nosić! Będziesz cygańskie dzieci kołysał.

Nazajutrz lament i zamięszanie w Choińskiego chacie. Syn jak w wodę wpadł, nie wiedzieć gdzie się podział. Ojciec winuje matkę, matka na ojca narzeka, a oboje płaczą. Całe budki zeszyły się pod ich podwórko, każdy z radą, ubolewaniem, z dobrém słowem, a pan Marcin z grochem. Sołoducho także przyparła się do plotu, niby nic nie wie, milczy i wzdycha tylko.

Na dziedzińcu zagrody, jak w wielkie dni nie-szczęść i klęski, wszyscy razem: i pan Adam z załamanemi rękoma, i Agata rwąca włosy z siwój głowy, i czeladka szepcząca o Tomku różne wiadomości pochwytnane z przeszłości, różne domysły Pan Bóg wie na czém oparte.

— A niechby się był żenił z kim chciał wołała Agata: z Cyganką, Żydówką, ostatnią łajdaczką! Mogłoby się to lichu powoli nawrócić i poprawić naszym staraniem i modlitwą. Ale tak pójsć, uciec od nas na kraj świata!

— Niewdzięczne dziecko! krzyknął pan Adam: dałbym mu sto łóz, gdybym go złapał.

— Otoż to twoje pięćdziesiąt i sto, coś je raz wraz powtarzał, tego licha narobiło, odparła matka. Tybyś mu nie dał i pięciu, a na języku tylko wasze-ci batogi a batogi.

— Ależ to nie może być! zawołał ojciec, chodząc po podwórku. Ja go taki wynaleźć muszę, żeby się wśród ziemi schował!

— A jeżeli poszedł za kordon? odezwał się jeden z sąsiadów.

Choiński westchnął ciężko na samą myśl, która i jemu do głowy już przychodziła, bo Rudnia nie dalej dwóch mil leżała od galicyjskiej granicy.

— Cygani musieli pewnie do Węgier pociągnąć, to i ona i on za nimi poszli—potwierdził drugi.

— A! nieszczęśliwa godzina moja! już go oczy moje więcej nie zobaczą! płakała matka. Adamie zlituj się na rany Chrystusowe, gonić ich potrzeba!

— Co gonić? kogo gonić? gdzie? odrzekł ojciec niemniej zafrasowany: wiatru w polu! A któż go wie gdzie jest?

Wtém Sołoducha ukazała się z za płota.

— Za pozwoleniem waszeci, odezwała się: a ja tu jego wczoraj w lesie na siwku oklep jadącego spotkałam..

— Spotkałaś go? krzyknęli ojciec i matka podbiegając ku niej—gdzie? jak? kiedy?

Wszyscy otoczyli Sołoduchę. A ta rada, że na nią tak obrócili oczy i nastroili uszy, zabrała się do opowiadania. Nie myślcie jednak, żeby po prostu powtórzyła jak było. Starucha miała zwyczaj chwalebny zawsze coś z głowy dorzucić, i teraz też nie omieszkała dodatków.

— Idę ja, idę wczoraj drogą—mówiła,—a był sobie tak zmierzch już dobry. Idę drogą, tą drogą, co to na budki ze Stawiska prowadzi przez las mimo pasieki dobrodzieja. Idę, i modlę się sobie... Jednym razem, Chryste Jezul jakby dąb leciał na mnie, szum, trzask, ledwie miałam czas odskoczyć: patrzę przestraszona, żegnam się... a to Tomko tak gna na siwym. Ot tak oklep siedział na nim, a taki straszny, taki blady jak chusta, bez czapki, z włosom nasrożonym na głowie... Czy nie swój, czy chory, czy nawiedzony? Ażem krzyknęła... A on stanął i patrzy... patrzy,

a oczy mu się świecą, Boże jedyny, tak straszno!! A potem do mnie, bo on mnie znał i dawniej, i taki nie minął, żeby dobrego słowa nie powiedział:—Dobry wieczór matko!—A ja:—Dobry wieczór paniczu. A dokądże tak?—On tylko ręką rzucił. — W świat, gdzie oczy poniosą! — Ja tedy: Miły Boże, dokąd? jak? co? cóż to jest? — Ten tedy westchnie, aż mi ciarki po skórze poszły. — Nie chcieli szczęścia mojego, niechże i mnie nie mają. Ot za Cyganami pojedę i z Cyganami na włóczęgę.—Ja widząc, że to nie żarty, kiedy go nie zaczęłam prosić i odwozić! ale gdzie? tylko że mnie nie wybił... Potem powiada:—Słysz stara, na to już nie ma rady: ja za nią pójdę choć by w piekło, bo bez niej żyć nie mogę. A jeśliby mnie i złapali.. dodała chytra Soloducha—to sobie śmierć zrobię.. bo mi życie obrzydło..

Długie milczenie nastąpiło po tém opowiadaniu. Matka spojrziała na starego Choińskiego, on wargi zaciął, głowę spuścił, a Marcin nielitościwy zlą dobrał porę spytać go, gdzie groch zsypywać?

Nic nie rzekł pan Adam, łza mu się jakaś zakręciła w oku, i do wozu kazał co najrychlej zaprzęgać. Z zimną krwią wydawał rozkazy, dobrał trzech sąsiadów, wyznaczył dla nich konie, sam sobie wózek opatrzył i rozdysponował pogonią.

Matka stała, patrzała, ale ze strachem widząc tę zimną krew nadzwyczajną Choińskiego, czekała tylko pory, żeby coś z niego wydobyć, żeby go nieco zmiękczyć. Namarszczona brew, ścięte usta, blade twarzysko pana Adama, przerażały ją. Nie mogła się domyślić co postanowił, nie wiedziała więc od czego zacząć. Dopiero gdy rzuciwszy ciekawych paplających

w podwórku, Choiński wszedł do chaty po trzosiak podróżny, żona pośpiesznie się za nim wcisnęła.

Sami byli w izbie.

Stara siwowłosa kobieta uklękła przed mężem i panem, i nie mówiąc słowa, przyciągnęła do ust spracowaną dłoń jego.

— Adamiel rzekła po chwili: odezwij się, powiedz, co ty myślisz o dziecku naszym? co u ciebie w duszy? Nie zabijaj mnie przed czasem... Po co go doganiać, jeżeli nie chcesz mu ani przebaczyć, ani pofolgować biednemu?...

Nie uważała, że staremu ojcu ręce się trzęsły, gdy woreczka z pieniędzmi dobywał, że oczy miał łez pełne i chlipał prawie. Nie dopatrzyła się, że wszystek już gniew ojca przepaliła żalostí po jedynaku, że jedyną jego myślą było tylko odzyskać Tomka.

— A! Agato! zawołał wybuchając: na rany Boże! czyż ty mnie jeszcze nie znasz? Daj Boże, byśmy go odszukali, a nie bój się o chłopca. Ludzie świadczą, że dziewczyna poczcziwa: niech się dzieje wola pańska! dodał poważnie. Chciał nas Bóg upokorzyć w oczach ludzi tą synową, żeby nas grosz zapracowany w dumę nie wzbijał: niech się dzieje wola Jego... Niech się stanie... Byliśmy go odzyskali! A że koni, i siebie, i grosza nie pożałuję, możesz być pewna. Klękniej ty przed Najświętszą Panną i świętym Antonim, niech nam odda zgrabę naszą...

To mówiąc, pocałował ją w czoło wydarłszy rękę, którą do ust cisnęła, i poważnym krokiem wyszedł z chaty. W podwórku wszystko już było gotowe: trzech szlachty, konie, wozy. A ciekawi tłumnie wyprawę otoczyli.

Adam stanął w pośrodku.

— No! rzekł: waszeć panie Wincenty, jeśli łaska na Stawisko; choć tędy Cygani iść nie mogli, ale żadnego szlaku minąć nie chcą... Wy kumie Macieju, mimo Porwańca ku granicy pociągniecie. A żywo, i koni moich nie żałujcie... Ty Bartku, przez lasy na karczemkę mecherzyniecką. A ja od wsi będę szukał języka, i za nim się powlokę. Jeżeli z Cyganami się zetkniecie, chwytajcie mi Tomka i dziewczynę... Niech się dzieje wola boża, kiedy już inaczej być nie może. Powiedzcie mu, że przebaczam wszystko i pobłogosławię... pobłogosławił powtórzył głosem drżącym.

Sołoducha posłyszawszy to, rozparła tłum i przybliżyła się.

— Czekajcie-no! rzekła: najprzód potrzeba jechać do wioski, napytać języka, potem wprost śladem Cyganów, bo taki mówił, że ich dogoni... Byle pośpieszyć nim się do granicy dostaną, bo jak kordon przejdą, to wszystko przepadło.

Już szlachta na konie wsiadła i Adam na wózek się zbierał, gdy Sołoducha plasnęła w ręce, ujrzawszy Rataja zbliżającego się drogą od wsi do budek.

— Postójcie! postójcie! zawołała znów głosem donośnym: ot mój stary się wlecze, onże wie co się dzieje na trzy mile w kolo, jego tylko popytajcie, on wam najlepiej powie gdzie Cyganów szukać!

Choiński z wózka skoczył, szlachta z koni, i nim Rataj się zbliżył, o płot się opierając, już go pytaniami zasypali.

— Czekajcie-no, powoli—rzekł żebrak stając—a na co wam Cygani? czy koni nakradli?

Sołoducha zbliżyła się, a stary poznał ją po chodzie, nim głębę otworzyła.

— A! i moja stara tutaj — rzekł — ha! chatę porzuciła i po świecie się włóczy!

Ale Soloducha nie dając mu się rozwodzić, poczęła szeptać na ucho. Stary głową pokiwał, i czapkę zdjął udobruchany.

— A na co was tyle? rzekł powoli. Ot niech pan Adam mnie z sobą na wóz weźmie, ja go do Cyganów doprowadzę.

— Ty ślepy?

— Ale ba! lepiej ja bez oczu widzę, niż wy, co ich macie po dwoje na jednego. Siadajcie, a czasu nie traćcie—stary Rataj nie zawiedzie.

Choińskiemu nie w smak było brać z sobą na wóz żebraka; ale cóż miał począć? Rataj tylko się za koszyk pochwycił i rzeźko wskoczył do środka.

— Wy bratku za nami—rzekł Choiński.

Zacięli konie, i dalej w las manowcami, jak dziad pokazywał.

Od Rudni i budek rudeńskich, przestrzeń lasów przecinana tylko polankami i łąkami, na których stoją odwieczne dęby i brzozy, ciągnie się bez przerwy prawie do samej galicyjskiej granicy, której szlak przechodzi wzgórzystym zaroślem. Mało kto tak znał dobrze tę okolicę jak Rataj stary, który póki oczu nie postradał, przekradał paczki, a i teraz jeszcze w sakwie pod pozorem żebractwa, niejedną kontrabandę modląc się przemycał. Wszyscy nad granicą uwijający się Żyd-kowie i ich pomocnicy byli mu doskonale znajomi, żadna w lesie kryjówka nietajna, a ścieżkę każdą tak

opisywał, że Adam wydziwić się nie mógł, jak on bez oczu wszystko tak mógł pamiętać!

Bili się tak po lasach dzień cały po szkaradnej drodze, dwa razy trochę oddychali, a gdy noc nadeszła, Rataj wóz poleciwszy zostawić z chłopakiem w gęszczach, sam z Choińskim i Bartkiem począł prowadzić piechotą.

Wprędce jednak namyśliwszy się, znowu za sobą koniom iść kazał. Tu dopiero pokazało się, że lepiej czasem oczu nie mieć, bo dla jednego Rataja nocy nie było. Wiódł ich jak we dnie, ani na chwilę się nie zastanawiając i ani razu nie zgubiwszy drogi.

W milczeniu tak zbliżyli się ku dolinie zewsząd pagórkami opasanej, wśród której stary Choiński pierwszy dostrzegł rozpalone ognie. Zatrzymali się na wzgórkach, i podkradając się po cichu, ujrzeli widok malowniczy, dziki i w swoim rodzaju dziwnej surowej piękności.

Cały tabór Cyganów leżał w dolinie u wielkiego ogniska, rozpalonego pod rozłożystym dębem wypróchniałym. Szatra płócienna przyparta była do pnia jego i przytwierdzona do grubych pokręconych gałęzi. Tuż stał wóz i para spętanych koni się pasła.

Widać było kocietek (kakabia) na trzech laskach zawieszony nad ogniem, zwijające się przy nim baby, i siedzącą z głową na rękach opartą Azę, i leżącego u nóg jej Aprasza, i kilkoro Cyganiąt wyrostków, kręcących się w kółko przy starszym, który im grał na drumli. Z razu oczy niespokojne szlachcica nie dostrzegły ani syna, ani dziewczyny, i serce bić mu zaczęło niepokojem.

— Nie ma tu ich, nie ma! zawołał łamiąc ręce.

Alé w téjże chwili Bartek wskazał mu na uboczu w cieniu ledwie odblaskiem słabym oświeconą parę, w której oko starego rozeznało Tomka i Marysię. Sierota siedziała na pniu spróchniałym, zakrywszy oczy rękami; u nóg jój mały leżał węzełek. Tomko stał z boku, mówił coś do niój i jakby zaklinając bił się w piersi. Pies z nastawionemi uszami siedział przy swój pani, poglądając niespokojnie dokoła.

Niekiedy wzrok Azy padał na nich, ciekawy, szederski, pełny jakiegoś uczucia mściwój prawie radości. Choiński rozpoznawszy to wszystko, chciał się zaraz rzucić do syna; ale go drudzy, a zwłaszcza Rataj, opamiętali, że uciec mogą, że Cyganów siła więk-sza, a licha drażnić niebezpiecznie. Poczém wskazawszy ręką staremu, żeby pozostał na uboczu, sam odsunął się nieco, i wszedłszy w blizki wawóz, prosto się skierował na ciepły dym cygańskiego ogniska.

Dobrze się zbliżył, a nikt go nie dostrzegł jeszcze. Dopiero gdy Sierotka zaszczekał i za nim dwa psy cygańskie ujadać zaczęły, Aza spojrziała, Aprasz się podniósł, i co żywo kupić się i zbiegać jęli, na dziada kierując.

— Dajcie no pokój, to stary Rataj ze Stawiska, rzekł Tomko. Pewnie przenosi Żydom paczki, a po-wąchwawszy dymu, przyszedł się ogrzać.

Cygani zdawali się naradzać co począć? a stary śmiało się zbliżył do obozowiska. Kijem namacał miejsce, uczuwszy się przy ogniu, psy odpędził i usiadł na trawie, ani się troszcząc o otaczającą go gawiedź cygańską.

Na widok Rataja Marysia aż krzyknęła z radości, tak jój Stawisko, chatę i życie dawne przypomniął,

i zabywszy wszelkiego strachu, nie myśląc taić się z sobą, rzuciła się zaraz ku niemu.

— Jak się macie ojczy? jak się macie?

— Al to ty Maryś! he? zawołał stary, który tylko na to czekał, by mu się odezwała. Nie nowina mi to, żeś ty tutaj. Domyślałem się, że za Cyganami pójdiesz, rozkochawszy Lacha, a i Lach, licho go nie brało, za tobą pociągnął: wszakci i jego głos słyszę. Otoście się harno domyślili oboje.

Marysia stanęła milcząca.

— Ojczy! zawołała po chwili: widać, że kiedy komu z doli wypadnie być przeklętym, to już się od przeklęstwa nie wychodzi. Wiecie, że nigdy, ach! przynigdybym była i chaty mojej, i mogiły matki nie porzuciła, gdyby się Lach nie upędał za mną, gdyby mi ojciec jego nie pogroził przeklęstwem... Nie chciałam, żeby mnie ubogą kłęli starzy jego rodzice. Ale widać była w tém wola Boga!

Dziewczę westchnęło głęboko.

— Prosiłam go na kolanach, płakałam, żeby powracał do domu. Zaklinam go jeszcze, on nie chce... O! powiedzcie wy mu, powiedzcie, niechaj powraca!

— Idę z Rudni, rzekł stary Rataj: ta to sądny dzień u Choińskich... Żleś zrobił chłopczy: ojciec i matka rozbijają się za tobą, aż mi ich żal było, że po takim jak ty płaczą włóczędze... Jak tobie nie wstyd! jak nie żal!

Tomko milczał ponuro. Marysia łamiąc ręce zawołała:

— Ojczy! mówcie mu, mówcie, może serce jego ruszycie. Al czyż to się godzi dobrych rodziców tak rzucić!.. O! gdybym ja takich miała!

— Chybabyś ty wróciła ze mną, inaczej nigdy! rzekł Tomko—nigdy...

— O doloż ty moja nieszczęśliwa! zawołała Marysia.

— Gdzie ty, tam i ja! albo się zatracę! dodał chłopiec.

Rataj wydobył z torby kawał chleba i począł go krajać powoli. Aza zbliżyła się, stanęła i przysłuchując się rozmowie, wpatrywała się w starca, a dziki uśmiech błędził po jej ustach.

— Poszaleją rodzice starzy, zawołała: poszaleją! Dobrze im tak! Chcieli innego szczęścia dla syna, niechże innego syna szukają.

— Kobietol ty chyba nie masz dzieci! odezwał się Rataj surowo.

— Nie, nie! dodała Aza: już ani ona, ani on do was nie powrócą; muszą iść z nami! To dziecko krwi naszej, a to jej mąż, wyparł się wszystkiego dla niej i dobrze zrobił... dobrze! Godzina szczęścia lepsza niż wiek grzybiego pustego życia.

— Moja kochana! chleb zajadając odparł Rataj to tak jak komu do serca. A jabym godzinę mojej nieszczęśliwej doli na krótszą chwilę lepszego szczęścia nie pohandlował: taki to się żyje..

— Tyś Cygan jak i my i włóczęga! odpowiedziała Aza: a nie ma jak cygańskie życie, i tobie ono smakuje. Plunę na dołę, bo ją za sobą zostawiam, co dzień mam nową, nowe niebo, nowe życie... Héj! dalej a dalej, aby dzień do wieczoru!

— Jak wy tak mówić możecie! nieśmiało przerwała Marysia. Al mój Boże, mój Boże! a ja za ten kątek mój, za mogiłę, do której serce przyrosło, i za

dolę dawniejszą, dałabym życia połowę, gdyby je choć we śnie zobaczyć... Niedawnom z tamąd poszła, a spokoju nie mam od tęsknoty, aż mi głowa pęka... aż szaleję od płaczu...

— Boś niedawno poszła! zawołała śmiejąc się Aza.

— A między mi to jeszcze dodaje, że Tomko z nami, i za nim gonią przeklęstwa pocziwych ludzi. Zdaje mi się, że czuję jak je każdy wiatr przynosi, jak mię z nóg wała i suszą duszę moją.

— No! to powracaj nazad! rzekł Rataj.

— Ja! alboż mogę? westchnęła dziewczyna. Al nigdy już! nigdy! pomiędzy tamtych ludzi, na śmiech, wzgardę, na przekłętwo!

Rataj mocno kaszlać począł, a tak robił piersią, że go o staje słycać było...

— Ot, co mi dasz Marysiu! rzekł—to cię odprowadzę do domu?

— O! jabym tam i sama trafiła, gdyby mi wolno było, odpowiedziała dziewczyna. Lepiej tam Lacha zaprowadź...

— Nie mówże tego Marysiu! oburzył się Tomko: wiesz, że m przysiągł: i nie opuszczę cię nigdy.

— Nieszczęście! nieszczęście! zawołała Marysia, i twarz utuliła w dłonie.

Wtém Rataj się zerwał, wyprostował i obrócił twarzą po za siebie. A na znak ten umówiony, z blizkich krzaków jakby cudem wystąpił stary Choiński, który całej wysłuchał rozmowy.

Zaledwie blask ognia oblał twarz jego, a krzyk Tomka, którego żebrak silną uchwycił dłonią za rękę, rozszedł się po lesie, cały obóz cygański ruszył się jak stado dzikiego ptactwa po wystrzale myśliwca.

Aza zawołała na swoich, Aprasz, jego dzieci, baby, co żyło skoczyło do kijów, do siekier i wrzawą niesłychaną zapełniło dolinę.

Cygani nie wiedząc jeszcze dobrze co się stało, sądząc się napastowanymi, krzyczeli:

— *Katarsot? katarsot?* (z kąd? kto to?).

Marysia upadła na ziemię jak nieżywa ze strachu, zakrywając sobie oczy. Tomko wyrwał się, szamotał. I możeby jakim krwawym razem skończyło się to zamieszanie, gdyby Rataj nie krzyknął głośniej od wszystkich:

— Czekajcie, słuchajcie, Cygani, poganie, psie plemię! Nas dwóch, toć was nie pojemy... A ty głupi Lachu, co masz od szczęścia uciekać, jak długi do nóg ojca razem z nią...

— Ja do domu nie powrócę! zawołał zapamiętały Tomko.

— Cicho! milcz! przerwał żebrak: ojciec ci przebaczył, powróćcie we dwojgu... Do nóg staremu, do nóg!

Na te słowa Tomko, któremu Rataj puścił rękę, osłupiały stał chwilę, a potem skoczył, objął i pocałował nogi ojca całować. Ale Marysia usłyszawszy to, zerwała się z ziemi, i drżąc skryła się za Azą, pomiędzy Cyganami.

Choiński stary milcząc, groźny razem i rozczułony, słowa wyrzec nie mogąc, cisnął syna do piersi.

— Przebaczam ci! odezwał się nareszcie: bierz ją i powracaj do domu. Ale pamiętaj chłopcze...

Tu łzy mu słowa przerwały.

Tomko wychylił się z objęć ojca szukać Marysi, która opodal stała szepcząc z Cyganką.

Obóz cygański jakby czarnoksiężką dotknięty laską, kupił się, zwijał i zabierał szybko do opuszczenia ogniska. Namiot na wóz rzucono, konie wprzęgano z pośpiechem, wszyscy pomagali do pakunku, a Aprasz nie patrząc na kogo padną, gęsto razami okładał otaczających.

Tomko precisnął się do dziewczyny.

— Ojciec nam przebaczył! zawołał: chodź, chodź! i padnij mu do nóg ze mną.

Ale Marysia płacząc, schowała się za Ażę.

— Ona nie chce! odezwała się Cyganka; słyszysz, że nie chce...

— Jak to nie chce? krzyknął Tomko.

— Spytaj jój samój. Idzie z nami...

— To i ja z wami! zawołał Tomko, ale to być nie może!

— Dziewczyna nie chce! czy co? odezwał się stary Choiński. Na rany Boże! czyż jój jeszcze prosić będziemy?

Rataj z szlachcicem zbliżył się do sieroty.

— Co tobie się stało, dziecko! poczał Rataj Oszałałaś, takie szczęście odpychać? Mów! To cygańska sprawa, odurzyli, czy oczarowali?

— Nikt mnie nie oczarował, odezwała się zbierając siły Marysia: ale mogę ja, powiedzcie sami, narzucić się komu za niewiastkę? Czy to tam szczęście będzie, gdzie miłości nie ma, gdzie woli nie było? Wy mną gardzicie jak Cyganką, a ja jałmużny nie chcę. Przyjmujecie mnie z żalem, żeby mieć syna, a jutro precz wygnać możecie z torbami, lub za rok, jeśli dożyjem, wyklówać mi oczy cygaństwem, sieroctwem i ubóstwem... Nie! ja tego nie chcę!

Choiński milczał zadumany.

— Słuchaj! odezwał się po chwili namysłu: słuchaj i zawierz mi dziewczyno, bo to, co mówię, mógłbym i przed ołtarzem bożym powtórzyć... Miałem cię za ladaco, nie taję, ale kiedym cię zobaczył i posłyszał, a teraz bardziej jeszcze... klnę ci się na Boga, że gdybym temu hultajowi wybierał żonę, a sobie synową, tobym już inną nie żądał... Poczciwą jesteś i hardą, a ja do chaty grosza nie potrzebuję, tylko szczęścia...

Dziewczyna stanęła wryta. Ży puściły się jój z oczu, podbiegła, pocałowała w rękę starego i cicho rzekła:

— Bóg zapłać ci za dobre słowo. Ale ludzie! ale matka!...

— El głupia jesteś! krzyknął Rataj, podnosząc się katęgo kija: at! nie durzyłabyś się darmo... A mało ci to, że powrócisz do chaty swojej, do swego kąta i mogiły matczyną, a włóczyć się nie będziesz gubiąc duszę z Cyganami! Do nóg, plackiem do nóg staremu, i w drogę!

Gdy to się działo w maleńkim kółku złożonym z Choińskich, Rataja, Bartka i Marysi, cygańska tłuszcza odstąpiwszy nieco, stała w milczeniu. Rzuciwszy nawet pakunek i wybór w drogę, tak się dziwowali, nie rozumiejąc, dziwnym, niezrozumiałym dla nich targom.

Aza stała milcząca, chmurna, zagniewana; a gdy wreszcie ujrzała, że Marysia pada do nóg staremu, rozśmiała się śmiechem szatańskim, jak przekłętwo przeraźliwym.

— Głupia dziewczyna! przerwała: idź na zgubę kiedy chcesz, idź...

I odwróciła się do swoich.

— Aprasz, w drogę! na Węgry!

— I my w drogę! zawołał Choiński: w chacie nas tam modląc się czeka matka..

Gdy sierota odwróciła się, chcąc się zbliżyć, by pożegnać Cygankę, Aza cofnęła się, odpychając ją ręką:

— Idź precz! krew gadziów nienawistnych! zamruczała przez zęby: idź na stracenie do swoich... Nie warta jesteś ogniska Romów i Romów serca... precz biała!

Porwali ją otaczający i na wóz wsadzili. Wsiadł zaraz stary, Tomko i Bartek, a tak szybko unosili się obawiając napadu Cyganów, że nawet o starym Rataju zapomnieli, który o kiju pomrukując, powłókł się za nimi. W istocie posłuszna Azie banda zdawała się cicho tylko naradzać, by odbić i porwać dziewczynę, ale nim się tam rozmyślili co począć, konie zaciąwszy Choińscy po bezdrożach popędzili ku Rudni przez lasy.

W popłochu tym tylko siwy koń Tomka padł ofiarą, bo go Apraszowie uprowadzili z sobą na Węgry.

W kilka tygodni potem—skończmy jak się kończą bajki—sprawiono huczne wesele... A było obfite, a było wesołe, a było ochocze i gości na niém co niemiara. I ja tam byłem, miód, wino piłem, po brodzie ciekło, w gębie nie było...

Chata za wsią stoi jeszcze staruszka; ale obok na gruncie, na czynsz puszczonej Choińskim, osiadł Tomko i pobudował dworek, o którym kiedyś, kiedyś, gdy mi na duszy będzie weselój, na sercu swobodniój, a na świecie lepiój, może wam kiedy opowiem: bo w bajce tylko kończy się wszystko weselem, na świecie od niego się poczyna... a chata za wsią stoi jeszcze...

K O N I E C .



